

# SIMON

*Oszłamiający  
thriller.  
„Daily Mail”*

*Pełna napięcia  
i pokręcona  
opowieść.  
„The Sun”*

# BECKETT



# ZAGUBIONY

CZARNA OWCA

# SIMON BECKETT

## ZAGUBIONY

Przełożył  
Bartłomiej Nawrocki

WYDAWNICTWO  
CZARNA OWCA



# Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Spis treści](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Podziękowania](#)

[O autorze](#)

Tytuł oryginału: *The Lost*

Redakcja: Jacek Ring

Projekt okładki: Magdalena Palej

Zdjęcie na okładce: © Agnieszka Domanska / EyeEm / Getty Images

Korekta: Marta Stochmiałek, Beata Wójcik

Copyright © 2021 by Hunter Publications, Ltd.

Copyright © for the Polish translation by Bartłomiej Nawrocki, 2022

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 9788381437707

WYDAWNICTWO  
**CZARNA OWCA**

ul. Wspólna 35/5, 00-519 Warszawa, [www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Dział handlowy tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Redakcja tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Dla Hilary

# Rozdział 1

Zrozumiał, że ma kłopoty, dopiero kiedy poczuł zapach krwi. Na nabrzeżu panował całkowity mrok. Latarnie nie działały, przez co niszczące magazyny stały pogrążone w ciemności jak zapomniane relikty poprzedniej epoki. W świetle reflektorów starego saaba okolica wyglądała jak opuszczone industrialne miasteczko. Patrząc przez przednią szybę, Jonah przypomniał sobie po raz kolejny, że chociaż spędził w Londynie większość życia, miasto wciąż skrywało zakamarki, o których istnieniu nie wiedział. I nie chciał wiedzieć, jeśli wszystkie miały wyglądać jak to miejsce.

Niełatwo było tu trafić. Nabrzeże znajdowało się na wyludnionym odcinku Tamizy, niezagospodarowanym brzegu, którego nazwa nawet nie wyświetlała się na mapie. Wskazówki, które otrzymał, były mętne, kilka razy musiał wracać po swoich śladach, kiedy kolejna uliczka okazywała się prowadzić donikąd. Teraz zaparkował na skrawku porośniętego chwastami bezdroża naprzeciwko długiej ściany z cegieł. Po przeciwnej stronie rzeki jak brylanty lśniły jasne światła drogich apartamentów, barów i restauracji. Tutaj natomiast panowała ciemność. Szeroko zakrojona modernizacja objęła resztę doków, ale z jakiegoś powodu ominęła ten podmokły ślepy zaułek. Żadna niespodzianka, biorąc pod uwagę, jak nazywało się to miejsce. Jonah myślał z początku, że to żart, ale nie, jednak nie. Dowód, pordzewiała tabliczka z nazwą ulicy, wisiał tuż przed jego oczami:

„Nabrzeże Rzeźników”.

Jeszcze kilka godzin wcześniej siedział przed pubem z kolegami z zespołu, ciesząc się letnim wieczorem po treningu na strzelnicy. Telefon zadzwonił, akurat kiedy stał przy barze. Nie znał numeru i o mały włos nie



odrzuć połączenia. Ale ludzie przed nim wciąż czekali na swoją kolejkę, więc po chwili odebrał.

– Jonah? To ja. – I wtedy, na wypadek gdyby zapomniał: – Gavin.

Chociaż ostatnio słyszał ten głos prawie dziesięć lat temu, poczuł nagle, jakby to było wczoraj.

– Jesteś tam?

Jonah przeszedł do spokojniejszej części knajpy, zapominając o alkoholu.

– Czego chcesz?

– Potrzebuję pomocy.

Żadnego „jak się masz?”, żadnego „kopę lat!”. Poczuł, że mimowolnie zaciska szczęki.

– I dlaczego dzwonisz z tym do mnie?

– Bo tylko tobie mogę zaufać.

Z zaskoczenia odebrało mu mowę.

– Chyba muszę usłyszeć nieco więcej.

Cisza.

– Spieprzyłem. Wszystko pomyliłem. Wszystko...

– O czym ty mówisz?

– Wyjaśnię ci, jak przyjedziesz.

– Jezu, nie myślisz chyba, że...

– Stary magazyn na południowym brzegu, miejsce nazywa się Nabrzeże Rzeźników – wyrzucił z siebie jednym tchem Gavin. – Nie wyświetla się w nawigacji, prześlę ci namiary. Ostatni budynek. Będę czekał na ciebie na zewnątrz o północy.

– O północy? Poważnie?

– Zrozumiesz, jak przyjedziesz. – I wtedy Gavin wypowiedział słowo, którego Jonah nie słyszał od niego nigdy, nawet kiedy jeszcze się przyjaźnili: – Proszę.

Połączenie się urwało. „Cholera”.

– W porządku?

To był Khan, drugi sierżant z SCO19, jednostki kontrterrorystycznej policji metropolitalnej. Potężne bary i kark miał nabrzmiałe od mięśni, a ręce i klatka piersiowa niemal rozsadały biały podkoszulek. Jonah raz widział, jak kopniakiem wyważył drzwi, które poleciały – razem ze stojącym za nimi nożownikiem – na drugi koniec pokoju. Poza służbą był

jednak rodzinnym człowiekiem, do którego każdy mógł przyjść ze swoimi problemami.

Jonah schował telefon do kieszeni i pokiwał głową.

– Mhm, taki gość, z którym od dawna nie rozmawiałem.

– Kłopoty?

Nie wiedział, jak odpowiedzieć.

– To pewnie nic. Ale brzmiał jak...

Przerwał, kiedy ktoś klepnął go w plecy.

– Nie miałeś stać przy barze? Kurwa, uwarzyłabym to piwo szybciej.

Jonah obrócił się do krępej kobiety patrzącej na niego z dołu z grymasem niezadowolenia. Nolan często się to zdarzało. Policjantka była kilkanaście centymetrów niższa od niego i ledwie sięgała Khanowi do ramienia, ale jeśli przyszłoby co do czego, żaden z nich raczej nie miałby szans. Zwłaszcza kiedy wypadła ich kolej na przyniesienie alkoholu.

– Rozmawiamy – powiedział Khan, rzucając jej spojrzenie sierżanta.

– Dobra. – Namysliła się przez chwilę. – Daj kasę, to zamówię.

Jonah parsknął śmiechem.

– Jest okej, już idę.

– Na pewno? – dopytał Khan.

– Jasne. – Wzruszył ramionami. – To pewnie i tak nic.

W drodze do baru próbował przekonać o tym sam siebie. W cokolwiek wpakował się Gavin, mógł załatwić to sam. Jonah nie był mu nic winien. Absolutnie, kurwa, nic.

A jednak rozmowa nie dawała mu spokoju. Nawet kiedy już przyniósł piwa do stolika, cały czas wracał do tego, co powiedział Gavin.

„Tylko tobie mogę zaufać”.

Kiedyś to mogła być prawda. Swego czasu Jonah powiedziałaby to samo. Znał Gavina od zawsze. Najlepsi przyjaciele w szkole, razem wstąpili do policji i razem przeszli przez akademię, po czym dostali przydział do tego samego rejonu. Gavin zawsze był tym bardziej otwartym, łatwo dogadywał się z ludźmi, a wiecznym uśmiechem maskował dziką potrzebę rywalizacji. Mieszkali razem nawet po tym, jak Gavin zdał egzamin na detektywa i dołączył do wydziału dochodzeniowo-śledczego, w którym zajmował się sprawami związanymi ze stręczycielstwem oraz przestępczością zorganizowaną. Przez moment Jonah również rozważał zostanie detektywem. Przełożeni powtarzali, że ma odpowiednie zdolności, i zachęcali go do przystąpienia do kursu. Ale z jakiegoś powodu – może

dlatego, że nie lubił, kiedy ktoś go do czegoś namawiał – przeszedł rygorystyczne szkolenie wymagane do przyjęcia do elitarnego SCO19. Gavin kpił z jego decyzji, twierdząc, że Jonah był uzależniony od adrenaliny. Mimo to przyjaźnili się dalej. A kiedy Jonah zaczął umawiać się z Chrissie, a Gavin poznał Marie, cała czwórka stworzyła zżyłą grupę. Wypady na miasto, wspólne wakacje. Dobre czasy.

Ale to było lata temu. W innym życiu. Dlaczego więc Gavin wyskakiwał jak filip z konopi i akurat teraz prosił go o pomoc? Dwie rzeczy, których nigdy Gavinowi nie brakowało, to pewność siebie i znajomi. Musiał być naprawdę zdesperowany, skoro zadzwonił do Jonaha – i w ostatecznym rozrachunku to przeważyło szalę. Ponieważ nieważne, jak usilnie próbował to zlekceważyć, wciąż wracał myślami do jednej rzeczy.

Gavin wydawał się przerażony.

I tak, po tym, jak wytłumaczył się przed wszystkimi, Jonah wyszedł z pubu i ruszył w kierunku auta.

A teraz tkwił tutaj, na opuszczonym nabrzeżu pośrodku niczego. Zgasiwszy silnik, wyjął latarkę ze schowka saaba i wysiadł z auta. Audi – założył, że należało do Gavina – stało niedaleko, ale poza tym nie widział śladu życia. Zarośnięta ścieżka prowadziła do pogrążonych w ciemności ogromnych pustych magazynów i budynków przemysłowych, zza których widać było rzekę błyszczącą w świetle sierpu księżyca. Jonah włączył latarkę i ruszył w tamtą stronę.

Ścieżka doprowadziła go do wąskiej alejki biegnącej między budynkami pozabijanymi dechami. Na jednym wciąż straszył duch starego szyldu: „Garbarnia Jolleya. Najlepsze skóry”. W innych mieściły się rzeźnie prowadzące sprzedaż hurtową lub zakłady przetwórstwa mięsnego, podczas gdy ogromna, przypominająca hangar konstrukcja okazała się ubojnią. Nabrzeże Rzeźników jak się patrzy.

Było to niepokojące miejsce na nocną wizytę. Jonah zwykle nie miał problemu z ciemnością, ale zdał sobie sprawę, że idąc wąską aleją, uważnie nasłuchuje. Ulżyło mu, kiedy dotarł do jej końca i wyszedł nad brzeg. Woda chlupotała głośniej. Obtłuczone kawałki bruku wystawały spod popękane go asfaltu, wilgotne powietrze cuchnęło słoną wodą, gnijącymi wodorostami i ropą. Kilka przycumowanych razem barek podskakiwało w nierównym rytmie w czarnej jak smoła toni. Ciszę przerywały głuchoe uderzenia

i skrzypienie, kiedy łodzie ocierały się o siebie. Największa została przywiązana nieco z boku. Kiedy Jonah przechodził obok niej, usłyszał nagłe syknięcie. Przestraszony poderwał latarkę, ale uspokoił się, kiedy zobaczył kota. Brudne stworzenie tkwiło w ciemnym luku, skulone bojowo nad resztkami burgera. Jedno oko nie otwierało się do końca z powodu jakiegoś urazu. Drugie, w którym odbijało się światło latarki, patrzyło na niego złowrogo. Kot parsknął ostrzegawczo.

– W porządku, jedz go sobie – mruknął Jonah, odwracając się. Snop światła padł na ozdobny napis wymalowany na dziobie: „The Oracle”. Nazwę częściowo zasłaniała opona przywiązana do burty w roli odbijacza. Kiedy Jonah oświetlił to miejsce, jeszcze jedno syknięcie przypomniało mu, że wciąż nie jest tu mile widziany.

– Idę, idę.

Błoto mlaskało pod butami. Widział przed sobą koniec nabrzeża – samotny magazyn, z dwóch stron otoczony wodą. Do połowy zasłaniał go szkielec rusztowania, z którego zwisała postrzępiona plastikowa folia. Ogrodzenie z powyginanej metalowej siatki blokowało dalszą drogę.

Nikogo tu nie było.

Jonah zaklął i sprawdził godzinę. Prawie dziesięć po północy. Spóźnił się, ale nie tak bardzo. Zastanawiał się, czy Gavin mógł odpuścić i odjechać, ale wtedy przypomniał sobie o zaparkowanym niedaleko audi. Fakt – tylko przypuszczał, że należało do Gavina, ale nie umiał sobie wyobrazić, że ktoś inny przebywał tutaj o tej porze.

Więc gdzie on się podział?

Poświecił dookoła latarką, ale okolica pozostawała uporczywie ciemna i nieruchoma. Minuty mijały, z nerwów coś ścisnęło Jonaha w żołądku. Dwadzieścia po wybrał numer, z którego dzwonił Gavin. „Odbierz, Gavin”, pomyślał, kiedy w słuchawce zabrzmiał sygnał połączenia. W tym samym momencie usłyszał inny dźwięk, tym razem dużo słabszy. Za sobą.

Dochodził z magazynu.

Jonah odwrócił się i popatrzył na siatkę. Kiedy odezwała się poczta głosowa, z nieoświetlonego budynku dobiegł ostatni dźwięk; potem nastąpiła cisza. To coś w żołądku ścisnęło go jeszcze bardziej, gdy ponownie wybierał numer. Samotny dzwonek rozbrzmiał znowu i tym razem nie było żadnych wątpliwości – dochodził ze środka magazynu.

„Jasna cholera...”

Zakończywszy połączenie, Jonah wpatrywał się w pogrążony w mroku budynek. Niewidoczny w całości spod rusztowania masyw składał się z samych ostrych kątów i cieni. Zastanawiał się nad zgłoszeniem tego, ale jeśli Gavin był ranny, czekanie na jakiegokolwiek wsparcie trwałoby zbyt długo. I wciąż istniała szansa, że mógłby to być fałszywy alarm. Odnosił jednak wprost przeciwne wrażenie i w końcu doszedł do wniosku, że nie ma wyboru.

Będzie musiał tam wejść.

– Jezu, Gavin... – wyszeptał.

Pośrodku ogrodzenia wznosiła się wysoka metalowa brama zamknięta na solidnie wyglądającą kłódkę, ale nieco dalej Jonah znalazł dziurę w siatce na tyle dużą, że udało mu się przez nią przecisnąć. Przeszedł po popękany asfalcie do magazynu i odgarnął folię, która zasłaniała potężne drzwi przypominające wejście do hangaru. Te były zamknięte, ale z boku znajdowały się kolejne. Spróbował i otworzyły się, a nienaoliwione zawiasy zaskrzypiały.

Zaświecił latarką do środka. Światło ginęło w ogromnej przestrzeni poprzetykanej podobnymi do dźwigarów stalowymi filarami, które znikwały gdzieś pod sufitem.

– Gavin, jesteś tu?

Głos rozszedł się echem, które zamilkło po chwili. W magazynie panowała ciemność i wilgoć, powietrze było ciężkie od niemal kościelnej ciszy. Sięgnął po telefon i wybrał numer Gavina. Dzwonek brzmiał zaskakująco głośno. Źródło dźwięku znajdowało się jeszcze dalej w głębi magazynu. Idąc w jego stronę, za jednym z filarów dostrzegł słabą poświatę. Telefon leżał na ziemi, Jonah zobaczył na ekranie swoje imię. Wyświetlacz zamrugął i dzwonek ucichł.

„Chryste, Gavin, w co ty się, do cholery, wpakowałeś? I mnie?”

Poświecił latarką dookoła. Chropowate drewniane belki, worki z wapnem i cementem oraz rolki przezroczystego plastiku leżały porozwalane po jednej stronie, ale nigdzie nie widział Gavina. Nagle promień padł na coś na ziemi. Otwarta policyjna legitymacja, obok małej fotografii widniało nazwisko i stopień właściciela.

Sierżant Gavin McKinney.

Dostrzegł na niej ciemną smugę i poczuł, jak żołądek wywraca mu się do góry nogami, gdy zrozumiał, co to jest. Dopiero wtedy zauważył plamy

na kamiennych płytach. Lśniły jak ropa, ale Jonah wiedział, że to nie to. Poczuł to: słaby, ale niedający się pomylić z niczym zapach.

Metaliczna woń krwi.

Czarne rozbryzgi układały się w trop, który znikał w ciemnościach. Z walącym sercem ruszył za nim. Plamy znikwały za podwójnymi drzwiami zamontowanymi w nieotynkowanej ceglanej ścianie. Odmalowany od szablonu napis ładownia łuszczył się na jednym ze skrzydeł. Drzwi były uchylone, a duża niezatrzaśnięta kłódka zwisała luźno z wrzeciądza. Jonah się zawahał. Najrozsądniej byłoby się wycofać, wezwać niebieskich i pozwolić mundurowym oraz ratownikom sprawdzić, co znajdowało się po drugiej stronie.

Ale do tego czasu Gavin mógł być już martwy.

Popchnięte lekko drzwi otworzyły się z jękiem. Wszedł szybko do środka, gotowy do odparcia ataku, machając dookoła latarką. Nic się nie wydarzyło. Promień oświetlał długie, wąskie pomieszczenie. Z podwieszonych pod sufitem porzewiałych kołowrotów zwisały ciężkie łańcuchy. Za nimi znajdowały się potężne, rozsuwane drzwi ze starego drewna z czarnymi metalowymi wspornikami. Musiały wychodzić na pomost, gdzie podpływano łodziami, by dostarczyć lub odebrać towar.

– Gavin?

Woda kapiała gdzieś w ciemności z melodyjnym „kap”, ale nie usłyszał odpowiedzi. Zapach krwi był tu silniejszy, mieszał się jeszcze z czymś. Mdląco słodkim, zwierzęcym fetorem. Jonah skierował latarkę na podłogę, żeby zobaczyć, dokąd prowadzą ślady. Snop światła przemknął obok prętów rusztowania i sterty pomiętej folii, po czym padł na coś innego.

Nogi.

Jonah podbiegł tam i zatrzymał się. Patrzył na ciało mężczyzny leżącego twarzą do ziemi na dużym kawałku plastiku. Ręce miał skrupowane za plecami trytytką, kolejną pętlę zauważył na wysokości kostek, przy stopach. Jonah nie widział jego twarzy, ale nawet po dziesięciu latach rozpoznał smukłą sylwetkę i ciemne kręcone włosy. Włosy, które teraz lepiły się od krwi. Czarna w świetle latarki obfita kałuża wylewała się z przezroczystej folii na kamienne płyty jak mroczna aureola.

Jonah odzyskał mowę.

– Gavin?

Nic. Ciało Gavina pozostawało wymownie nieruchome. Między ciemnymi włosami dostrzegł blade odłamki kości i zmiażdżonej tkanki, ale

nie zauważył, żeby krew wciąż płynęła. Ta na plastiku i podłodze zaczęła już krzepnąć. Mimo wszystko musiał się upewnić. Ostrożnie, by nie dotknąć krwi, uklęknął i wymacał miejsce na szyi Gavina, tuż pod jego szczęką. Skóra była zimna i zwiotczała, wyczuwał pod palcami jedno- lub dwudniowy zarost, ale nie puls.

Otępiały wyprostował się i cofnął kilka kroków. Jakiś dźwięk sprawił, że natychmiast się obrócił. Nikogo tam nie było, za chwilę o ziemię uderzyła kolejna kropla wody. Wypuścił powietrze. Nie miał już żadnych wątpliwości, co powinien zrobić. Był na miejscu zbrodni. Musiał się stąd zabrać i zgłosić to, żeby nie zanieczyścić wszystkiego jeszcze bardziej.

Próbując odciąć się od tego, co zobaczył, sprawdził telefon. Brak zasięgu. Ten należący do Gavina dzwonił w głównej hali, więc to pewnie gruba ściana ładowni blokowała sygnał. Szedł już w stronę drzwi, kiedy zatrzymał go kolejny odgłos. Był zbyt cichy, żeby od razu go umiejscowić, ale tym razem miał pewność, że to nie woda. Staął, nasłuchując. Z początku słyszał jedynie krew pulsującą mu w uszach, ale potem dźwięk rozległ się znowu. Tym razem wyraźniej.

Szelest plastiku.

Odwracając się w stronę sterty folii leżącej kilka metrów dalej, Jonah poczuł, że dostaje gęsiej skórki. Dopiero teraz zobaczył, że to nie była jedna wielka sterta, ale trzy duże zwoje. To mogły być odpady budowlane, ale w świetle latarki przypominały coś innego.

Kokony.

Zbliżył się do nich jak w transie. Każdy rulon miał jakieś półtora do metra osiemdziesięciu długości i oklejony był czarną taśmą naprawczą. Były zakurzone, pokryte białym pyłem, przez który nie można było dojrzeć, co jest w środku, ale Jonah nagle uświadomił sobie, skąd dochodził cuchnący, zwierzęcy odór, który poczuł wcześniej.

Zwłoki Gavina nie były jedynym ciałem w tym pomieszczeniu.

„Zabieraj się stąd! Już!” Jonah zaczął się wycofywać, ale w tym samym momencie usłyszał coś jeszcze. Łagodny, łamiący się szept. Zobaczył, że w leżącym na wierzchu zwoju poluzował się róg folii. Pociągnął za plastik. Dopiero wtedy dostrzegł ukrytą pod kolejnymi warstwami folii twarz.

Kiedy Jonah wpatrywał się w znalezisko, usta otworzyły się, zasysając plastik.

Odskoczył do tyłu. Najpierw poczuł przemożną chęć ucieczki, dopiero potem włączył się rozsądek. Przynajmniej jedna z tych osób jeszcze żyła.

Nie na długo.

– Spokojnie, wyciągnę cię – powiedział Jonah, szarpiąc się z folią. Kolejne warstwy zostały oklejone długimi paskami taśmy klejącej. Siłował się z plastikiem, próbując go rozerwać albo chociaż znaleźć krawędź, za którą mógłby złapać, ale były zbyt mocno ściśnięte. Zniekształcona twarz wyglądała, jakby znalazła się pod wodą, przezroczysta folia to kurczyła się, to wydymała. Ale każdy kolejny ruch był coraz słabszy. Wyciągnął kluczyki od auta i spróbował przebić plastik ostrą krawędzią. Materiał najpierw stawiał opór, ale potem ustąpił z delikatnym trzaskiem. Jonah rozdarł otwór palcami, a folia rozeszła się ze świstem jak rozpinany suwak.

Zdołał odsłonić połowę twarzy. Usta były częściowo otwarte, ale nie dostrzegł żadnego ruchu ani reakcji. „No dalej, proszę, oddychaj”, zaklinał Jonah, walcząc z kolejnymi warstwami.

Nagle usta zakaszały i otworzyły się szerzej, spazmatycznie nabierając powietrza. Spod rozdartej folii wyłoniła się głowa otoczona gęstymi czarnymi lokami. Młoda kobieta. „Prawie nastolatka”, pomyślał Jonah, choć trudno było mieć pewność. Krew zaschła jej na skórze, która miejscami była podrażniona oraz pokryta pęcherzami i tym samym białym pyłem co na folii. Twarz dziewczyny wykrzywiała się w grymasie bólu i przerażenia, ale żadne z nich, ani nawet ciemność, nie mogły ukryć oszałamiającej urody, która czyniła ten widok jeszcze bardziej groteskowym. Żałując, że nie może podać jej wody, Jonah dalej rozdzierał folię, ignorując smród wydobywający się spod splątanego plastiku. Dziewczyna kasłała, walcząc o oddech, a on odezwał się do niej:

– Nic ci nie grozi. Jestem policjantem, zabiorę cię stąd, okej?

Z jej gardła wydobył się słaby płaczliwy dźwięk, a potem powiedziała coś w języku, którego Jonah nie rozpoznał. Brzmiał jak arabski.

– Przepraszam, ale nie rozumiem. Po prostu nie ruszaj się, żebyś mógł cię wydostać.

– ...boli...

– Wiem, staram się, jak mogę – uspokoił ją. „Niech mówi”. – Jak masz na imię?

Wymamrotała coś, ale nie usłyszał. Chryste, tracił ją.

– Na... Nadine.

– Hej, Nadine. Jestem Jonah.

Mówił ze spokojem, do którego było mu daleko. Nagle, w całym tym pośpiechu, poczuł coś jeszcze. Skóra na dłoniach zapiekła go i dopiero



wtedy zauważył, że ma na rękach proszek z folii. Zabrudzone miejsca pokryły się czerwonymi plamami. Przypomniał sobie worki z materiałami budowlanymi stojące na zewnątrz i uświadomił sobie, co to jest.

Wapno palone.

„Chryste”. Pył mógł wyżreć skórę i mięśnie do kości, a kobieta była nim pokryta w całości. Musiała cierpieć męki. Do Jonaha dotarło, że potrzebowała pomocy, której on sam nie potrafił jej udzielić. Sprawdził telefon, ale wciąż nie miał zasięgu. Nie chciał nawet o tym myśleć, ale wiedział, co powinien zrobić.

– Nadine, będę musiał wyjść na zewnątrz, żeby wezwać pomoc – powiedział, choć nie był pewien, czy go rozumie. – Wrócę tak szybko jak się da, okej? Zostawię ci latarkę.

Położył ją na podłodze; nie mógł zostawić młodej kobiety samej w ciemności. Jęknęła znowu, coraz bardziej pobudzona. Jonah zastanawiał się, czy miała halucynacje, ale zaczerwienione oczy patrzyły przytomnie i z przerażeniem. Na niego. Nie, nie na niego, zrozumiał.

Za niego.

Usłyszał ciche kroki i obrócił się, podnosząc ręce do gardy. Za późno. Coś odtrąciło je i uderzyło go w głowę. Rozbłysk światła i bólu, lekkość upadku.

A potem nic.

## Rozdział 2

Zardzewiałe łańcuchy pobrzękiwały w ciemności jak stara dziecięca huśtawka. Nieregularny, urywany dźwięk nie dawał Jonahowi spokoju. Spróbował uciec w mrok, z dala od okropnego skrzypienia i tego, co się z nim wiązało. Ale w ten sposób trafił do tunelu pełnego martwych liści. „Nie, nie, nie”. Czuł, że ktoś z nim jest, znał go. „Gavin”. W ciemności głos brzmiał jak szept. „Kiedy raz coś stracisz, nigdy tego nie odzyskasz”.

Rytmiczny brzęk łańcuchów odbijał się echem w jego głowie. Jonah czuł, jak zbiera mu się na wymioty, było mu niedobrze, miał wrażenie, że wiruje. Chryste, dlaczego tak bardzo bolała go głowa? Na oczach miał coś lepkiego, przez co nie mógł ich otworzyć. Dopiero po kilku próbach udało mu się rozewrzeć powieki – ale i tak nic nie widział. Wszystko było czarne. Łańcuchy umilkły, ale twarda powierzchnia, na której leżał, zatrzeszczała, jak tylko się poruszył. Spróbował usiąść. Nie dał rady. Ręce miał skrepowane za plecami, nogi też.

W panice zaczął się miotać. Głowa zapulsowała jeszcze mocniej, więc osunął się bezwładnie, czując, jak ogarnia go fala mdłości. Zastanawiał się, czy oślepl. Stopniowo docierały do niego inne nieprzyjemne wrażenia. Pragnienie. Zimno. Ręce go piekły, cały drżał i wszystko go bolało. W nozdrza uderzył go unoszący się w powietrzu odrażający smród i nagle wspomnienia wróciły. Magazyn. Młoda kobieta pokryta wapnem palonym, na wpół uduszona, owinięta w plastikową folię, tak jak dwa inne ciała. I Gavin.

Gavin.

To wtedy uświadomił sobie, co się stało. Ktoś pozbawił go przytomności, a krew z rany zakleiła mu powieki. A teraz ze związanymi

dłońmi i stopami leżał na – Jezu – płachcie folii.

Uspokoił się, skupiając na pracy przepony i biorąc długie, uspokajające wdechy. Panika stopniowo ustąpiła. Kiedy otworzył oczy, zdał sobie sprawę, że ciemność nie była tak absolutna, jak mu się wydawało. Dostrzegał jej głębię, chyba nawet rozróżniał kształty. Obróciwszy głowę – delikatnie, bo każdy ruch groził kolejnym atakiem bólu – zobaczył bladą, pionową linię światła. Były to częściowo otwarte drzwi, prawdopodobnie te, przez które wszedł. Wtedy dotarło do niego, że światło robiło się coraz jaśniejsze i że towarzyszyło mu coś jeszcze.

Kroki.

Jonah zamknął oczy, kiedy drzwi się otworzyły, i poczuł na sobie promień latarki. Leżał nieruchomo, nie śmiąc nabrać powietrza. Kroki zatrzymały się obok niego. Przez zaciśnięte powieki światło, którym ktoś świecił mu prosto w twarz, nabrało krwawoczerwonej barwy.

A potem snop przesunął się dalej, a pod powiekami Jonaha pojawiły się mroczki. Kroki minęły go, po czym znowu się zatrzymały. Kolejne dźwięki: stęknienie z wysiłku i szelest grubego plastiku. Jonah otworzył oczy i zobaczył latarkę wycelowaną w coś na ziemi. Sylwetka, niewiele więcej niż cień, należała do zwalistej postaci. Garbiła się nad czymś, ale dopiero kiedy jeszcze raz usłyszał zawijanie plastiku, zrozumiał, co się dzieje.

Postać owijała ciało Gavina w folię.

Wezbrała w nim bezsilna furia. Napiął więzy krępujące mu dłonie i stopy, po czym zamarł, kiedy plastik, na którym sam leżał, zatrzeszczał. Bardzo cicho, ale postać zareagowała. Jonah zacisnął powieki, kiedy światło latarki omiotło go ponownie. Leżał nieruchomo, jak w jakiejś koszmarnej grze w posągi. „Nie podchodź. Proszę”.

Potem światło się oddaliło.

Czuł, że się trzęsie, gdy usłyszał, jak postać wróciła do zawijania ciała Gavina w folię. Próbował leżeć w bezruchu, nie śmiąc nawet drgnąć na zdradzieckim plastiku. Ostrożnie, tak by go nie naruszyć, sprawdził więzy. Cokolwiek krępowało mu kostki, było założone na dzinsy i skarpetki; w nadgarstki wbijało mu się za to coś gładkiego i cienkiego. Opaska zaciskowa, taka sama, jaką związany był Gavin. Jonah spróbował odepchnąć od siebie ogarniającą go rozpacz. Cienkie trytytki mogły wyglądać na słabe, ale były praktycznie niezniszczalne. Raz zaciśnięte, nie dawały się poluzować.

Z miejsca, w którym krzątała się postać, dobiegł inny dźwięk. Przez na wpół otwarte oczy Jonah zobaczył, jak odcina kolejny fragment folii z rolki i rozkłada go na podłodze. Latarka oświetlała sylwetkę od tyłu, a szerokie plecy zasłaniały Jonahowi widok. Postać dźwignęła z podłogi owinięty w plastik kształt. Dźwięk odklejanej taśmy, potem kolejne stęknienie.

Ruchomy promień oświetlał tę część ładowni, przez którą sylwetka ciągnęła po płytach w stronę rozsuwanych drzwi na przeciwległej ścianie owinięte w plastik ciało Gavina. Upuściwszy je z głuchym łoskotem na ziemię, postać położyła latarkę obok, po czym zniknęła w mroku. Najpierw rozległ się dźwięk pociąganych łańcuchów, potem ciężki, metaliczny zgrzyt, aż w końcu drzwi przesunęły się po szynach. Z miejsca, gdzie Jonah leżał, dostrzegł przez otwór błądy prostokąt nocnego nieba, usłyszał też miękki plusk wody. Potem postać wytargała ciało Gavina na zewnątrz. Dobiegł go ciężki, głuchy łomot, jakby zostało wrzucone do łodzi, po czym postać wróciła. Łańcuchy zadzwoniły i zazgrzytały podczas zamykania drzwi. Postać pochyliła się, by podnieść latarkę, a Jonah zamknął oczy, zanim światło skierowało się w jego stronę.

Kroki wróciły do miejsca, w którym leżał.

Usłyszał nad sobą ciężki oddech. Choć zaciskał powieki, przed oczami wciąż miał jaskrawą plamę światła. Coś twardego wsunęło się pod jego ramię. Zmusił się, żeby leżeć luźno, kiedy postać sprawdzała go stopą. „Nie ruszaj się, nie oddychaj, nie myśl”.

Światło zniknęło, postać odchodziła.

„Jezu...” Jonah rozchylił powieki, by zobaczyć, jak promień faluje, zbliżając się do drzwi. Zanim zniknął, dostrzegł na ścianie wysoki cień.

A potem znów zapadła ciemność.

Jonah nie wiedział, co stało się z jego latarką, ale nie miało to żadnego znaczenia. Dopiero teraz odważył się nabrać powietrza i zaczął ciągnąć za opaskę na nadgarstku. Spróbował zignorować ból głowy, wiedząc, że jeśli nie uwolni się teraz, nie uwolni się nigdy. Opaska ani drgnęła, więc w przypływie frustracji wściekle szarpnął nadgarstkami.

Wtedy poczuł, jak puszcza.

Jonah znieruchomiał – nie mógł w to uwierzyć. Kiedy naprężył więzy po raz kolejny, nic się nie stało. Ale gdy spróbował wykręcić nadgarstki, używając zarówno obrotu, jak i naprężenia...

Cienki pasek poluzował się o kolejne kilka milimetrów.

Powtórzył ruch i w nagrodę zyskał jeszcze więcej swobody. Opaska była albo uszkodzona, albo wadliwa. Szarpiąc się z całych sił, Jonah poczuł, jak ześlizguje się, coraz luźniejsza i luźniejsza.

Obrócił nadgarstki ostatni raz – był wolny.

Kiedy podniósł się i sięgnął do opaski na kostkach, w głowie aż mu dudniło. Rozczarowanie dopadło go, kiedy ta nie chciała luzować się w ten sam sposób. Ale ktoś, kto go unieruchomił, musiał robić to w pośpiechu – założył trytytkę na dżinsy, zamiast na gołe kostki. Jonah wyciągnął materiał spod opaski, ale cienka pętla wciąż była zbyt ciasna. Ściągnął skarpetki, buty i spróbował jeszcze raz. Plastik zsunął się dalej i zablokował na kości. „Ożeż ty chuju!” Zdesperowany, nasłuchując, czy kroki nie wracają, chciał przepchnąć opaskę na siłę. Ta wżarła się w jego ciało jak obieraczka do ziemniaków, ale krew ułatwiła sprawę. Po ostatniej próbie i kolejnej warstwie zdartej skóry mógł się podnieść.

Jonah wstał i praktycznie od razu upadł, bo momentalnie obezwładniły go zawroty głowy. Skulił się, spuścił głowę, w skroniach czuł pulsowanie. Kiedy upewnił się, że nie zwymiotuje ani nie zemdleje, wyprostował się. Wokół panowała kompletna ciemność. Chciał sprawdzić, gdzie leżała młoda kobieta, Nadine, i dwie pozostałe ofiary, ale nic nie widział. A wolał nie ryzykować wołania jej. Nienawidził tej świadomości, nienawidził tego, co musiał zrobić, ale wiedział, że nie ma wyboru. Jeśli którekolwiek z nich miało przeżyć, Jonah musiał się stąd wydostać i wezwać pomoc.

Bosymi stopami wymacał adidas i szybko je włożył. Nie wiedział, gdzie dokładnie znajdowały się drzwi, którymi tu wszedł, ale gdyby dotarł do ściany, powinien je znaleźć. Zaczął posuwać się do przodu z wyciągniętymi rękami i niemal natychmiast coś kopnął.

Zamarł, kiedy przedmiot zaszurał po podłodze. Nie na tyle głośno, żeby ktokolwiek na zewnątrz mógł to usłyszeć, a Jonah poczuł ukłucie ekscytacji. „Proszę. Proszę, niech to będzie to, o czym myślę”. Ukląkł i zaczął szukać po omacku.

Niebieska poświata rozjaśniła mrok.

O mało się nie rozpłakał. To był jego telefon, musiał go upuścić, kiedy został zaatakowany. Nadal nie miał zasięgu, na wszelki wypadek wolał też nie włączać latarki, ale po tak długim czasie spędzonym w absolutnej ciemności podświetlony ekran lśnił jak latarnia morska. Jonah podniósł aparat i blade pomieszczenie wyłoniło się z mroku. Euforia zniknęła, kiedy zobaczył na podłodze kałużę krwi Gavina i proste linie, tam gdzie spływała

z folii. Dalej, ledwie widoczne, leżały pozostałe ofiary, przypominające upiornie blade kokony. Teraz, skoro miał już czym świecić, postanowił sprawdzić, co z dziewczyną. Kiedy ruszył w jej stronę, usłyszał na zewnątrz czyjeś kroki.

Ktoś nadchodził.

„Cholera, cholera!” Jonah rozejrzał się za czymś, czego mógłby użyć jako broni, ale niczego nie znalazł. Kończył mu się czas. Pospieszył w stronę drzwi i przywarł płasko do ściany. Zgasił telefon, a pomieszczenie znów pograżyło się w ciemności. Kroki były coraz bliżej. Jonah wziął głęboki oddech, starając się uspokoić. „Dasz radę. Tak jak na akcji”. Tylko że w ogóle nie było jak na akcji. Nie miał oddziału, który by go osłaniał, nie mógł wezwać nikogo na pomoc. Był zdany sam na siebie. „Nie myśl o tym. Uderz mocno i szybko, zapomnij o całej reszcie”. Przygotowując się, wziął głęboki oddech.

Kroki zatrzymały się pod drzwiami.

Jonah miał wrażenie, że ogłusza go własne bicie serca. Głowa praktycznie pękała mu z każdym uderzeniem, ale czekał. Usłyszał skrzypnięcie otwieranych szerzej drzwi. Klin światła z latarki omiótł podłogę i oświetlił kontur wejścia.

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł nosowy oddech. Jonah poczuł na skórze muśnięcie wprawionego w ruch powietrza, potem dobiegł go dźwięk przestępowania przez próg. Ale obcy nie wyłonił się zza otwartych drzwi. Jonah zobaczył, jak promień latarki omiata ładownię – zanim zdążył paść na pustą folię, na której jeszcze przed chwilą leżał związany, Jonah uderzył w drzwi całym ciężarem ciała.

Ktokolwiek stał po drugiej stronie, był duży. Jonah zacisnął zęby, głowę przeszył mu ostry ból, ale usłyszał wypuszczane powietrze. Latarka potoczyła się po podłodze, a wirujący promień rozjaśnił ciemność. Odepchnąwszy się od drzwi, Jonah wyprowadził kopnięcie, ale ledwie musnął postać. Poczuł za to, jak nagle traci oddech, trafiony pięścią napastnika. Wpadł na ścianę, wdychając kwaśny odór przepoconego ciała. W mroku posypały się na niego silne ciosy. Jonah przyjął większość z nich na podniesione przedramiona, ale jeden trafił go w bok głowy. Udało mu się zamachnąć łokciem i poczuł, jak trafia w kość; kiedy stojący przed nim człowiek odsuwał się, podniósł kolano. Rąbnął w mięsiste udo, zamiast w krocze, ale przeciwnik i tak zatoczył się do tyłu. Jonahowi wydawało się, że tamten upada. Potem usłyszał zgrzyt metalu o kamień – skryta

w ciemności postać podniosła z ziemi kawałek rury od rusztowania. Kopnął desperacko, zanim mężczyzna zdążył wziąć zamach, i poczuł, jak podbicie stopy zatapia się w ciężkim brzuchu. Usłyszał bolesne sapnięcie.

I wtedy jego rzepka eksplodowała.

Wrzasnął, ale upadając, pociągnął osiłka za sobą. Z łoskotem runęli na kamienną podłogę. Przeciwnik był większy i cięższy od niego. Jonah ścisnął jego rękę i zablokował ją pod sobą. Spróbował objąć nogami tułów mężczyzny, ale lewa odmówiła posłuszeństwa. Zacisnął zęby i wykorzystał ból jako impuls, po czym obrócił się i częściowo przydusił większego przeciwnika. Tamten wił się jak piskorz, ale Jonah uczepił się go kurczowo. Pięść rąbnęła go w głowę. Nie puścił, choć był bliski utraty przytomności. Z gardła mężczyzny wydobywały się przyduszone gwizdy, on sam szarpał się coraz bardziej gorączkowo. „Trzymaj się, jeszcze chwilę. Trzymaj się”. Powtarzane raz po raz słowa przerodziły się w mantrę, gdy Jonah powstrzymywał kolejne próby wyswobodzenia się jego ofiary.

W którymś momencie zdał sobie sprawę, że przestała się miotać.

Przez chwilę nie puszczał. Nie mógł. Miał wrażenie, że jego ciało jest zablokowane, sparaliżowane. Nawet kiedy próbował, kończyny go nie słuchały. W końcu zmusił się do poluzowania chwytu. Mężczyzna osunął się i leżał nieruchomo. Jonah przewrócił się na plecy z drżącymi mięśniami, próbując złapać powietrze. Z bólu prawie odpłynął. W uszach słyszał niskie buczenie i szelest, jakby w głowie trzepotały mu skrzydła. Ciemność zdawała się nabierać głębi. Poczuł, jak się w nią zapada.

„No dalej! Ruszaj się!”

Jonah przetoczył się na bok i natychmiast zwymiotował. Dał sobie chwilę na dojście do siebie, potem wymacał latarkę na podłodze i oświetlił napastnika. Mężczyzna leżał wykrzywiony, z jedną ręką na twarzy, jakby próbował zasłonić oczy przed światłem. Na głowie miał brudną kurtkę, która podwinęła się w trakcie szarpaniny. Jonah w napięciu obrócił go na plecy.

Mężczyzna przetoczył się, ale poza tym nie było żadnej reakcji.

Jonahowi zrobiło się słabo. Nie był w stanie stwierdzić, czy mężczyzna oddycha, czy nie, przemknęło mu przez myśl, że mógł go zabić, ale teraz ważniejsze było ściągnięcia pomocy. Zaczął się podnosić... Krzyknął, gdy kolano ugięło się pod nim, i zwałił się z powrotem na ziemię. Leżał, oddychając ciężko, po czym poświecił latarką na uszkodzoną nogę.

„O kurwa...”

Dżinsy miał przesiąknięte krwią. Kolano było zniekształcone i już zaczęło puchnąć; Jonah zrozumiał, że nie wyjdzie z magazynu o własnych siłach. Z trudem podparł się i usiadł, po czym sprawdził telefon. Zero zasięgu. Przytłoczony niepokojem i strachem, skierował latarkę w stronę okrytych plastikiem ofiar.

– Nadine, słyszysz mnie?! – zawołał, choć głowę rozdzierał mu potworny ból. Brak odpowiedzi. – Idę po pomoc... Wytrzymaj, okej?

Świecił jeszcze przez moment, mając nadzieję, że zobaczy jakąś oznakę życia. Kiedy nic się nie wydarzyło, zrozumiał, że nie może dłużej czekać. Z latarką w jednej ręce odepchnął się w stronę ściany i spróbował podnieść się na nogi. Poczłł zawroty głowy i mdłości. Nie mógł ustać przez strzaskane kolano, więc osunął się z powrotem po wilgotnym murze.

„To by było na tyle”. Spojrzał na drzwi prowadzące do głównej hali. Walcząc, wpadli do ładowni, ale wyjście nie było aż tak daleko. Jedyne, co musiał zrobić, to dotrzeć na drugą stronę magazynu, z dala od grubych kamiennych ścian – wtedy uda mu się złapać sygnał. Tylko kilka metrów, to wszystko. „Nic takiego”.

Ściskając latarkę, zaczął czołgać się w stronę drzwi, ciągnąc za sobą ranną nogę. Każdy ruch sprawiał, że kolano przeszywał obezwładniający ból. Staw spuchł tak bardzo, że czuł, jak uciskają go dżinsy, a przez pulsowanie w głowie prawie nic nie widział. Te kilka metrów, które dzieliło go od drzwi, ciągnęło się w nieskończoność. Raz po raz zatrzymywał się, powstrzymywał wymioty i czekał, aż ustąpi łomotanie w głowie. Posuwał się straszliwie wolno i dopiero kiedy uderzył ręką w coś twardego, zdał sobie sprawę, że dotarł do drzwi. Pchnął je mocniej, przeczołgał się przez próg, po czym wygrzebał telefon z kieszeni.

Brak zasięgu.

„No weź, no...” Jonah oparł czoło o kamienną podłogę. Kojąco zimne płyty pachniały ziemią i pleśnią. „Nie byłoby tak najgorzej tu zostać”, pomyślał, zamykając oczy. „Tylko kilka minut. Żeby odpocząć...”

Poderwał się, pewny, że usłyszał za sobą jakiś hałas. W panice skierował latarkę z powrotem na drzwi, spodziewając się, że zobaczy wysoką postać zmierzającą w jego kierunku. Niczego nie dostrzegł, ładownia wciąż była nieruchoma i cicha. Jonah odwrócił się i zaczął czołgać się dalej. Wbił spojrzenie w filar przed sobą, zmuszając się, by tam dotrzeć. „Jeszcze tylko kilka metrów, dasz radę”.



Ale nie dał. Po kilku kolejnych ruchach zdał sobie sprawę, że dalej się już nie posunie. Zastanawiał się, co powinien zrobić. „Wezwać pomoc, to jasne...” Ekran telefonu unosił się przed nim, ale nie mógł nic z niego wyczytać. Postukał w ekran zdrtwiałymi palcami, mamrocząc coś na wypadek, gdyby ktoś mógł go usłyszeć. „Proszę. Potrzebuję pomocy”. Odpływał, szum w jego głowie zagłuszał wszystko inne. Kiedy tracił przytomność, czuł jedynie, że musi natychmiast coś zrobić.

A potem ciemność zamknęła się wokół niego.

## Rozdział 3

Coś było nie tak z niebem. Miało jednolity, przybrudzony biały kolor, a słońce świeciło nieruchomo nad jego głową. Nic się na nim nie działo, widział też jakieś cienie, ciemniejsze miejsca w rogach. Powoli docierało do niego, że nie powinno być żadnych rogów. To w ogóle nie wyglądało jak niebo.

Raczej jak sufit.

Jonah zamrugał i oblizał spękane usta. Znajdował się w małym pomieszczeniu. Leżał w łóżku. Bolała go głowa i całe ciało, ale ból zdawał się przytłumiony, jakby przepuszczony przez watę.

„Gdzie...?”

Niczego nie pamiętał. Podniósł dłoń, zobaczył rurki i przewody wychodzące z ciała. Spróbował podeprzeć się rękami i unieść, ale syknął, kiedy ból przeszył mu kolano. Spojrzał w dół – lewa noga wyciągnięta była na metalowej konstrukcji i opierała się na czymś, co wyglądało jak skórzane poduszki. Od stopy aż po samo udo okrywał ją gruby biały bandaż, który ograniczał jego ruchy. Nie mógł zebrać myśli. „Co, do cholery...?” Został ranny podczas akcji? Albo w wypadku samochodowym? Ponownie spróbował usiąść, ale noga nie chciała się poruszyć – zamiast tego dotarł do niego jedynie kolejny spazm bólu.

– Poczekaj, kochany, nie rób tego.

Nie zauważył pielęgniarki stojącej obok łóżka, na wpół ukrytej za kroplówką i monitorami na kółkach. Skończyła ustawiać tempo podawania leku i stanęła tak, by mógł ją dobrze widzieć. Posłała mu profesjonalnie wesoły uśmiech.

– Obudziliśmy się już? I jak się czujemy?

Jonah nie wiedział. Próbował coś sobie przypomnieć, ale czuł jedynie panikę i zmieszanie.

– Gdzie...? – Zaszło mu w gardle. Przełknął, próbując zwilżyć sobie usta. – Dlaczego...?

– W porządku, jest pan w szpitalu. Jest pan ranny. Proszę poczekać, pójdę po panią doktor. Wszystko panu wyjaśni.

„Nie, chwileczkę...” Jonah nie chciał, żeby wychodziła, ale jej już nie było. Leżał spocony ze strachu. W jego umyśle ziała dziura, która pochłaniała wszystkie myśli, zanim te zdążyły się ukształtować. Zacisnąwszy zęby, spróbował uspokoić oddech i skupić się na lekkim, wyraźnym bólu paznokci wbijanych w spód dłoni.

Drzwi otworzyły się ponownie. Do środka weszła pielęgniarka w towarzystwie kobiety o surowej twarzy, ubranej w niebieski strój operacyjny. Podeszła do łóżka, a siostra zdjęła kartę pacjenta wiszącą w nogach łóżka, gotowa do robienia notatek.

– Dzień dobry. Dobrze, że już się pan obudził – powiedziała nowo przybyła. Mówiła z silnym irlandzkim akcentem. – Jestem doktor Mangham, pracuję jako konsultantka i będę się panem opiekować. Jak się pan czuje?

Serce Jonaha wciąż waliło jak oszalałe.

– Zdezorientowany – wykrztusił.

– To całkowicie zrozumiałe. Wiem, że ma pan mnóstwo pytań, ale czy mógłby pan najpierw odpowiedzieć na kilka moich? Tak na początek, może powie mi pan, jak się nazywa?

Przez pełną grozy sekundę lub dwie miał w głowie kompletną pustkę, dopiero potem pojawiła się odpowiedź.

– Jonah. Jonah Colley.

Pokiwała głową, jakby zdał jakiś test.

– A czym zajmuje się pan na co dzień, Jonah?

– Jestem... jestem policjantem. – Powoli, w miarę jak zaczął sobie przypominać, odzyskiwał pewność siebie. – Sierżantem.

– Dobrze. A czy wie pan, gdzie jest?

Jonah rozejrzał się po pokoju. Nie pamiętał dlaczego, ale miejsce było dość oczywiste.

– W szpitalu...

– Pamięta pan, jak się tutaj znalazł?

Na pierwsze strzępy wspomnień zareagował paniką. Jonah popatrzył na swoje dłonie. Skóra była zaczerwieniona i obolała.

– Byłem w magazynie. Na nabrzeżu... zostałem zaatakowany. – Teraz wszystko wracało do niego kaskadą koszmarnych obrazów. Gavin i dziewczyna. Walka. Dotknął rękami głowy, wyczuwając szwy i odrastającą szczecinę. – Jezu, co...?

Syknął, kiedy się poruszył, a ból przeszył kolano.

– Spokojnie – powiedziała lekarka. – Musieliśmy przeprowadzić operację kolana, więc przez jakiś czas proszę nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Teraz tak: domyślam się, że ma pan sporo pytań o wiele rzeczy, więc postaram się odpowiedzieć na wszystkie dotyczące medycyny, a w tym samym czasie zrobimy krótkie badanie. W porządku?

Pielęgniarka już krzątała się wokół niego, zapinając mu nad łokciem rękaw ciśnieniomierza.

– Ile tu leżę? – zapytał.

– Dwa dni. Proszę spojrzeć na mój palec – powiedziała, podnosząc go i poruszając nim z boku na bok przed jego twarzą. – Pamięta pan, co się stało wcześniej?

– Nie. – Fala paniki wezbrała w nim po raz kolejny, zamiast wspomnień miał w pamięci tylko dziury. – Nie pamiętam nic, od kiedy... od kiedy tu trafiłem.

– Zdarza się. Został pan raniony w głowę, rana wymagała szycia, nastąpiło złamanie linijne czaszki, które spowodowało obrzęk mózgu. Myśleliśmy, że będziemy musieli operować, na szczęście sam ustąpił. Okej, teraz niech pan ścisnie moje palce. Dobrze. Druga ręka.

Jonah bezwolnie wykonywał polecenia, próbując cokolwiek z tego zrozumieć.

– Czy będą jakieś długotrwałe skutki?

– To właśnie próbujemy ustalić. Ale skany wyglądają optymistycznie, a na podstawie tego, co widziałam, nie martwiłabym się zbytnio. Odniósł pan też kilka innych obrażeń: skaleczenia, stłuczenia i poparzenia chemiczne na dłoniach, ale praktycznie wszystkie były powierzchowne. Może pan nacisnąć prawą stopą na moją dłoń? Z całej siły. O tak. –

Wyprostowała się. – Cóż, wygląda na to, że nie ma żadnego osłabienia mięśni ani upośledzenia ruchowego. Będziemy musieli przeprowadzić więcej badań, ale sądzę, że może być pan dobrej myśli. Koordynacja oraz siła wydają się w porządku, a jeśli mam być szczerą, to więcej, niż

liczyliśmy. Złamanie czaszki powinno zagoić się samo. Ale prawdopodobnie jeszcze jakiś czas będzie pan odczuwał efekty wstrząśnienia mózgu: bóle głowy, światłowstręt, być może lekkie splątanie. Może pan być nieco zamroczony, ale powinno to być tymczasowe.

– Powinno?

– Konsekwencje urazów mózgu są trudne do przewidzenia. Niektórzy ludzie dochodzą do siebie bardzo szybko, inni potrzebują więcej czasu. Ale proszę spróbować się nie martwić. Jesteśmy zadowoleni z reakcji.

„Proszę spróbować się nie martwić. Taa, to na pewno zadziała”. Jonah podniósł rękę, żeby raz jeszcze dotknąć szwów na głowie, ale się rozmyślił.

– A co z kolaniem?

– No właśnie. – Lekarka zacisnęła usta, spoglądając na unieruchomioną kończynę. – Obrażenia były poważne. Pana rzepka... Cóż, doszło do licznych pęknięć, niektóre fragmenty kości uległy przemieszczeniu. Oprócz tego zerwane ścięgna i więzadła. Ale dobra wiadomość jest taka, że pierwsza operacja poszła dobrze.

Jonah popatrzył na nogę.

– Pierwsza operacja? Chce pani powiedzieć, że będzie ich więcej?

– Najlepiej by było, gdyby porozmawiał pan o tym z chirurgiem ortopedą. Przyjdzie później, żeby omówić możliwości. Ale jest pan oczywiście bardzo sprawny, a mięśnie wokół kolana są dobrze rozwinięte. To na pewno pomoże w rehabilitacji.

Możliwości. Rehabilitacja. Słowa, które zdawały się w ogóle go nie dotyczyć.

– Kiedy będę mógł wrócić do pracy?

Lekarka się uśmiechnęła. Ale był to profesjonalny uśmiech, który miał odwrócić jego uwagę.

– Myślę, że w najbliższym czasie nie powinien się pan tym kłopotać.

Jeśli chciała go pocieszyć, odniosła przeciwny rezultat.

– Muszę sporządzić raport...

– Z pewnością, jest tu zresztą inspektor, który aż pali się, żeby z panem porozmawiać. Ale to może poczekać do jutra.

– Wolałbym nie czekać. – Jonah desperacko chciał się dowiedzieć, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwóch dni, i zrozumieć w końcu, co stało się w tamtym magazynie.

Uśmiech lekarki stał się bardziej kategoryczny.

– On również, ale obawiam się, że decyzja należy do mnie. Najlepsze, co może pan teraz zrobić, to odpoczywać.

Jonah o mało nie zaczął się kłócić. W głowie kłębiły mu się pytania: o Gavina, dziewczynę i pozostałe ofiary, o nieznanego mężczyznę, z którym walczył. Ale nagle poczuł się wycieńczony. Kiedy lekarka i pielęgniarka wychodziły, zobaczył coś, co sprawiło, że momentalnie przestał o tym wszystkim myśleć. Zanim zamknęły drzwi, Jonah zauważył na korytarzu umundurowanego funkcjonariusza. Jezu, postawili mu przed sobą strażnika? To nie miało żadnego sensu. Ale w sumie nic nie miało.

Kiedy Jonah zamknął oczy, miał wrażenie, że głos Gavina podąża za nim w głąb ciemnego tunelu.

„Spieprzyłem. Wszystko pomyliłem. Wszystko...”

## Rozdział 4

*Dziesięć lat temu*

– Tata, śpisz?

Spróbował naciągnąć pościel na głowę, ale ktoś mu ją wyrwał. Zamrugał, kiedy słońce zakłuło go w oczy.

– Tata, budź się!

Drobna rączka uszczypnęła go w policzek.

– Au! – powiedział.

– Śpisz?

– Tak.

Usłyszał dziki śmiech.

– Wcale nie!

„Teraz już nie”. Brak snu dawał mu się we znaki. Pracował do późna i wrócił do domu już po wschodzie słońca. Zamknął oczy.

– Tak, śpię. Śni mi się, że siedzi na mnie paskudne potworzysko.

Znowu śmiech.

– To nie potworzysko, to ja!

– Co za ja?

– Theo!

– Nieee, Theo jest mniejszy. To na pewno potwór. A wiesz, co spotyka potwory, prawda? Zostają pożarte!

Theo pisnął, kiedy Jonah złapał go i udawał, że odgryza mu ramię. Kiedy podekscytowany wymachiwał małymi rękami i nogami, nagle otworzyły się drzwi do sypialni.

– Niedobrze mu będzie, przed chwilą zjadł śniadanie – powiedziała Chrissie, podchodząc do szafy. Miała na sobie krótki szlafrok, więc Jonah przez chwilę podziwiał jej nogi. Lubił na nią patrzeć, a do głowy przyszedł mu... Ale zdążyła się już uczesać, co w słowniku Chrissie oznaczało „łapy przy sobie”. Zresztą nawet gdyby nie musieli brać pod uwagę nadpobudliwego czterolatka, w ich małżeństwie czasy seksu w ciągu dnia minęły już dawno.

– Okej, mistrzu, słyszałeś mamę. – Jonah zdjął Theo z łóżka i postawił na ziemi.

– Chcę iść do wesołego miasteczka!

– Jakiego miasteczka?

– Takiego z zamkiem! Nad morzem!

Nie mogąc przypomnieć sobie żadnych fortyfikacji ani wybrzeża w północnym Londynie, Jonah stwierdził, że wcale nie chodziło o prawdziwe wesołe miasteczko. Jednak Theo rzadko kiedy pozwalał, żeby rzeczywistość ograniczała jego wyobraźnię, a Jonah też tego nie chciał. I tak prędzej czy później do tego dojdzie.

– Zrobmy tak, darujmy sobie dzisiaj wesołe miasteczko. Co powiesz na park?

Theo zastanawiał się przez chwilę.

– A będą smoki?

– Ani jednego.

– A latające dywany?

– Latających dywanów też nie będzie. Ale będą zardzewiałe huśtawki i skrzypiąca karuzela. A jeśli naprawdę ci się poszczęści, może pozwolę ci zedrzeć kolana na zjeżdżalni.

Kolejny niepohamowany wybuch śmiechu.

– Nie!

– Aha, czyli nie chcesz iść do parku?

Theo pokiwał ochoczo głową.

– Tak!

– No to dobrze. A jeśli chcesz, możemy...

– Theo, mama musi przygotować się do pracy. Idź i pooglądaj bajki – wtrąciła się Chrissie.

– Ale mamoo...

– No już, proszę.



Theo popatrzył na ojca z nadzieją. Jonah uśmiechnął się do niego smutno.

– Lepiej rób, co mówi mama.

Powłócząc stopami jak ostatnie nieszczęście, jego syn powłókł się do drzwi. Jonah poczekał, aż wyjdzie z pokoju.

– Idziesz do pracy? Myślałem, że masz dzisiaj wolne?

Chrissie grzebała w szufladzie.

– Neil poprosił mnie, żebym przyszła.

Neil Waverly był starszym partnerem w kancelarii, w której Chrissie pracowała na pół etatu. Zaczęła jako ogólna sekretarka, ale dwa miesiące temu została przydzielona jako osobista asystentka Waverly’ego. Prawnik był o kilka lat starszy od Jonaha i miał już na koncie sporo sukcesów. Szyte na miarę kaszmirowe garnitury maskowały wydatny brzuch, a włosy czesał tak, żeby zakrywać powiększającą się łysinę. Żadna z tych rzeczy nie naruszała jednak jego ego. Od jakiegoś czasu Jonah wyobrażał sobie twarz tego faceta, kiedy trenował z workiem.

– No tak, skoro Neil chce, żebyś przyszła, to nie ma dyskusji, prawda? – mruknął. No i dzisiaj już sobie nie pośpi.

– Nie zaczynaj.

Nie chciał. Ale nie mógł się powstrzymać.

– Nikt inny nie może iść?

– Nie, dlatego mi płacą. Dodatkowe pieniądze jakoś ci nie przeszkadzają. – Włożyła majtki pod szlafrok, zanim go zdjęła. Jonah spróbował zdławić podejrzenie, że były nowe. – A zresztą, ja nie narzekam na to, że ty pracujesz do późna, tak jak wczoraj.

„No to jedziemy”. Tyle że Jonah był zbyt zmęczony, żeby przerabiać od nowa starą kłótnię. I tak wiedział, że jej nie wygra.

– Myślałem, że spędzimy razem rodzinne popołudnie – powiedział, kapitulując.

– Ja też, ale to musi poczekać. Skończę pewnie późno, więc spotkam się z wami od razu w restauracji. Opiekunka powinna być o siódmej.

Jonah zapomniał, że tego wieczoru mieli widzieć się z Marie i Gavinem.

– Theo będzie przykro, że nie położysz go spać.

– Tylko dzisiaj. Poza tym i tak będziecie się lepiej bawić beze mnie. – Chrissie sięgnęła za plecy, żeby zapiąć stanik. Miał koronkowe ramiączka. Jonah nie przypominał sobie, żeby wcześniej go widział. – I nie udawaj, że tak nie jest.

- Może powinnaś czasem z nami wyjść.
  - Może powinieneś ze mnie zejść – odpowiedziała, odwracając się.
- I właśnie tak kończyła się wtedy większość ich rozmów.

Jonah huśtał Theo na zardzewiałej huśtawce, dopóki ten ze śmiechu nie nabawił się czkawki, kręcił skrzypiącą karuzelą, aż sam dostał zawrotów głowy, i czekał, żeby złapać drobne ciało syna, zanim znowu zedrze sobie kolano na zjeżdżalni. Plac zabaw nie miał do zaoferowania zbyt wielu atrakcji: mały gaj, który powstał, gdy jeszcze nie obowiązywały obecne przepisy dotyczące zdrowia i bezpieczeństwa, krzywy konik, który groził katapultowaniem jeźdźca, i kręty kawałek rury, do której można było się wczołgać, a która bardziej nadawałaby się do robót drogowych. Ale żadna z tych rzeczy nie przeszkadzała Theo. Dla niego było to magiczne miejsce, źródło ekscytacji i śmiechu, niezależnie od popękanego asfaltu na ścieżkach, rozrośniętych rododendronów duszących drzewa i niekoszonego trawnika będącego jednocześnie polem minowym usłanym psimi odchodami.

Patrząc na niczym niezmaconą radość syna, Jonah czuł, jak uchodzi z niego napięcie po sprzeczce z Chrissie. Zastanawiał się, kiedy świat to zniszczy. Miał nadzieję, że jeszcze długo nie.

W parku nie spotkali zbyt wielu osób. Weekend był pochmurny. Ludzie skończyli już poranne spacerowanie z psami, więc oprócz nich na placu zabaw siedziała jedynie młoda matka z wózkiem, zajęta otulaniem dziecka kocykami. Byłoby fajniej, gdyby Theo miał się z kim pobawić, chociaż chłopiec chyba nie miał z tym problemu. Większość jego kolegów była w szkole, ale ponieważ jego urodziny wypadały nieco później, rozpoczął naukę dopiero jesienią. Mimo to wyglądał na całkowicie zadowolonego, mrucał coś do siebie w błękitnym skafandrze i czerwonej czapce z pomponem. Jonah cieszył się, że Theo potrafił się bawić sam. Chrissie powtarzała, że był jak jego ojciec i nie potrzebował wiele do szczęścia.

To nie był komplement.

Jonah ziewnął. W niewielkiej odległości od placu zabaw, na parkowej ławce siedział mężczyzna w brudnej wojskowej kurtce. Z wygoloną głową wyglądał jak bezdomny, a w rękach trzymał potężną butlę czegoś, co prawdopodobnie nie było pepsi. Jonah zauważył go od razu, gdyż nie ufał

nikomu – zarówno jako funkcjonariusz policji, jak i rodzic – kto spędzał czas w pobliżu placu zabaw.

Ale mężczyzna wydawał się nie zwracać uwagi na nic poza zawartością butelki. Ziewnąwszy jeszcze raz, Jonah uśmiechnął się do Theo. Policzki chłopca poczerwieniały od rześkiego powietrza, a kiedy próbował zakręcić karuzelą jeszcze szybciej, nabrały koloru zrobionej na drutach czapki. Jonah powstrzymał się od krzyknięcia, żeby uważał. „Nie możesz cały czas trzymać go za rękę”.

– Chodź, idziemy już.

– Ooo...

– Nie chcesz nic zjeść?

Po drugiej stronie drzew znajdowała się parkowa kawiarnia, do której zazwyczaj chodzili, malowana drewniana chatka, w której pachniało za mocną herbatą i frytkami.

Theo się zastanowił.

– Jeszcze raz na karuzeli.

– Tylko raz.

– A potem wąż.

Tak Theo nazywał tunel. Jonah już wcześniej sprawdził, czy nie leżało tam nic gorszego od zwiędłych liści. Ćpyny przychodziły nocami do parku i nie byłby to pierwszy raz, gdyby znalazł porozrzucone po okolicy igły.

Jonah ugiął się, jak zwykle.

– Okej, ale tylko pięć minut.

Posadziwszy syna na karuzeli, Jonah rozpędził ją odpowiednio i wrócił na ławkę. Wyszczierzona twarz Theo migąła mu za każdym razem, kiedy ten mijał go w smugach niebieskiego i czerwonego. Uśmiechając się do siebie, Jonah ziewnął jeszcze raz. Chętnie zostałby w domu i położył się wcześniej, zamiast wychodzić. Ale dobrze będzie znowu zobaczyć Marie i Gavina. Od ostatniego wyjścia we czwórkę trochę już minęło, a wszystko wskazywało na to, że Gavin przechodził trudny okres w pracy. Nie wdawał się w szczegóły, ale z tego, co powiedział Jonahowi, należał do grupy prowadzącej operację wymierzoną w gang szczególnie brutalnych handlarzy żywym towarem i przemytników narkotyków z Europy Wschodniej – Rumunii lub Rosji. Zdaniem Gavina zbieranie dowodów miało tyle samo sensu co łapanie dymu. Jego frustracja sprawiała, że Jonah cieszył się, że wybrał jednostkę kontrterrorystyczną. Nie było to ani trochę mniej stresujące, ale on przeważnie wiedział, z kim się mierzył.

Jonah przetarł oczy. Coś do jedzenia na pewno postawiłoby go na nogi. Zupa albo kanapka w kawiarence, potem szybka wycieczka do kaczek i powrót do domu. Gdyby znalazł w telewizji coś, co zajęłoby Theo, może nawet złapałby godzinną drzemkę przed przyjściem opiekunki. To przypomniało mu, że Chrissie zapowiedziała, że będzie późno, a od tego był już z kolei jeden mały krok do tego kutafona Neila Waverly'ego. Czy faktycznie coś między nimi było, czy po prostu miał paranoję? Instykt podpowiadał mu coś innego. A ten z reguły go nie zawodził.

Miał nadzieję, że tym razem się mylił.

„Poradźmy sobie z tym. Jesteśmy dorośli”. Zadrzał od kolejnego ziewnięcia. Chryste, ale był zmęczony. Karuzela skrzypiała rytmicznie przy każdym obrocie jak mechaniczny kontrapunkt do kosa śpiewającego w okolicznych drzewach. Jonah słyszał, jak przerwy między fałszywymi dźwiękami stawały się coraz dłuższe, kiedy zwalniała...

Skrzypienie zamilkło. Podobnie kos. Jonah nagle poderwał głowę do góry. „Cholera, zasnąłem?” Zamrugał, zdając sobie sprawę, że karuzela nie porusza się ani nie wydaje żadnego dźwięku.

Nikogo na niej nie było.

– Theo?

Z tunelu dobiegł jakiś hałas. Jonah odetchnął z ulgą, a nagle przerażenie zniknęło, zanim zdążyło przybrać na sile.

– O, nie, Theo zniknął. Lepiej pójdę do kawiarenki i zjem lody bez niego. – Jonah wstał i podszedł do rury. Z uśmiechem schylił się, by do niej zajrzeć. – Chyba nie chowa się w...

Spanikowany kos wyfrunął z tunelu, odstrasząc go nagłym poderwaniem się do lotu. Jonah wpatrywał się w pustą rurę – na odległym drugim końcu widział okrąg dziennego światła. Wyprostował się.

– Theo?

Plac zabaw był pusty. Theo nigdzie nie było. Ani na karuzeli, ani na huśtawce. Jonah nie widział go również w małej klatce na górze zjeżdżalni, ale podbiegł, żeby sprawdzić i tak.

– To nie jest śmieszne, Theo, wychodź już.

Zasłona z rododendronów i bezlistnych drzew otaczała plac zabaw, ale pośród nich nigdzie nie widział niebieskiej kurtki.

– Theo? Theo!

Strach przerodził się w panikę. Zajrzał znowu do rury, jakby jego syn mógł jakimś cudem zmaterializować się w środku. W pustym tunelu

zobaczył jedynie wyschnięte liście. „Spokojnie, musi gdzieś tu być. Nie spałeś tak długo”.

Na pewno?

– Theo!

Nie potrafił przyjąć do wiadomości, że małego tu nie było. Ale nie było. Jonah kręcił się w kółko, szukając kogokolwiek, kto miał chociaż szansę zobaczyć chłopca. W zasięgu wzroku nie dostrzegł nikogo. Młoda matka z wózkiem już sobie poszła, tak jak...

„O Jezu”.

Teraz serce Jonaha waliło już naprawdę. Ławka, na której siedział mężczyzna z ogoloną głową i w wojskowej kurtce, była pusta.

– Theo!

Wpadł między otaczające plac zabaw drzewa i krzewy, szukając jakiegokolwiek znaku, mignięcia czegoś niebieskiego. Kiedy odwrócił się, by zawołać jeszcze raz, zauważył coś na ziemi. Małą kolorową plamę wśród drzew. Nie niebieską. Czerwoną.

Jonah biegiem pokonał dystans.

W błocie i liściach leżała czapka z pomponem.

## Rozdział 5

Inspektor wrócił następnego dnia akurat wtedy, kiedy Jonah kończył śniadanie. Wciąż było wcześnie i gdy drzwi się otworzyły, spodziewał się, że to pielęgniarka lub salowa po talerz. Zamiast tego do środka wszedł przeraźliwie chudy mężczyzna ubrany po cywilnemu, a jego wygląd od razu zbił Jonaha z tropu. Pod gęstymi brązowymi włosami twarz mężczyzny przypominała roztopioną plastikową maskę. Blizny od poparzeń to nienaturalnie wygładzały skórę, to ją fałdowały, tak że fragmenty przypominały wosk kapiący ze świecy.

Spodnie łopotały mu wokół chudnych nóg, kiedy wparował do środka, obojętny na spojrzenie Jonaha lub tak przyzwyczajony do tego typu reakcji, że po prostu ją zignorował.

– Cieszę się, że jesteś z nami, sierżancie Colley. Inspektor Jack Fletcher.  
– Przelotnie pokazał legitymację, zanim bez pytania sięgnął po plastikowe krzesło. – Lekarz mówi, że doszedłeś do siebie na tyle, żeby porozmawiać, a na pewno rozumiesz, że jest kilka pytań, na które chcielibyśmy poznać odpowiedzi.

– Tak jest, panie inspektorze.

– Wspaniale. Ale nie jesteś na służbie, więc dajmy sobie spokój z tym inspektorem, dobrze? – Gość wiercił się na twardym krześle, próbując znaleźć wygodną pozycję. – Ile zapamiętałeś?

– Wszystko do momentu, kiedy zadzwoniłem po pomoc. Nic poza tym.  
– Jonah urwał, bo przez moment znowu poczuł zimną kamienną podłogę magazynu. – Jak mnie znaleźliście?

– Poszczyściło ci się. – Zabrzmiało to jak oskarżenie. – Udało ci się dodzwonić, zanim straciłeś przytomność. Chociaż odnalezienie cię zajęło

chwilę, bo nie mówiłeś zbyt sensownie.

Jonah przeszukiwał pamięć, ale nie mógł sobie przypomnieć żadnej z tych rzeczy.

– A jak dziewczyna? Nadine?

Fletcher pochylił się do przodu, nagle skupiony.

– Skąd znasz jej imię?

– Powiedziała mi, kiedy próbowałem ją uwolnić. Nic jej nie jest?

– Powiedziała coś jeszcze? Nazwisko?

– Nie, była zbyt słaba. – Jonahowi się to nie podobało. – Nie rozmawialiście z nią jeszcze?

Fletcher odchylił się na oparcie krzesła.

– Żadna z ofiar nie przeżyła.

Jonah czuł się, jakby oberwał obuchem. Pomyślał o dziewczynie, którą próbował uratować. Jezu, przeszła to wszystko...

– Wiecie, kim byli? – zapytał.

Fletcher milczał przez chwilę, najwyraźniej zastanawiając się, czy odpowiedzieć na pytanie.

– Jeszcze nie. Dwóch pozostałych to mężczyźni, około dwudziestki, może tuż po trzydziestce. Jeden czarny, drugi prawdopodobnie z Europy Wschodniej, sądząc po uzębieniu. Ale wciąż próbujemy ich zidentyfikować.

– A co z...

Już miał zapytać o Gavina, kiedy drzwi otworzyły się ponownie, a do środka weszła kobieta w niebieskich džinsach i skórzanej kurtce. Wyglądała na rok lub dwa lata młodszą od Jonaha, była ciemnoskóra i szczupła, a czarne kręcone włosy nosiła krótko przycięte. Skórzaną torbę przerzuciła przez ramię, a w rękach niosła dwa jednorazowe kubki z pokrywkami.

– Kawa – powiedziała, wręczając jeden Fletcherowi.

Zdjąwszy pokrywkę, inspektor powąchał unoszącą się parę i upił łyk. Skrzywił się.

– Chryste, skąd tyś to wzięła?

– Tylko taka była, inspektorze.

Wydawała się nie przejmować jego dezaprobatą. Nie odezwawszy się słowem do Jonaha, stanęła w nogach łóżka.

– To sierżant Bennet – przedstawił ją Fletcher, z wyraźnym zdegustowaniem odstawiając kubek. – Sierżant Colley przed chwilą wyznał

mi, że rozmawiał z ofiarą, kobietą. Najwidoczniej próbował ją uwolnić. Powiedziała mu, że ma na imię Nadine.

Policjantka popatrzyła na Jonaha badawczo.

– Odwinął pan folię?

– Tylko twarz, potem zostałem zaatakowany od tyłu i ogłuszony.

Zauważył, jak Fletcher i Bennet wymienili spojrzenia.

– Nie była odsłonięta, kiedy ją znaleźliście?

Fletcher znowu zastanawiał się przez chwilę.

– Nie.

Jonah poczuł, jak robi mu się niedobrze. Mężczyzna, z którym walczył, musiał owinąć twarz dziewczyny z powrotem, kiedy Jonah był nieprzytomny. Dopilnował, żeby tym razem była martwa.

– A co z podejrzanym? – Niemal bał się zapytać. Od kiedy wczoraj się ocknął, próbował oswoić się z myślą, że mógł zabić człowieka, który go zaatakował. Odkąd wstąpił do SCO19, liczył się z możliwością, że być może podczas akcji będzie musiał odebrać komuś życie; akceptował ją jako część swojej pracy. Ale to było co innego. Z powodu błędnej decyzji, po służbie, wpakował się w sytuację, o której nic nie wiedział. Samoobrona czy nie, jeśli napastnik zginął, czekało go śledztwo. Może nawet postawią mu zarzuty.

Inspektor zignorował jego pytanie.

– Będziemy nagrywać tę rozmowę, więc lepiej zacznijmy. Bennet?

Sierżant wyjęła z torby cyfrowy dyktafon. Po tym, jak włączyła go i przedstawili się oficjalnie na potrzeby nagrania, Fletcher zwrócił się do Jonaha.

– Może zaczniesz od początku?

Żadne z nich nie przerywało, kiedy Jonah opowiadał o telefonie od Gavina i tym, jak pojechał na nabrzeże. Głos drżał mu z początku, ale nawyki i przeszkolenie szybko wzięły górę. W trakcie służby zdawał niezliczone ustne raporty i w miarę mówienia zaczął korzystać z dobrze znanych sformułowań oraz sprawdzonego rytmu wypowiedzi, które izolowały go od najgorszych wspomnień.

Mimo to niektóre wciąż były niemal zbyt trudne do zniesienia. Kiedy opisywał, jak odnalazł Gavina, jak przyglądał się temu, że ktoś owijał jego ciało w plastik i wyciągał na zewnątrz, tamte obrazy znów stały mu przed oczami. Gdy doszedł do walki i koszmarnego czołgania się, by wezwać pomoc, zabrakło mu tchu.



Kiedy skończył, zapadła cisza. Jonah czuł się wycieńczony i coraz bardziej zdenerwowany, czekając, aż któreś z nich się odezwie.

– Żeby dobrze zrozumieć – powiedział Fletcher po chwili. – Twierdzisz, że od lat nie miałeś żadnego kontaktu z Gavinem McKinneyem, a jednak zadzwonił i poprosił cię o pomoc. Zupełnie zniecka. Nie wyjaśnił dlaczego, a jednak pojechałeś spotkać się z nim w opuszczonym magazynie w miejscu, które nazywa się Nabrzeże Rzeźników? O północy. Niczego nie pomyliłem?

Cichy ból głowy dał o sobie znać pulsowaniem w rytmie tętna Jonaha.

– Tak.

– A kiedy McKinney się nie pojawił, spróbowałeś do niego zadzwonić i usłyszałeś dzwonek dobiegający z magazynu. Więc wszedłeś tam, by to sprawdzić. Na teren prywatny. – Fletcher zawiesił głos. – Pomijając fakt, że ponoć jesteś funkcjonariuszem policji, zastanawiam się, dlaczego pobiegłeś na ratunek komuś, z kim, jak sam utrzymujesz, nie rozmawiałeś od dziesięciu lat?

Jonahowi nie spodobało się to „jak sam utrzymujesz”.

– Nie „pobiegłem na ratunek”. Ale brzmiało to tak, jakby miał kłopoty.

– Jakiego rodzaju kłopoty?

– Tak jak mówiłem, nie powiedział. – Jonah wzruszył ramionami, świadomy niewygodnych luk w jego historii. – Zgaduję, że musiał pracować pod przykryciem, ale dlaczego zadzwonił do mnie, tego nie wiem.

– Skąd pomyśł, że pracował pod przykryciem?

– A z jakiego innego powodu był tam sam? – Postawa Fletchera stanowiła dla Jonaha sygnał ostrzegawczy. – Dziewczyna mówiła jakimś bliskowschodnim językiem, a z tego, co ostatnio słyszałem, Gavin pracował przy handlu ludźmi i przestępczości zorganizowanej. Przychodzi mi do głowy jedynie to, że sprawdzał jakiś trop w sprawie, która wymknęła się spod kontroli.

– Więc zadzwonił po pomoc do kolegi z jednostki specjalnej, który był już po służbie, zamiast poprosić o wsparcie? – Jedno oko Fletchera zaczęło łzawić. Wyjął chusteczkę i zaczął je niespiesznie wycierać. – Uwierz mi, Colley, cokolwiek McKinney robił w tym magazynie, nie działał pod przykrywką. I nie było to żadne śledztwo.

Jonah coraz mniej z tego rozumiał.

– Więc co tam robił?

– Oto jest pytanie, prawda? Co przypomina mi... – Fletcher złożył chusteczkę i schował ją z powrotem do kieszeni. – Bennet, uczynisz honory?

Policjantka ponownie sięgnęła do torby i wręczyła Jonahowi niewielki woreczek na dowody. W środku znajdował się jego telefon, zdarty i porysowany. Przed oczami przemknął mu obraz przypadkowo kopniętego aparatu, który sunął po podłodze. Poczuł, jak zaczyna się pocić.

– Czy to twój telefon? – zapytał Fletcher.

– Tak, dzięki.

– O nie, nie oddaję ci go – powiedział inspektor, zanim Jonah zdążył otworzyć torbę. – Chciałem tylko potwierdzić, że należy do ciebie. Będę też potrzebował PIN-u oraz pozwolenia na sprawdzenie go.

Jonah miał wrażenie, że temperatura w pomieszczeniu spadła o dziesięć stopni.

– Dlaczego?

– Chciałbym sprawdzić połączenia, żeby zobaczyć, o której McKinney do ciebie dzwonił. – Fletcher uśmiechał się drapieżnie. – Znaleźliśmy jego telefon w magazynie, ale wciąż nie możemy go odblokować. Jestem pewien, że będziesz chciał, żebyśmy potwierdzili twoją wersję.

Choć Jonah nie mógł znieść myśli, że ktoś weźmie pod lupę jego prywatne życie, wiedział też, że odmowa będzie wyglądała, jakby miał coś do ukrycia.

– Gdzie podpisać?

Bennet wręczyła mu formularz i długopis. Demonstracyjnie czytał zdanie po zdaniu, ale w tym momencie słowa równie dobrze mogłyby być w obcym języku. Palce miał jak z drewna, kiedy niechętnie wypełniał druk. Zawahał się, czy podać numer PIN, ale w końcu podpisał całość. Bennet wzięła od niego dokument i telefon, po czym schowała je z powrotem.

– Porozmawiajmy o tobie i Gavinie McKinneyu – podjął Fletcher. – Poznaliście się w szkole, tak? Obydwaj wychowywaliście się w rodzinach zastępczych. On został oddany jako dziecko, ty nigdy nie znałeś swoich rodziców. To musiało stworzyć między wami silną więź, prawda?

Jonah nie wiedział, dokąd zmierza.

– Powiedzmy.

– Więcej niż powiedzmy. Żona McKinneya zeznała, że wasza dwójka była nierozłączna. Razem wstąpiliście do policji, świadkowaliście sobie na ślubach. Był nawet chrzestnym twojego syna.

Coś w sposobie, w jaki Fletcher na niego patrzył, wzbudziło niepokój Jonaha. Nie skomentował.

– Potem, jakieś dziesięć lat temu, urwał wam się kontakt – kontynuował Fletcher. – Żona McKinneya nie potrafiła powiedzieć dlaczego, ale coś musiało się zmienić. Najpierw przez większość życia jesteście najlepszymi kumplami, a potem nagle przestajecie ze sobą gadać. Co się stało?

Jonah nie chciał o tym rozmawiać.

– Mieliśmy rodziny, zobowiązania. Po prostu nie było nam już po drodze.

– Nie było wam po drodze. – Fletcher pokiwał głową, jakby było to całkowicie zrozumiałe. – Jeśli wierzyć jego żonie, przyszło to dość nagle. I to niedługo po tym, jak straciłeś syna.

Pytanie było jak cios w samo serce.

– Wiele rzeczy się wtedy zmieniło. Rozwiodłem się, straciłem kontakt z ludźmi. To nie był dobry okres.

– Przepraszam, jeśli to dla ciebie bolesne – powiedział Fletcher, choć wcale nie zabrzmiało to jak przeprosiny. – Po prostu staram się ustalić, dlaczego McKinney miałby, po dziesięcioletniej przerwie, zadzwonić do ciebie. Nie jednego ze swoich kolegów, nie kogoś, z kim wciąż miał kontakt. Tylko do ciebie. Musi być jakiś powód i chyba dobrym punktem wyjścia byłoby ustalenie, dlaczego nie było wam już po drodze.

– Nie z powodu Theo. – Jonah próbował zachować spokój, ale słyszał emocje we własnym głosie. – Jeśli chcesz pytać o magazyn, śmiało. Powiem wam wszystko, co wiem. Ale nie mieszajcie w to mojego syna.

Inspektor poruszył szczękami, jakby coś przeżuwał.

– Więc nie doszło do żadnej kłótni między tobą a McKinneyem? Nie żywiłeś do niego żadnej urazy ani niczego w tym stylu?

– Gdyby tak było, to czy pojechałbym mu pomóc? – Nagle poczuł, jak robi mu się zimno. – Myślisz, że kłamię? Jezu Chryste, chyba nie chcesz powiedzieć, że to JA go zabiłem, co?

– Po prostu staramy się ustalić fakty – odrzekł Fletcher.

A to nie było „nie”. Jonah poczuł, że to wszystko to jakiś koszmar.

– Czy to dlatego pod drzwiami stoi strażnik? Bo jestem podejrzany?

Fletcher wzruszył ramionami.

– Strażnik jest tam na wszelki wypadek. Prasa już wokół tego węszy. Wszystkie informacje, włącznie z twoim nazwiskiem, są objęte tajemnicą śledztwa, ale to tylko kwestia czasu, kiedy coś wycieknie. Jestem pewien,

że tak samo jak my, nie chciałbyś, żeby wparowała tu jakaś dziennikarska hiena.

– Więc nie jestem podejrzany?

– W tym momencie jesteś jedynym świadkiem w sprawie wielokrotnego morderstwa – warknął nagle Fletcher. – Dysponujemy tylko twoimi zeznaniami i szczerze? W niektóre rzeczy trudno mi uwierzyć. Więc wybaczone, jeśli nie podobają ci się moje pytania.

Wraz z tym, jak docierały do niego implikacje tego, co mówił inspektor, koszmar narastał. Jeśli był jedynym świadkiem, oznaczało to, że nie mogli przesłuchać podejrzanego. Pamiętał nieruchome ciało mężczyzny po walce, głuche uderzenie głowy o kamienną podłogę. „O, Chryste...”

– Nie odpowiedziałeś wcześniej, kiedy pytałem o mężczyznę, który mnie zaatakował. – Jonah zawahał się w obawie przed tym, co mógł usłyszeć. – Nie żyje?

Fletcher rozparł się na krześle i założył nogę na nogę, odsłaniając fragment pobliznionej skóry nad skarpetą.

– Okej, w takim razie pogadajmy o nim. Najpierw patrzyłeś, jak związuje ciało twojego kumpla i wyciąga je na zewnątrz, prawdopodobnie do łodzi, potem stoczyłeś z nim walkę na śmierć i życie, a jednak nie udało ci się mu przyjrzeć. Nie jesteś w stanie powiedzieć, ile miał lat, czy był czarny, biały, czy jakkolwiek. Tylko tyle, że był wielkim, masywnym mężczyzną, wyższym od ciebie.

Jonahowi zaschło w ustach. Nie wiedział, w co pogrywał inspektor, ale nie miał wyboru.

– Mówiłem, że było ciemno. I już wtedy miałem rozbitą czaszkę. Zapytaj lekarzy, jeśli mi nie wierzysz.

– Och, nie kwestionuję twoich obrażeń. To byłoby głupie, prawda? Chodzi o to, że mamy tylko twoje słowo na temat tego, skąd się wzięły.

Nawet w całym tym niepokoju i zmieszaniu Jonah zdał sobie sprawę, że coś tu było nie tak. Że czegoś brakowało.

Ale zanim zdążył się odezwać, rozległo się energiczne pukanie do drzwi. Ta sama pielęgniarka, która miała dyżur dzień wcześniej, wsunęła głowę do środka. Uśmiechnęła się do detektywów i postukała w zegarek.

– Przepraszam, ale muszę prosić państwa o...

– Nie no, poważna pani jest? – przerwał jej ostro Fletcher, a napięta skóra na jego twarzy przybrała kolor wściekłej czerwieni. – Jestem w środku przesłuchania!

Uśmiech pielęgniarki zniknął.

– Już i tak przekroczył pan czas, który ustalili pan z panią doktor. Jeśli chce pan umówić się na...

– Wie pani co, niech pani mi nie mówi, jak mam wykonywać swoją pracę, a ja nie będę pani tłumaczył, jak opróżniać kaczki, dobra? Czy to też zbyt...

– Inspektorze – odezwała się szybko Bennet.

Nie powiedziała nic więcej, ale nawet nie drgnęła, kiedy Fletcher spiorunował ją wzrokiem. I to on pierwszy spojrział w inną stronę.

– Okej, niech będzie...

Bennet posłała pielęgniarkę nerwowy uśmiech.

– Potrzebujemy pięciu minut, żeby skończyć, i już nas tu nie ma.

– Pięć minut. – Pielęgniarka rzuciła Fletcherowi ostatnie wściekłe spojrzenie, po czym wyszła.

– Wrócimy do tego następnym razem – odezwał się Fletcher, podnosząc się z krzesła, kiedy Bennet wyłączała dyktafon i chowała go do torby.

– Zaraz, nie rozumiem, co się dzieje. – Ulżyło mu, że wychodzą, ale był jeszcze bardziej zdezorientowany niż wcześniej. – Przynajmniej powiedzcie mi, czy żyje, czy nie.

Inspektor zatrzymał się przy drzwiach. Razem z Bennet po raz kolejny wymienili spojrzenia.

– Dobre pytanie. Na podłodze w magazynie była krew, którą udało nam się zidentyfikować jako krew McKinneya. Wyglądała, jakby z czegoś spłynęła, więc to potwierdza przynajmniej twoją wersję z folią. Mniejsze ilości należały do ciebie i jeszcze innej osoby, której nie zdołaliśmy zidentyfikować.

– Mówiłem wam, człowiek, z którym walczyłem, uderzył się w głowę, jak upadał. To jego.

– To ty tak twierdzisz. Problem w tym, że znaleźliśmy tam tylko twoje odciski palców i ciała trzech ofiar owiniętych w plastik. Auto McKinneya stało niedaleko twojego, ale nigdzie nie było śladu ani jego zwłok, ani łodzi przycumowanej na zewnątrz magazynu. A ten tajemniczy napastnik, z którym ponoć walczyłeś i którego pozbawiłeś przytomności? – Fletcher rozłożył ręce jak magik demonstrujący, że są puste. – Cóż, wygląda na to, że wstał i sobie poszedł.

# Rozdział 6

*Dziesięć lat temu*

W tygodniach, które nastąpiły po zniknięciu Theo, życie Jonaha nabrało zupełnie nowego wymiaru. Dni zlewały się w koszmarną, bezsenną plamę. Tego pierwszego popołudnia przyglądał się biernie, oszołomiony i sparalizowany, podjeżdżającym radiowozom i policyjnym furgonetkom oraz jak funkcjonariusze otoczyli park kordonem. Jonah miał wrażenie, że utknął w złym śnie – spokojna zielona przestrzeń zaczęła wypełniać się postaciami w żółtych odblaskowych kurtkach i białych kombinezonach. Nie wiedział, ile razy zmuszał się do udzielania odpowiedzi na pytania, kiedy tak naprawdę chciał wrzeszczeć ze zniecierpliwienia. „Musicie sprawdzić sklepy i monitoring wokół parku”, powtarzał policjantom, którzy go przesłuchiwali. Składali zapewnienia, mówiąc do niego w ten sam uspokajający i wyważony sposób, w jaki on sam rozmawiał z ludźmi w trakcie zbierania zeznań.

A potem pytali dalej.

Najgorsze było to, że Jonah wiedział. Wiedział, co myśleli. Wiedział, jak przebiegały sprawy takie jak ta. Ale fakt, że mogło to przydarzyć się Theo, jego synowi, który śmiał się do niego zaledwie kilka godzin wcześniej – tego było po prostu za wiele, żeby potrafił to pojąć. Uparł się, żeby zostać w parku, jakby powrót do domu bez Theo równał się w jakiś sposób akceptacji tego, co zaszło – jakby miał uczynić to nieodwracalnym.

Telefon do Chrissie był drugą najgorszą rzeczą w życiu Jonaha. Zdarzały się chwile, kiedy zastanawiał się, czy w ogóle kochała ich syna, tak czasami bywała wobec niego zimna. Ale w trakcie rozmowy wpadła w histerię,

wrzeszczała do słuchawki, dopóki nagle nie zerwało połączenia. Kiedy przyjechała do parku ze swoją matką, wyciągnął ręce – potrzebował jej pocieszenia i chciał jej dodać otuchy. Odtrąciła je i rzuciła się na niego.

– Jak mogłeś? Jak mogłeś, kurwa, spuścić go z oka?

Stał oniemiały w milczeniu, nie próbując się bronić przed którymkolwiek z jej ataków lub oskarżeń, dopóki nie interweniowało dwóch policjantów: uspokoił ją i zaprowadzili zapłakaną z powrotem do matki. Jonah prawie cieszył się z pieczenia twarzy.

Sam również się obwiniał.

Kiedy zobaczył, jak Gavin przechodzi przez taśmę, prawie rozsłochał się z poczucia ulgi i wdzięczności. „Chodź, odejźmy stąd”, powiedział Gavin, prowadząc go jak zombie do policyjnej przyczepy, która została rozstawiona w wejściu do parku. W środku stały krzesła, biurka i biała tablica, z których nikt nie korzystał. Gavin zamknął za nimi drzwi i wyjął z kieszeni piersiówkę z wódką.

– Masz – powiedział, wyciągając ją przed siebie. Jonah pokręcił głową, ale Gavin nalegał. – No dalej. W takim stanie nikomu się nie przydasz.

Alkohol wypalił ścieżkę w przetyku Jonaha aż do żołądka. Dotarło do niego, że się trzęsie.

– Zasnąłem, Gav. Zasnąłem...

Gdyby Gavin wyraził współczucie, Jonah straciłby nad sobą panowanie. Ale zamiast tego ten kazał mu wziąć się w garść i warknął, że obwinianie się nic tu nie da. Kiedy Jonah podniósł butelkę, żeby znowu się napić, Gavin wyrwał mu ją z ręki. „Potrzebujemy cię na chodzie, a nie na bani”, powiedział.

Bez słowa słuchał, kiedy Jonah opowiadał, co się stało, i opisywał męczyznę, którego widział na ławce. Zawsze był dobrym obserwatorem, a ten obraz wypalił się w jego mózgu. Wysoki, po trzydziestce, sprawiał wrażenie wyniszczonego i chudego, nawet kiedy siedział. Błada skóra i ogolona koścista czaszka, mimo że na kwadratowej szczęce widać było cień zarostu. Poprzecierane, brudne džinsy i zatłuszczona oliwkowa wojskowa kurtka. Gavin słuchał w milczeniu, a potem powiedział coś, co przez lata odbijało się echem w umyśle Jonaha.

– Znajdziemy go – powiedział, patrząc mu prosto w oczy. – Obiecuję ci, że zrobię wszystko, co trzeba.

Jonah desperacko chciał mu uwierzyć. Ale kiedy wrócił na zewnątrz i zobaczył policyjną taśmę otaczającą plac zabaw, techników kryminalistyki

w kombinezonach przeszukujących krzaki, gdzie znalazł czapkę Theo, rzeczywistość o mało go nie przygniotła.

Kolejne dwa dni przypominały tortury. Każda minuta ciągnęła się w nieskończoność, tkwili w stanie zawieszenia i mogli jedynie czekać na dzwonek do drzwi lub telefon. Chrissie z nim nie rozmawiała, a jeśli już, to rozmowa szybko przeradzała się w wyrzaskiwanie oskarżeń. Byli sobie bardziej obcy niż przydzielony im funkcjonariusz, który czekał razem z nimi. Nagrany dla telewizji apel okazał się katastrofą, surrealistycznym koszmarem jaskrawych świateł, kamer i mikrofonów. Kiedy zajęli miejsca, Jonah położył dłoń na ramieniu Chrissie, żeby dodać odwagi zarówno sobie, jak i jej. Strząsnęła ją jednak, a kamera uchwyciła ten moment, tak że każdy mógł go zobaczyć – od tamtej pory było już tylko gorzej. Chrissie była posepna i chłodna, więc to on musiał odpowiedzieć na większość pytań. Próbował, ale jego umysł odmawiał współpracy, przez co stał oniemiały i zdezorientowany przed krytycznymi obiektywami. Kiedy dziennikarze zapytali, czy to prawda, że zasnął, przygnieciony tsunami winy nie był w stanie wykrztusić słowa.

– Tak, zasnął – syknęła Chrissie w ciszy.

Do wiadomości trafił właśnie ten fragment.

W ciasnym domu męczyli się oboje. Znajome miejsce wydawało się teraz obce i kompletnie odmienione brakiem Theo. Wydawało się niemożliwe, że go tam nie ma. Każdy pokój wciąż nosił ślady jego obecności, echa jego głosów i śmiechu. Kiedy Jonah nie mógł dłużej tego wytrzymać, wychodził i jeździł po mieście bez żadnego konkretnego celu. Raz po raz wyobrażał sobie, jak by to było odnaleźć Theo lub dorwać w swoje ręce mężczyznę z parku. Próbował nie myśleć o tym, co mogło stać się jego synkowi. Co wciąż mogło się z nim dzieć. Nieustannie sprawdzał telefon, czy nie ma żadnych nieodebranych połączeń ani nieodczytanych wiadomości, a strach, że mógłby coś przegapić, narastał, dopóki Jonah nie wrócił do czyścica, jakim stał się pusty dom.

A wtedy czekanie zaczynało się od nowa.

Gavin często ich odwiedzał. Próbował to ukrywać, ale Jonah dostrzegał w przerażonych oczach przyjaciela to, co sam już wiedział. Choć nigdy nie pracował nad sprawą zaginionego dziecka, aż za dobrze znał ich przebieg. Statystyki, które wcześniej stanowiły tylko suche dane, nabrały nowego okrutnego znaczenia. Zbyt dobrze rozumiał, czym jest „złota godzina” i że szanse na odnalezienie zaginionego dziecka żywego spadały niemal do



zera, im dłużej trwały poszukiwania. Nie potrafił nie patrzeć na zegarek, boleśnie świadomy tego, jak szybko kończył im się czas.

A potem, znikąd, pojawił się podejrzany.

Gavin zjawił się u nich w domu wcześniej rano, trzeciego dnia. Chrissie wciąż spała – szukała tymczasowego zapomnienia w kupowanych na receptę środkach uspokajających, od których stawała się odurzona i osowiała. Gavin stwierdził, że nie ma sensu jej budzić, ale Jonah widział po jego twarzy, że coś się stało.

– Zgarnęliśmy bezdomnego z parku – oznajmił Gavin.

Mężczyzna nazywał się Owen Stokes, był trzydziestoczteroletnim mieszkańcem Liverpoolu z kartoteką obejmującą wszystko: od włamań po napaści. Wiele z jego przestępstw było związanych z alkoholem i narkotykami, a z więzienia wyszedł zaledwie dwa miesiące wcześniej. Ale opuścił ostatnie spotkanie z kuratorem sądowym i zniknął z ośrodka, w którym mieszkał po tym, jak obrabował dwóch innych mieszkańców. Aresztowano go poprzedniego wieczora, kiedy po pijaku sikał na drzwi sklepu. Pasował do opisu Jonaha tak idealnie, że od razu połączono go ze sprawą. Wciąż pijany, bezczelnie przyznał się do tego, że był w parku rano, kiedy Theo zniknął, wyjaśnił Gavin, wyjmując telefon. Zawahał się.

– Nie powinieneś tego oglądać. W ogóle nie powinienem tego mieć.

– Włącz to – uciał Jonah.

To było nagranie z przesłuchania Stokesa. Natychmiast rozpoznał mężczyznę z parku. Wielki i kościsty w zatłuszczonej, oliwkowozielonej kurtce polowej. Głowa ogolona na łyso, wykrzywione kpiąco wąskie usta. Kiedy obrócił się, żeby spojrzeć na drzwi za sobą, Jonah zobaczył rozchodzące się po karku linie czarnej wytatuowanej pajęczyny.

Rozwalony na krześle mężczyzna wydawał się znudzony pytaniami. Ironiczny uśmiezek nie schodził mu z twarzy, a w którymś momencie podejrzany nawet ziewnął.

– To się nie klei, kolego – odezwał się do przesłuchujących go detektywów z akcentem tak ciężkim, że brzmiał jak jego parodia. – Nie kręć mnie bachory, na pewno nie chłopaczki. No, gdyby miał szesnastoletnią córkę, mógłbym się zainteresować.

Zaśmiał się, a Jonah chciał sięgnąć do ekranu i rozszarpać mu gardło. Nie słyszał nawet, kiedy Chrissie weszła do pokoju – zorientował się, że tam była, dopiero gdy się odezwała.

– To on?

Stała za nimi, wpatrując się w ekran ponad ich ramionami. Gavin spróbował schować telefon i przekonać ją, żeby tego nie oglądała, ale na próżno.

– Theo jest też moim dzieckiem. Chcę to zobaczyć.

Oglądała nagranie w milczeniu, aż do samego końca. Kiedy się skończyło, zwróciła się do Jonaha z twarzą wyrażającą bezgraniczną pogardę.

– Pozwoliłeś temu czemuś zabrać mojego syna?

A potem bez słowa wyszła z pokoju.

Wieczorem odezwał się dzwonek do drzwi. To był główny inspektor Wells, śledczy dowodzący poszukiwaniami. Rozmawiał już raz z Jonahem tego popołudnia i potwierdził, że Owen Stokes został zatrzymany i przesłuchany. Kiedy Jonah zobaczył go, jak stoi w progu z funkcjonariuszem, który pełnił funkcję łącznika między rodziną a policją, obydwoj z grobowymi minami, wiedział, że zaraz usłyszy to, czego tak bardzo się bał.

Ale nie było to przyznanie się Stokesa do winy, którego się spodziewał. Siedzieli z Chrissie na sofie, obok siebie, ale osobno, a Wells opowiadał o kanale ukrytym w gąszczu rododendronów przy placu zabaw. Kanał został sprawdzony już wcześniej – wejście było zabezpieczone żelazną kratą. Policja przegapiła jednak fakt, jak bardzo pręty były zardzewiałe oraz to, w jakim stanie były zawiasy – wszystko to sprawiało, że po jednej stronie powstał niewielki otwór. Trudno było to zobaczyć i trudno było się tam dostać, tłumaczył Wells przeproszającym tonem, przynajmniej dorosłemu.

Ale nie czterolatkiowi.

Wells pokazał im zdjęcie bucika, miniaturowego adidasa, brudnego i przemoczonego. Tej samej firmy, rozmiaru i koloru, co te, które Theo miał na sobie, kiedy zniknął.

Wyciągnięto go ze środka, powiedział Wells. Nie mogli prowadzić poszukiwań dużo dalej, ponieważ zatęchły kamienny tunel zwiężał się szybko, po czym łączył się z siecią podziemnych kanałów, zbyt ciasnych, żeby dorosły mógł się tam dostać. Ale znowu: nie małe dziecko.

– Nie rozumiem – powiedział Jonah. – A co ze Stokesem?

Wells pokręcił głową, jak gdyby było to dawno nieaktualne. „Został zwolniony”, wyjaśnił. Kamery przy wyjściu z parku zarejestrowały, jak wychodził sam. W dodatku para wyprowadzająca psa potwierdziła, że

Stokes poprosił ich o pieniądze. Okazało się, że należeli do Armii Zbawienia, przy czym byli tam w cywilnych ubraniach i próbowali przekonać go, żeby zatrzymał się w schronisku. Zanim odszedł, zdążył ich jeszcze zwyzywać, ale zgodnie z godzinami, o których mówił Jonah, było niemożliwe, żeby Stokes miał coś wspólnego ze zniknięciem Theo.

Jonah miał wrażenie, że się dusi.

– Nie, to nie tak – powiedział. – Theo by tam nie wszedł. Ktoś musiał go zabrać.

– Skąd wiesz? – odezwała się Chrissie beznamiętnym tonem. – Spałeś.

Drugi z funkcjonariuszy wyprowadził ją z pokoju, a Jonah i główny inspektor zostali sami w salonie. Jonah wpatrywał się w zdjęcie, które wciąż trzymał w ręku.

– Więc co to znaczy? – zapytał, nawet teraz nie przyjmując niczego do wiadomości.

Wells wyglądał, jakby wolał być gdziekolwiek indziej, tylko nie tu.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby go znaleźć – powiedział – ale musicie zrozumieć, że to skomplikowane. Woda spływa do sieci podwodnych kanałów, które ciągną się kilometrami. Nawet z sondami światłowodowymi mamy ograniczony dostęp. Przykro mi, ale musicie podejść do tego realistycznie.

I wtedy, z westchnieniem, główny inspektor wypowiedział słowa, które ostatecznie uświadomiły Jonahowi, że nigdy więcej nie zobaczy swojego syna.

– Przykro mi...

Następnego dnia Jonah po raz pierwszy wrócił do parku. Z placu zabaw dobiegały piski i śmiechy bawiących się dzieci, których pilnowali rodzice wyglądający na znudzonych. Na ich widok Jonah poczuł zazdrość tak ostrą, że aż bolesną. Taśma znacząca miejsce zbrodni została zdjęta, poza niewielkim odgrodzonym obszarem między rododendronami. Krzewy o chropowatych liściach zostały wycięte, odsłaniając niski łuk zbudowany z mokrych i zielonych od glonów kamieni. Wznosił się nad tym samym strumykiem, przy którym on i Theo grali w misie-patysie – płynąca wartko woda znikła w ciemnej jamie. Przerdzewiałe żelazne kikuty sterczały z kamieni, a nowa brama z galwanizowanej stali przypominała kraty klatki.

Obraz rozmywał się Jonahowi przed oczami, kiedy wpatrywał się w ciemność z poczuciem beznadziei i straty tak wielkim, że nie miało ono początku ani końca.

W drodze do wyjścia z parku zatrzymał się przy ławce, na której siedział Owen Stokes. Zwykle drewniane i podniszczone belki, z białymi plamami ptasich odchodów. Miał ochotę wybuchnąć, roznieść ją w drzazgi, ale włożył całą siłę woli w to, by odwrócić się i odejść. Wells się mylił. Coś takiego, coś tak wielkiego, nie mogło wydarzyć się ot tak. Theo, jego roześmiany chłopiec, nie mógł po prostu przestać istnieć. Ktoś musiał ponosić za to winę.

Ktoś.

## Rozdział 7

– No dalej, dasz radę.

„Nie dam. Naprawdę nie dam”. Zaciśnięła powieki i zgrzytnęła zębami. Robił, co mógł.

– Świetnie ci idzie. Jeszcze trochę.

„To ma być świetnie?”

Sunni przesunęła jego nogę odrobinę dalej.

– Jezu! – Jonach trzasnął ręką w obicie ławeczki, a z oczu pociekły mu łzy.

– Okej, na dzisiaj już chyba wystarczy.

Jonah pokiwał słabo głową.

– Wiem, że może tak to nie wygląda, ale radzisz sobie naprawdę dobrze – powiedziała Sunni.

Otarł pot z czoła.

– Coś tak czułem.

– Zostałeś ciężko ranny, więc to zajmie trochę czasu – wyjaśniła. – to normalne. Ale uwierz mi, robimy postępy.

„Postępy”. Ktoś poruszał jego nogą, próbując zgiąć ją o kilka milimetrów, a on oblewał się potem i starał się nie drzeć z bólu. Przeżył szok, kiedy po raz pierwszy zobaczył swoje kolano bez opatrunku. Było sine i spuchnięte do rozmiaru dwa razy większego niż normalnie, a szwy przecinały zdeformowaną powierzchnię. Bardziej przypominało przeżute przez psa skrawki z mięsnego niż jego nogę.

Chirurg ortopeda nie owijał w bawełnę. Kolano Jonaha doznało urazu podobnego do tych z wypadków motocyklowych. Rzepka została strzaskana, uszkodzone były również więzadła i ścięgna. Chirurg wydawał

się zadowolony z siebie, kiedy opisywał rekonstrukcję rzepki, w której fragmenty kości zabezpieczały teraz tytanowe śruby i druty. Ale kontuzja była rozległa. W najbliższych miesiącach konieczne mogły być kolejne operacje, ale to miało się okazać dopiero za jakiś czas. Tak czy siak, Jonah powinien przygotować się na długi i bolesny powrót do zdrowia.

Jonah starał się nie myśleć o swojej przyszłości, ale przychodziło mu to z coraz większym trudem. Słyszał, że zostanie wypisany kolejnego lub jeszcze następnego dnia, ale nawet przy najbardziej optymistycznych prognozach było jasne, że w najbliższym czasie nie wróci do swojego oddziału. Jeśli w ogóle wróci.

Ta perspektywa go przerażała.

– Walka toczy się tutaj. – Sunni popukała palcami w skroń Jonaha, kiedy ten usiadł na leżance. – Ból to tylko sposób, w który twoje ciało mówi ci, że coś jest nie tak. Liczy się to, jak sobie z nim radzisz.

Trudno było w to uwierzyć, kiedy bolało jak cholera.

Mimo wszystko jednak przynajmniej znów mógł chodzić. Na początku wożono go na fizjoterapię na wózku, ale teraz mógł dostać się tam i z powrotem o kulach. Mijał już drugi tydzień w szpitalu, i kiedy wsparty wychylał się, stawiając kolejne kroki wzdłuż znajomego korytarza w drodze do sali, pomyślał, że szybko zaadaptował się do rutyny i rytmu. Pomagał fakt, że mógł już przyjmować gości. Oficjalną wizytę złożyli mu jego przełożeni, w tym sam główny nadinspektor, oraz przedstawiciel związku zawodowego, który porozmawiał z nim o świadczeniach. I dobrze było znowu zobaczyć się z ludźmi z oddziału, zwłaszcza z Khanem i Nolan. Przypomnieli mu, że normalny świat poza szpitalem wciąż istnieje.

Opowiedzieli mu o następstwach wydarzeń znad rzeki. Morderstwa na Nabrzeżu Rzeźników trafiły na pierwsze strony gazet, a towarzyszyła im łatwa do przewidzenia medialna ekscytacja samą nazwą miejsca. Ogólnie przypuszczano, że była to część tajnej operacji, która przybrała tragiczny obrót, czemu machina PR-owa ekipy śledczej starała się zaprzeczyć.

Ale w prasowych rewelacjach, które przeczytał, znalazł kilka cennych szczegółów. Policja w oficjalnym oświadczeniu ograniczyła się do banałów i obietnicy postawienia odpowiedzialnych przed obliczem sprawiedliwości. To obejmowało również Gavina. Jego śmierć oficjalnie traktowano jak morderstwo „bez ciała”, a prasa miała używanie, że jeszcze nie odnaleziono zabójcy. Jednak podczas gdy media ukazywały go jako bohatera, który zginął, próbując ratować innych, policyjny hołd wydawał się osobliwie

stonowany. Nie było żadnych nieoficjalnych teorii na temat motywu ani tożsamości zabójcy; żadnych cytatów nieznanego pochodzenia z anonimowych źródeł. Wyglądało na to, że przy tylu znakach zapytania towarzyszących sprawie, oficjalne wytyczne zalecały mówienie jak najmniej zamiast przyznawania się do niewiedzy. Odciąć tematowi dopływ tlenu i pozwolić prasie wypełnić pustkę spekulacjami.

Przynajmniej udział Jonaha był przeważnie pomijany. Pojawiały się doniesienia o anonimowym funkcjonariuszu, który został ranny, ale nic poza tym. Trzem niezidentyfikowanym ofiarom poświęcano jeszcze mniej uwagi. Według plotek przekazanych mu przez Khana i Nolan każde z zamordowanych zostało najpierw obite kijem, a potem żywcem owinięte w folię. Przyczyną śmierci było uduszenie, pogorszone u młodej kobiety przez odwodnienie i niewydolność wielonarządową. A więc plastik nie służył jedynie do ukrycia ciał przed pozbyciem się ich. Stanowił również narzędzie zbrodni.

Khan i Nolan nie byli w stanie powiedzieć mu niczego więcej. Choć trzy ofiary pozostawały niezidentyfikowane, nie powstrzymało to mediów od wyrokowania, że musieli być nielegalnymi imigrantami, zabitymi prawdopodobnie przez tych samych przemytników, którzy przeszmyglowali ich do kraju. Imię Nadine i jej najprawdopodobniej bliskowschodnie korzenie zostały podane do opinii publicznej, ale bez fotografii, która mogłaby uczynić z niej osobę, ona i dwie pozostałe ofiary zostały zaledwie przypisami. Ich śmierć sprawiła, że prasa domagała się rozprawienia z przestępczością zorganizowaną oraz – co było do przewidzenia – krytykowała brytyjskie granice i politykę imigracyjną. W całym tym oburzeniu wszystkim w jakiś sposób umykał fakt, że trzy osoby zginęły brutalną, bezsensowną śmiercią.

Fletcher i Bennet jeszcze dwukrotnie wracali, żeby przesłuchać Jonaha, i każda wizyta była tak samo nieprzyjemna jak pierwsza. Inspektor ewidentnie sądził, że Jonah wiedział więcej, niż mówił, a Jonah nie mógł mieć mu tego za złe. Nie mieli przeciwko niemu żadnych twardych dowodów – cieszył się, że uważał, by nie ubrudzić się krwią Gavina, gdy sprawdzał mu puls. Tylko że mężczyzny, z którym walczył, wciąż nie odnaleziono, a poza pojedynczym telefonem od Gavina w jego historii połączeń nie było niczego, co potwierdzałoby wersję Jonaha. Pozostawiało go to w stanie zawieszenia i niepewności – był podejrzan czy nie?

Jak dotąd Fletcher nie zdecydował.

Powrót z gabinetu terapeuty trwał długo. Ale mimo całego zmęczenia na widok drzwi do sali poczuł ciężar. Choć na zewnątrz nie było już policjanta – został odesłany po cichu kilka dni temu, co Jonah wziął za dobrą monetę – mała, pozbawiona okien przestrzeń przypominała celę. Już w ciągu dnia, kiedy ostre światło jarzeniówki ujawniało każde otarcie i nadawało sali wieczny, czyścicowy pozór, było wystarczająco źle. A w nocy robiło się jeszcze gorzej. Jonah od lat nie sypiał dobrze, ale odkąd wylądował w szpitalu, na nowo powitał bezsenność. Gdy zamykał oczy, rozpoczynał się spektakl jego podświadomości. Z koszmarów nie zapamiętywał zbyt wiele – z wyjątkiem tego, że budził się przerażony, łapiąc powietrze, pewny, że w pomieszczeniu był ktoś oprócz niego.

Nigdy nikogo tam nie było.

Kiedy dotarł do sali, brakowało mu tchu i spocił się, jakby wrócił z biegania. Myśląc już tylko o tym, żeby zwalić się na materac, otworzył drzwi i zamarł.

W nogach łóżka stała kobieta, która czytała jego kartę. Po trzydziestce, ubrana raczej zwyczajnie, zamiast w fartuch pielęgniarki czy kitel. Wydawała się zaskoczona, kiedy wszedł do środka, ale od razu się uśmiechnęła.

– Dzień dobry. Pan musi być Jonah. Jestem Corinne Daly – przedstawiła się, odwieszając kartę na poręcz.

Ze sposobu, w jaki to powiedziała, wynikało chyba, że powinien kojarzyć jej nazwisko. Nic mu ono nie mówiło, ale postarał się ukryć swoją niewiedzę, wchodząc do pokoju.

– Nie mam dzisiaj zaplanowanego nic innego, prawda? Właśnie wracam z fizjoterapii.

– Nie, po prostu przechodziłam. A skoro już pan jest, pomyślałam, że to będzie dobry moment na rozmowę.

Serce Jonaha zamarło. Powoli domyślał się, dlaczego tu przyszła.

– Jest pani psycholożką?

Zaproponowano mu pomoc, żeby łatwiej pogodził się z tym, co się stało, ale choć nie skorzystał z propozycji, w zasadzie również nie odmówił. Chociaż podobno było to dobrowolne, obawiał się, że odmowa zostanie potraktowana jako przeciwwskazanie, kiedy w końcu będzie wracał do pracy. Nie chciał jeszcze bardziej sobie tego utrudniać.

Liczył jednak, że będzie miał kilka tygodni na podjęcie decyzji. Nie oczekiwał, że wydarzy się to z dnia na dzień.



Kobieta wydawała się odrobinę wahać, choć jej uśmiech nie zgasł nawet na chwilę.

– Nie nazwałabym się psycholożką jako taką...

Jonah nie obchodziło, jak by się nazwała.

– Proszę posłuchać, jestem naprawdę zmęczony. Czy to nie może poczekać?

– Cóż, pewnie by mogło, ale skoro już tutaj jestem...

Jonah się zawahał. Fizjoterapia i długi spacer z powrotem naprawdę dały mu w kość i ostatnie, na co miał teraz ochotę, to odpowiadanie na pytania na temat stanu swojego umysłu. Ale pewnie lepiej byłoby mieć to już z głowy. A zresztą... Może chociaż zaśnie.

– To nie zajmie długo, co? – zapytał, chcąc usiąść na łóżku.

– Tak długo, jak pan zechce – powiedziała, a jej uśmiech rozjaśnił się, gdy zrobiła mu przejście. – Pomóc?

– Nie, dzięki, dam sobie radę. – Oparł kule o łóżko i opuścił się na nie z wyprostowaną nogą. Zmusił się do uśmiechu. – To jak to działa?

– Cóż, może zaczniemy od tego, że powie mi pan, jak się czuje? I proszę mówić mi Corinne – zaczęła, szperając w torebce w poszukiwaniu telefonu. Wyjęła go. – Będzie panu przeszkadzało, jeśli będę nagrywać?

– Eee, nie, chyba nie.

Usiadłszy na krześle obok łóżka, zdjęła marynarkę. Jonah nie tak wyobrażał sobie psychologów. Była ubrana bardziej na wieczorne wyjście niż na terapię.

– Przepraszam, wciąż uczę się, jak z tego korzystać. O, już. – Podniosła wzrok znad telefonu. – Zanim zaczniemy, czy mogę mówić do pana Jonah, czy wolałby pan sierzancie Colley?

– Jonah może być.

– Na pewno nie masz nic przeciwko temu, żebym nagrywała?

– Nie, pewnie.

– Dzięki, super. – Zdał sobie sprawę, że miała ładny uśmiech. – No więc jak się czujesz?

– Okej. No wiesz... – Wzruszył ramionami. – Kolano trochę boli.

– To musiało być naprawdę traumatyczne przeżycie. – Patrzyła na niego współczująco. – Co wtedy pomyślałeś? Kiedy wszedłeś do magazynu i zobaczyłeś ciała?

– Ja, ee... nie wiem. Trudno to opisać.

– Możesz spróbować?

Jonah próbował o wiele więcej razy, niżby sobie tego życzył. Nadal czuł chłód magazynu, wilgotny zapach powietrza, słyszał echo kroków na kamiennej podłodze.

– Możemy wrócić do tego później?

Przez jej twarz przemknęło coś na kształt rozczarowania, ale od razu zniknęło.

– Oczywiście. Ale możesz mi powiedzieć, jak się czułeś? Bałeś się?  
„Jezu, co to za pytanie?”

– To była nieznana sytuacja – odpowiedział Jonah, podpierając się żargonem.

– To znaczy, że tak?

Szukając wyjścia, wzruszył ramionami.

– Jeśli tak wolisz.

– Bałeś się o swoje życie?

Jak na psychologa było to wyjątkowo nietaktowne pytanie, ale zrozumiał już, do czego zmierzała. Szukała objawów PTSD. Kłopoty ze snem, huśtawka nastrojów. Nagłe przebłyski wspomnień.

– Nie miałem zbyt wiele czasu, żeby się nad tym zastanawiać – odparł, żałując, że w ogóle się zgodził na rozmowę.

Kiwnęła głową, jak gdyby w końcu powiedział coś, co chciała usłyszeć.

– Nie, oczywiście. Sądzę, że zrobiłeś po prostu to, co musiałeś?

– No cóż...

– Zdaję sobie sprawę, że twoje szkolenie pomaga w takich sytuacjach, ale... Musiało być ci ciężko sobie z tym poradzić. Wiem, że znałeś policjanta, który zginął, sierżanta Gavina McKinneya. Był świadkiem na twoim ślubie.

„No to jedziemy”.

– Zналиśmy się wiele lat, ale nie widziałem się z nim od dłuższego czasu.

– Rozumiem. – I znowu minimalne rozczarowanie. – A pozostałe ofiary?

Czy możesz opowiedzieć coś o nich?

– Nie, przykro mi – odparł Jonah, przecierając oczy. Tak bardzo chciał się położyć i zasnąć. – Ta jedna, którą faktycznie widziałem, była dziewczyną.

– Dziewczyna. Racja. – Dały szybko przekartkowała notatki. – To będzie... Nadine, zgadza się?

– Tak mi powiedziała.

Dały zamrugła.

– Żyła, kiedy ją znalazłeś?

Jonah poczuł się nieswojo.

– Chyba nie powinienem zdradzać szczegółów.

– Nie, oczywiście, że nie – zgodziła się szybko. – Ale to musiało wszystko pogorszyć, fakt, że jedna z ofiar żyła. I że nie zdołałeś jej uratować. Jak się z tym czujesz?

Nagle Jonah zorientował się, że nie może wykrztusić słowa. Odwrócił wzrok.

– Niezbyt dobrze.

– Czy powiedziała ci cokolwiek poza imieniem?

– Co to ma do rzeczy?

Zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzał, ale nawet gdyby nie miał problemu z opowiadaniem o tamtych wydarzeniach, nie rozumiał, jakie to mogło mieć znaczenie.

– Ja... Po prostu staram się pojąć, jak to mogło na ciebie wpłynąć. –

Daly się zarumieniała. Wydawała się zdenerwowana. – To musiało być druzgocące. Zwłaszcza po wszystkim, co przeszedłeś.

Pomyślał, że się przesłyszał. Terapeutka nie mogła być tak nieporadna.

– Po wszystkim?

– Już wcześniej spotkała cię tragedia, prawda? To znaczy po tym, co...

– Wiem, o co ci chodzi. – Jonah poczuł się, jakby ktoś go uderzył. – To co innego.

– Tak, oczywiście. – Daly przytaknęła poważnie. – Ale jako rodzic nie potrafię nawet wyobrazić sobie, co przeszedłeś. Uważasz, że jest możliwe dojście do siebie po czymś takim?

– Co to ma być? – Gniew i niedowierzenie ustępowały rosnącemu zaniepokojeniu. I nagle to do niego dotarło. – Nie jesteś psycholożką, co?

Promienny uśmiech zabawił na jej ustach jeszcze chwilę, po czym zniknął.

– Nigdy nie powiedziałam, że jestem.

„O cholera”.

– Jesteś reporterką.

– Wolę dziennikarkę, ale...

– Wyjdź.

– Posłuchaj, Jonah. Przepraszam, że źle zaczęliśmy...

– Wyjdź albo wezwę ochronę.

Wyraz jej twarzy spoważniał.

– I jak by to wyglądało? „Antyterrorysta wzywa szpitalnego ciecia, żeby wyprosił dziennikarkę”. Jak myślisz, będzie się klikać w mediach społecznościowych?

– Mam to gdzieś. – Jonah bez zastanowienia odepchnął się od łóżka, a ból przeszył kolano. Noga ugięła się pod nim, tak że musiał przytrzymać się nocnej szafki. – Kurwa!

– Boże, nic ci nie jest? – Daly chciała mu pomóc, ale zatrzymała się, kiedy Jonah podniósł ostrzegawczo rękę.

– Po prostu... wyjdź, dobrze?

Rzuciła mu ostatnie zatroskane spojrzenie, potem wyjęła wizytówkę z torebki. Położyła ją na łóżku.

– Na wypadek gdybyś chciał się skontaktować. Nie pożalu...

– Wynocha. Już.

Jonah wsparł się na szafce, próbując znieść ból. Nie podniósł wzroku, kiedy Daly szła do wyjścia ani kiedy wyszła. Wyprostował się dopiero po tym, jak zamknęła drzwi. W pustym pokoju wciąż pachniało jej perfumami. Wciągnął woń, potem wypuścił powietrze, powoli zdając sobie sprawę, co właśnie zrobił.

„Cholera”.

## Rozdział 8

### *Dziesięć lat temu*

Mżawka spowijała mgłą żółty blask latarni. Krople deszczu wpadały Jonahowi za postawiony kołnierz i spływały mu po karku. Ignorował to. Czuł je na jakimś odległym poziomie, tak samo jak przenikające cienką kurtkę zimno, od którego zeszywniały mu dłonie i stopy. Ale fizyczny dyskomfort był poza nim. Całą uwagę skupiał na budynku po drugiej stronie ulicy, na świetle palącym się w pojedynczym oknie i drzwiach wyjściowych. Jego świat skurczył się, zwęził się tak, że wykluczał wszystko poza tym, na co patrzył. Kiedy stał w spowitym mrokiem zaułku, ani razu nie odwrócił wzroku.

Czekał.

Był tam już od kilku godzin. Krótki zimowy dzień przyszedł i odszedł, brudne popołudnie przeszło najpierw w mętny zmierzch, potem w dającą schronienie noc. Obserwował, jak w oknie zapala się światło, widział postać poruszającą się w spektaklu cieni za niechlujnie zawieszonymi zasłonami.

Już niedługo.

Gdzieś w środku kryło się niedowierzanie, że faktycznie to robi. Ale tak samo jak świadomość zimna i mżawki, poczucie to było zagrzebane tak głęboko, że ledwie je rejestrował. Żył w nieustającym napięciu, tak przyzwyczajony do wszechogarniającego bólu, że stał się on normą zagłuszającą całą resztę.

Z przeciwnej strony ulicy dobiegło go kliknięcie otwieranych drzwi. Stał w bezruchu, dopóki ktoś nie wyszedł. Nawet w ciemności rozpoznał sylwetkę powłóczącego nogami Owena Stokesa.

Wystarczająco długo obserwował tego człowieka.

Nie pamiętał, kiedy podjął decyzję. Nie był pewien, czy w ogóle to nastąpiło – w jakiś sposób po prostu się pojawiła, jak konieczność, którą zaakceptował bez pytania. Pierwszą rzeczą, którą zrobił, było wyprowadzenie się z domu. Chrissie cieszyła się, że odchodził, on też nie mógł zostać tam ani chwili dłużej. Wynajął pokój w hotelu z tanimi meblami i zatęchłą łazienką, w którym korytarze cuchnęły wczorajszymi daniami na wynos i przypalonymi tostami. Gavin zaproponował, że może zatrzymać się u niego i Marie, ale Jonah wiedział, że to odbiłoby się na nich wszystkich. Mieli małego syna, Dylana, i własne problemy. Poza tym Jonah nie chciał, żeby Gavin patrzył mu na ręce. Nie przy tym, co planował.

Zresztą nic nie mógł zrobić. Owen Stokes wrócił do więzienia za niestawienie się na spotkaniu z kuratorem i miał zostać zwolniony za kolejne dwadzieścia osiem dni. Świadomość, że była to jedyna kara, którą ten człowiek poniesie, przyprawiała Jonaha o mdłości. Ale działała również motywująco. Dawała mu cel, powód, żeby wstawać z łóżka i mierzyć się z każdym ciągnącym się bez końca dniem.

Niezależnie od tego, co Wells mówił o dowodach, Jonah wiedział, że Stokes był winny. Wiedział. Dostrzegł to w jego aroganckim uśmiešku, drwinach człowieka obojętnego na wieść o zniknięciu czteroletniego chłopca. Jego syna. Byłoby obrazą dla wszechświata, gdyby zaakceptował, że Theo przecisnął się przez zardzewiałą kratę prosto w rwącą otchłań. Nie sam z siebie. Świadkowie również popełniali błędy, ktoś mógł pomylić godzinę, a Jonah był ojcem.

Nie potrzebował innego dowodu.

Dwudziestego ósmego dnia, pół godziny przed otwarciem, zaparkował przy ulicy niedaleko biura kuratora. Wystarczająco blisko, żeby mieć dobry widok na wejście, i na tyle daleko, żeby nie zostać zauważonym. Dochodziła prawie druga, kiedy zobaczył budzącą odrazę postać w wojskowej kurtce. Jonah siedział wyprostowany – coś z tyłu głowy podpowiadało mu, żeby zmierzyć się z nim tu i teraz. Powstrzymał się i spędził w aucie kolejną długą godzinę, dopóki Stokes nie wyszedł z budynku. Jonah poczekał, aż minie auto, po czym wysiadł i zaczął go śledzić. Podążając jego tropem, czuł, jak na widok wytatuowanej na karku mężczyzny pajęczyny w żyłach pulsuje mu krew. Wiedział, że potrzebuje jeszcze odrobiny cierpliwości. Główna ulica w biały dzień nie była

najlepszym miejscem na to, co chodziło mu po głowie. Musiał znaleźć coś ciemnego. I nie na widoku.

I tak Jonah trzymał się z tyłu, choć nawet nie próbował się ukrywać. Stokes go nie znał i nie było żadnego powodu, dla którego mógłby pomyśleć, że jest śledzony. A nawet gdyby tak było, Jonah miał to gdzieś. Ale Stokes wydawał się kompletnie tego nieświadomy, a kiedy Jonah wsiadł za nim do autobusu, nawet się nie obejrzał. Gdy wysiadł, Jonah wysiadł za nim. Zwolnił, czekając, aż Stokes zapali papierosa, po czym szedł dalej. Na wysokości prostego budynku z cegły Stokes wyrzucił papierosa na chodnik i zniknął w środku. Gdy przeszedł obok, Jonah zrozumiał, że dotarli do schroniska.

Wszedł w zaułek po drugiej stronie ulicy, kawałek dalej. Tuż przy wylocie w murze znajdowała się wnęka. Na w pół ukryte przez rdzewiejące schody przeciwpożarowe wyjście ewakuacyjne było zamknięte na kłódkę, obok wały się śmieci. Jonah schował się tam i wbił wzrok w drzwi po drugiej stronie ulicy, nie zważając na smród uryny i odpadków.

Skulony z zimna czekał, aż zapadnie zmrok.

Teraz był praktycznie niewidzialny, kolejny cień w pogrążonym w ciemności zaułku. Zesztywniał na dźwięk otwieranych naprzeciwko drzwi. Światło wylało się na zewnątrz, po czym w wejściu pojawiła się znajoma sylwetka. Jonah obserwował, jak Stokes wychodzi na ulicę.

Potem ruszył za nim.

Mięśnie karku miał napięte, dłonie zacisnął w pięści. Buty na gumowych podszwach nie wydawały żadnego dźwięku, ale ponieważ całą uwagę skupił na idącym przed nim mężczyźnie, nie zauważył leżącej na chodniku puszki – dopóki jej nie kopnął. Nagły hałas mógłby obudzić zmarłych. Kiedy Stokes obejrzał się za siebie, Jonah pochylił głowę. Na ulicy nie było co prawda nikogo, ale jezdnia była zbyt dobrze oświetlona, a po szerokiej drodze przemykały kolejne auta z włączonymi reflektorami. Jonah zmusił się, żeby iść dalej, wbijając wzrok w ziemię. Stokes zatrzymał się przed nim.

– Kolego, masz ognia?

Głos był bardziej zachrypnięty niż na nagraniu, a akcent z Liverpoolu jeszcze wyraźniejszy. Jonah zerknął i zobaczył, że Stokes trzyma w dłoni niezapalonego papierosa. Głęboko osadzone oczy patrzyły na niego kpiąco. Chęć, żeby go zaatakować, niemal go obezwładniła. Włożył całą energię w to, żeby się powstrzymać.

– Nie.

Jonah przeszedł dalej, wbijając paznokcie w spód dłoni. Gdy zostawił Stokesa za sobą, nasłuchiwał, czy tamten przyspieszy, gotowy w każdej chwili odwrócić się na pięcie i się z nim zmierzyć. Nic takiego się nie stało, a Jonah zaczął się martwić, że go zgubi, jeśli odejdzie za daleko. Zaryzykował i obejrzał się.

Miejsce, w którym przed chwilą stał Stokes, było puste.

Zaklął. Szybko przeskanował wzrokiem ulicę, ale po mężczyźnie nie było śladu. Cofając się, dostrzegł wąską boczną uliczkę. Zdołowany przypadł do rogu. Nikogo nie widział. Jedynym źródłem światła był niewielki neonowy szyld baru mieszczącego się kawałek dalej, ale Jonah ocenił, że Stokes nie zdążyłby dojść tak daleko.

„Chryste, gdzie on się podział?”

Dał sobie spokój ze skradaniem się i ruszył ciemną uliczką. Głośny wentylator wystawał ze ściany budynku, wyrzucając z siebie cuchnącą parę. Powietrze zgęstniało od zapachu smażonej cebuli i przypalonego mięsa, ale wciąż nie widział Stokesa. „No dalej, gdzie jesteś?” W uliczce nie było chodnika, a ceglane ściany wzniesionych ciasno budynków zasłaniały nocne niebo. Czuł się jak na dnie wykutego przez człowieka kanionu, gdzie drzwi i przejścia tonęły w jeszcze głębszym mroku.

Idąc w stronę baru, Jonah zaklął pod nosem, wściekły na siebie. Stokes mógł się schować jedynie tutaj. Im bliżej neonowego znaku „The Full House”, tym wyraźniej słyszał za sobą szuranie kroków. Obrócił się z walącym sercem i podniósł ręce. Pomimo ciemności Jonah od razu rozpoznał wysoką postać.

– Co ty, kurwa, odpierdalasz, Jonah? – syknął Gavin, wchodząc w krąg światła z szyldu.

Zaraz po uldze przyszedł gniew.

– Nie wtrącaj się.

– Zapomnij. Nie pozwolę ci zrobić nic głupiego.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Gavin chwycił go za rękę i zaczął się odwracać.

– Chodź, Jonah, przecież wiem, co robisz. Myślisz, że tylko ty wiedziałeś, że Stokes dzisiaj wychodzi?

Jonah wyszarpnął się z jego uścisku.

– Śledziłeś mnie?



– Wiedziałem, że spróbujesz czegoś w tym stylu, więc czekałem pod schroniskiem. Chryste, co ty sobie myślałeś? Wiem, że cierpisz, ale co by ci to dało?

– Co by mi dało? – Głos Jonaha zadrżał czystą furią. – Zamierzam się dowiedzieć, co ten drań zrobił z moim synem, to mi to da!

– Chryste Panie, to, co spotkało Theo, nie ma nic wspólnego ze Stokesem. Przecież o tym wiesz! Jeśli nie wierzysz Wellsowi, przynajmniej uwierz mi.

– Okej, wierzę ci. A teraz spierdalaj.

– Nie bądź głupi. Nie warto dać się zabić albo pójść do paki za kawał takiego gnoja jak Stokes. Nie mogę ci na to pozwolić.

– Nie pytam cię o zdanie.

– Jonah, proszę cię...

– Powstrzymasz mnie?

– Tak, jeśli...

Gavin zatoczył się do tyłu po tym, jak pięść Jonaha trafiła go w policzek. Cała rozpacz i furia, ciężąca na nim wina, eksplodowały w jednej chwili. Zamachnął się dziko, atakując stojący przed nim cel, nie dbając dłużej o to, kto to jest. Gavin postawił gardę, żeby się bronić, ale nie walczył.

– Do kurwy nędzy, Jonah, nie bądź...

Stęknął, gdy przyjął następne uderzenie na zębra. Potem świat Jonaha eksplodował, bo coś trzasnęło go w twarz. Potrząsnął głową, próbując złapać ostrość i wyprowadzić kolejny cios. Ale Gavin wypadł już do przodu, a Jonah zgiął się wpół, kiedy kolano trafiło go w krocze.

Bolało jak cholera. Upadł na ziemię i nagle coś w nim pękło. Jak przez mgłę widział, że Gavin kucnął obok niego i objął go ramieniem, a on sam zaczął szlochać.

– Przykro mi, naprawdę mi przykro – powiedział Gavin. – Wiem, że to kurewstwo, ale to, co się stało, to niczyja wina. Tylko gówniany, paskudny wypadek, nic więcej. Wypadek. Stokes nie miał z tym nic wspólnego. Chryste, myślisz, że bym ci nie pomógł, gdybym myślał, że było inaczej? Sam ukrzyżowałem tego bydlaka, ale nic takiego się nie wydarzyło. A zrobienie czegoś głupiego nie przywróci Theo.

Jonah nie był w stanie wykrztusić słowa. Leżał skulony na ziemi, wstrząsany płaczem. Dopiero kiedy się uspokoił, odzyskał mowę.

– Nie wiem, co robić, Gav! Boże, rozglądam się, a jego nie ma! Nie mogę znieść myśli, że był sam w tej... tej pierdolonej czarnej dziurze.

Gdybym...

– Gdybyś nie brał dodatkowych zmian, gdyby Chrissie nie poszła do pracy, gdyby pierdolony ratusz naprawił kanał. – Gavin westchnął ciężko. –

To wszystko gdybanie i bzdury. Czasami życie się jebie i nic nie możesz z tym zrobić. Niektórych rzeczy nie przewidzisz, więc musisz przestać się tym zadreć. Theo był cudownym dzieciakiem, kochałeś go. A on kochał swojego tatę. I tylko o tym musisz pamiętać.

Jonah zapłakał znowu, ale tym razem bez wściekłości. Obłąd, który opętał go na kilka ostatnich tygodni, zniknął. Czuł się słaby, ale myślał trzeźwo, jak gdyby wyszedł z gorączki. Usiadł, ocierając oczy.

– Sorry, że na ciebie napadłem.

Gavin dotknął swojego policzka i skrzywił się z bólu.

– Nie przejmuj się. Zawsze biłeś się jak baba. Jak jaja?

Jonah parsknął śmiechem, choć brzmiał on bardziej jak szloch.

– A jak myślisz?

Ostrożnie zaczął wstawać. Gavin wyciągnął rękę.

– Chodź, stary, napijmy się.

## Rozdział 9

– Gratulacje! Jesteś sławny!

Fletcher cisnął gazetę prosto w otwarte drzwi. Stojący w korytarzu o kulach Jonah nie zdążył jej złapać. Gazeta uderzyła go w pierś, a strony rozsypały się, kiedy próbował ją chwycić.

– Dostałeś całą rozkładówkę – zadrwił inspektor. – Jest też ładne zdjęcie w mundurze. Istny bohater. Powiesz sobie na ścianie na pamiątkę.

Kiedy tylko otworzył drzwi i zobaczył Fletchera i Bennet, wiedział, dlaczego przyszli. Widział już artykuł w sieci. Z wizytówki Daly wynikało, że pracowała na etacie w jednym z krajowych brukowców, więc od kiedy wyszedł ze szpitala, sprawdzał stronę internetową gazety, czekając, aż coś się pojawi. Po niemal dwóch tygodniach zaczął mieć nadzieję, że może mu się upiekło.

Aż do dzisiejszego poranka.

– No? Nie zaprosisz nas? – zapytał Fletcher.

Jonah cofnął się niechętnie.

– Długo to potrwa? Po południu muszę gdzieś być.

– Potrwa, ile potrwa. – Fletcher przeszedł obok niego, spodnie obijały mu się o patykowate nogi i przeraźliwie chude biodra. Podszedł do najbliższego fotela. – Nie martw się, zdążysz pożegnać kolegę.

Nabożeństwo pogrzebowe Gavina zaplanowane było na popołudnie. Uroczystość zapowiadała się wystarczająco ponuro i Jonah wolał nie musieć się dodatkowo spieszyć. Ale wiedział, że tylko zmarnuje czas, pytając, czy to nie mogłoby poczekać. Nie zamierzał dać Fletcherowi satysfakcji z odmowy. Bennet weszła do środka i pokazała Jonahowi, żeby ruszył przodem.

– Ja zamknę.

W dużym pokoju Fletcher rozsiadł się w jednym z foteli, kościste kolana sterczały jak kolce. Jonah rzucił gazetę na stolik kawowy i podszedł do innego fotela.

– Wiem, jak to wygląda, ale myślałem, że to terapeutka – wyjaśnił, siadając. Bennet weszła za nim i zajęła miejsce na sofie obok inspektora.

– Ach, terapeutka. – Twarz Fletchera poczerwieniała z wściekłości. – Wylegitymowała się, co? Pozwoliła się wypłakać w rękaw?

– Okej, popełniłem błąd...

– Błąd? – Inspektor chwycił gazetę i przewracał kolejne strony, zanim przeczytał: – „«Nigdy nie zapomnę tego, co zobaczyłem w magazynie», mówi bohater, oficer policyjnej jednostki specjalnej, Jonah Colley. Bohater, słyszałeś? «Oczywiście, że się bałem, ale nie wydaje mi się, żebym wykazał się jakąś wyjątkową odwagą. Zrobiłem to, co musiałem»”. Czy to był błąd?

Jonah poczuł, jak robi mu się gorąco.

– Nic takiego nie...

– Nie skończyłem. „Sierżant Colley wciąż dochodzi do zdrowia z powodu obrażeń doznanych w trakcie prowadzonej pod przykrywką (policyjne źródła odmawiają potwierdzenia lub zaprzeczenia) operacji wymierzonej w gang handlarzy żywym towarem, która przybrała tragiczny obrót. W opuszczonym magazynie przy Nabrzeżu Rzeźników (jakże adekwatna nazwa!) życie straciły cztery osoby. Jedną z nich był sierżant Gavin McKinney, którego ciała do tej pory nie odnaleziono. Powszechnie szanowany funkcjonariusz policji metropolitalnej był bliskim przyjacielem sierżanta Colleya. «Gavin był świadkiem na moim ślubie i świetnym gliną. Jestem zdruzgotany jego śmiercią, wyznaje Colley»”.

– Niczego takiego nie powiedziałem – wtrącił Jonah.

– Uwaga, teraz będzie dobre – zignorował go inspektor. – „Żadna z trzech ofiar nie została zidentyfikowana, ale wiadomo, że przynajmniej jedna z nich pochodziła z Bliskiego Wschodu. Młoda kobieta, znana policji tylko jako Nadine, żyła, kiedy ją odnaleziono. Colley z trudem powstrzymuje emocje, kiedy o niej wspomina. «Żałuję, że nie zrobiłem więcej, żeby ją uratować»”.

Fletcher opuścił gazetę.

– Pulitzerza raczej z tego nie będzie, ale obrazek całkiem barwny, nie uważasz?

– Przecież mówię, że nie powiedziałem żadnej z tych rzeczy – odezwał Jonah, czując, że palą go policzki. – Jak tylko zdałem sobie sprawę, co się dzieje, wyrzuciłem ją. Dobra, wspomniałem, że dziewczyna powiedziała mi, jak ma na imię, to było głupie. Ale to wszystko. Wiedziała o Gavinie, więc ewidentnie musiała rozmawiać z kimś jeszcze.

– To wszystko? – W zaczerwienionej i pobliźnionej twarzy inspektora niebieskie oczy błyszczały lodowato. – Omawiałeś szczegóły trwającego śledztwa w sprawie morderstwa z pieprzoną reporterką.

– Niczego z nią nie omawiałem! Chryste, czy naprawdę myślisz, że chciałem świecić gębą we wszystkich gazetach?

Na twarzy Fletchera odmalowała się jawna pogarda.

– To właśnie staram się rozgryźć.

– Co to niby ma znaczyć?

Zamiast odpowiedzieć, Fletcher rozpostarł gazetę i podniósł ją. Ze strony patrzyła na niego roześmiana twarz Theo. Jonah widział zdjęcie już wcześniej w sieci, ale widok mimo wszystko pozbawił go tchu. Pamiętał, jak zrobili je podczas czwartych urodzin Theo, zaledwie kilka tygodni przed jego zniknięciem. Wciąż słyszał rozkoszny chichot syna.

– *Uśmiechnij się, Theo! Powiedz: konstantynopolitańczykowiec.*

– *Nie, to głupie!*

– *Musisz to powiedzieć, kiedy będziemy robić ci zdjęcie w urodziny.*

– *Nie musisz!*

– *No weź, spróbuj.*

– *Konstapa...ńli...czka!* – wydukał jego syn, po czym wybuchnął śmiechem.

Pstryk.

Fletcher rzucił gazetę z powrotem na stolik.

– Niezły PR, jeśli ktoś chciałby znowu nagłośnić tę historię. Taki był plan? Wykorzystać śledztwo, żeby przypomnieć ludziom, co się stało z twoim chłopakiem, zobaczyć, czy uda ci się coś ugrać? Kto wie, przy odrobinie szczęścia może nawet otworzyliby sprawę.

– Sprawę? Masz na myśli sprawę Theo? – Jonah poczuł się ściągnięty na ziemię. – O czym ty mówisz?

– Myślę, że czas pogadać szczerze – rzucił Fletcher. – Nigdy nie pogodziłeś się z tym, że twój syn utonął, prawda?

Jonahowi zaschło w gardle. Otworzył usta, żeby się odezwać, ale nie miał pojęcia, co powiedzieć.

- Co to ma wspólnego z czymkolwiek? – wykrztusił.
- Posłuchaj – powiedział Fletcher. – Chciałbym wiedzieć, czy uwierzyłeś, że zginął w kanale. Ponieważ to by znaczyło, że to twoja wina.
- To jest moja wina – zirytował się Jonah. – Zasnąłem i pozwoliłem mu odejść. Od tamtej pory muszę z tym żyć.
- Ale znaleźli tylko but, nie ciało. A z tyłu głowy musiały czaić się wątpliwości. Może nie był jego, może śledztwo zostało błędnie poprowadzone. Może stało się coś innego. Coś, o co mógłbyś kogoś obwinić.
- Nikt nie musi mi mówić, że mój syn nie żyje. Albo że to była moja wina. – Jonah był wściekły i zdezorientowany. Nie rozumiał, czemu Fletcher tak naciskał.
- Czyli chcesz mi powiedzieć, że nigdy się nie zastanawiałeś? – kontynuował inspektor. – Że po prostu to zaakceptowałeś, pomyślałeś: „Dobra, skoro już wiem, co się stało, to idę dalej”?
- Jonah odwrócił wzrok. Nienawidził tego, nienawidził, że musi się odsłonić. Zwłaszcza przed Fletcherem. Ale wiedział, że inspektor nie odpuści.
- Oczywiście, że nie. Skoro utonął, chciałem dowodu. Wszystko, co dostałem, to but. – Zamilkł, z trudem zachowując spokój. Już samo mówienie o tym niosło ze sobą rozpacz tamtych dni: okropną, ziejącą pustkę. Tamte uczucia wciąż w nim tkwiły, nawet teraz czekały, żeby wydostać się na powierzchnię. Odchrząknął. – Ale to, czego chciałem, nie miało znaczenia. Stało się, co się stało, więc nie miałem wyboru, musiałem się z tym pogodzić.
- Fletcher złożył dłonie, przyglądając mu się uważnie.
- Na pewno?
- Nie rozumiem.
- Jesteś kontrterrorystą. Wiesz, które kwadraciki trzeba odznaczyć, żeby przekonać wszystkich, że możesz bezpiecznie wrócić na służbę. A kwestionowanie ustaleń koronera nie jest jednym z nich.
- Jonah poczuł, że zaczyna tracić nad sobą panowanie.
- Nie udawałem, jeśli o to ci chodzi. Pozostałe możliwości zostały wykluczone. Tylko to mogło się stać.
- W sposobie, w jaki patrzył na niego Fletcher, było coś odrobinę gadziego, jak gdyby jaszczurka przyglądała się musze.
- To nie do końca prawda, co?

Jonah poczuł w środku coś zimnego.

– Co to miało znaczyć?

– To, że każdy na początku przypuszczał, że twój syn został porwany. Był nawet podejrzany.

– Nie na długo – odparł Jonah, a jego zmieszanie i niepokój narastały. – Miał solidne alibi. Został oczyszczony z zarzutów.

– Ale czy ty w to uwierzyłeś? Nawet jeśli ktoś był jedynie podejrzany o porwanie twojego chłopaka, niepewność zawsze pozostaje. Myślę, że zrobilibyś wszystko, żeby go dorwać. Wycisnąć z bydlaka prawdę.

Jonah poczuł ucisk w klatce.

– Do czego zmierzasz?

Inspektor skinął na Bennet. Policjantka bez słowa wyjęła z torby fotografię i pochyliła się, żeby położyć ją na stoliku przed Jonahem. Podniósł ją. Policyjne zdjęcie przedstawiało ogoloną głowę i ordynarne rysy mężczyzny, którego Jonah widział niedaleko placu zabaw w dzień zniknięcia Theo.

– Poznajesz go? – zapytał Fletcher.

– Był podejrzany. Owen Stokes. – Jonah czuł, jak wali mu serce. – Czemu mi to pokazujecie?

– Znaleźliśmy zdjęcia Stokesa na laptopie McKinneya. Nowe. Wygląda na to, że McKinney go śledził. Obserwował miejsce, w którym się zatrzymał. – Uniósł brwi. – Ale ty oczywiście nic o tym nie wiesz, prawda?

Jonah poczuł, jakby jego świat wywrócił się do góry nogami.

– Nie, oczywiście, że nie!

– Nie masz pojęcia, dlaczego McKinney tak bardzo interesował się Owenem Stokesem?

– Nie, mówiłem wam! Boże, sprawdziliście mój telefon, wiecie, że nie utrzymywałem kontaktu z Gavinem. – Jonah z odrazą odsunął od siebie zdjęcie.

Fletcher pokręcił głową.

– W ogóle nie zajmowaliśmy się Stokesem. Był czysty od kilku lat. Żadnych pouczeń, żadnych zatrzymań. Nie ma żadnych znanych nam powiązań mafijnych. Jest samotnikiem, żyje na uboczu. Nie było powodu, żeby mieć go pod obserwacją, tak samo jak nie było powodu, żeby McKinney był w tym magazynie. W zasadzie jedynym, co łączy McKinneya z Owenem Stokesem, jest to, co wydarzyło się dziesięć lat

temu. – Fletcher popatrzył na niego spod na wpół przymkniętych powiek. – Innymi słowy: ty.

– Nie. – Teraz to Jonah pokręcił głową. Żółć podeszła mu do gardła. – Nie, to nie ma sensu. Dlaczego Gavin miałby śledzić Stokesa?

– Oto jest pytanie, czyż nie? Ale tłumaczyłoby trochę, dlaczego McKinney zadzwonił do ciebie, a nie do kogoś innego. I dlaczego chciał, żebyś to ty przyjechał do magazynu.

Jonah wzdrygnął się na myśl, o co mogło chodzić.

– Nie rozumiem.

Fletcher zabębnił palcami o nogę, zanim podjął.

– Krew, którą znaleźliśmy w magazynie, a której nie mogliśmy zidentyfikować. Mamy dopasowanie. Należy do Owena Stokesa.

Powietrze uszło z Jonaha.

– To niemożliwe...

– Och, zapewniam cię, że możliwe. Testy DNA nie dają błędnych wyników ot tak.

– Owen Stokes...? – Pokój się zakołysał. – Jezu Chryste, chcesz mi powiedzieć, że to on był w magazynie? Owen Stokes?

– Wiem, mnie też trudno w to uwierzyć – przyznał Fletcher. – Zwłaszcza w tę część, w której twierdzisz, że nie wiesz, z kim się biłeś.

Jonah miał wrażenie, że zaraz zemdleje. W uszach mu szumiało, a obraz przed oczami zdawał się pulsować.

– W porządku? – zapytała Bennet i pochyliła się do przodu. – Przynieść ci wody?

Pokręcił głową. „Chryste, to się nie dzieje”.

– To dlatego uważasz, że Gavin go śledził? Dlatego chciał, żebym przyjechał do magazynu? Z powodu tego, co spotkało Theo?

Fletcher rozłożył ręce.

– Jeśli masz lepszą teorię, zamieniam się w słuch.

– Ale dlaczego? To było dziesięć lat temu, dlaczego Gavin miałby śledzić Stokesa teraz? – Coś podobnego do paniki przeszło w niedowierzanie. – Jezu Chryste, uważasz, że wyniki tego jebanego śledztwa były błędne? Zapewniali mnie, że Stokes nie ma z tym nic wspólnego, powtarzali, że to niemożliwe! A ty siedzisz sobie tutaj i mówisz mi, że to on zabił Gavina i trzy inne osoby w magazynie? O mało nie zabił mnie?

Fletcher wyglądał na zbitego z tropu.



– Nie, nic takiego nie powiedziałem. Osąd McKinneya nie należał do najtrafniejszych, delikatnie mówiąc, a przy jego wyczynach nie powinniśmy wyciągać pochopnych wniosków. A ty musisz się uspokoić...

– Uspokoić? Wyjeżdżasz mi z czymś takim i oczekujesz, że się uspokoję? Gavin śledził tego skurwiela! Dlaczego miałby to robić albo dzwonić do mnie, jeśli nie dowiedział się czegoś o Theo?

Bennet płynnie włączyła się do rozmowy, rzucając Fletcherowi ukradkowe spojrzenie, jak gdyby prosząc go, żeby się wycofał.

– Na tym etapie staramy się ustalić, co się stało – powiedziała. – Musisz pamiętać, że nawet jeśli McKinney uważał, że Owen Stokes był jakoś zamieszany w zniknięcie twojego syna, to nie znaczy, że faktycznie tak było. Główny inspektor Wells, który prowadził pierwsze śledztwo, zmarł kilka lat temu, ale rozmawiałam z jego zastępcą, inspektorem Conwayem. Jesteśmy pewni, że nic nie wskazuje na to, by w trakcie poszukiwań Theo popełnione zostały błędy lub przeoczenia. Sprawdziliśmy to, zanim poruszyliśmy ten temat z panem, więc...

– Więc to nie Owen Stokes stał za tym, co spotkało twojego syna, okej? – przerwał jej Fletcher, wciąż czerwony na twarzy. – Pomijając wszystko inne, czego mógł się dopuścić lub nie, ustalenia śledztwa wciąż pozostają w mocy. Pod tym względem nic się nie zmieniło.

Jonah boleśnie zacisnął zęby. Nic się nie zmieniło? Wszystko się zmieniło. Znowu. Owen Stokes nie był jakimś nieszczęśliwym bezdomnym, tylko mordercą. Dziesięć lat temu oszukał śledczych i ukrył przed nimi swoją prawdziwą naturę. Nabrał wszystkich. To naruszało niepewne fundamenty, na których Jonah odbudował swoje życie.

Ale zatrzymał to dla siebie, a Fletcher kontynuował.

– Skoro to wyjaśniliśmy: McKinney ewidentnie śledził go z jakiegoś powodu. Biorąc pod uwagę historię twoją i Owena Stokesa, fakt, że zdecydował, że zadzwoni do ciebie, a nie do kogokolwiek innego, pozwala mi przypuszczać, że to mogła być jakiegoś rodzaju nedorobiona wendeta. Więc rozumiesz już, dlaczego trudno mi uwierzyć, że nic o tym nie wiedziałeś.

Jonah milczał przez kilka sekund – wolał mieć pewność, że panuje nad sobą, zanim znowu się odezwie.

– Jakiś czas temu myślałeś, że zabiłem Gavina. Teraz brzmi to tak, jakbyś oskarżał mnie, że razem z nim ścigałem Stokesa. Potrzebuję prawnika?

To był blef, ale Fletcher wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Potrzebujesz?

Mierzyli się wzrokiem. Serce Jonaha waliło nie tylko z wściekłości, ale również z niepokoju na myśl o kierunku, w którym zmierzała rozmowa.

– A co z Owenem Stokesem? – zapytał, szukając spokoju, który dawno zniknął. – Zrobicie cokolwiek, żeby go złapać, czy po prostu wybraliście łatwiejszy cel?

– Lepiej się pilnuj, Colley – warknął Fletcher, a gliniana skóra na jego twarzy znowu pociemniała.

„Lepiej będę pilnował wielu rzeczy”. Gniew Jonaha wydawał się rozciągać poza niego samego, dzięki czemu zdołał się od niego oderwać. Ale nie potrafił ukryć lekceważenia w swoim głosie.

– Tak jest, panie inspektorze.

Fletcher wyglądał, jakby chciał coś odpowiedzieć, ale Bennet drgnęła i chrząknęła cicho. Fletcher zacisnął usta, jakby to był jakiś sygnał między nimi. Wstał z fotela.

– Zostawmy to na razie. – Wziął ze stolika zdjęcie Owena Stokesa i pogardliwie wskazał na gazetę. – Powinieneś to oprawić. Nikt więcej tak dobrze o tobie nie napisze.

Nie oglądając się na Bennet, wymaszerował z pokoju.

Kiedy wyszli, Jonah nie mógł usiedzieć w miejscu. Krążył po małym mieszkaniu, chodząc bez celu z pokoju do pokoju, a towarzyszył temu przytłumiony stukot kul. Gotował się w środku, kiedy przetrawiał to, co usłyszał. Wystarczyło kilka minut, żeby fundamenty, na których odbudował swoje życie po zniknięciu Theo, runęły. Przez lata przekonywał sam siebie, że musi uwierzyć w oficjalne wyjaśnienia. Zadręczał się, wyobrażając sobie, jak Theo chichocze, po cichu chowając się przed śpiącym tatą w podobnym do jaskini kanale. Widział to jak na filmie: jego synek wpada do zimnej, wartko płynącej wody. Drobne ciało, unoszone na powierzchni przez niebieski skafander, dryfuje samotnie w podziemny mrok.

Ta myśl dręczyła go każdego dnia. Ale jakkolwiek okropne to było, przynajmniej wiedział. Albo tak mu się wydawało.

Teraz to wszystko legło w gruzach.

W magazynie walczył z Owenem Stokesem. Mężczyzna, którego oczyszczono z zarzutów w sprawie porwania Theo, zamordował Gavina i trzy inne osoby. Nie rozumiał tego. Chryste, jak wszyscy mogli się tak pomylić? Włącznie z nim. Świadomość, że dosłownie miał go w swoich

rękach, była nie do zniesienia. Podszedł do worka treningowego wiszącego w rogu sypialni i rzucił kule na bok. Balansując na zdrowej nodze, przygotował się i zaczął wyprowadzać cios za ciosem w ciężki skórzany worek, wyobrażając sobie znieciercierowaną twarz uśmiechającą się kpiąco ze zdjęcia. Zamachnął się szybciej, potem jeszcze szybciej, stękając przy uderzeniu, aż przy kolejnym wściekłym ruchu obrócił się i upadł na uszkodzone kolano.

– Aaa, kurwa! Kurwa!

Zwalił się na łóżko, z nogą sparaliżowaną z bólu. Wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby, łzy wściekłości i frustracji płynęły mu po twarzy.

„Owen Stokes. Pierdolony Owen Stokes”.

Po chwili usiadł, rozmasował kolano, zanim pokuśtykał, żeby podnieść kule z podłogi. Poszedł do kuchni i nalał sobie szklanek zimnej wody, ale odstawił ją, kiedy zobaczył poślizgnięty ze starości obrazek na drzwiach lodówki. Przedstawiał albo niebieską żyrafę, albo dzbanek na herbatę, niechlujny i piękny. „Tatusiu, zobacz, zobacz!” Chrissie chciała spakować go do pudełka, ale Jonah go wziął. Nie planował trzymać obrazka tak długo, ale kiedy przyczepił go na lodówkę, nie był w stanie zmusić się, żeby go zdjąć.

Stanął przy oknie w salonie. Mieszkał w pozbawionym charakteru lokalu na dziewiątym piętrze wieżowca we wschodnim Londynie. Wprowadził się tu po rozwodzie. Częściowo z powodu niskiej ceny i bliskości metra oraz przystanku autobusowego, ale przede wszystkim dlatego, że nie chciało mu się szukać dalej. Podniósł z parapetu oprawioną fotografię. Zamrożony w czasie Theo promieniał. Kolejny uchwycony moment wisiał na ścianie – mokrzy Jonah i Theo śmiali się po lekcji pływania.

„O, Boże...”

Osunął się na sofę. Cokolwiek Gavin znalazł na temat Stokesa – a to było jedyne wyjaśnienie, które miało jakikolwiek sens, niezależnie od tego, co mówili Fletcher i Bennet – Jonah gorzko żałował, że w jakiś pokrętny sposób przyjaciel doszedł do wniosku, że lepiej zachować to dla siebie. Do momentu, aż było za późno. Ta decyzja kosztowała Gavina życie, prawdopodobnie również tę młodą kobietę, której Jonah nie zdołał uratować. A może nawet dwie pozostałe ofiary. W ten sposób Jonah stracił też szansę na dowiedzenie się, co naprawdę przytrafiło się Theo dziesięć lat temu.

„Jezu, Gavin, musiałeś iść tam sam?”

Nie czuł już nic. Po chwili drgnął. Spojrzał na zegarek – było później, niż myślał. Niedługo musiał wyjść na pogrzeb. Perspektywa wciąż go przygnębiała, ale teraz pojawił się dodatkowy motyw, żeby tam pójść. Spotka ludzi, którzy znali Gavina i pracowali z nim. Ktoś może coś wiedzieć. Choć Fletcher rozmawiał już na pewno z każdym, kto mógł posiadać jakieś informacje, Jonah wiedział, że kilka drinków potrafiło rozwiązać ludziom języki.

Świetne miejsce na start.

Wziął prysznic, wytarł się i wyszedł z łazienki. Otworzył szafę, wyjął mundur i położył go na pościeli. Obok ułożył białą koszulę, po czym usiadł, żeby wciągnąć spodnie. Wciąż czuł się dziwnie, kiedy to robił, ale ponieważ te były luźniejsze niż dzinsy, które zwykle nosił, bez większego problemu wciągnął je na ortezę.

Wstał i balansując na jednej nodze, oparty o ścianę, zapiął koszulę i zawiązał krawat. Następnie włożył bluzę mundurową, obciągnął ją i przyjrzał się odbiciu w lustrze na drzwiach szafy. Lekarze zdjęli szwy z głowy, ale rana wciąż pozostawała widoczna. Na razie golił się na krótko i od czasu do czasu miewał wrażenie, że patrzy na niego ktoś inny. Mundur wisiał luźno. Odkąd trafił do szpitala, stracił część masy mięśniowej, choć nie tyle, żeby ktokolwiek miał zauważyć.

Zapiął pasek na kolejną dziurkę i zamknął szafę. Kiedy lustro przesunęło się obok niego, w odbiciu mignęła mu stojąca za nim postać.

„Jezus!” O mało nie upadł, obracając się gwałtownie. Nikogo tam nie było. Z walącym sercem sprawdził przedpokój. Pusto. „Czego się spodziewałeś? Drzwi są zamknięte”. Skórzana kurtka wisiała na drzwiach od sypialni, kołysząc się na wieszaku. Jeszcze raz popatrzył w lustro i zobaczył w nim tylko własną pobladłą twarz. „No widzisz?”

Wyprostował się i przeszedł o kulach do przedpokoju. Wiązanie butów z nogą, która się nie zginała, nadal było świetną gimnastyką. Włożył czapkę od munduru i wziął głęboki oddech.

A potem poszedł pożegnać się z Gavinem.

## Rozdział 10

Koźnierzyk uwierał go w szyję. Chciał go poluzować, ale po chwili namysłu opuścił rękę. „Przestań się kręcić. To niczego nie przyspieszy”.

Drewniana ławka była twarda i niewygodna. Nabożeństwo odbywało się w starym, skromnym kościele, w którym pachniało zimnym kamieniem i pszczelim woskiem. Duże, oprawione w ramę zdjęcie Gavina wystawiono na sztaludze przed ołtarzem. Przedstawiało o dekadę starszą wersję mężczyzny, którego kiedyś znał Jonah. Na twarzy było więcej zmarszczek, ale zmrużone oczy i uśmiech pozostały takie same.

Jonah wciąż był wzburzony z powodu informacji od Fletchera na temat Owena Stokesa. Uspokoił się, jadąc taksówką na miejsce, a w cichej atmosferze kościoła zdał sobie sprawę, że potrzebował lepszej strategii, żeby po prostu nie zasypać ludzi pytaniami. Zresztą i tak nie był pewien, kto mógłby znać jakieś odpowiedzi. Po wyjściu ze szpitala krótko rozmawiał przez telefon z Marie. Było to tak trudne, jak się spodziewał, ale ewidentnie o niczym nie wiedziała. A przynajmniej na pewno wiedziała mniej od niego, choć mówiła tak niewyraźnie, że miał kłopoty z jej zrozumieniem, zupełnie jakby była pod wpływem alkoholu lub leków. Albo jednego i drugiego. Ale biorąc pod uwagę, że zamordowano jej męża, a jego ciała nadal nie odnaleziono, Jonah nie mógł mieć do niej pretensji.

Nie spodziewał się tak pustego kościoła. Przyszło kilku policjantów w mundurach, choć mniej, niż oczekiwał. Zastanawiał się, czy Chrissie przyjdzie, ale nigdzie jej nie widział. Nie to, żeby był zaskoczony. Ani żeby żałował, bo przynajmniej nie musiał od razu zdecydować, czy powiedzieć jej o Owenie Stokesie. Mógł nadejść taki moment, ale Jonah nie chciał wciągać w to byłej żony, dopóki sam nie dowie się czegoś jeszcze. Chrissie

szybciej od niego pogodziła się ze śmiercią syna, słyszał nawet, że ponownie wyszła za mąż. Nie ucieszyłaby się, gdyby wrzucił granat do jej nowego życia, Fletcher zresztą też nie byłby zadowolony, gdyby jej powiedział.

Na razie lepiej było siedzieć cicho.

Pastor powoli kończył. Ceremonia na szczęście nie trwała długo, a nadinspektor wygłosił jedynie krótką i dość ogólnikową mowę pogrzebową. Odmówiono ostatnią monotonną modlitwę, padło jeszcze kilka słów i zagrano *Ave Maria* na wyjście. Jonah mógł się założyć, że pieśń nie była wysoko na topliście Gavina. Mimo że puszczone jedynie nagranie, rozchodząca się echem żałobna melodia robiła wrażenie. Nastrój zniszczył głuchy odgłos tłumionego beknięcia z drugiego końca ławki. Jonah zerknął na przysadzistego mężczyznę, który uderzył się pięścią w pierś.

– Przepraszam – wymamrotał.

Brawo.

Potem muzyka umilkła, a nabożeństwo dobiegło końca. Jonah nie ruszył się z miejsca, kiedy przednie ławki zaczęły pustoszeć. Marie wyszła pierwsza, łkając, podtrzymywana przez starszego mężczyznę, który chyba był jej ojcem, i chudego jak Gavin nastolatka z ciemnymi kręconymi włosami. Jonah poczuł ukłucie, kiedy dotarło do niego, że to musiał być Dylan. Jezu, kiedy tak urósł? Ostatni raz, kiedy go widział, syn Gavina mógł mieć ile lat – sześć? Siedem? „Dziesięć lat temu. Policz sobie”.

Za nimi szły dwie kobiety, wniosując z podobieństwa, pewnie siostry Marie. Ludzie z dalszych rzędów wychodzili za nimi na zewnątrz i nie minęło zbyt wiele czasu, kiedy przyszła kolej Jonaha. Począł, aż tęgi mężczyzna wyjdzie pierwszy, po czym wstał, wspierając się na kulach.

Żałobnicy zebrali się na zewnątrz, ale teraz rozchodzili się szybko – większość policjantów szła ku bramom kościoła i czekającym na nich autom. Poczł ulgę, kiedy zobaczył, że telewizja i prasa też się pakowały i odjeżdżały, więc dołączył do krótkiej kolejki osób czekających, żeby złożyć kondolencje wdowie. Im był bliżej, tym bardziej się denerwował. Kiedy kolejne osoby wymieniały skrupowane uściski dłoni i składały wyrazy współczucia, zobaczył trzymającą się na uboczu sierżant Bennet – czarne dżinsy i skórzana kurtka stanowiły w tych okolicznościach naturalny kamuflaż. Nigdzie nie widział Fletchera. Twarz obserwującej

ludzi Bennet nie zdradzała żadnych emocji. Ale przynajmniej kiwnęła mu sztywno głową. Kolejka przesunęła się bliżej.

Krępy mężczyzna z kościoła właśnie rozmawiał z Marie. Jonah nie słyszał, co mówił, ale kiedy w końcu nieznajomy się odsunął, nadeszła jego kolej. Marie miała na sobie czarną sukienkę, a mocny makijaż przegrywał właśnie walkę ze łzami. Z daleka wyglądała niemal tak, jak ją zapamiętał. Inna fryzura, może nieco przytyła, ale poza tym niewiele się zmieniło. Dopiero gdy znalazł się w zasięgu jej perfum, dostrzegł zmarszczki i obrzękniętą twarz, których kosmetyki nie były w stanie zamaskować.

Wziął głęboki oddech.

– Marie, tak mi przykro...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej. Podeszła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję tak gwałtownie, że aż zachwiało się na kulach.

– Och, Jonah...!

Odwzajemnił uścisk najlepiej, jak mógł. Owionął go przesłodzony zapach perfum, wciąż jednak za słaby, żeby ukryć woń alkoholu w jej oddechu. Rozplakała się wsparta na nim, a on uświadomił sobie, że wszyscy im się przyglądają. Czuł, że się czerwieni, wyobrażając sobie ich szept. „To on. Ten, co znalazł Gavina”. Obok Marie stał jej nastoletni syn. Chłopak trzymał się sztywno, zaciskał pięści, próbując zachować kontrolę nad emocjami. Fizyczne podobieństwo do ojca było uderzające, choć było w nim coś ponurego i obrażonego, czego nie pamiętał u Gavina.

Marie wyprostowała się, zrobiła krok wstecz, nie wypuszczając go z objęć, i zmierzyła wzrokiem jego kule.

– Boże! Zobacz, w jakim ty jesteś stanie...

– Nie jest tak źle.

Nie słuchała go.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że odszedł.

Spuściła głowę, a jedna z jej sióstr – podobna starsza kobieta przy kości – położyła jej dłonie na ramionach. Jonah czuł się wyjątkowo skrępowany, ale Marie wciąż go trzymała, sprawiając, że nie mógł odejść.

Pociągnęła nosem.

– Dylan, pamiętasz Jonaha? To przyjaciel twojego taty.

Nastolatek podniósł oczy na tyle długo, żeby spojrzeć groźnie na Jonaha.

– No i?

– Dylan! – Twarz jej się ściągnęła. – Co ci mówiłam? Nie tak...

– Idę do samochodu.

Chłopak odwrócił się na pięcie i odszedł. Marie popatrzyła za nim i przywołała na twarz zrozpaczony uśmiech.

– Przepraszam, Jonah. To dla niego trudny czas...

– W porządku.

– Przyjdiesz na stypę, prawda? Będzie coś do przekąszenia, picia... więc... Jezu...

Siostra objęła ją ramieniem.

– Ćśś, Marie, spokojnie. Oczywiście, że przyjdzie.

Rzuciła Jonahowi wyzywające spojrzenie. Zdobył się na uśmiech.

– Zobaczymy się na miejscu.

Odkuśtykał, skrobiąc kulami o bruk. „Biedna Marie”, pomyślał, „i biedny Dylan”. Pogrzeb uświadomił mu, że nie tylko on potrzebował odpowiedzi. Nie dość, że żona i syn Gavina musieli poradzić sobie z rozpaczą z powodu jego śmierci, to nie mieli jeszcze ciała, które mogliby opłakać. Jonah aż za dobrze znał to uczucie.

To, co teraz go rozpałało, to fakt, że winę za obydwie zbrodnie mógł ponosić ten sam człowiek.

Informacja o Owenie Stokesie wytrąciła go z równowagi, ale powoli myślał coraz jaśniej. Na tyle, żeby zacząć się zastanawiać, co Fletcher miał na myśli, kiedy zażartował pogardliwie o wyczynach Gavina i dodał, że jego osąd nie był „najtrafniejszy”. Inspektor był zaskoczony i poirytowany, ale Jonah uważał, że wypsnęło mu się więcej, niżby chciał. Jakby wokół Gavina działało się więcej, niż przypuszczał.

Musiał się dowiedzieć co.

Szedł ścieżką, dopóki nie znalazł się w rozsądnej odległości od skupiska żałobników, po czym zatrzymał się pod dużym witrażem. Malowidło osłaniał porysowany plastik i bez słońca, które nadałoby kolorom życia, te wydawały się przytłumione. Pobladli święci i aniołowie przyglądali się w osłupieniu światu, którego nie poznawali. Jonah znał to uczucie.

Włączył aplikację – Fletcher w końcu bez komentarza oddał mu telefon – i zamówił taksówkę. Oczekiwany czas przyjazdu: dwadzieścia minut. Sprawdzał jeszcze coś, kiedy ktoś odezwał się za jego plecami.

– Jonah?

Głos należał do kobiety i brzmiał znajomo, chociaż nie skojarzył go od razu. Dopóki nie odwrócił się i nie zobaczył reporterki ze szpitala. Była ubrana na czarno, stosownie do okazji, choć sukienka, którą włożyła pod rozpiętą kurtką, bardziej nadawałaby się na uroczyste przyjęcie.



- Cześć, Corinne Daly. Rozmawialiśmy w...
- Pamiętam, kim jesteś – powiedział, odwracając się. Szła za nim w stronę bocznej bramy.
- Rozumiem, jakie to musiało być trudne, ale chciałabym zamienić tylko słowo.
- Nie mam ci nic do powiedzenia.
- Słuchaj, przepraszam, że w szpitalu tak wyszło...
- Tak wyszło? – Jonah zatrzymał się, po części wściekły, po części dlatego, że z kościoła na chodnik prowadziły schody, a on nie zamierzał pokonywać ich przy dziennikarce. – Zakradłaś się do mojego pokoju i udawałaś terapeutkę.
- Weszłam do pustego pokoju, nie zakradłam się – powiedziała, a jej uśmiech zniknął. – I nikogo nie udawałam. To nie moja wina, że wyciągnęłaś błędne wnioski.
- A to badziewie, które napisałaś? Czytałem twój artykuł dzisiaj rano. Nie powiedziałem żadnej z tych rzeczy.
- To nie było badziewie – warknęła. – Artykuł był zgodny z faktami i odzwierciedlał ton naszej rozmowy. I właściwie był bardzo życzliwy. Jeszcze mi się taki nie zdarzył.
- Co?
- Uśmiechała się przyjaźnie.
- Wierz mi lub nie, nie jestem twoim wrogiem. Rozumiem, dlaczego mi nie ufasz, ale nie rób ze mnie potwora. Wiem, jak to jest tracić przyjaciół. I sama jestem rodzicem. Moja córka Maddie ma sześć lat. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby coś jej się przytrafiło.
- Na pewno jest z ciebie dumna.
- Komentarz był rzucony ot tak, ale widział, że uwaga ją zabolą.
- A właśnie że jest – powiedziała, rumieniąc się. – Wie, że jej matka próbuje demaskować złych ludzi i kłamców.
- „I zakrada się do szpitali, udając terapeutkę”. Jonah sprawdził telefon, prosząc, żeby taksówka przyspieszyła. Aplikacja pokazała opóźnienie. „Szlag”.
- To co tutaj robisz? – Spojrzał w stronę jezdni, jak gdyby w ten sposób taksówka mogła zmaterializować się szybciej.
- Przyszłam złożyć kondolencje. I miałam nadzieję, że uda mi się znowu z tobą porozmawiać.
- Mówiłem już, że nie mam ci nic do powiedzenia.

– Nie wiesz jeszcze, o czym chcę porozmawiać. – Zrobiła gest w stronę kościoła. – Przykro mi z powodu Gavina McKinneya, ale nie jest jedyną ofiarą, prawda? Co z pozostałą trójką? Żadnej z tamtych osób nie wyprawiono pogrzebu.

– Jeszcze ich nie zidentyfikowali.

Natychmiast zirytował się, że w ogóle jej odpowiedział. Daly przechyliła głowę.

– Nie? A co, gdybym ci powiedziała, że tożsamość jednej z ofiar jest już znana? I że to nie byli nielegalni imigranci?

Wiedział, że nie powinien chwycić przynęty, ale nie mógł się powstrzymać.

– Dziewczyny?

Uśmiech Daly był czarujący.

– To może spotkamy się i porozmawiamy jak ludzie? W pubie albo kawiarni, wszystko jedno. Albo możemy iść na obiad, jeśli chcesz.

„Czy ona żartuje?”

– Posłuchaj...

– Co się dzieje?

Jonah nie słyszał, jak Bennet podeszła. Z zaskoczonyj miny Daly wynikało, że ona też nie. Zmierzyła wzrokiem skórzaną kurtkę i džinsy. Uśmiechnęła się z uprzejmym lekceważeniem, kiedy policjantka stanęła obok nich.

– Prywatna rozmowa. A pani to...?

– Sierżant Bennet. A to jest prywatna uroczystość. Prasa ma zakaz wstępu na teren kościoła, więc muszę poprosić, żeby pani sobie poszła.

– Właściwie to wydaje mi się, że uroczystość się skończyła. I jestem poza kościołem.

– Właściwie to z panią nie dyskutuję. Proszę odejść.

Daly uśmiechnęła się ostrzej.

– Naprawdę chce pani urządzać scenę na pogrzebie? Przy całej rodzinie? Bennet wzruszyła ramionami.

– Wisi mi to.

Jeśli był to błąd, to przekonujący. Wydawała się odprężona, ale widać było drżącą w niej siłę. Jonah doszedł do wniosku, że sam wolałby nie zadzierać z sierżant Bennet, nawet z dwiema zdrowymi nogami.

Daly była najwyraźniej tego samego zdania. Demonstracyjnie odwróciła się do Jonaha, próbując pokazać, że nie zamierza ustąpić.

– Dobrze cię znowu widzieć, Jonah. Pamiętaj, co powiedziałam. A jeśli tylko będziesz chciał porozmawiać...

Odchodziła już, gdy nagle odwróciła się do Bennet z wściekłym uśmiechem.

– Tak przy okazji, świetna stylówka na gotkę.

Wysokie obcasy stuknęły triumfalnie o bruk, kiedy szła ścieżką do bramy. Bennet patrzyła leniwie za dziennikarką jak kot obserwujący ptaszka.

– Czego chciała?

– Pytała o inne ofiary. I zanim zapytasz, nic jej nie powiedziałem.

– Mam nadzieję.

– Powiedziała, że jedna z ofiar została zidentyfikowana – rzucił Jonah, zanim zdążyła odejść. – Nie mówiła kto, ale słyszała, że to nie byli nielegalni imigranci.

Bennet zwróciła ku niemu ciemne oczy. Czuł, że go ocenia.

– Co jeszcze ci powiedziała?

– Nic, to wszystko. Chciała się dowiedzieć, ile wiem.

– I nic jej nie powiedziałeś.

– Niby jak? Przecież nic nie wiem.

Przyglądała mu się przez chwilę, po czym kiwnęła głową.

– Okej.

– To prawda? – zapytał, kiedy ruszyła przed siebie. – Zidentyfikowaliście jedno z nich?

– Nie powinieneś wierzyć plotkom – powiedziała Bennet, odchodząc.

# Rozdział 11

Stypa odbywała się w bocznej sali pubu. Było to duże pomieszczenie z francuskimi oknami po jednej stronie i sceną zasłoniętą kurtyną po drugiej. Stoliki i krzesła wyniesiono, a długi okryty białym obrusem bufet zastawiony był kanapkami, kiszami i podgrzewaczami z ciepłymi daniami. Z kościoła przyszło jedynie kilkanaście osób, przez co rozległa przestrzeń wydawała się jeszcze bardziej pusta niż w rzeczywistości.

Jonah zauważył, że był chyba jedynym gościem w mundurze.

Siedząca przy stole, otoczona przez rodzinę oraz szkło z alkoholem, Marie wyglądała, jakby wpadła w szok. Nastoletni siostrzeńcy i siostrzenice zebrali się wokół bladego i milczącego Dylana. Jonah podszedł i jeszcze raz wpadł we łzawe objęcia Marie. Pachniała makijażem i czerwonym winem.

– Jonah, tak się cieszę, że przyszedłeś! Gdzie są wszyscy? – zamartwiała się. – Dlaczego nie ma tu więcej ludzi? Wszyscy jego koledzy z pracy, wszyscy ludzie z kościoła, gdzie oni są? Nie rozumiem!

Jonah też nie rozumiał.

– Pewnie w drodze – powiedział, choć wyszedł ostatni. Każdy, kto planował wziąć udział w stypie, powinien już tu być.

Marie rozejrzała się po pustej sali, jakby widziała ją po raz pierwszy.

– To jakiś koszmar. Cały czas myślę, że się obudzę, ale nie mogę. Boże, nie mogę znieść myśli, że Gavin leży tam sam, wszystko... – Otarła oczy i wychyliła spory łyk wina. – Cieszę się, że to ty go znalazłeś. Zawsze byliście tak dobrymi przyjaciółmi, nigdy nie potrafiłam zrozumieć, czemu straciliście kontakt.

Jonah przerabiał to już, kiedy rozmawiali przez telefon.

– Czasem tak bywa.

Ale w rzeczywistości nie czekała na odpowiedź.

– Ciągłe nie umiem się z tym pogodzić. Wiesz, że to ryzyko jest, ale nigdy nie myślisz, że faktycznie może się przydarzyć coś złego. Nie Gavowi. A to, że ktoś zabrał jego ciało... kto mógłby zrobić coś takiego?

Poczuł ulgę, bo tym razem również nie musiał silić się na wyjaśnienia.

– Ten inspektor... Fletcher, ten z twarzą. Przyszedł wczoraj wieczorem i wypytywał, czy Gav mówił kiedykolwiek coś o człowieku... Owenie Stonie czy Stokesie, jakoś tak. Ale nie powiedział, dlaczego go to interesuje.

Tętno Jonaha przyspieszyło na dźwięk nazwiska.

– Ale co? Mówił coś? Gavin.

– Nie, wiesz, jaki był. Nigdy nie opowiadał o pracy. – Jej spojrzenie było przestraszone i błagalne. – Czy uważają... uważają, że to on to zrobił?

– Nie jestem pewien, co uważają, Marie. Mnie też nic nie mówią.

Była to prawda tylko do pewnego stopnia, ale nie pomógłby Marie, gdyby podzielił się z nią jedynie domysłami. Wątpił, czy mogłaby skojarzyć Owena Stokesa z zaginięciem Theo. Był podejrzany stosunkowo krótko, a nawet jeśli Gavin o nim wspominał, szanse na to, że pamiętałaby jego nazwisko po tylu latach, były niewielkie.

Ale Jonah i tak miał sobie za złe wymijającą odpowiedź. I poczuł się tylko gorzej, kiedy ścisnęła jego dłoń.

– Naprawdę się cieszę, że tu jesteś. Z tobą mogę porozmawiać, przecież wiesz, jak to jest. Jak to zniosłeś?

– Spróbuj wytrzymać jeden dzień po drugim – powiedział, żałując, że nie ma lepszej rady.

– Próbuję, ale to takie... ta niewiedza. Chciałabym po prostu, żeby ktoś mi powiedział, kto to zrobił albo dlaczego, albo co zrobił z... z... O, Boże!

Starszy mężczyzna, którego Jonah wziął za jej ojca, podszedł i łagodnie odciągnął ją na bok.

– Marie, spokojnie. Gavin nie chciałby, żebyś się tym zadręczała. Pomyśl o Dylanie.

To wywołało tylko kolejny potok łez. Ojciec stanął obok Jonaha, kiedy jedna z sióstr poprowadziła Marie na jej miejsce.

– Wyszła z domu po raz pierwszy od kilku tygodni. Jestem jej tatą, powinienem być przy niej i ją wspierać, ale nie mam pojęcia, jak z nią rozmawiać. Co mam jej powiedzieć? Albo Dylanowi?

– Policja niczego nie zdradziła? – zapytał Jonah.

– Nie za bardzo, tylko tyle, że sprawdzają jakiś trop. Ale co to znaczy? Twierdzą, że nie mogą ujawniać szczegółów trwającego śledztwa. Nawet jego żonie. Gdzie w tym jakieś współczucie?

Mężczyzna wziął się w garść i popatrzył na niego, mrugając, jakby zapomniał, że w ogóle tam był.

– No, w razie czego bar jest otwarty. – Spróbował się uśmiechnąć, ale myślami był już gdzie indziej. – Proszę zamawiać, na co pan ma ochotę.

Jonah odsunął się z budzącą wyrzuty sumienia ulgą. Przy barze zamówił piwo w butelce, licząc, że tak będzie łatwiej je nosić. Wypił łyk i rozejrzał się po niemal pustym pomieszczeniu. To by było na tyle, jeśli chodzi o wyciągnięcie od kogoś jakichś informacji. Gdzie, do diabła, się wszyscy podziali? W barze powinno być tłoczno od współpracowników Gavina i starszych oficerów, ale wyglądało na to, że wszyscy zmyli się tuż po zakończeniu nabożeństwa. Jakby nie mogli się doczekać, żeby uciec. Zdaniem Jonaha nawet niepokojące wątpliwości dotyczące śmierci Gavina nie tłumaczyły zniewagi na taką skalę.

Więc co się stało?

– Fajnie, że pojawił się ktoś w mundurze.

Jonah obejrzał się i rozpoznał tęgiego mężczyznę, z którym siedział w jednej ławce w kościele. Stał przy stole, trzymając wyładowany po brzegi talerz w jednej ręce, a pasztecik w drugiej. Zamiast garnituru i krawata stosownych do okoliczności miał na sobie granatowe chinosy, czarny sweter z golfem i beżową skórę, której przód obsypany był okruchami ciasta. Przeżuwał, spoglądając na Jonaha, a drobne oczy osadzone nad napchanymi policzkami wyglądały na bystre i czujne. Nie do końca wrogie, ale na pewno nie przyjazne.

– Mało nas, co? – Mówił opryskliwym i lekko zachrypniętym tonem, jakby niedawno był przeziębiony. – Spójrz na to. Jebany skandal.

Jonah zbliżył się do niego.

– Przyjaźniłeś się z Gavinem?

– Przyjaźniłem. – Potężny mężczyzna wyprostował się. – Pracowałem z nim przez osiem lat, w zeszłym roku odszedłem na emeryturę.

– Jestem Jonah...

– Wiem, kim jesteś. – Wpakował końcówkę pasztecika do ust i kontynuował, dalej żując. – Widziałem cię w gazecie.

– Wrobiła mnie.

– Taa, myślałem właśnie, że tak mogło być. Jebani reporterzy. – Otarłszy okruchy z ust, mężczyzna wyciągnął dłoń. – Jim Wilkes. Posterunkowy w stanie spoczynku.

Zachowywał się tak, jakby jego nazwisko miało coś Jonahowi powiedzieć. Ale nie mówiło. Uścisnął mu rękę. Była gruba i twarda, wciąż tłusta od ciasta. Wilkes odwzajemnił uścisk niemalże boleśnie, jakby nie wiedział, jak to się robi. Puścił jego dłoń, odstawił talerz i podniósł kufel.

– Jezu, co za popieprzona sprawa. Wciąż nie mogę w to uwierzyć. No wiesz, Gavin? Wydaje się niemożliwe. – Popatrzył na kule Jonaha. – Wygląda na to, że sam nieźle oberwałeś. To co tam się wydarzyło?

– A co słyszałeś? – odbił Jonah.

– Chuja słyszałem. Pytałem, ale nikt nic nie mówi. Byłem detektywem przez dwadzieścia pięć lat, rozumiem, że o niektórych rzeczach nie gada się głośno. Ale poza pierdoleniem dla prasy nic nie słyszałem. Ani słowa o jakichś podejrzanych, nic o tym, co Gavin tam robił. Nic. – Wilkes zatoczył rękami krąg, jak bokser szykujący się do walki. – Nie jestem idiotą, widzę, kiedy ktoś próbuje coś zatuszować. Ale Gav był dobrym kumplem. Chciałbym wiedzieć, co się dzieje.

Jonah zastanawiał się przez chwilę nad ryzykiem, ważąc za i przeciw. Po tym, jak sparzył się już raz z Daly, nie zamierzał wierzyć nikomu na słowo. Ale facet wyglądał na byłego glinę, a Marie go znała. Jeśli nie byłby przyjacielem Gavina, nie zjawiłby się tutaj.

Poza tym Jonah miał nadzieję znaleźć kogoś, kto mógłby uzupełnić jego wiedzę z ostatnich dziesięciu lat. Na emeryturze czy nie, Wilkes pracował z Gavinem i znał go od tej strony, której Marie nigdy nie widziała. Jeśli Jonah chciał się czegoś dowiedzieć, musiał dać mu coś w zamian.

Pomijając wzmiankę o Owenie Stokesie, ścisłym głosem zdał byłemu detektywowi oenzurowaną relację z wydarzeń w magazynie. Wilkes słuchał ponuro, a twarz pociemniała mu jeszcze bardziej, kiedy usłyszał, jak ciało Gavina zostało owinięte w folię i zabrane. Kiedy Jonah skończył, widok łez w oczach mężczyzny był dla niego zaskoczeniem. Wilkes wyjął chusteczkę, żeby wydmuchać nos.

– Szkoda, że nie skasowałeś skurwiela. – Chrząknął, chowając chusteczkę do kieszeni. – I nie udało ci się mu przyrzec? Nawet kiedy go obserwowałeś?

– Było kompletnie ciemno – zirytował się Jonah. – Powinieneś dać się znokautować i związać, zobaczymy, jak ci pójdzie.

– Tak tylko mówię, nie musisz się obrażać. – Wilkes się skrzywił. – Więc to był tylko jeden człowiek?

– Tylko jego widziałem.

– W takim razie nie wygląda to jak sprawa, w którą byłby zamieszany jakiś gang. Z gazet wynika, że to imigranci zabici przez przemytników, ale mnie to bardziej przypomina działanie samotnego psychola. – Jeszcze bardziej zmarszczył brwi. – Tylko wciąż nie rozumiem, co tam robił Gavin. Albo dlaczego zadzwonił do ciebie. Bez urazy, ale nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek o tobie wspominał. Jeśli miał kłopot, dlaczego w takim razie zadzwonił do ciebie zamiast... zamiast do kogoś innego?

– Cały czas próbuję to rozgryźć. – Jonah nie chciał krążyć wokół tego tematu zbyt blisko, nie kiedy rewelacje Fletchera na temat Owena Stokesa wciąż były tak świeże. Kiwnął w stronę prawie pustej szklanki. – Chcesz drugie?

– Nie odmówię. – Sądząc po jego wyglądzie, faktycznie rzadko to robił. – Złapię tylko coś do żarcia i pójdę z tobą.

Jonah zaczekał, aż załaduje talerz, po czym poszli do baru. Po drodze zauważył, że Wilkes utykał.

– Już kilka miesięcy czekam na tę cholerną operację – sarknął. Kiedy dostał lagera, wznosił szklankę w stronę Jonaha. – Za Gavina.

Jonah pochylił butelkę – nadal pierwszą – w toaście, ale nic nie powiedział.

– Kiedy ostatni raz go widziałeś?

Były detektyw odwrócił wzrok.

– Dość dawno. Wiesz, jak to jest, kiedy odchodzisz.

Wiedział. Krótko po wyjściu ze szpitala spotkał się z oddziałem na drinka. Cieszył się, że ich widzi, ale czuł się jak intruz.

– Ale mieliście kontakt?

– No jasne – obruszył się Wilkes. – Spotykaliśmy się na piwo albo curry, te rzeczy. Choć nie tak często, odkąd się wyprowadził.

– Wyprowadził?

– Nie wiedziałeś? – Małe oczy roz błysły bystro i triumfalnie. – Byli z żoną w separacji. Wynajmował mieszkanie w Ealing.

To była nowość. Marie nic nie powiedziała, ale pewnie nie chciała tego rozpamiętywać. Nie w momencie, kiedy jakakolwiek szansa na pogodzenie umarła razem z Gavinem.

– Co się stało?



– Nie mnie o tym mówić – stwierdził Wilkes, wpatrując się w kufel.

– Nie, oczywiście.

Jonah zajął się piwem, pozwalając ciszy odwalić całą robotę.

– Między nami, nie układało im się od jakiegoś czasu – powiedział Wilkes. – Znasz Gava, nie był święty. Lubił ostro się zabawić, ale nic więcej. Nigdy wcześniej nie musiał się wyprowadzać.

Jonah odczekał chwilę, żeby upewnić się, że jego twarz niczego nie zdradzała.

– Spotykał się z kimś?

– Chryste, nie, nie po... – Wilkes wyglądał, jakby dopiero teraz ugryzł się w język. – To znaczy to nigdy nie było nic poważnego, nie był aż taki głupi. Raczej nie można winić jego żony za to, że się denerwowała, ale w tej robocie trzeba czasem spuścić parę. Zwłaszcza przy tej presji, zawieszeniu i całej reszcie.

– Zawieszeniu?

Wilkes rzucił mu sceptyczne spojrzenie, ciesząc się zdziwieniem Jonaha.

– Jezu, naprawdę nie jesteś na bieżąco. Został zawieszony, odebrano mu pensję, choć nikt teraz tego nie przyzna. W prasie nie wyglądałoby za dobrze, gdyby wyszło na jaw, że wewnętrzny wsiadł na niego kilka miesięcy temu, co nie?

Nagle wiele rzeczy nabrało sensu. Wydział ds. etyki zawodowej prowadził dochodzenia w sprawie oskarżeń wobec funkcjonariuszy policji. Jeśli Gavin był na ich celowniku, nie znaczyło to nic dobrego.

Ale wyjaśniało zarówno powściągliwą oficjalną reakcję na jego śmierć, jak i puste pomieszczenie w trakcie stypy. Niska frekwencja w kościele, gdy media czekają na zewnątrz, to jedno, ale prywatna stypa to już coś zupełnie innego. Z jakiegoś powodu Gavin został objęty dochodzeniem, a sprawa była na tyle poważna, że jego koledzy nie chcieli oberwać rykoszetem.

Poza Wilkesem.

– Co niby zrobić? – zapytał Jonah.

Były detektyw z niezadowoleniem sięgnął po kolejne piwo.

– Zarzuty wyssane z palca. Wiesz, jak to jest, czasem musisz nagiąć reguły, żeby zrobić swoje. Ale teraz to już bez znaczenia, nie?

„Wręcz przeciwnie, jeśli miało to coś wspólnego z obecnością Gavina w magazynie”, pomyślał Jonah. Ponieważ oberwać mógł również on sam. Jezu, nic dziwnego, że Fletcher był tak podejrzliwy.

– Oskarżyli go o branie w łapę?

Z przerażenia, które przemknęło przez twarz Wilkesa, wyczytał, że trafił w dziesiątkę. Potężny mężczyzna spróbował zamaskować to wybuchem wściekłości.

– Chcesz o tym gadać, pytaj kogoś innego. Nie zamierzam obrabiać mu dupy, kiedy nie może się bronić. I nie obchodzi mnie, co ludzie pitołą, Gav był porządnym człowiekiem. Zasługiwał na coś lepszego niż to. – Piwo wylało się ze szklanki, kiedy machnął nią w stronę niemal pustego pomieszczenia. – Przemowa na odwal się i zapiekanka na tyłach pubu. I dwulicowe gnoje, którym nawet nie chciało się ruszyć tutaj dupy.

Twarz Wilkesa poczerwieniała z wściekłości. Jonah nie chciał zdenerwować go jeszcze bardziej, ale musiał się tego dowiedzieć.

– Wszystko jedno, za co został zawieszony – stwierdził. – Myślisz, że to mogło być związane z tym, co się stało w magazynie?

Wilkes potrzebował minuty lub dwóch, żeby otrząsnąć się ze świętego oburzenia.

– Nie wiem, w jaki sposób. Tak jak mówiłem: nie mam pojęcia, jaki miałyby interes, żeby w ogóle tam być. Nie, jeśli...

– Jeśli co?

Wilkes potarł nos, patrząc z zawstydzeniem w przestrzeń.

– No, nie miał przecież zbyt wiele do stracenia, nie? Chłopcy bez skazy się do niego dobrali, żona go wykopała, zawiesili go. Jak się nie obrócisz, dupa zawsze z tyłu. Więc jeśli zwęszył coś w magazynie, mógł stwierdzić „jebać to” i po prostu tam wparować. Jeśli by się udało, to pewnie by go ozłocili, a jeśli nie...

Nie dokończył. Ale zdaniem Jonaha coś w tym było. Gavin zawsze miał skłonność do brawury, mentalność hazardzisty kazała mu niepotrzebnie ryzykować. Oczywiście przeważnie wszystko kończyło się dobrze, co jeszcze bardziej utwierdzało Gavina w przekonaniu, że taka była naturalna kolej rzeczy. Przeważnie, ale nie zawsze – a wtedy obrywali inni ludzie.

Nie dało się nie dostrzec tutaj podobnego schematu.

Jonah zamilkł, a emerytowany policjant wychylił resztkę piwa i grzmotnął szklanką o bar.

– Napijmy się czegoś porządnego. – Gestem przywołał barmana. – Dwie brandy. Duże.

Ledwie dostali drinki, gdy nagle przy stole Marie zapanowało poruszenie. Odebrała telefon i wstrząśnięta kręciła głową. Jedna z sióstr

przejęła od niej słuchawkę, a inna zaczęła ją pocieszać. Ludzie wokół nich rozmawiali między sobą zdenerwowani lub wściekli.

– A co tym razem? – rzucił Wilkes.

Siostra skończyła rozmowę i powiedziała coś do Marie, która znowu wybuchnęła płaczem. Ojciec pomógł się jej podnieść, inni też już stali.

Wilkes wychylił swoją brandy.

– Sprawdzę, co się dzieje.

Ruszył w ich stronę, nie czekając, aż Jonah zbierze się o kulach. Cała rodzina kręciła się, szykując się do wyjścia. Dwie osoby przerwały, żeby porozmawiać z Wilkesem. Cokolwiek się stało, nie wyglądało to dobrze. Po chwili Wilkes wrócił, krocząc dumnie i poważnie.

– Zbieraj się. Kończymy imprezę – rzucił do Jonaha. – Jakiś bydlak włamał im się do domu.

Od jego ostatniej wizyty Gavin i Marie zamienili ciasne, dwupokojowe mieszkanie na wolnostojący dom w nowym budownictwie. W broszurze opisano by go pewnie jako „położony w okolicy dla wyższej klasy średniej”, pomijając nędzny metraż i to, jak blisko siebie upchano pozostałe budynki. Duże auta ledwie mieściły się na podjazdach, a ogródki zredukowano do symbolicznych skrawków zieleni okalających płyty chodnikowe. Nie było to miejsce, w którym Jonah chciałby mieszkać – choć w sumie i tak nie byłoby go na to stać. Metraż nędzny czy nie, spłata hipoteki mocno nadwerżyłaby budżet policjanta.

Zwłaszcza gdyby zawieszono mu wypłacanie poborów.

Wysiadłszy z auta Wilkesa, Jonah przeszedł za tęgim mężczyzną przez podjazd do drzwi frontowych. Były otwarte – PCW stylizowane na drewno, wstawka z mlecznego szkła w górnej części. Nie wyglądały na naruszone, więc włamywacz musiał znaleźć inną drogę. W samym domu panował bałagan. Większość pomieszczeń została przewrócona do góry nogami, szuflady i szafki opróżniono, a ich zawartość wywalono na podłogę. W ten sposób trudniej było określić, co zginęło, ale wszystko sugerowało, że sprawca działał w pośpiechu. Dom był wyposażony w alarm antywłamaniowy i wyglądało na to, że złodzieje przetrząsnęli pokoje, zabierając co wartościowsze – i nadające się do wyniesienia – przedmioty, zanim ktokolwiek zdążył zareagować. Duży i drogi telewizor z kinem domowym z salonu stał nietknięty, prawdopodobnie za ciężki, by go ruszyć.

Marie krążyła od pokoju do pokoju, ledwie trzymając się na nogach, i z płaczem oceniała szkody.

– Kto mógł coś takiego zrobić? – powtarzała. – I to jeszcze dzisiaj? Jak ktoś może być tak bez serca?

Jonah przeszedł przez dom. W najgorszym stanie był pokój Dylana. Zniknęła cała elektronika, włącznie z konsolą i słuchawkami. Nastolatek wydawał się szczególnie przejęty tym, że zniknęła również para wciąż jeszcze nierozpakowanych tramppek.

– Cholera! Cholera! – krzyczał, waląc w ścianę. – Po co nam w ogóle alarm?

– Nie klnij – poprosiła go matka. – Mogło być gorzej...

– Łatwo ci mówić, bo to nie ciebie okradli! W ogóle nie chciałem tam iść, mówiłem, że to strata czasu!

– Nie mów tak, Dylan! Przecież tak nie myślisz!

– Rozpuszczony gówniarz – mruknął Wilkes, kiedy się wycofywali. – Zasługa mamusi. Gav by mu nie przepuścił.

Na tyłach domu ktoś wyłamał płytę na ganku, a drewniana framuga została roztrzaskana. Kiedy Wilkes przykucnął, żeby dokonać oględzin, wyglądał jak Budda w golfie. Pokiwał głową ze znawstwem.

– Tylko czekają na okazję – mruknął. – Bydlaki przeglądają nekrologi, żeby wiedzieć, kiedy nikogo nie będzie. Wykopali płytę, weszli do środka i wyłamali zamek w drzwiach. Zabrali sprzęt, który da się opchnąć, a potem uciekli. Zajęło im to kilka minut.

– To musiał być ktoś niski – powiedział Jonah, patrząc na rozmiar płyty.

– Prawdopodobnie dzieciaki. Puścili najmniejszego przodem, żeby otworzył i wpuścił resztę. Jak kominiarze.

Wilkes parsknął ze swojego żartu, ale Jonah nie był przekonany.

– Spójrz na drzazgi. Nawet dzieciak ryzykowałby, że się zaczepi.

– No i? Widziałem, jak te skurczybyki wciskały się do miejsc, w które byś nie uwierzył. – Kolana trzasnęły, kiedy wstał. – Tu masz swoje miejsce włamania. Nie komplikuj tego.

Jonah wciąż miał wątpliwości, ale kradzieże nie były jego działką. W przeciwieństwie do Wilkesa, który był w swoim żywiole. Puszył się i rozstawiał po kątach dwóch patrolowych, jakby był oficerem prowadzącym, a nie emerytowanym posterunkowym. Po zapytaniu, kiedy przyjadą technicy z SOCO, żeby zebrać odciski palców, i jakie dalsze kroki

planuje policja, Wilkes wydawał się usatysfakcjonowany wrażeniem, które zrobił.

– Nie martw się, osobiście dopilnuję, żeby się tym zajęto – zapewnił Marie.

Żona Gavina znalazła niestłuczony kieliszek i butelkę wina i wyglądało na to, że zacznie stypę tam, gdzie jej przerwano. Siostry zamierzały jej towarzyszyć, a jeden ze szwagrów miał zabezpieczyć tylne drzwi i werandę, więc kiedy funkcjonariusze wyszli, Jonah nie widział powodu, żeby dłużej tam zostawać. Kiedy zbierał się do wyjścia, spowita oparami wina Marie przytuliła go, a on znów zachwiał się na kulach.

– Odzywaj się, dobrze? – Pociągnęła nosem.

Jonah odwzajemnił uścisk. Współczuł jej, ale ulżyło mu, że mógł już wyjść. Późnojesienny wieczór był chłodny, zima już dawała o sobie znać. Ale przynajmniej włamanie wprawiło Wilkesa w lepszy nastrój.

– Ciężki dzień – powiedział, naciągając brązowe skórzane rękawiczki, kiedy szli chodnikiem. Biodro chyba już mu nie dokuczało i wydawał się bardziej pobudzony niż przez całe popołudnie. – Ale Marie mimo wszystko wyglądała dobrze. Siostrzyczek też bym z łóżka nie wyrzucił.

Jonah zmierzył go wzrokiem, ale Wilkes był zbyt podekscytowany, żeby to zauważyć.

– Zaproponowałbym ci podwózkę, ale nie jadę w twoją stronę – rzucił krępy policjant, kiedy dotarli do jego auta.

Jonah nie powiedział mu, gdzie mieszka, ale i tak nie chciałby z nim jechać. Nie miał najmniejszej ochoty na spędzanie czasu w towarzystwie byłego detektywa. To był długi dzień, a jemu wciąż nie udało się poskładać tego, czego dowiedział się o Gavinie, nie wspominając o sensacji na temat Owena Stokesa. Był zmęczony, bolało go kolano, nie jadł nic od śniadania. Chciał tylko wrócić do mieszkania i spróbować uporządkować myśli.

Ale okazja mogła się już nie powtórzyć.

– Jakie plany na wieczór? – zapytał.

Wilkes przystanął przy aucie, bawiąc się kluczykami.

– A co?

W jego głosie, oprócz czujności, pobrzmiwała ostrożna nadzieja. Jonah zauważył, że Wilkes nie nosił obrączki i ani razu nie wspomniał o rodzinie. Nie znaczyło to jeszcze, że żadnej nie miał, ale coś w byłym policjancie sugerowało, że był sam.

W sumie tak jak on. Przez chwilę wyobrażał sobie, jak wchodzi do mieszkania, a potem uwalnia się na kanapie z piwem i czymś do jedzenia. Potem odsunął tę wizję.

– Nie dokończyliśmy tego drinka – powiedział.

## Rozdział 12

– Wiem, okej? Nie jestem skończoną... – Daly urwała, wznosząc oczy ku niebu, a głos w słuchawce nadal głądził. – Oczywiście, że zdaję sobie sprawę, ile czasu mi to zajmuje, Giles, ale... Nie, nie dowiedziałam się zbyt dużo na pogrzebie, ale spotykam się później ze źródłem, które... rozumiem to, ale... dobra. Tak, w porządku, jak chcesz.

Stuknęła w telefon, kończąc rozmowę, po czym rzuciła go na biurko.

– Pieprzony kutas!

Spojrzała spode łba przez ciemne okno, w którym nie widziała nic poza swoim odbiciem. Podniosła aparat, żeby upewnić się, czy na pewno się rozłączyła.

– Kutas – mruknęła, odkładając go znowu.

Opadła z powrotem na krzesło i popatrzyła na ekran laptopa.

*Wiele pytań dotyczących wydarzeń na Nabrzeżu Rzeźników, gdzie zamordowano brutalnie cztery osoby, włącznie z funkcjonariuszem policji metropolitalnej, wciąż nie doczekało się odpowiedzi. Jak do tej pory nie przedstawiono żadnych wyjaśnień...*

Kursor mrugał za niedokończonym zdaniem. Daly wpatrywała się w niego wściekle, po czym wcisnęła backspace, żeby skasować to, co napisała. Słowa znikaly, dopóki strona na ekranie nie zrobiła się pusta. Odchyliwszy się do tyłu, odgarnęła włosy i wbiła wzrok w sufit.

– Kurwaaa...

Zmarszczyła nos, kiedy poczuła woń potu pod pachami. Cały czas siedziała w sukience z pogrzebu, ale ta była już wygnieciona. Co gorsza w miejscu, w którym ochlapała się latte z pokrywki, została plama. To była jedna z jej najładniejszych sukienek, a numer z małą czarną rezerwowała tylko na wyjątkowe okazje. Zamierzała przebrać się od razu po powrocie z uroczystości, ale rano wyszła z domu w takim pośpiechu, że zapomniała ciuchów na zmianę – a potem było już za późno, żeby się wracać. Zazwyczaj nie chodziła w niej na pogrzeby, ale pomyślała, że Colley tam będzie. I, tak zupełnie szczerze, jej nogi prezentowały się w niej naprawdę nieźle. Przyłapała Colleya na tym, że im się przygląda – na zdrowie! – zanim ta oziębła suka postanowiła wszystko zepsuć. Teraz musiała oddać durną kieckę do pralni. A to była kolejna rzecz, której w tym momencie nie potrzebowała – bez szans, żeby ta menda Giles pozwolił jej wrzucić to w koszy.

– Kurwa – rzuciła jeszcze raz. Tak po prostu.

Doprowadzało ją to do szału. Wiedziała, że morderstwa w magazynie były częścią czegoś większego. Cztery zamordowane osoby, w tym sierżant policji, i z jakiegoś powodu nikt nie chce o tym gadać. Żadnej kampanii medialnej, żadnych oficjalnych lub nieoficjalnych briefingów. I ani jednego podejrzanego – a przynajmniej żadnego potwierdzenia, że jakiś jest.

Coś było bardzo nie tak.

Nawet popołudniowe nabożeństwo było dziwacznie byle jakie. Przy okazji pogrzebu zamordowanego funkcjonariusza spodziewała się niezłego zamieszania – nic z tych rzeczy. Okej, więc może zachowywali ostrożność, żeby nie powiedzieć zbyt wiele, kiedy jeszcze nie odnaleźli ciała. Ale już samo to powinno spowodować zdecydowaną reakcję. No i dlaczego nie zwrócili się do opinii publicznej z prośbą o informacje? Wyglądało to tak, jakby nie chcieli, żeby temat utrzymał się w mediach.

Jakby się wstydzili.

Wciąż nie udało jej się zdobyć oficjalnego komentarza na temat tego, co Colley i McKinney robili w magazynie. W pewnym momencie wszyscy przypuszczali, że była to jakiegoś rodzaju operacja, co wyjaśniałoby ich dyskrecję. Ale dlaczego kontrterrorysta miałby być zaangażowany w coś takiego? Colley wydawał się porządnym człowiekiem, ale zaczęły docierać do niej plotki na temat McKinneya. Że ponoć nie był tak do końca czysty, a kiedy zginął, miał jakieś problemy.

No i pozostawały jeszcze ofiary.



Daly była przekonana, że to one były kluczem. Praktycznie nikt nie zwracał na nie uwagi – zredukowano je do anonimowych statystyk, nikt ich nie zidentyfikował i najwyraźniej nikt za nimi nie tęsknił. Daly wiedziała, że sama popełniła błąd, na początku zbyt skupiając się na McKinneyu i Colleyu. Ale kiedy próbowała pociągnąć temat, Giles, jej wydawca, wygłosił cały wykład na temat tego, że „kolejni martwi imigranci” nie sprzedadzą gazet ani nie przyciągną reklamodawców, po czym zabronił jej marnować na to czas. Nabrzeże Rzeźników obchodziło go tyle co zeszłoroczny śnieg.

Ale Daly patrzyła na to inaczej. A uświadomił jej to wyraz twarzy Colleya, kiedy opowiadał jej, jak próbował uratować tamtą kobietę, Nadine. Okej, chwilę potem ją wyrzucił, ale co z tego. Przeoczyli prawdziwą ludzką tragedię. A odkrycie, że któraś z trzech anonimowych ofiar nie była kolejnym „martwym imigrantem”, jak ujmował to Giles, obaliłoby całą tę teorię o handlu ludźmi.

A wtedy pierdzielony Giles musiałby pozwolić jej zająć się tym tematem.

Tak więc Daly zaczęła węszyć. Nie miała wiele punktów zaczepienia, ale przebijała się przez strony z osobami zaginionymi, sprawdzając, czy ktoś mniej więcej w tym samym czasie zgłosił zaginięcie osób, które pasowałyby do dość ogólnej charakterystyki ofiar.

I sama się zdziwiła, kiedy kogoś znalazła.

Policja odmawiała potwierdzenia, kiedy zwróciła się do nich z zapytaniem, ale też nie zaprzeczyła. Zinterpretowała to tak, że woleli potwierdzić na przykład zgodność danych i DNA, zanim przekażą to opinii publicznej. Co dawało jej wąskie okno, żeby ich wyprzedzić i pierwszej opublikować tożsamość ofiary.

Ale żeby to zrobić, potrzebowała konkretnego. To dlatego poszła na pogrzeb McKinneya. Nie do końca wprowadziła w błąd Colleya, kiedy powiedziała mu, że jedna z ofiar nie była nielegalnym imigrantem. Jeśli miała rację, jedynie uprzedziła oficjalne obwieszczenie, i chciała zobaczyć, jak zareaguje. Jego zaskoczenie wydawało się szczere, a przez chwilę Daly myślała, że facet w końcu się otworzy.

A potem przerwała im tamta suka.

Westchnąwszy, Daly popatrzyła na zegarek. Spędziła całe popołudnie, próbując namierzyć znajomych zaginionej osoby, która mogłaby być jedną z trzech ofiar z magazynu. Ale wszyscy odmawiali rozmowy

z dziennikarką. Został ostatni kontakt, który w końcu zgodził się spotkać z nią tego wieczoru. „Czyli się wal, Giles”. Minusem był kolejny długi dzień i telefon, którego naprawdę wolałaby nie wykonywać.

Ostatnio przeprowadzała te rozmowy zdecydowanie za często.

Kiedy rozbrzmiał sygnał, ucisnęła oczy kciukiem i palcem wskazującym. Przerwała, gdy usłyszała dźwięk odbieranego połączenia, uśmiechając się w równym stopniu wymuszenie jak nieświadomie.

– Hej, mamó, to ja. – Jej ramiona opadły, uśmiech zniknął. – Wiem, że miałam, ale musiałam zostać w pracy. Nie, nie wiem, ile jeszcze mi zajmie. Jak mała? Tak, jestem pewna, że masz, ale... No, jest tam? Wiem, że jest późno, dlatego...

Zamknęła oczy, słuchając oskarżycielskiego tonu, nieustępliwego jak wiertło dentystyczne.

– Tak, wiem. I jestem naprawdę wdzięczna tobie i tacie. Nie, wiem, że ty nie, ale wtedy było inaczej. Przede wszystkim tata nie był... Posłuchaj, czy możemy teraz o tym nie rozmawiać? Po prostu daj mi Maddie. Nie, jeszcze się nie położyła, słyszę ją... To moja córka i chcę z nią porozmawiać. Nie, nie podnoszę głosu, ale miałam długi dzień, więc... Tak. Dziękuję.

Spuściła głowę, zamknęła oczy i czekała. Wtedy odezwał się inny głos, młodszy i wyższy. Twarz Daly rozjaśniła się w uśmiechu równie szczerym jak wcześniej wymuszonym.

– Hej, kochanie, jak się masz? Jak ci minął dzień? Nie, mamusia nie wraca jeszcze do domu, więc możesz zostać na kolejną noc u babci i dziadka. – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej, słuchając. – Wow, fantastycznie! Zebra! Zrobimy tak: bądź grzeczna, to jutro poszukamy jakiegoś fajnego miejsca na wycieczkę. Co ty na to?

Po zmęczeniu nie było śladu, ale w tle usłyszała pierwszy głos. Uśmiech zaczął zniknąć.

– Tak, słyszę ją. Okej, daj jeszcze babcię. Też cię kocham, skarbeczku. Dobranoc. Tak, bądź grzeczna... – Wrócił pierwszy głos. – Nie skończyłam. Nie... tak, ale... Okej, zadzwonię rano.

Po skończonej rozmowie Daly wydawała się wypompowana. Zagapiła się w przestrzeń, po czym odłożyła telefon i zdjęła kurtkę z krzesła. „Pora się zbierać”. Open space nie był jeszcze pusty, ale wychodziła jako jedna z ostatnich. Jamal siedział jeszcze rozwalony przed monitorem – kiedy pisał, nie zwracał uwagi na nic innego – a Lauren garbiła się nad swoim

komputerem. Rudowłosa kobieta rzuciła Daly jadowite spojrzenie, kiedy ta ją mijala – ostatnio przeważnie się ignorowały. „Suka”.

Wsiadła do windy, żeby zjechać na podziemny parking. Normalnie chodziła schodami, ale w tych przeklętych butach stopy jej odpadały. Nogi wyglądały w nich cudownie, ale płaciła za to odciskami i bólem łądźwi. Jej myśli znów powędrowały w stronę Jonaha Colleya, a stara winda ruszyła w dół. Coś w nim budziło jej sympatię. Był wysportowany, widziała to nawet pod luźną koszulką i spodenkami w szpitalu. Wyglądał też nie najgorzej. Bóg wie, że umawiała się z gorszymi. Dużo gorszymi.

Ale było coś jeszcze. Smutek, który sprawiał, że chciała... – no, to pewnie musiało poczekać, aż skończy z tematem. Uśmiechnęła się do siebie.

Kiedy znalazła się na poziomie parkingu, poprawiła torebkę na ramieniu. Przez rozsunięte drzwi powitał ją zapach wilgoci, gumy i spalin. Stukając obcasami o betonową podłogę, ruszyła w stronę zatoczki, w której zaparkowała. Jej miejsce znajdowało się na drugim końcu garażu, a niski sufit i słabe oświetlenie sprawiały, że odległość wydawała się jeszcze większa. Wciąż stało tam jeszcze kilka innych samochodów, choć niezbyt wiele. Pozostałe piętra w budynku wynajmowały firmy ubezpieczeniowe i doradcy finansowi, których pracownicy wyrabiali więcej nadgodzin nawet od niej. Widok pojedynczych aut kojarzył się jej z czymś wymarłym.

W połowie drogi usłyszała czyjeś kasznięcie.

Dźwięk był cichy, jakby ktoś próbował go stłumić. W pustym garażu zabrzmiał jednak głośniej, a z powodu echa nie dało się go zlokalizować. Mimo to Daly pewnie nic by sobie z tego nie zrobiła... gdyby nie fakt, że chyba usłyszała go przed sobą. Gdzie było więcej pustych miejsc niż aut.

Poza jej własnym.

Najpierw poczuła ciarki na karku, włosy poruszyły się jak od wiatru. Tyle że powietrze w wykutej przez człowieka jamie było zatechłe i nieruchome. Daly zwolniła, kiedy ogarnęło ją niepokojące wrażenie. Samochody były w najlepszym razie słabo oświetlone, ale normalnie nie zwracała na to uwagi. Teraz jednak dostrzegła pograżone w cieniu zakamarki, do których nie docierało światło. Jeden z nich znajdował się przy jej aucie.

– Halo?

Przestraszyła się własnego głosu, który najpierw rozszedł się echem, a potem ucichł. „Nie, to głupie”. Ale ktoś tam był. Tylko kto? Daly

odwiedzała biedne dzielnice, wchodziła w sam środek zamieszek i przeprowadzała wywiady z członkami gangu. Żadna z tych rzeczy nie robiła na niej wrażenia, ale teraz jej typowa pewność siebie osłabła.

– Jeśli tam jesteś, odezwij się.

Poczekala, aż echo zamilknie, i dopiero wtedy otworzyła torebkę. Jedną ręką sięgnęła po telefon, a drugą po buteleczkę perfum, które zawsze nosiła przy sobie. Z daleka mogła udawać gaz pieprzowy, ale gdyby psiknęła napastnikowi w twarz, efekt byłby podobny.

– Ostrzegam cię, mam gaz – powiedziała, niezgrabnie włączając kamerę w telefonie. – I nadaję wszystko na żywo. Jeśli czegoś spróbujesz, będziesz wszędzie! Twój wybór.

Pomachała telefonem w stronę ciemności. Odpowiedziało jej jedynie powolne kapanie wody z jakiegoś odpływu. „No dobra, w porządku”. Poczula wstyd, gdy uświadomiła sobie, jak musiała wyglądać. Ale oglądała tyle miejsc zbrodni zza taśmy policyjnej i relacjonowała tak wiele morderstw i napaści, że już dawno przestała myśleć, że jej nigdy się to nie przydarzy. Jeśli miała wybierać między byciem głupią a byciem martwą, wybór był prosty.

Kiedy podeszła do auta, schowała perfumy i złapała kluczyki. Volkswagen zapikał i zamrugał światłami po tym, jak otworzyła go z odległości kilku metrów. Mroczne zaułki zdawały się z niej kpić. Nikt z nich nie wyskoczył. Otworzyła drzwi, wsiadła do środka i zatrzasnęła je za sobą. Zamki opadły z pokrzepiającym stuknięciem.

– Cholera...

Westchnęła przeciągle, czując, jak schodzi z niej napięcie. Dłoń zdrętwiała jej od kurczowego ściskania telefonu, ale dopiero odważyła się go puścić. Pod wpływem nagłego impulsu odwróciła się, żeby sprawdzić tylne siedzenie, po czym odprężyła się znowu, kiedy zobaczyła, że jest puste. „Boże, aleś ty nerwowa”. Dały uśmiechnęła się żałośnie na myśl o tym, jak musiała wyglądać, gdy szła szybkim krokiem do auta z wyciągniętym przed siebie telefonem. Jak ksiądz w horrorach odganiający wampiry krucyfiksem. „Jezu, oby nikt nie sprawdził monitoringu”. Na tę myśl zachichotała, po czym włączyła silnik i wrzuciła wsteczny, żeby wyjechać z miejsca parkingowego. Strach, który paraliżował ją jeszcze przed chwilą, był teraz ledwie wspomnieniem, a pomysł, że ktoś obserwował ją z ciemności, wydawał się nedorzeczny. Kiedy zatrzymała

się przed szlabanem, myślami była już na spotkaniu i zastanawiała się, jak powinna je rozegrać.

Dźwięk silnika oddalał się stopniowo, na parkingu znów zapanowała cisza. Światło na suficie zamrugało i zabzyczało. Jedyńm dźwiękiem było znów kapanie wody w ciemności. Kiedy rozwiały się opary z rury wydechowej, z mroku wyłoniła się postać.

Trzymając się cienia, z dala od kamer, przemknęła obok szlabanu i zniknęła.

## Rozdział 13

Jonah stęknął, zasłaniając oczy. Chryste, ile musiał wypić? Już od dawna nie pamiętał takiego kaca. W ustach zaschło mu boleśnie, w sumie to bolało go wszystko. „Leżenie nic nie da”. Ostrożnie się dźwignął, poczekał, aż łupanie w głowie ustąpi, po czym opuścił nogi na podłogę. Przez chwilę siedział na krawędzi łóżka, odwlekając moment, aż będzie musiał wstać. Kiedy sięgnął po kule, dotarło do niego, że nie stały tam gdzie zwykle. Rozejrzał się – leżały blisko drzwi. Dopiero teraz przypomniał sobie, jak je tam zostawił.

Odepchnąwszy się od stolika nocnego, przeskoczył, żeby je podnieść. Poszedł do łazienki, wziął dwa paracetamole i wypił dwie szklanki wody. Jego ciało domagało się tosta z bekonem, ale Jonah zawziął się i trenował prawie godzinę – najpierw ćwiczenia od fizjoterapeuty, potem własne, które mógł wykonywać mimo kontuzjowanego kolana. Z początku głowa bolała go jeszcze bardziej, ale uczucie zniknęło stopniowo w trakcie rozgrzewki. Skacowany czy nie, czuł, że wraz z powrotem siły i wytrzymałości zdoła zrobić więcej niż przed tygodniem.

Po treningu był spocony i brakowało mu tchu, ale czuł się bardziej sobą. A po gorącym prysznicu było jeszcze lepiej. Tego ranka nie musiał nigdzie iść, więc po wypiciu jednym haustem szklanki soku pomarańczowego pozwolił sobie na kacowe śniadanie: smażony bekon, jajka w koszulce, tosty i czarna kawa.

Przy drugiej filiżance doszedł do wniosku, że jedyne, co wyniósł z wieczoru w towarzystwie Wilkesa, to przekonanie, że chodzenie o kulach i alkohol absolutnie do siebie nie pasują. O Gavinie nie dowiedział się niczego więcej. Wilkes spędził większość nocy, wspominając historie

wojenne ze służby. Ale Jonah miał przeczucie, że wciąż coś ukrywał, coś poważniejszego niż zawieszenie. Po rozmowie z Wilkesem miał lepsze wyobrażenie tego, pod jaką presją znalazł się Gavin w swoich ostatnich tygodniach. Teraz przynajmniej rozumiał docinki Fletchera na temat jego osiągnięć i oceny sytuacji. Musiał tylko ustalić, czego konkretnie to dotyczyło.

I co z tym zrobić.

Sygnal wiadomości wyrwał go z zamyślenia.

*Tylko sprawdzam, czy wszystko w porządku. Nie musisz odpowiadać. M.*

Poczuł ukłucie winy. Miles i jego żona Penny prowadzili nieformalną grupę wsparcia dla rodziców, którzy stracili dzieci. Ich definicja „straty” miała bardzo szeroki zakres i obejmowała wszystko: od śmierci przez zaginięcie aż po utratę kontaktu. Ich własna córka, jedynaczka, zmarła dwadzieścia trzy lata temu i pomoc innym była dla nich sposobem na przepracowanie żałoby. Wraz z upływem lat Jonah pojawiał się na spotkaniach coraz rzadziej, ale Miles zawsze czekał przy telefonie, gotowy do rozmowy lub – nawet częściej – po prostu słuchania.

Wyrzuty sumienia Jonaha nasiliły się, kiedy uświadomił sobie, ile czasu minęło, odkąd ostatnio do nich dzwonił. Ponad rok. „Raczej dwa, szczerze mówiąc”. Nie wiedział, czy grupa wsparcia wciąż działała. Obydwoje byli już pod siedemdziesiątkę, może nawet starsi. Miles dosłownie pożerał wiadomości, więc pewnie zobaczył nazwisko Jonaha w telewizji i dowiedział się, że został ranny. „Powinieneś dać im znać, że wszystko w porządku, a nie czekać, aż zapytają. Zasługują na lepsze traktowanie”.

Chcąc to naprawić, postanowił, że natychmiast oddzwoni do Milesa. Przenikliwy dzwonek do drzwi przerwał mu jednak, zanim zdążył wybrać numer. Odpisał szybko: *W porządku, zadzwonię*, po czym sięgnął po kule. Dzwonek odezwał się znowu.

– Dobra, ej, idę! – krzyknął.

Poirytowany przeszedł przez korytarz i przyłożył oko do wizjera. Patrzyła na niego zniekształcona przez wypukłą soczewkę gargulcowata twarz. Jonah oparł czoło o drzwi. „Rewelacja”. Wyprostował się i otworzył.

Fletcher i Bennet stali na klatce w płaszczach mokrych od deszczu.

– Możemy wejść?

Jonah odsunął się, żeby wpuścić ich do środka. Ledwo zamknął za nimi drzwi i wypalił:

– Znaleźliście Stokesa?

– Nie odmówię filiżanki, dzięki – powiedział Fletcher, bez zaproszenia kierując się do kuchni. Kiedy Jonah wszedł za nim do pomieszczenia, ten już wysuwał krzesło spod stołu, prochowiec wisiał na nim jak luźny żagiel.

– Dwie kostki cukru.

Twarz Bennet pozostawała beznamiętna. Zajęła krzesło obok inspektora.

– Po prostu powiedz, znaleźliście go?

– Nie do końca.

– Co to znaczy?

Inspektor rozsiadł się wygodnie.

– Pójdzie o wiele sprawniej, jeśli wstawisz wodę.

Jonah nie ruszył się z miejsca.

– W takim razie mów, po co tu jesteście.

Fletcher kiwnął głową do Bennet.

– Pokaż mu.

Policjantka sięgnęła po cienką teczkę, z której wyjęła kilka dużych błyszczących zdjęć. Przejrzała je, zabrała dwa, a resztę rozłożyła na stole tak, żeby Jonah mógł się im przyjrzeć.

– To jedno z ujęć monitoringu, które znaleźliśmy w komputerze McKinneya, fragment został powiększony – wyjaśniła, odchylając się na oparciu. – Data pliku wskazuje, że zrobiono je dwa tygodnie przed jego śmiercią. Było ich dużo więcej, ale rozumiesz, o co chodzi.

Główną fotografię wydrukowano w pełnym kolorze. Przedstawiała bar w pubie, szklanki i butelki porozstawiane wzdłuż długiego ozdobnego lustra. Kilka osób okupowało miejsca przy kontuarze, ale tylko jedna z nich rzuciła się Jonahowi w oczy. Wysoki, szeroki w barach mężczyzna z ogoloną czaszką, w dżinsowej kurtce. Opierał się o bar, tyłem do obiektywu, chyba wpatrując się w drinka. Widoczna znad kołnierza kurtki czarna wytatuowana pajęczyna pokrywała jego kark. Powiększonym fragmentem było ujęcie z lustra za barem, w którym wyraźnie widać było odbicie mężczyzny. Ponurego, grubokościstego, z wąską kreską w miejsce ust i głęboko osadzonymi oczami.

Owen Stokes.

Jonah podskoczył, kiedy nagle zadzwonił telefon Bennet. Zerknęła na niego, potem odwróciła się do Fletchera.



– Powinnam odebrać.

Wyszła do przedpokoju i zamknęła za sobą drzwi. Fletcher popatrzył kwaśno na Jonaha.

– Jeśli nie zamierzasz zrobić mi nic do picia, to w takim razie siadaj, na litość boską. Działasz mi na nerwy tym swoim staniem.

Jonah przez moment zastanawiał się, czy dalej stać, ale stwierdził, że to byłoby dziecinne.

– Dlaczego mi to pokazujecie?

– Powiedzmy, że to kontekst. Twój koleżka McKinney śledził Stokesa przed waszą imprezką na Nabrzeżu Rzeźników. – Fletcher urwał, rzucając mu pytające spojrzenie. – Zakładam, że nie masz czym się z nami podzielić w tej kwestii?

– Powiedziałem już, co wiem.

Fletcher kiwnął głową, jakby spodziewał się takiej odpowiedzi. Wyjąwszy dwa kolejne zdjęcia z teczki, przesunął je po stoliku i bez komentarza rozparł się na krześle. Czarno-białe klatki z ulicznego monitoringu. Obydwie wyglądały na uchwycone w nocy na tym samym pustym fragmencie ulicy, choć kąty sugerowały, że pochodziły z dwóch kamer. Jakość była fatalna, zdjęcia ziarniste i rozmazane, ale Jonah rozpoznał na nich sylwetkę Owena Stokesa. Szedł ubrany w coś, co wyglądało jak te same kurtka dżinsowa i dżinsy co wcześniej, ale tym razem naciągnął na ogoloną czaszkę ciemną bejsbolówkę. Na jednym z ujęć zmierzał w stronę kamery, a na drugim – odchodził. Ramiona miał skulone, poruszał się ze spuszczoną głową, więc daszek zasłaniał mu twarz. Ale próbując ukryć swoją paskudną gębę, odsłonił tatuaż. Nad postawionym kołnierzem rozchodzące się promieniście linie wytatuowanej sieci były aż nadto widoczne.

– Okej, to znowu Stokes. – Jonah odłożył fotografie i wzruszył ramionami. – Nie rozumiem, na co mam patrzeć.

Fletcher sięgnął i postukał w datę i godzinę na jednym ze zdjęć.

– Zostały zarejestrowane w Ealing około dwudziestej trzeciej trzydziści, mniej więcej dzień przed śmiercią McKinneya... Niedaleko jego mieszkania.

Jonah poczuł, jak drży.

– Stokes wiedział, gdzie mieszkał?

– Na to by wyglądało, prawda? – Oko Fletchera zaczęło łzawić. Wyjął chusteczkę z kieszeni i osuszył je powoli. – Wiesz, że wtedy nie mieszkał

już w domu?

– Dopiero od wczoraj. – Jonah wciąż próbował to przyswoić. – Czyli Stokes wiedział, że Gavin go obserwuje?

– Albo to, albo wpadł z wizytą towarzyską. Pożyczyć szklaneczkę cukru, jak kolega od kolegi.

Jonah popatrzył na fotografię.

– Nie mówisz poważnie.

– Dziwniejsze rzeczy się zdarzały. – Fletcher wskazał na zdjęcia. – Na ich podstawie możemy zakładać, że McKinney i Stokes wiedzieli o sobie przed tym, co wydarzyło się w magazynie. Jak do tego doszło, pozostaje kwestią otwartą.

– Nie. Nie ma mowy, że Gavin pracował ze Stokesem. Niemożliwe. – Jonah pokręcił głową, chcąc pozbyć się tej myśli, zanim zapuści korzenie. – Stokes musiał odkryć, że jest śledzony, i poszedł za Gavinem do jego mieszkania. Jeśli czeokolwiek to dowodzi, to tego, że magazyn był prawdopodobnie pułapką. Stokes mógł celowo go tam doprowadzić...

– To jedna możliwość.

Coś w głosie Fletchera uciszyło protest Jonaha. Patrzył, jak inspektor wyjmuje z teczki kolejne zdjęcie. Znowu pochodziło z ulicznej kamery, znowu zostało zrobione w nocy. Stokes również był na nim jedyną postacią, tylko teraz niósł dużą torbę przerzuconą przez ramię. Ujęcie pochodziło z innego miejsca, a Jonah zeszywniał, kiedy rozpoznał nowoczesne zabudowania na osiedlu dla klasy średniej.

– To ulica, gdzie mieszkają Marie i Gavin, ale nie...

Urwał, a zimny dreszcz przebiegł mu po plecach, kiedy spojrzął na datę i godzinę.

Wczorajsze popołudnie.

– Zostało zrobione mniej więcej w tym samym czasie, kiedy włamano się do domu – wyjaśnił Fletcher. – Co prawdopodobnie tłumaczy torbę. Chociaż jakoś nie wydaje mi się, żeby przebył taki kawał w celu rąbnięcia dzieciakowi laptopa i konsoli.

Jonah miał wrażenie, że jego umysł przestał pracować.

– Więc czego szukał?

– Ty mi powiedz. – Fletcher odchylił się na krześle, balansując na dwóch nogach i mierząc Jonaha wzrokiem.

– Skąd mam wiedzieć?

Krzesło opadło z powrotem, a Fletcher nagle pochylił się do przodu.

– Bo coś ukrywasz, Colley, masz to wypisane na twarzy. Cokolwiek McKinney robił w tym magazynie, cokolwiek działo się między nim a Owenem Stokesem, nie wierzę, że wciągnął cię w to w ostatniej chwili. Wydarzyło się coś, o czym mi nie mówisz.

– Sprawdziłeś mój telefon, jeśli byłbym w kontakcie...

– Skończ pajacować. Najpierw dowiadujemy się, że Owen Stokes był w magazynie, a teraz okazuje się, że wczoraj włamał się do domu McKinneyów i szukał Bóg wie czego. A ty siedzisz tutaj, patrzysz na mnie tymi ciętymi ślepiami i zarzekasz się, że nic nie wiesz. Więc zapytam po raz ostatni. O czym mi nie mówisz?

Drzwi do kuchni otworzyły się i Bennet weszła do środka. Popatrzyła na nich, odnotowując napięcie, ale nie dała nic po sobie poznać. Kiwnęła nieznacznie głową w odpowiedzi na pytające spojrzenie Fletchera i wróciła na swoje miejsce. Inspektor zacisnął prawie pozbawione warg usta, a Jonah pomyślał, że jakkolwiek informację właśnie między sobą wymienili, nie mogło to być nic dobrego.

– Wszłaś w idealnym momencie – oznajmił jej Fletcher. – Tłumaczyłem właśnie sierżantowi Colleyowi, co to jest ostatnia szansa. A on zamierzał powiedzieć mi, co cały czas przed nami ukrywa.

– Cokolwiek to jest, musisz odpowiedzieć sobie na pytanie, czy jest gorsze niż wielokrotne morderstwo – powiedziała Bennet, zaskakując go. – Bo właśnie w to jesteś zamieszany. Decyzja należy do ciebie, ale jeśli nie będziesz współpracował, możesz pożegnać się ze swoją karierą. A to i tak najbardziej optymistyczny scenariusz.

– W takim razie może powinienem mieć prawnika – wypalił Jonah, próbując nie zdradzić, jak bardzo zaniepokoiły go jej słowa. – Jestem też przekonany, że związek byłby żywo zainteresowany tym, że ktoś grozi jednemu z ich członków.

– Nikt ci nie grozi, po prostu wskazujemy alternatywę. Ale wydaje mi się, że już ją znałeś.

Pełna luzu pewność siebie była groźniejsza niż wrogość jej przełożonego, ale Fletcher nie dał Jonahowi szansy na odpowiedź.

– Chcesz się chować pod czyjąś kiecką, w porządku. – Inspektor uśmiechał się twardo, a skóra na jego twarzy się napięła. – Złóż skargę, zobaczymy, co ci to da. Niech ktoś siedzi i trzyma cię za rękę, jeśli tego właśnie chcesz. Ale coś ukrywasz, Colley, więc możesz albo powiedzieć

nam o tym dobrowolnie, albo dalej sobie tak pogrywać. Siedzisz w tym na tyle długo, że nie muszę ci tłumaczyć, jak to się skończy.

Nie musiał. I choć postawa inspektora wyprowadzała go z równowagi, Jonah wiedział, że Fletcher ma rację. ukrywał coś.

Po prostu nie to, co im się zdawało.

– Okej, nie straciłem tak po prostu kontaktu z Gavinem McKinneyem – zmusił się do wypowiedzenia tych słów. – Jest powód, dla którego tak długo się nie odzywaliśmy, ale nie ma to nic wspólnego z żadną z tych rzeczy.

Fletcher skrzyżował ręce.

– Mów dalej.

Nawet po dziesięciu latach Jonah wciąż czuł opory. Nie żeby to jeszcze cokolwiek znaczyło, na pewno nie dla niego. Ale milczenie potrafiło wejść w nawyk. „Powiedz to”.

– Przespał się z moją żoną.

# Rozdział 14

*Dziesięć lat temu*

Dom wyglądał tak samo jak zawsze. Jonah przeszedł ścieżką do drzwi frontowych. Coś było nie tak. Powinien być wstrząśnięty, w rozsypce, a nie niewzruszony tym, co się stało. Z kluczami w dłoni spojrzął na stopień, o który kiedyś potknął się Theo. Łzy z powodu otartego kolana szybko zastąpił śmiech – Jonah podniósł syna w powietrze i kręcąc, powtarzał: „Zniszczyłeś schodki! Theo jest twardszy niż beton!”.

Ze łzami w oczach otworzył drzwi i wszedł do środka.

Dzwonił do Chrissie, żeby uprzedzić ją, że przyjdzie po resztę swoich rzeczy, ale nie odebrała. Przez kilka ostatnich tygodni praktycznie nie mieli ze sobą kontaktu. Jonah wiedział, że w którymś momencie będą musieli usiąść i porozmawiać o rozwodzie, ale nie miał na to najmniejszej ochoty. Nawet jeszcze nie rozejrzał się za adwokatem, choć był przekonany, że Chrissie nie traciła czasu. To jedna z zalet bycia osobistą asystentką starszego wspólnika w kancelarii prawnej, a nie policjantem na urlopie okolicznościowym. Bez wątpienia Neil Waverly był pod ręką, żeby zaoferować jej wsparcie i ramię do wypłakania się. Oraz całą resztę. Jonah podejrzewał, że spali ze sobą nawet przed... No, przed. Ale teraz zdawało się to nie mieć dla niego żadnego znaczenia. „Na zdrowie”, pomyślał Jonah, „i niech Bóg ma w opiece tego biedaka”.

Powitał go pusty przedpokój; żadnych zabawek porozrzucanych po podłodze, żadnych bucików ani ubranek na wieszaku. Kolejny raz uderzyło go to z taką samą mocą – zachwiał się na nogach, na moment zabrakło mu tchu. Dopiero po kilku sekundach dotarł do niego dźwięk prysznicza.

„Świetnie”, pomyślał. Chrissie pewnie jest w domu. Zastanawiał się, czy się nie wycofać i nie wyjść. Ale i tak musiałyby wrócić po wszystko później. Wyprostował się i wszedł po schodach.

– Chrissie?! – zawołał, otwierając drzwi od sypialni. – Zostawiłem ci wiadomość, przyszedłem po...

Zamarł. Gavin stał przy łóżku i akurat zapinał dżinsy. Był bez koszuli. Za nim leżała sterta zmiętej pościeli.

Powietrze zgęstniało od zapachu seksu, nieco innego niż ten, który Jonahowi kojarzył się z tym pokojem. Jego i Chrissie.

– Kurwa – odezwał się Gavin. Wyprostował się. – Wiem, jak to...

Jonah uderzył go w twarz. Gavin zatoczył się i upadł do tyłu, uderzając nogami o krawędź łóżka. Jonah rzucił się na niego, usiadł mu na klatce i wyprowadzał cios za ciosem. Gavin krzyknął, próbując blokować uderzenia przedramionami i jednocześnie się uwolnić, ale wtedy pięść trafiła go w zaczerwienioną szczękę. Prąd przeszył ramię Jonaha, a oczy Gavina wywróciły się na drugą stronę. Praktycznie nie rejestrując bólu knykci, Jonah podniósł rękę, żeby uderzyć go jeszcze raz, i nagle wszystko rozbłysło, bo coś rąbnęło go w tył głowy.

Oszołomiony nasłuchiwał wściekłych głosów, które przebijały się przez dzwonienie w uszach. Gavin wygramolił się spod niego. Pokój zakołysał się niebezpiecznie, kiedy Jonah spróbował wstać. Teraz to Gavin był na górze, przytrzymał jego ręce kolanami, i uderzył Jonaha w nieosłoniętą twarz. Jonah poczuł, jak pęka mu nos, a potem świat przechylił się nagle. Spadł z łóżka na podłogę.

Dotarły do niego krzyki.

– ...prawie go zabiłeś! Jezu, nie musiałeś mu oddawać! Co jest z tobą nie tak?

– Zamknij się, okej? Po prostu się, kurwa, zamknij.

Jonah podniósł się z trudem. Udało mu się to tylko częściowo, bo po chwili osunął się z powrotem i usiadł oparty o bok łóżka. Przełknął ślinę, poczuł metaliczny posmak krwi. Podniósł rękę – dlaczego była taka ciężka? – żeby dotknąć głowy. Na palcach zostało coś lepkiego i mokrego.

Gavin stał goły do pasa, oko przysłaniała mu opuchlizna. Chrissie miała na sobie nieprzewiązany szlafrok, wilgotny materiał kleił się do jej ciała, potargane włosy wciąż były mokre. Na dywanie wokół niej leżały kawałki suszarki. Jonah jeszcze raz niepewnie dotknął głowy. „Jezu, przywalila mi suszarką?”

– Okej?

To był Gavin. Jonah poczuł, jak coś w nim pęka.

– Odwał się.

Obróciwszy się na bok, Jonah wsparł się na kolanie i spróbował wstać.

– Poczekaj... – powiedział Gavin, zbliżając się do niego. Jonah odtrącił jego rękę.

– Spierdalaj.

Wciąż podparty o łóżko, Jonah stanął na nogach. Podłoga dalej się poruszała, ale po chwili wyprostował się już samodzielnie. Chrissie zauważyła, że ma rozchyłony szlafrok – jak gdyby nigdy wcześniej nie widzieli się nago. Owinęła się nim z zaciśniętymi ustami, po czym pospiesznie zawiązała pasek.

– Co tu robisz? – zapytała.

– Przyszedłem po swoje rzeczy.

– No i? Nie możesz wchodzić jak do siebie, już tu nie mieszkasz!

– Dzwoniłem, zostawiłem ci wiadomość. – Jonah się trząsł. – Może gdybyś nie była taka zajęta pieprzeniem się z moim najlepszym kumplem, tobyś usłyszała!

– Posłuchaj... – zaczął Gavin, ale Jonah odwrócił się do niego.

– Nie! Zamknij, kurwa, ryj!

Chrissie skrzyżowała ręce na piersi i wysunęła podbródek, piorunując go wzrokiem. Znał tę pozę z niezliczonych kłótni. Tym razem w oczach miała łzy, ale Jonah postanowił je zignorować.

– To, co robię, to nie twoja sprawa! – wyrzuciła. – To ty się wyniosłeś, czego się spodziewałeś?

– Po tobie niczego – odwarknął. Ale kiedy to mówił, patrzył na Gavina.

Ale Chrissie dopiero się rozgrzewała.

– Więc teraz to ty jesteś ofiarą? Boże, zaraz padnę.

– Co to niby ma znaczyć?

– To nie ja zasnąłam i pozwoliłam swojemu synowi utonąć, prawda? Jeśli chcesz kogoś winić, spójrz w lustro, do kurwy nędzy!

– Jezu Chryste, Chrissie – powiedział Gavin.

– Co, teraz jesteś po jego stronie? – Otarła oczy. – Boże, jesteś tak samo żaloszny jak on. Dokąd idziesz?

To ostatnie pytanie było skierowane do Jonaha, który zmierzał chwiejnie w stronę drzwi. Gniew zniknął. Chciał już jedynie stąd wyjść. Schodząc po schodach, musiał przytrzymać się barierki. Słyszał za sobą walenie kroków.

– Jonah, poczekaj! – Gavin próbował wciągnąć koszulę, kiedy wybiegł za nim do przedpokoju. – Pozwól mi tylko wyjaśnić! To był błąd, okej? Była smutna i samotna, i... to się po prostu wydarzyło. Przykro mi.

„Mhm, mnie też”. Jonah zatrzymał się przed drzwiami, czekając, aż ustąpią kolejne zawroty głowy.

Gavin chyba źle to zinterpretował.

– Czy możemy przynajmniej o tym pogadać? Iść na drinka albo coś. Proszę.

Jonah miał wrażenie, że widzi stojącego przed nim mężczyznę po raz pierwszy w życiu. Czuł się, jakby patrzył na kogoś obcego. Odwróciwszy się, otworzył drzwi i wyszedł na ścieżkę prowadzącą na ulicę.

W połowie drogi do auta zwymiotował.



## Rozdział 15

Kiedy Jonah skończył, zapadła cisza. Twarz Fletchera jak zwykle przypominała maskę, nie dostrzegł na niej śladu osądu ani współczucia. Mina Bennet również niczego nie wyrażała. Jonah wiedział, że słyszeli dużo gorsze rzeczy, ale to niczego nie ułatwiało. Po raz pierwszy opowiedział komukolwiek o tamtym zdarzeniu i chociaż wspomnienie nie bolało już tak jak kiedyś, czuł się równie podle.

Fletcher pozwolił mu pomęczyć się przez chwilę, zanim się odezwał.

– Dlaczego nie powiedziałaś nam o tym wcześniej?

– To przeszłość. Myślałem, że nie ma to żadnego znaczenia.

– Nie ma znaczenia? Zapomniałeś wspomnieć, że ofiara morderstwa przespała się z twoją żoną? To nie tylko ma znaczenie, to motyw.

– Nie za bardzo, skoro czekałem dziesięć lat. Moje małżeństwo i tak było już wtedy skończone, to nie tak, że rozstaliśmy się z jego powodu.

– Takie rzeczy się jątrzą. A dziesięć lat to sporo czasu, żeby kogoś znienawidzić.

– Już to przerabialiśmy – powiedział Jonah zmęczonym głosem. – Nie zabiłem go, wiesz o tym.

– Wiem? Teraz to zaczynam się zastanawiać, co jeszcze przed nami ukrywasz.

– Niczego nie ukrywam. To wszystko, mój wielki sekret. Pokłóciłem się z najlepszym przyjacielem, bo przespał się z moją żoną, zadowolony?

Fletcher przyjrzał mu się uważnie.

– Byłeś zaskoczony?

– Kiedy zastałem kumpla w łóżku z moją żoną? A jak myślisz?

– Ujmę to inaczej. Czy to było do niego niepodobne?

Na to pytanie trudniej było odpowiedzieć. Jonah wiedział, że Gavin nie był wierny Marie, nawet zanim nakrył go z Chrissie. „Lubił ostro się zabawić”, jak ujął to Wilkes, ale zawsze były to przelotne romanse. Jonah nieraz mu to wytykał, ale Gavin nic sobie z tego nie robił.

„Nie każdy może być świętym z obrazka”, powtarzał.

– Nie myślałem, że to zrobi – przyznał Jonah.

– Nie o to pytałem.

– Ufałem mu, okej? Nie wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć.

– Mógłbyś zacząć od wyjaśnienia, dlaczego chciałeś pomóc człowiekowi, który dobrał się twojej żonie do majtek.

Czasami Jonah zadawał sobie to samo pytanie.

– Przyjaźniliśmy się kiedyś. Odniosłem wrażenie, że ma kłopoty. Wspominałem już.

– I rozumiem, że taki z ciebie frajer, że po prostu to kupiłeś. Nawet po tym, jak przeleciał ci żonę za plecami.

Jonah zauważył, że Bennet popatrzyła na inspektora z dezaprobatą. Wiedział, że mężczyzna próbował go sprowokować, ale rana była zbyt stara, żeby to zadziało. Nie odpowiedział i z satysfakcją patrzył, jak poirytowany Fletcher zaciska usta.

– Zakładam, że wiesz, że McKinney został zawieszony.

– Dowiedziałem się o tym dopiero po pogrzebie. Dlaczego mi nie powiedzieliście?

– Jaja sobie robisz? – Niedowierzenie inspektora było autentyczne. – Jesteś świadkiem w sprawie morderstwa, mało wiarygodnym w dodatku, nie muszę mówić ci...

Urwał, podnosząc rękę do gardła.

– Inspektorze? – powiedziała Bennet, robiąc krok w jego stronę.

– Wody.

Głos miał słaby i zachrypnięty, wyglądało też, że ma kłopoty z przełykaniem. Jonah zaczął podnosić się z krzesła.

– Ja należę – rzuciła Bennet.

Szybko podeszła do zlewu, zdjęła czystą szklanę z ociekacza i nalała do niej kranówki. Fletcher przyjął ją bez słowa. Drżącą ręką podniósł szklanę do ust. Twarz Bennet nie zdradzała niczego, ale uważnie przyglądała się partnerowi.

– Chcesz herbaty albo kawy? – zapytał Jonah, żałując swojego wcześniejszego uporu.

– Nie. – Fletcher zrobił się jeszcze bardziej opryskliwy niż zwykle. Odstawił szklanę, jakby się jej brzydził. – Pogadajmy o zawieszeniu McKinneya. Wiesz, jakie postawiono mu zarzuty?

W tej kwestii Wilkes akurat kręcił.

– Nie do końca.

– Brał w łapę. Przyjmował łapówki od gangów, które miał rozpracowywać, w zamian za informacje. Naloty z jego udziałem często kończyły się fiaskiem, podejrzani wymykali się magicznie tuż przed aresztowaniem. Zaprzeczał, twierdząc, że ktoś go wrabia. Ale ostatnio mu odbijało. Opuszczał dyżury, przychodził pijany albo na takim kacu, że ledwo funkcjonował. Pobił współpracownika, który go skrytykował. A, no i oblał test narkotykowy. – Inspektor uniósł brwi. – Niespodzianka?

Choć nie przeczuwał niczego dobrego, oskarżenia pod adresem Gavina i tak go zszokowały.

– Nie był taki, kiedy go znałem.

– Nie, tylko spał z twoją żoną. Może powinieneś pomyśleć o tym następnym razem, kiedy będziesz decydował, wobec kogo masz być lojalny. – Fletcher wstał. – Żona potwierdzi to, co nam powiedziałaś?

– Nie będzie zadowolona. Wyszła za męża.

– Jej zadowolenie nie jest jakoś za wysoko na liście moich priorytetów. Ani twoje. Masz jej numer i adres?

– Najnowszych nie. Raczej nie wysyłamy sobie kartek na święta.

– Szok.

Fletcher ruszył w stronę drzwi, zostawiając Bennet fotografie do pozbierania. Jonah po raz ostatni rzucił okiem na pochyloną sylwetkę Stokesa przemykająca ciemną ulicą, z pajęczym ornamentem na karku. Policjantka włożyła je z powrotem do teczki.

– Będziemy w kontakcie – rzucił Fletcher, kiedy wychodzili.

Jonah jeździł wozem z automatyczną skrzynią biegów, dzięki czemu nie potrzebował lewej nogi, żeby operować sprzęgłem. Rozmawiał już o tym z chirurgiem i ubezpieczycielami, którzy nalegali, żeby wykupił polisę premium, zanim wyrazili zgodę na jazdę. Mimo wszystko nie planował jeździć jeszcze przez kilka tygodni, żeby kolano mogło spokojnie się goić.

Ale nie planował też paru innych rzeczy.

Saab stał pół kilometra dalej w jednym z wynajmowanych garaży, które mieściły się w niewielkim zaułku. Gdy trzeba było iść o kulach, odległość wydawała się o wiele większa. Kiedy był blisko, rozpoznał czerwone bmw zaparkowane na zewnątrz. Piękny, ponaddwudziestoletni sedan należał do Stana, właściciela garażu, od którego odkupił kiedyś saaba. Sędziwy mechanik prowadził warsztat samochodowy, w którym dorabiał sobie renowacją i sprzedawaniem starych aut. Regularnie doglądał saaba i jako troskliwy były właściciel przy każdym przeglądzie narzekał, że Jonah nie traktuje auta z należyty szacunkiem.

– Spóźniłeś się – przywitał Jonaha. Miał potężną klatkę piersiową i muskularne ramiona, a na kombinezon zarzucił podniszczoną tweedową marynarkę.

– Przepraszam, myślałem, że szybciej tu dojdę.

Stan spojrział sceptycznie na kule, ale nie skomentował. Wyciągnął kluczyki od garażu i saaba.

– Wymieniłem olej i płyn hamulcowy, ale musisz sprawdzić ciśnienie w oponach. Stanie tam tyle czasu nie wyszło mu na dobre.

„Nie tylko jemu”, pomyślał Jonah, otwierając ciężką kłódkę. Większość miejsca w garażu zajmował granatowy saab, a resztę – najróżniejsze rupiecie. Stare narzędzia i do połowy zużyte puszki farby stały na półkach na tylnej ścianie, a pudła z papierami, których nigdy nie przejrzał, upchnął w rogach.

– Wyjechać ci nim? – zapytał Stan. Mówił poirytowanym głosem, ale Jonah znał go wystarczająco długo, żeby nie zwracać na to uwagi.

– Ile jestem ci winien?

– Dopiszę do rachunku. – Stan podniósł palec i przeszył go groźnym spojrzeniem. – Ciśnienie w oponach, okej?

Wciśnięcie się za kierownicę z kontuzjowanym kolanem było trudniejsze, niż podejrzewał, ale w końcu jakoś mu się udało. Siedział tak przez chwilę, rozkoszując się znajomym uczuciem. Nie było to wielkie osiągnięcie, ale oznaczało powrót do jakiegoś rodzaju normalności. Zdał sobie sprawę, jak bardzo mu tego brakowało.

Nie uśmiechało mu się tylko to, dokąd miał jechać.

Na pytanie Fletchera o adres Chrissie odpowiedział wymijająco. Nie rozmawiali ze sobą od lat, ale wiedział, gdzie ostatnio mieszkała. Wyszła za pieprzonego Neila Waverly’ego sześć miesięcy po rozwodzie, a sprawdzenie w mediach społecznościowych, czy dalej mieszkali pod tym

samym adresem, nie trwało zbyt długo. Zdawał sobie sprawę, ile ryzykował, jeśli jeszcze bardziej naraziłby się inspektorowi, ale tłumaczył sobie, że przecież nie skłamał. Po prostu chciał porozmawiać z Chrissie, zanim oni to zrobią.

Lepiej, żeby usłyszała o Owenie Stokesie od niego.

Mieszkali w jednym z eleganckich szeregowców ogrodzonym bukowym żywopłotem i dojrzałymi lipami niedaleko Primrose Hill. Domofon ze stali nierdzewnej został zamontowany na kamiennym słupku obok ozdobnej furtki z kutego żelaza. Przystanąwszy, żeby rozmasować obolałe i sztywne od jazdy kolano, Jonah wcisnął dzwonek.

– Halo?

Domofon zniekształcił kobiecy głos, więc trudno było go rozpoznać. Jonah nachylił się do mikrofonu.

– Chrissie?

Odpowiedź poprzedziła pauza.

– Nie, przykro mi. Pani Waverly nie ma w domu.

Zdawało mu się, że usłyszał hiszpański akcent. „Od kiedy Chrissie ma służącą?” Podziękował i ruszył z powrotem do saaba. Zamierzał poczekać, ale nie odszedł za daleko, kiedy minął go biały range rover. Za kierownicą mignęła mu blondynka, a po chwili auto zatrzymało się przed domem, od którego właśnie odszedł. Z tylnego siedzenia wypadło dwoje dzieci w szkolnych mundurkach. Chłopiec i dziewczynka w wieku sześciu lub siedmiu lat, podobni na tyle, że mogliby być bliźniakami, kontynuowali sprzeczkę, którą zaczęli jeszcze w samochodzie.

W pierwszym momencie pomyślał, że z auta wysiadła sąsiadka. Blond włosy poprzetykane miała delikatnymi pasemkami, a na czubek głowy nasunęła okulary przeciwsłoneczne. Była szczuplejsza od Chrissie, a jej przesadnie drogie ubrania pasowały do kobiety mieszkającej pod tym adresem i jeżdżącej nowym range roverem. Chłopiec szarpał się z dziewczynką.

– Mamo, powiedz jej coś!

– To nie ja, ja nic nie zrobiłam!

– Och, na miłość boską, Abigail, cicho! Ty też, Harry! Nie będę powtarzać.

Podeszła do zamkniętej furtki i zerknęła szybko w jego kierunku, automatycznie oceniając zagrożenie ze strony obcego mężczyzny o kulach z ogoloną głową. Odwróciła się, po czym zamarła i spojrzała jeszcze raz.

– Cześć, Chrissie – rzucił.

Obserwował, jak jej twarz zastygła, a w miejsce matki z klasy średniej pojawiła się jego była żona.

– Mamusia musi wziąć coś z auta – powiedziała chłopcu i dziewczynce, otwierając furtkę breloczkiem. – Powiedzcie Rosie, że możecie pograć na PlayStation.

Od razu zapomnieli o kłótni i podekscytowani pobiegli do domu. Wiedział, że miała dzieci – zdążył zobaczyć w mediach społecznościowych – ale okazało się, że nie przyjął tego do wiadomości, dopóki jej z nimi nie zobaczył. Chrissie założyła nową rodzinę. Taką, która nie miała nic wspólnego z Theo.

– Nie poznałam cię – powiedziała. Mówiła neutralnym tonem. Nieufnym.

– Ja ciebie też. Dobrze wyglądasz.

Mówił prawdę. Gdy podszedł bliżej, dostrzegł co prawda nowe zmarszczki wokół jej oczu i ust, ale była opalona i wysportowana, a taliowana biała marynarka i dopasowane dzinsy podkreślały jej figurę. Złoty łańcuszek wokół szyi kosztował prawdopodobnie więcej od jego auta. Nawet jej perfumy pachniały drewnem sandałowym i pieniędzmi.

– Czego chcesz, Jonah?

„O właśnie. Stara, dobra Chrissie”.

– Musimy porozmawiać.

Jedną ręką trzymała otwartą furtkę, gotowa w każdej chwili uciec do domu lub zabronić mu wstępu.

– Dlaczego?

– Nie chcę robić tego na ulicy. Możemy wejść do środka?

– Nie, dopóki mi nie powiesz, po co przyszedłeś.

– Chodzi o Gavina.

– Słyszałam, co się stało. Przykro mi, ale...

– Nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie chodziło o coś ważnego.

Spojrzała w stronę domu, potem westchnęła. Przytrzymała furtkę.

– W takim razie lepiej wejdz.

## Rozdział 16

W otwartej kuchni stały podwójna kuchenka i wypolerowane sprzęty. Na drzwiach wielkiej lodówki nie było żadnych obrazków, ale na przeciwległej ścianie wisiał ogromny, oprawiony w ramkę kolaż fotografii dwójki uśmiechniętych dzieci. Na plaży, w ogrodzie, zdmuchujących świece na torcie – archiwum szczęśliwych wspomnień. Jonah odwrócił wzrok, czując bolesne ukłucie.

Młoda kobieta z ciemnymi włosami stała za szeroką wyspą z granitowym blatem. Kiedy weszli, uśmiechnęła się profesjonalnie i uprzejmie, choć na widok Jonaha po jej twarzy przemknęło zaskoczenie.

– Harry i Abigali powiedzieli, że mogą godzinę pograć na PlayStation – odezwała się tylko do Chrissie, jakby zdecydowała, że lepiej udawać, że go tam nie ma. Jonah rozpoznał głos i akcent kobiety, z którą rozmawiał wcześniej.

– Mogą pograć pół godziny, a potem mają siadać do pracy domowej – odparła Chrissie, przewieszając torebkę przez oparcie hokera. Dziewczyna rzuciła Jonahowi jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie, bezskutecznie próbując ukryć ciekawość.

– Czy przygotować kawę...?

– Nie, dziękuję, Rosa. Lepiej idź i sprawdź, co robią bliźniaki.

Kobieta skinęła głową i wyszła. Jonah popatrzył za nią.

– Zanim zaczniesz, ona tylko pomaga – rzuciła ostro Chrissie. – Mnóstwo ludzi ma dzisiaj niańki.

– Nic nie powiedziałem. – Jonah miał na tyle oleju w głowie, żeby darować sobie komentarz. – Ile mają lat?

Odruchowy uśmiech Chrissie złagodził jej wyraz twarzy.

– Sześć. Abigail jest starsza. Tylko o dwie minuty, ale można by pomyśleć, że o dwa lata.

– Gratulacje.

– Inaczej byś mówił, gdyby były twoje – rzuciła, a jej uśmiech zniknął, kiedy dotarł do niej sens tych słów. – Nie chciałam...

– Wiem. – Zorientował się, że zrobiło mu się jej żal. Kiwnął głową w stronę kolażu na ścianie. – Wyglądają na świetne dzieciaki.

– Dzięki. – Napięcie wróciło. Odwróciła się, żeby zdjąć z półki słoik kawy. – Możesz usiąść.

Jonah wysunął jeden ze stołków. Zauważył, że nie zapytała, czego się napije. Stare nawyki.

– Przykro mi z powodu Gavina – powiedziała, nie patrząc na niego. – Złapali człowieka, który to zrobił?

– Jeszcze nie.

Zacząła wsypywać kawę do kawiarki.

– Jak Marie?

– Tak jak można by się spodziewać. Wczoraj był pogrzeb.

– Słyszałam. Myślałam, czyby nie iść, ale po takim czasie... No wiesz.

Wiedział. Wątpił, żeby Marie wiedziała, co zaszło między jej przyjaciółką i mężem, ale Chrissie i tak byłoby trudno znów spojrzeć jej w oczy.

– Nie wiedziałam, że utrzymywaliście kontakt.

Nie dodała „z Gavinem”, ale nie musiała.

– W zasadzie to trochę dlatego tu jestem. Policja może chcieć z tobą porozmawiać.

– Ze mną?

Nabrał powietrza.

– Musiałem powiedzieć im o tobie i Gavinie.

Zatrzymała się i wbiła w niego wzrok.

– Po jaką cholere?

– Chcieli wiedzieć, dlaczego przestałem z nim rozmawiać.

– Jezu Chryste! Po prostu fantastycznie!

– Słuchaj, dla mnie to też nie było nic fajnego, ale nie miałem wyboru.

Będą chcieli potwierdzić z tobą, co się wydarzyło.

– Aha, i to tyle? A jeśli nie będę chciała niczego potwierdzić?

– Wtedy będą wracać, dopóki tego nie zrobisz.



– Nie wierzę! To było lata temu, dlaczego to w ogóle ma jakiegokolwiek znaczenie?

– Nie wiem, może dlatego, że Gavin został zamordowany? Ktoś zatłukł go na śmierć i zabrał jego ciało, ale przykro mi, jeśli sprawi ci to kłopot.

Cisza. Obydwoje byli czerwoni na twarzy, oddychali ciężko. Kątem oka dostrzegł ruch w drzwiach. Zaniepokojona opiekunka obserwowała ich z przedpokoju.

– Wszystko dobrze, pani Waverly?

Chrissie szybko ochłonęła.

– Wszystko w porządku, dziękuję, Rosa.

Podeszła, żeby zamknąć drzwi od kuchni.

– Jutro wszystkie snobistyczne mamusie będą o tym paplać.

Jonah potarł kark, żeby rozluźnić mięśnie.

– Przepraszam.

– Ja też. – Odchyliła głowę i zamknęła oczy. – Wiedziała, wiedziała, że nie powinnam cię wpuszczać.

Te słowa padły już bez emocji, a na twarzy Chrissie nie było oznak wrogości. Zostało jedynie wyczerpanie. Wyglądała na dziesięć lat starszą od kobiety, którą widział na zewnątrz.

– Jest coś jeszcze – odezwał się.

– No przecież. Nie, poczekaj – ubiegła go. – Wolę usiąść, zanim zaczniesz.

Jonah milczał, kiedy nalewała dwie kawy do porcelanowych kubków.

– Bez mleka i cukru?

– Tak, dzięki.

Postawiła przed nim kubek i usiadła po drugiej stronie wyspy.

– No dobra, posłuchajmy.

– Mają podejrzanego. To Owen Stokes.

Obserwował jej reakcję.

– Człowiek, którego podejrzewałeś o porwanie Theo? Nie rozumiem...

Nie ona jedna. Ostrożnie, skupiając się jedynie na istotnych rzeczach, Jonah opowiedział jej wszystko, co wiedział. Czuł się dziwnie. Kiedy byli małżeństwem, nigdy nie rozmawiał z Chrissie o trwających sprawach. Nawet gdyby miał ochotę zabierać pracę do domu, nie chciałaby o tym słuchać.

W miarę jak opowiadał, na jej twarzy pojawiało się coraz większe napięcie. Założyła ręce na piersi, jak gdyby chciała obronić się przed tym,

co mówił.

– Nikt wcześniej o tym nie wspominał. Dlaczego słyszę to po raz pierwszy?

– Nie wiedzieli, że to Stokes, dopóki nie otrzymali wyników DNA. Myślę, że wiele osób niepokoi, jak to wygląda. Nikt nie wie, co się wydarzyło, więc chodzi o ograniczenie szkód, dopóki nie nabiorą pewności, z czym mają do czynienia.

– Ale dlaczego Gavin w ogóle był w magazynie, jeśli nie... – Zbladła. – O Jezu.

– Nie wiemy niczego w stu procentach – uspokoił ją Jonah delikatnie, domyślając się, co dzieje się w jej głowie.

Nie słuchała.

– Dochodzenie wykazało, że nikt nie brał w tym udziału, że to wypadek! A teraz, po dziesięciu latach, okazuje się, że ten... ten Stokes naprawdę porwał mi syna?

– Nie wiemy niczego w stu procentach – powtórzył Jonah w pełni świadom, że jakimś cudem przejął rolę Fletchera. – Wszyscy podkreślają, że ustalenia śledztwa wciąż obowiązują. Gavin był... przechodził trudny okres, więc może kiedy znowu natknął się na Stokesa, wyciągnął pochopne wnioski.

– Naprawdę tak myślisz?

Miał już powiedzieć „nie wiem”, ale słowa uwięzły mu w gardle. Pokręcił głową.

– Nie.

– Nie wierzę, że to się dzieje. – Chrissie zamknęła oczy. – Boże, niedobrze mi.

– W porządku? – Podniósł się lekko.

Pokręciła głową, powstrzymała go uniesieniem dłoni. Usiadł z powrotem, wiedząc, że nie może powiedzieć nic, co mogłoby pomóc. Wbił wzrok w granitowy blat.

– To się nie skończy, prawda? Próbujesz żyć dalej, ale... – Oczy zaszczyły jej łzami. – Wiesz, że wciąż za nim tęsknię? Oczywiście myślałeś, że mnie to nie obeszło, ale nie było tak.

– Nie myślałem...

– Myślałeś. Zawsze wolał ciebie. Nie liczyło się, czy tam byłam, czy nie. Ale byłam jego mamą. Był tak samo mój jak twój. Nie ma dnia, żebym o nim nie myślała. I o tym, co się stało. – Pokręciła głową, jak gdyby

odpędzała od siebie nagłe wspomnienie. – Nienawidziłam cię, przecież wiesz.

– Chrissie...

– W porządku, już mi przeszło. Ale tak było. Kiedy żył, czułam, jakbyś wchodził między nas, a potem pozwoliłeś... żeby stała się ta pieprzona, niewyobrażalna rzecz. A tak cię uwielbiał. Nie mogłam tego znieść, ja... ja po prostu chciałam cię skrzywdzić, wszystko jedno jak.

– To dlatego przespałaś się z Gavinem?

Popatrzyła na niego, ale najwidoczniej też nie miała ochoty na kłótnię.

– Czułam się bezwartościowa. Straciłam synka, moje małżeństwo było w ruinie. Chciałam po prostu, żeby cały ten koszmar się skończył. Chociaż na chwilę. Więc kiedy Gavin znowu wpadł, pomyślałam... czemu nie? Wiedziałam, że potem znenawidzę się jeszcze bardziej, ale o to chodziło. Zrobiłam to na złość sobie, tak samo jak tobie.

Jonah czuł się odsłonięty. Nie przyszedł tutaj, żeby o tym rozmawiać, ale za długo to odkładali.

– Wpadł „znowu”? Co to znaczy?

Popatrzyła na niego z politowaniem.

– Naprawdę myślisz, że tylko raz się do mnie przystawiał?

– Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– A co by to dało? Gdybym przyznała się, że twój kochany koleżka chciał dobrać mi się do majtek, uznałbyś, że po prostu robię problemy. Zawsze wierzyłeś jemu, nie mnie.

– To nieprawda.

– Nie? Przyznaj: nadal nie chcesz w to uwierzyć, nawet teraz, co?

Miała rację: nie chciał. Chrissie pokręciła głową.

– Widzisz? Zawsze miałaś klapki na oczach, jeśli chodziło o niego. I nie myśl, że tego nie wykorzystywał. Dbał przede wszystkim o siebie, ale nigdy tego nie widziałeś.

„Uwierz mi, widziałem”, pomyślał, ale nie skomentował tego na głos. Chrissie wyprostowała się z niemal niezauważalnym westchnieniem.

– Więc co teraz?

– Nie wiem – zaczął, ale urwał, kiedy drzwi do kuchni otworzyły się z hukiem. Do kuchni wpadły dwa małe tornada.

– Mamusiu, Harry nie daje mi pograć!

– Daję, ale jesteś słaba.

– Wcale nie, to ty oszukujesz! Powiedz mu...

Obydwoje znieruchomieli na widok Jonaha z identycznym wyrazem zdziwienia na nie do końca identycznych buziach.

– Abigail, Harry, to Jonah. Kolega mamy – przedstawiła go. – Co się mówi?

Posłały mu zawstydzone uśmiechy i wymamrotały „dzień dobry”. Jonah zorientował się, że szuka w ich rysach echa własnego syna.

Zastanawiał się, czy wiedzieli o swoim przyrodnim bracie.

– Mamooo, powiedz Harry’emu, że teraz moja kolej! – poprosiła dziewczynka, odwracając się od Jonaha, jak tylko straciła nim zainteresowanie.

– Nie, to nie fair!

– Okej, wystarczy – oznajmiła Chrissie. – Gdzie Rosa?

Młoda kobieta wpadła do kuchni jak na zawołanie.

– Przepraszam, pani Waverly, wyszłam tylko na chwilę, żeby odebrać telefon...

– Już dobrze. Niech zaczną odrabiać lekcje, przyjdę za chwilę.

Jonah poczekał, aż opiekunka wyprowadzi dzieci.

– Lepiej już pójść.

Chrissie nie oponowała. Zerknęła w stronę korytarza, upewniając się, czy nikt jej nie słyszy.

– Powinam się martwić?

– Z powodu Stokesa? Nie widzę powodu.

– Przed chwilą powiedziałeś mi, że zabił cztery osoby, w tym Gavina, a wczoraj włamał się do domu Marie. Po Theo... – Urwała, nie mogąc wykrztusić z siebie słowa.

– To co innego – rzekł Jonah z całym przekonaniem, na jakie było go stać. – Gavin naraził się Stokesowi, kiedy zaczął go śledzić. Stokes nie wie o tobie, a nawet gdyby, nie miałby żadnego powodu, żeby cokolwiek zrobić.

Skinęła głową, ale gdy otwierała drzwi, nadal nie wyglądała na uspokojoną. Jonah wyszedł, ale zatrzymał się i odwrócił na schodkach.

– Dobrze było cię znowu zobaczyć, Chrissie.

Z wyrazu jej twarzy wyczytał, że raczej nie mogła powiedzieć tego samego.

– Uważaj na siebie, Jonah – pożegnała go i zamknęła drzwi.

## Rozdział 17

Kiedy dotarł na Nabrzeże Rzeźników, zapadał już zmierzch. Wjechał na ten sam skrawek zarośniętego chwastami betonu co poprzednio, ale w ostatniej chwili uległ nieracjonalnym podszeptom i zaparkował w innym miejscu.

W okolicy nie było żadnego innego auta. Popatrzył na miejsce, gdzie zastał wtedy audi Gavina, po czym wysiadł. Zimne powietrze ciągnęło od wody, niosąc wilgotny zapach ropy i błota. Balansując o kulach, Jonah zadrżał i po raz kolejny zadał sobie pytanie, co tu robi. Po wyjściu od Chrissie był w rozterce. Nie chciał wracać do mieszkania, więc zdecydował, że po prostu pojeździ po mieście. Ale – tak jakby ta myśl czaiła się z tyłu głowy – zanim wyjechał z uliczki, już podjął decyzję.

Nawet teraz nie mógł znaleźć żadnego konkretnego powodu – poza wewnętrznym przymusem, który narastał, odkąd wyszedł ze szpitala. Nie oszukiwał się, że powrót skutkuje czymś w rodzaju objawienia, nie liczył nawet, że pomoże mu zrozumieć, co się tam wydarzyło.

Po prostu musiał jeszcze raz obejrzeć to miejsce.

„Tylko że powinienem przyjechać trochę wcześniej”, pomyślał. Kiedy ruszył ścieżką w stronę nabrzeża, słońce już zachodziło. Szedł tą samą drogą przez wąską boczną uliczkę przy starej garbarni, gdzie kamienie brukowe wystawały spod popękanego asfaltu jak pokryte strupami rany. Z początku słyszał jedynie rytmiczne stukanie kul, ale bliżej kei dobiegł go dźwięk rzeki uderzającej o pale. Zacumowane barki oznajmiały swoją obecność pełnym protestu piskiem gumowych odbijaczy. Ta duża ciągle podskakiwała nieco dalej od reszty jak nieproszony gość na przyjęciu. Na dziobie wciąż łuszczył się wymalowany, nieco starty napis „The Oracle”, a Jonah zauważył w oknie wyblakły od słońca napis „Na sprzedaż”.

I żadnych kotów.

Kiedy zbliżył się do końca nabrzeża, zrobiło się zimniej. Znad wody wiał ostry, przeszywający od zimna i wilgoci wiatr, od którego bolało go kolano. Zobaczył przed sobą ostatni magazyn. Uszkodzona siatka została wymieniona, ale poza tym wyglądał tak, jak go zapamiętał. Opuszczona, zabita dechami skorupa z wybitymi oknami.

Zastanawiał się, co poczuje, kiedy znowu się tu zjawi, ale prawdę mówiąc, nie czuł nic. Żadnego emocjonalnego szoku, żadnego katharsis. Żadnych odpowiedzi. Przyglądał się konstrukcji przez chwilę, po czym odwrócił się i ruszył z powrotem do auta.

Ale miał przed sobą długi marsz, a w tym świetle wyludnione nabrzeże wydawało się jeszcze bardziej złowieszcze. Głębokie cienie wywoływały nieprzyjemne wrażenie *déjà vu*. Ze wszystkich sił starał się je ignorować, ale nagle usłyszał metaliczny brzęk, do złudzenia przypominający dźwięk wydawany przez kołyszące się łańcuchy. Momentalnie znalazł się z powrotem w ładowni, w powietrzu unosił się zapach krwi, ciało Gavina leżało na plastikowej folii. Zachwiał się, serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi.

Potem wszystko minęło, a on ocknął się zlany potem i roztrzęsiony. Nie było żadnych łańcuchów, jedynie fragment siatki z ogrodzenia uderzał na wietrze. „Jezu...” Rozdygotany wypuścił powietrze i ruszył ponownie wzdłuż nabrzeża. Jedyne, czego teraz chciał, to znaleźć się z powrotem w ciepłym aucie. Odbił od rzeki i wszedł w wąską alejkę prowadzącą obok starej garbarni. Między budynkami było jeszcze ciemniej, więc musiał uważać, gdzie stawia stopy i kule.

Nie wiedział, kiedy poczuł, że nie jest sam. Wrażenie pojawiło się stopniowo, podświadomy niepokój, którego nie dało się zignorować. Nieoczekiwanie zorientował się, że włosy na karku stają mu dęba.

Podniósł wzrok i zobaczył kogoś na odległym końcu alejki.

Kobieta. W narastającym mroku trudno było ją dostrzec, w miejscu twarzy widział tylko blady owal kontrastujący z długim ciemnym płaszczem. Ale Jonah był pewien, że go obserwowała. Zaschło mu w ustach. „Nie. Niemożliwe...” Zrobił chwiejny krok i potknął się, bo jedna z kul zahaczyła o wystający kamień.

Gdy spojrzał przed siebie – zniknęła.

Alejka była pusta, jakby kobieta nigdy się tam nie pojawiła. I może tak właśnie było. Jonah zaczynał już wątpić w to, co wydawało mu się, że

widział. Przeszedł ostatni odcinek, nieustannie rozglądając się na boki. Kiedy w końcu wydostał się z uliczki, noc zapadła już niemal całkowicie, a odległe światła drugiego brzegu migotały na tle coraz gęstszej ciemności. Ale nie było aż tak ciemno, żeby Jonah nie zauważył, że nikogo tu nie było.

Samotny saab majaczył w mroku. Otworzył auto i wcisnął się do środka, po czym siedział w ciemności, dopóki jego tętno nie wróciło do normy. Zdał sobie sprawę, że drży. Powrót wstrząsnął nim bardziej, niż się tego spodziewał. Próbował przekonać sam siebie, że poza kolanem to, co wydarzyło się w magazynie, nie miało na niego wpływu, że nie było żadnych długotrwałych efektów.

„Ta, jasne”.

Wyciągnął rękę przed siebie. Wciąż drżała, ale już nie tak bardzo. Czuł się na tyle dobrze, żeby prowadzić, zresztą im szybciej opuści to miejsce, tym lepiej. Przyjazd tutaj był głupim pomysłem, zwłaszcza tuż przed zmrokiem. „To wina nad wyraz bujnej wyobraźni”, powtarzał sobie, uruchamiając auto. „Niczego innego”.

Bo postać w alejce wyglądała jak kobieta, która zginęła w magazynie.

Szczur wybiegł z za przepelnionego śmietnika. Zatrzymał się na chwilę, żeby lepiej przyjrzeć się intruzowi – kiedy węszył, paciorkowate ślepka lśniły w świetle latarni. Po chwili, nieporuszony, zajął się własnymi sprawami.

Jonah szerokim łukiem wyminął kosze i wszedł w boczną uliczkę biegnącą wzdłuż bogato zdobionego wiktoriańskiego budynku. Była to głównie handlowa część Hammersmith: mieściły się tu sklepy i małe firmy, nad którymi mieszkali ludzie. W ciągu dnia okolica tętniła życiem, ale teraz wszystko albo już zamknięto, albo właśnie zamykano. Kiedy odjechał z nabrzeża, automatycznie skierował się w stronę mieszkania, ale niepokój i napięcie nie pozwalały mu tam wrócić. Był kłębkim nerwów. Miał wrażenie, że jest przybity i wytracony z równowagi, od kiedy Fletcher i Bennet poinformowali go, że to Stokes stał za włamaniem do Marie. Potem przyszło upokorzenie związane z koniecznością opowiedzenia detektywom o Chrissie i Gavinie, a na koniec sama wizyta u Chrissie. Choć cieszył się jej szczęściem, widok byłej żony w otoczeniu nowej rodziny okazał się emocjonalnie wycieńczający. Wieczorną wycieczką na Nabrzeże

Rzeźników otwarcie prosił się o kłopoty. Nic dziwnego, że miał zwidy i bał się własnego cienia.

Ale, pomimo racjonalizowania, wspomnienie kogoś, kogo wydawało mu się, że zobaczył w uliczce, drażniło go niczym cierń. Nie tak dawno temu zadzwoniłby do Khana albo kogoś z oddziału. Umówił się na piwo i albo to przegadał, albo – co bardziej prawdopodobne – przegnał ponury nastrój towarzysztwem i paroma głębszymi.

Tylko że teraz nie umiał się na to zdobyć. Nie kiedy Fletcher krążył wokół niego, nie z takiego powodu. Było to zbyt osobiste, zbyt związane z przeszłością. I wtedy przypomniał sobie o wiadomości, którą rano otrzymał od Milesa.

Jeśli mógł z kimś o tym pogadać, to właśnie z nim.

Był czwartek, co oznaczało, że grupa wsparcia miała dziś spotkanie. Z poczuciem ulgi Jonah zjechał na pobocze i zadzwonił do Milesa, żeby się upewnić. Odezwała się poczta głosowa, więc zostawił wiadomość, że wpadnie na spotkanie, a potem się rozłączył.

Od razu poczuł się lepiej, jakby sama myśl wystarczyła, żeby ukoić nerwy. Miał trochę czasu do zabicia, więc wszedł do kawiarni po kanapkę. Sala, w której odbywały się spotkania, znajdowała się w jednym budynku z klubem bilardowym zajmującym większość miejsca. Jonah przeszedł na tył. Niewielkie drzwi zostały wciśnięte tuż obok wentylatorów klimatyzacji. Zamontowana nad nimi tabliczka głosiła: „Dom przyjaźni. Wszyscy mile widziani”.

Nacisnął klamkę i okazało się, że drzwi były otwarte – wyglądało na to, że miał rację co do spotkania. Wszedł do dużego, rozbrzmiewającego echem pomieszczenia, w którym pachniało tynkiem i mocną herbatą. Nielakierowane deski, z których kiedyś wystawały drzazgi, były gładkie od lat chodzenia po nich. Plastikowe krzesła i składane stoły na kozłach ustawiono pod ścianą. Na tablicy korkowej wisiał wyblakły plakat, na którym czerwonymi literami wydrukowano rozpaczliwie brzmiące zapewnienie: „Nie jesteś sam”.

Jonah zamknął drzwi. Nie widział nikogo, ale ktoś musiał przyjść, skoro drzwi były otwarte, a światła włączone. Już miał zawołać, gdy nagle światła zgasły.

Pochłonęła go ciemność. Spanikowany obrócił się i zatoczył do tyłu, podnosząc kulę, żeby odeprzeć atak. Coś uderzyło go w nogi od tyłu i rozległ się metaliczny stukot – przewrócił rząd krzeseł, którego nie



zauważył. Machając rękami, upadł na podłogę, uderzył się w kolano, a plastikowe siedzenia zwały się wokół niego.

Światło zapaliło się z powrotem.

Jonah zamrugał, oślepiony nagłym blaskiem. W drzwiach na drugim końcu sali stał mężczyzna w rozpiętym płaszczu, który wciąż trzymał jedną rękę na włączniku. Był wysoki i lekko przygarbiony, rzadkie siwe włosy zaczesał schludnie. Okulary w drucianych oprawkach powiększały jego oczy, które wytrzeszczał teraz w niemal komicznym wyrazie zaskoczenia.

– Jonah? – Przeraził się jeszcze bardziej, kiedy zauważył kule. – Dobry Boże, nic ci nie jest?

– Nic. Ja tylko, ech... – Nie wiedział w sumie, co powiedzieć, więc darował sobie całą resztę. – Cześć, Miles.

Starszy człowiek pospieszył w jego stronę.

– Poczekaj, pomogę ci.

– W porządku, nic mi nie jest. Naprawdę.

Panika ustąpiła, pozostało jedynie zażenowanie. Oszczędzając kontuzjowane kolano, Jonah znalazł jedną z kul i zaczął dźwigać się na nogi pośród rozrzuconych krzeseł, czym spowodował jeszcze więcej hałasu. Miles odsunął się na bok, żeby dać mu więcej miejsca.

– Gdybym wiedział, że przyjdiesz, nie gasiłbym światła. Właśnie zamykałem.

– Nie dostałeś mojej wiadomości? – zapytał Jonah, schylając się po drugą kulę.

Miles znieruchomiał z krzesłem w rękach. Wyglądał na zawstydzonego.

– Nie, przepraszam. Obawiam się, że ostatnio nie spędzałem za dużo czasu z telefonem.

– Okej, nic się nie stało. – Ustawwszy ostatnie krzesło, Jonah rozejrzał się po pustej sali. – Nie ma dzisiaj spotkania?

Miles poprawił okulary, wyraźnie skrepowany.

– Słuchaj, może usiądziesz, a ja nastawię wodę? I pogadamy przy herbacie.

Zaniepokojony Jonah przyglądał się, jak wychodzi z sali. Coś było nie tak, ale Miles powie mu w swoim czasie. Sięgnąwszy po krzesło, usiadł przy stole, nasłuchując dźwięków dochodzących z kuchni. Będąc tutaj, za każdym razem odczuwał sprzeczne emocje. Z jednej strony wracał do bolesnego, najgorszego etapu w swoim życiu. Z drugiej odnajdował

również dodające otuchy poczucie spokoju, pocieszającą bliskość, która łagodziła negatywne emocje. Jak zwykle.

O grupie wsparcia dowiedział się z ulotki, którą ktoś wrzucił mu do skrzynki. Nie było żadnego liściku, nie poznał też charakteru pisma na kopercie. W środku znalazł jedynie małą, wydrukowaną na zwykłej drukarce kartkę formatu A5 z wielkim nagłówkiem, od którego poczuł się, jakby ktoś dał mu w twarz. Straciłeś kogoś? Pod spodem było tylko kilka linijek:

*Strata przybiera różne formy. Nie musisz cierpieć sam. Przyjdź i poznaj tych, którzy rozumieją, co czujesz. Podziel się lub posłuchaj, wybór należy do ciebie. Wtorki i czwartki, godz. 19.00, Dom Przyjaźni.*

Oprócz tego podano adres w Hammersmith oraz numer telefonu komórkowego. Jonah nigdy nie dowiedział się, kto mu to podrzucił. Przypuszczał, że ktoś z jego oddziału chciał mu pomóc, ale zbyt się wstydził, żeby zrobić to otwarcie. Zresztą Jonah i tak nie był zainteresowany. Zmiał ulotkę w kulkę i wyrzucił ją do kosza.

A potem wrócił i wygrzebał ją ze śmieci. Wygładził papier, schował go do szuflady. Minęło kilka tygodni, zanim w końcu się poddał i po raz pierwszy poszedł do Hammersmith. Miał kłopot ze znalezieniem wejścia ukrytego za klubem bilardowym, a sama okolica nie budziła zaufania. „To nie dla mnie”, pomyślał.

Mylił się.

Przez dwa lata odbywające się dwa razy w tygodniu spotkania były jego ostatnią deską ratunku, dzięki której udawało mu się przetrwać kolejne okropne tygodnie. Sala stała się sanktuarium. Często było tam zaledwie parę osób, czasem tylko on, Miles i Penny. W takich momentach rozmowy dotyczyły przeważnie czegoś zupełnie innego niż tragedii, które ich ze sobą zetknęły.

Stopniowo Jonah zjawiał się tam coraz rzadziej. Ale nawet kiedy nie chodził na spotkania, pozostawał w kontakcie z Milesem. Przynajmniej do niedawna. Teraz, rozglądając się po pustym pomieszczeniu, Jonah poczuł ukłucie winy na myśl o tym, że zaniedbał tę relację.

Miles wyszedł z kuchni, niosąc tacę. Zdjął płaszcz, odsłaniając swój tradycyjnie rozpięty kardigan, który włożył na znoszoną, ale nienagannie

wyprasowaną białą koszulę. Przynajmniej niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniały.

– Proszę bardzo – powiedział, stawiając tacę na stole. Stały na niej dwa kubki z herbatą i talerz kruchych ciastek. „Markizy”, zauważył Jonah, „ulubione Milesa”. – Powiedz, jeśli będziesz chciał więcej mleka.

– Jest w sam raz, dzięki.

Jonah nigdzie indziej nie pił herbaty z mlekiem i cukrem. Tutaj jednak w jakiś sposób wydawało mu się to naturalne. Miles usiadł, a Jonah zwrócił uwagę, że poruszał się nieco sztywno. Z kolejnym ukłuciem dostrzegł prześwitującą przez rzadkie siwe włosy skórę czaszki oraz plamy wątrobowe, którymi usiane były duże, kościste dłonie. Nie pamiętał ich.

Ale uśmiech był ten sam, podobnie jak ciepło brązowych oczu.

– Dobrze cię znowu widzieć, Jonah.

– Chciałem odezwać się wcześniej, ale...

– Dobry Boże, przecież nie masz za co przepraszać. Po prostu się cieszę, że nic ci nie jest. Po tym, jak zobaczyłem wczoraj artykuł w gazecie i dotarło do mnie, że byłeś w tym okropnym miejscu... – Pokręcił głową. – Jak się czujesz?

– Okej. – Jonah wzruszył ramionami. – Na jakiś czas muszę odpuścić piruety.

– Jestem pewien, że to wielka strata dla światowej sceny tanecznej. – Łagodnie oczy patrzyły badawczo. – Ale nie o to pytałem. Jak się czujesz?

Jonah zerknął na kubek. Przyszedł tutaj, żeby porozmawiać, ale to niczego nie ułatwiało.

– Widziałem się dzisiaj z moją byłą żoną. Wyszła za mąż, ma bliźniaki. Fajne dzieci.

– Ach. – Miles pokiwał głową, obejmując kubek. – To dobrze, oczywiście. Ale na pewno nie było to łatwe. Czytałem, że policjant, który zginął razem z tymi biedakami, był twoim przyjacielem. Bliskim?

Gdyby takie pytanie zadał ktokolwiek inny, pewnie potraktowałby to jako wścibstwo.

– Dawno temu.

– Przykro mi. Na pewno był dobrym człowiekiem.

„Dobry człowiek”. Jonah nie miał pojęcia, czy to określenie pasowało do Gavina.

– Nie wiem. Ale bardzo długo się przyjaźniliśmy. Nie lubię myśleć, że był zły.

– Czyli był trochę dobry, trochę zły. Jak my wszyscy. – Miles westchnął.  
– Nie zamierzam pytać, co tam się stało, ale biorąc pod uwagę, że tu jesteś, podejrzewam, że trudno ci się z tym uporać, co jest całkowicie zrozumiałe.

Jonah chciał się odezwać, ale coś ścisnęło go za gardło. Odchrząknął i spróbował ponownie.

– Powiedzmy, że przeszłość wróciła w sposób, którego się nie spodziewałem. – Choć bardzo chciał, nie mógł opowiedzieć Milesowi o Owenie Stokesie. Chrissie miała prawo wiedzieć, ale Jonah i tak ryzykował, rozmawiając z nią. – Wielu rzeczy nie rozumiem. Muszę znaleźć odpowiedzi, ale nie wiem jak.

– Ale zamierzasz się tego dowiedzieć?

Prostota pytania przedarła się przez mgłę, która spowijała Jonaha.

– Tak.

Miles przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu.

– Pamiętam, jak pierwszy raz tu przyszedłeś. Siedziałeś z tyłu, wyglądałeś, jakbyś chciał się bić z całym światem. Wiedziałem, co czułeś. Myślę, że większość ludzi, którzy przechodzą przez te drzwi, wiedziała. Wściekli, pogubieni, szukamy kogoś, kogo moglibyśmy obwinić. I przede wszystkim cierpimy. Byłeś jak zaciśnięta pięść. – Demonstracyjnie uniósł dłoń. – Nie umiem wyrazić, jak dobrze było patrzeć, że stopniowo się otwierasz. Pen cieszyła się tak samo. To dlatego się zaniepokoiłem, kiedy zobaczyłem, że jesteś zamieszany w tę potworną sprawę. Liczyłem, że nic ci się nie stało, ale bardziej martwiłem się o to, jaki to może mieć wpływ na twoje samopoczucie. Nowe traumy potrafią wskrzeszać te stare, a ty doświadczyłeś już tego, czego większość ludzi zapewne nigdy nie przeżyje. Bardzo bym nie chciał, żebyś znów zacisnął się w pięść, Jonah.

– Nie zrobię tego.

– Mam nadzieję. I wiem, że nie jesteś na tyle głupi, żeby brać sprawiedliwość w swoje ręce... – zakończył znacząco, ale jego oczy rozjaśniły się w uśmiechu. Sięgnął po talerz i przysunął go. – Częstuj się ciastkiem.

Jonah wziął jedno i doszedł do wniosku, że dość już rozmowy o nim.

– A jak Penny?

– O... prawdę mówiąc, nie za dobrze. To dlatego nie przychodzę tu już tak często. Wpadłem dzisiaj, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, i zabrać pocztę. – Miles skupił się na herbacie. – Pen ma raka.

– Chryste, Miles... – Wiadomość wstrząsnęła Jonahem i sprawiła, że nagle poczuł się egoistą, że tyle czasu poświęcał swoim problemom. – Gdzie?

– Praktycznie wszędzie. Przynajmniej w momencie, w którym go wykryli. Nie leczy się. Czuła, że... no, wolimy maksymalnie wykorzystać czas, który jej został. Nie powiem, że się z tym pogodziliśmy, ale obydwójce to akceptujemy. Miewa lepsze i gorsze dni, ale ogólnie jest w dobrym nastroju.

– Przykro mi...

– Wiem. – Uśmiech wrócił. – Bardzo chciałaby cię zobaczyć. Musisz do nas wpaść. Jakoś niedługo.

– Tak zrobię – obiecał Jonah.

Kiedy Jonah wrócił do mieszkania, było już po dziewiątej. Dokuczało mu kolano, więc zaparkował przed blokiem, zamiast dokładać sobie jeszcze forsowny marsz z garażu. Czarne niebo zasnuwały podobne do dymu chmury, a ponad światłami miasta widoczne były jedynie najjaśniejsze gwiazdy. Czuł smutek i przygnębienie z powodu Penny, ale zyskał jasność umysłu. Nie przybliżył się ani trochę do rozwiązania własnych problemów, lecz teraz przynajmniej nabrał do nich dystansu.

Grupka młodych ludzi stała na chodniku po drugiej stronie ulicy. Kierowany policyjnym nawykiem Jonah zmierzył ich wzrokiem, ale nie tak, żeby odczytali to jako wyzwanie. Bez słowa obserwowali, jak wchodzi do klatki; wcisnął przycisk wzywający windę. Jedna z żarówek na suficie nie działała i po raz kolejny uderzyło go, w jak okropnym miejscu. Płytki na ścianach były popękane i brudne, a szklane panele w drzwiach – w miejscach, gdzie przez dziesięciolecia zdrapywano graffiti – straciły swój blask.

Nie po raz pierwszy zastanawiał się, dlaczego nadal tu mieszka. Przecież nie miał żadnego powodu, żeby tu tkwić, nic nie powstrzymywało go przed wyprowadzką.

Ale myśl, jak zwykle, trafiła w próżnię. Czekał na powolną windę, pochylił się, żeby rozmasować obolałe kolano. Fala zimnego powietrza owiała go, kiedy na klatkę schodową weszło dwóch chłopaków. Drzwi się rozsunęły, a oni wsiedli do windy razem z Jonahem. Byli w kapturach, jeden z nich miał pod spodem czapkę z daszkiem. Drugiemu twarz przeorał

trądzik. Wyglądali na siedemnaście, osiemnaście lat i wydawali się podenerwowani. Chemiczny zapach potu lepił się do ich ubrań. Nie patrzyli bezpośrednio na Jonaha, ale zauważył, jak jeden z nich rzucił drugiemu ukradkowe spojrzenie, gdy winda się zamknęła.

Żaden z nich nie wcisnął przycisku z numerem piętra.

„No, świetnie”. Nie znał ich, ale przypuszczał, że sprzedawali, albo kupowali, aż w którymś momencie doszli do wniosku, że samotny inwalida będzie łatwym celem. Patrząc na podświetlane numery pięter nad drzwiami, przestąpił z nogi na nogę, żeby lepiej rozłożyć swój ciężar.

– Jestem z policji.

Drgnęli, popatrzyli po sobie raz i drugi.

– Co jesteś?

Mówił ten mniejszy, tłuste jasne włosy wystawały mu spod kaptura. Jonah nie odrywał wzroku od numerów.

– Słyszałeś.

Winda minęła kolejne piętro. Jonah wciąż patrzył ponad ich głowami z kamienną twarzą. Czuł rosnące napięcie, wiedział, że sytuacja może potoczyć się różnie. Ale po takim dniu jak dzisiaj, o kulach czy bez nich, miał to w dupie.

Drzwi się rozsunęły.

Jonah czuł na plecach ich wzrok, gdy wysiadał i niespiesznie kuśtykał korytarzem. Nasłuchiwał, czy idą za nim, ale dobiegło go jedynie skrzypienie zasuwanych drzwi. Kiedy usłyszał, jak dźwig ruszył w dół, zatrzymał się i odwrócił. Jarzeniówka na suficie migotała głośno, ale poza tym było pusto.

Miotając się między ulgą a rozczarowaniem, wszedł do mieszkania. Zdjął kurtkę i wyjął piwo z lodówki. Napił się prosto z puszki, po czym zamówił pizzę. Normalnie starał się unikać śmieciowego jedzenia, ale zrobiło się późno, a on był zbyt zmęczony, żeby cokolwiek ugotować.

Taki dzień.

Dopił piwo i akurat zastanawiał się, czy sięgnąć po kolejną puszkę, kiedy odezwał się dzwonek. Opierając się na jednej kuli, przeszedł do przedpokoju i wyjrzał przez judasza. Spodziewał się dupków z windy, ale to nie byli oni. Na zewnątrz stał ktoś gorszy.

Jonah oparł czoło o drzwi. „Świetnie. Po prostu świetnie”. Dzwonek zadzwonił jeszcze raz, a potem rozległo się energiczne pukanie. Wyprostował się i otworzył.

Corinne Daly uśmiechnęła się szeroko i wyciągnęła pudełko pizzy.  
– Mam nadzieję, że nie zamówiłeś anchois?

## Rozdział 18

Jonah nie przyjął pudełka.

– Czego chcesz?

– Skoro pytasz, to nie odmówię drinka. – Jej uśmiech zbladł, kiedy Jonah nie odpowiedział. Kolejny raz wysunęła w jego stronę karton z pizzą.

– Możesz? Mam tłuste palce.

Nawet się nie poruszył. Daly westchnęła.

– Spotkałam dostawcę w windzie i powiedziałam, że ci przekażę, okej? Dorzuciłam też napiwek. Nie jest zatruta, serio.

Jonah wziął pudełko i zaczął zamykać drzwi.

– Nie, czekaj! – Daly wsunęła się w szczelinę. – Nie jestem w pracy, to mój prywatny czas wolny. Przyszłam przeprosić.

– Nie, dziękuję.

– Proszę cię, po prostu posłuchaj! Dowiedziałam się czegoś, co może cię zainteresować.

Jonah zatrzymał się, ale wciąż nie otworzył drzwi do końca.

– Czego?

– Pozwól mi wejść, to ci powiem. Patrz, żebyś się nie martwił... – Włożyła rękę do torebki i wyjęła z niej telefon. – Wyłączam go. O, proszę.

Daly demonstracyjnie podniosła zgaszony ekran.

– Widzisz? Nie nagrywa. A ty będziesz chciał usłyszeć, co mam ci do powiedzenia.

Jonah wahał się, ale ciekawość zwyciężyła. Otworzył drzwi i wpuścił dziennikarkę do środka.

– Masz pięć minut.

Posłała mu uśmiech.



– Dziękuję.

Od razu zaprowadził ją do salonu. Postawiła torebkę na stoliku kawowym i z westchnieniem opadła na sofę. Siedziała tak, z wyciągniętymi przed siebie długimi nogami i wyciągniętą szczupłą szyją. Jonah dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jest bardzo atrakcyjna. Odepchnąwszy od siebie tę myśl, zajął miejsce w fotelu; stolik znalazł się między nimi.

– To co chcesz mi powiedzieć?

– Zaraz. Najpierw muszę się do czegoś przyznać. – Wyprostowała się, jej pewność siebie jakby zniknęła. – Cały czas myślę o tym, co zrobiłam w szpitalu i po pogrzebie, i... chciałam przeprosić za to, jak się zachowałam. Zazwyczaj taka nie jestem, wiesz? Czasem nie podoba mi się to, co muszę robić, sama sobie wtedy się nie podobam. To był jeden z takich momentów.

Jonah nie był przekonany, czy to nie kolejna sztuczka. Ale kiedy tak siedziała, wyglądała na zmęczoną i bezbronną, a nie na pewną siebie dziennikarkę, która zaskoczyła go w szpitalu albo przed kościołem. Przeprosiny wydawały się szczere.

– Więc dlaczego ciągle to robisz?

– Wierz mi lub nie, ale nadal lubię być dziennikarką. Ktoś musi pociągać ludzi do odpowiedzialności i kiedy mam dobry dzień, tak właśnie na to patrzę. Ale głównie dlatego, że jestem samotną matką z kredytem i sześcioletnią córką. Potrzebuję pieniędzy. – Rzuciła mu żaloszny uśmiech. – Nie szukam współczucia, chciałam tylko... Nie wiem. Wytłumaczyć się? Żebyś nie myślał, że jestem skończoną krową.

– Okej. – Nie tego się spodziewał, ale nie był jeszcze gotowy opuścić gardy. – Mówiłaś, że masz coś, co chciałbym usłyszeć.

Spuściła wzrok, jakby rozumiała jego podejrzenia. Ale kiedy ponownie spojrzała mu w oczy, ich blasku nie dało się z niczym pomylić.

– Znam tożsamość jednej z ofiar.

To przykuło jego zainteresowanie.

– Której?

Daly się uśmiechnęła. Oparła się na sofie, widząc, że przynęta chwyciła.

– Myślę, że zasłużyłam na pizzę.

– Nazywał się Daniel Kimani.

Daly wytarła palce w ręcznik papierowy. Ostatni kawałek pizzy stygł w otwartym pudełku, dopite do połowy piwo stało obok. To było jej drugie. Jonah kończył właśnie trzecią puszkę, bo z jedną uporał się, zanim przyszła. Obiecał sobie, że ta będzie ostatnia.

Daly uparła się, żeby najpierw zjedli, zanim cokolwiek mu powiedziała. Z początku się niecierpliwił, ale później stwierdził, że lepiej się zgodzić. Jak dotąd nie dała mu żadnego powodu, żeby żałował, że ją wpuścił. Przez większość czasu – kiedy nie jadła ani nie piła – mówiła ona, ale unikała tematu Nabrzeża Rzeźników. Choć jakaś jego część wciąż zachowywała czujność, doszedł do wniosku, że dobrze czuje się w jej towarzystwie.

Teraz dziennikarka była gotowa, żeby przejść do rzeczy.

– Był doktorantem z Kenii – podjęła po tym, jak rzuciła zmięty papierowy ręcznik na stolik. – Dwadzieścia sześć lat, przyjechał na wizie studenckiej dwa lata temu, żeby zacząć doktorat z nauk politycznych i społecznych. Był lubiany, ale niezbyt towarzyski. Miał tylko garstkę przyjaciół i nawet przy nich był raczej zamknięty w sobie, ale wyjątkowo aktywnie działał na rzecz praw człowieka. Jego zaginięcie zgłoszono dwa dni przed tym, jak znalazłeś ciało na Nabrzeżu Rzeźników. Nie pojawiał się na uczelni, nie odbierał telefonu. Jego współlokator powiedział, że pewnego dnia rano wyszedł w pośpiechu i już nie wrócił. Nie zdradził nikomu, dokąd idzie ani z kim się spotyka.

Umysł Jonaha pracował na podwyższonych obrotach. Jeśli ten cały Kimani korzystał z wizy studenckiej, podważało to teorię o nielegalnych imigrantach lub ofiarach handlarzy żywym towarem.

– Skąd to wszystko wiesz? – Nie słyszał o tym w wiadomościach, więc albo była to świeża informacja, albo Daly miała niezłe doświadczenia w policji.

– To nie wynik śledztwa, jeśli o to pytasz. Nic nie mówią, więc sama trochę poszperałam. – Próbowала nie wyglądać na zbyt zadowoloną z siebie, ale nie udało jej się ukryć dumy. – Sprawdziłam wszystkie ogłoszenia o zaginięciach z tamtego okresu, które pasowały do opisu podanego przez policję – a wierz mi, było ich dużo – i eliminowałam jedno po drugim. Daniel Kimani pasował do wszystkich kategorii. Paru znajomych z uczelni wyznaczyło nawet niewielką nagrodę za informację, więc skontaktowałam się z nimi i poprosiłam o spotkanie. Oni dopowiedzieli resztę.

Jonaha zalała fala rozczarowania.

– Więc jego tożsamość nie została oficjalnie potwierdzona? Sama się tego dowiedziałaś?

– Tak, ale to tylko kwestia czasu, aż ktoś ją potwierdzi – powiedziała, rumieniąc się. – Jeśli ja byłam w stanie to rozgryźć, jestem pewna, że śledczy już to zrobili.

„I prawdopodobnie odrzucili tę możliwość”, pomyślał Jonah. Próbował nie pokazywać po sobie zawodu.

– Sama mówiłaś, że jest sporo osób zaginionych, które pasują do opisu.

– Tylko ilu jeszcze zna młodą kobietę o imieniu Nadine?

Jonah wzdrygnął się na dźwięk imienia. Daly uśmiechnęła się z satysfakcją na widok jego reakcji.

– Wychodzi na to, że na kilka tygodni przed zaginięciem Kimani spotykał się z dziewczyną, która miała na imię Nadine. Nikt z jego przyjaciół nie znał jej nazwiska, nie wiedzieli też nic o niej samej. Tylko jego współlokator widział ją przelotnie, kiedy do nich wpadła. Po dwudziestce, czarne kręcone włosy, pochodzenie śródziemnomorskie lub bliskowschodnie. Bardzo atrakcyjna. Brzmi znajomo?

Brzmiało. Obraz przerażonej twarzy Nadine, brudnej i poparzonej wapnem, pojawił się w jego głowie. Z trudem przełknął ślinę, próbując przegnać go z powrotem.

– Byli parą?

Byłoby jeszcze gorzej, gdyby leżała na ciele swojego chłopaka, może nawet patrzyła, jak go zabijają. Ale Daly pokręciła głową.

– Też od razu o tym pomyślałam, ale Daniel Kimani był gejem. Znajomi nie wiedzieli, czemu się z nią spotykał, ale byli raczej pewni, że nie miało to nic wspólnego z seksem.

– Powiedzieli policji?

– Oczywiście. Podziękowano im za informację i obiecano, że będą na bieżąco informowani o postępach.

Czyli Fletcher już wiedział. Śledczy powinni do tej pory potwierdzić zgodność DNA i odcisków palców, jeśli to rzeczywiście był Kimani. Co oznaczało, że albo to nie on...

Albo postanowili nie ujawniać jego tożsamości.

Wiadomość sprawiła, że Jonah czuł się podekscytowany i zarazem wkurzony. Daly zrobiła to, co on sam powinien zrobić. Zamiast tego siedział na dupie i pozwalał śledczym odwalać całą robotę, jak gdyby Fletcher miał mu cokolwiek powiedzieć.

„I ty masz się za policjanta...”

– Jak nazywali się ci jego przyjaciele? – zapytał.

Daly uśmiechnęła się drwiąco.

– Chyba nie myślisz, że zdradzę swoje źródło, co?

„Nie, ale warto było spróbować”.

– A co z pozostałymi dwiema ofiarami? Dowiedziałaś się czegoś na ich temat?

– Jeszcze nie. – Daly zamilkła, patrząc na puszkę z piwem. – Więc nie słyszałaś o Danielu Kimanim? Nazwisko nic ci nie mówi?

Ale Jonah nie zamierzał niczego jej powiedzieć.

– Dlaczego w ogóle mi o tym mówisz?

Teraz to Daly wyglądała na zaskoczoną.

– Pomyślałam, że zechcesz wiedzieć. Słuchaj, nie chcę być niegrzeczna, ale będziesz jadł ten kawałek?

Zaskoczyła go.

– Nie, częstuj się.

– Normalnie nie jestem takim prosiakiem, ale nie jadłam obiadu – powiedziała, sięgając po pizzę i odgryzając kawałek. Jęknęła z satysfakcją. – Boże, ale ze mnie hipokrytka. Zawsze pouczam Maddie, że nie wolno jeść śmieciowego zarcia, i proszę.

– Maddie to twoja córka? – zapytał, przypominając sobie rozmowę sprzed kościoła.

– Aha. Kocham ją jak nie wiem co, ale jeśli chce, bywa prawdziwym potworem. Owinęła sobie moich rodziców wokół małego palca. Wiesz, jak jest. – Skrzywiła się, kiedy dotarło do niej, co powiedziała. – Cholera. Przepraszam, nie chciałam...

– W porządku. – Jonah dawno temu nauczył się nie reagować na przypadkowe uwagi. Co nie znaczyło, że był na nie odporny. – Sama ją wychowujesz?

Daly chciała szybko zapomnieć o własnej gafie.

– Nic wielkiego. Jej ojciec nie uciekł, nie umarł, po prostu był dupkiem. Powiedzmy, że to kolejny epizod z mojego życia, z którego nie jestem specjalnie dumna. A było ich kilka, serio. Ale dzięki temu mam Maddie, więc coś tam mu zawdzięczam.

– Widuje ją?

– Nie. Od samego początku wiedziałam, że nic z tego nie będzie. Ale jego strata. Nie był typem człowieka, który by się z nią bawił, nawet gdyby

został. Więc, no wiesz, krzyżyk na drogę. Żal mi Maddie, ale jest szczęśliwym maluchem, rodzina ją kocha. Chciałabym tylko...

– Tak? – powiedział Jonah, kiedy zawiesiła głos. Daly wzruszyła ramionami, obracając puszkę w dłoniach.

– Być z nią częściej. To znaczy muszę pracować, więc staram się wyciskać jak najwięcej z czasu, który razem spędzamy. Próbuję być dobrą mamą, serio. Ale niekiedy jest ciężko. – Urwała i pokręciła głową. – Przepraszam, nie powinnam zawracać ci głowy swoimi problemami. Nie po tym, co sam przeszedłeś.

Jonah wzruszył ramionami, nie podobał mu się kierunek, w którym zmierzała rozmowa.

– Nic mi nie jest.

– No tak, oczywiście. – Daly się uśmiechnęła. Podwinęła nogi pod siebie i obróciła się jego stronę. – Przykro mi z powodu Gavina McKinneya. Byliście blisko?

Jonah się nachmurzył.

– Kiedyś.

– Wiem, że nie chcesz o tym mówić, ale kiedy ja... – Zamilkła. – Nieważne.

– Co?

Daly pokręciła głową.

– Nic takiego.

Jonah popatrzył na nią, próbując wyczuć pułapkę. Spuściła głowę i włosy przysłoniły jej twarz.

– No mów.

– Chciałam powiedzieć, że sama kilka lat temu straciłam najlepszą przyjaciółkę, więc potrafię sobie wyobrazić, przez co przechodzisz. Zupełnie inne okoliczności, przypadkowe przedawkowanie. A przynajmniej każdy twierdził, że było przypadkowe, ale nigdy mi to nie dało spokoju, wiesz? Cały czas wydawało mi się, że powinnam była zrobić więcej, że ją zawiodłam.

Zamilkła, jak gdyby dając Jonahowi okazję, żeby coś powiedział. Ale uczucia, które żywił wobec Gavina, były zbyt skomplikowane, żeby wejść na to pole minowe. Kiedy się nie odezwał, Daly przygryzła wargę.

– Mam pytanie, ale nie chciałabym go zadawać – powiedziała.

Jonah uśmiechnął się, ale poczuł podpełzające z powrotem napięcie. „Oho, zaczyna się”.

– Więc może nie powinnaś.

Jej uśmiech zgasł po chwili. W jakiś sposób przesunęła się bliżej, wciąż siedziała na sofie z podkurczonymi nogami, ale teraz nachylała się w jego stronę.

– Słyszałam plotki o twoim przyjacielu. Że miał kłopoty. I że w ogóle nie powinien być w magazynie, bo został zawieszony. To prawda?

„Cholera”. Jonah odstawił piwo.

– Od kogo to słyszałaś?

– Okej, nie chcę, żebyś cokolwiek potwierdzała, ale... Nie możesz zaprzeczyć, co nie?

Otrzeźwiał błyskawicznie.

– Jezu Chryste – jęknął zszokowany własną głupotą.

– W porządku, przepraszam, zapomnij, że cokolwiek mówiłam – zaczęła Daly, kiedy zobaczyła, że chce wstać. – Proszę, nie...

Ale Jonah już poderwał się na nogi, przez moment zapominając o kolanie. Nabrał gwałtownie powietrza, gdy oparł się na nim całym ciężarem ciała, a eksplozja bólu niemal rozerwała staw. Noga ugięła się pod nim, a kiedy złapał się fotela, piszczelem zahaczył o krawędź stolika. Ten wywrócił się, piwo się rozlało, torebka Daly zleciała na podłogę. Jonah opadł z powrotem na fotel, zagryzając zęby z powodu pulsowania w kolanie. Daly przypadła do niego.

– Jezu, znowu! W porządku?

– Taa, tylko... idiota.

Zażenowany idiota. Ból wciąż rozchodził się falami, choć już mniej intensywnie. Na tyle mniej, by uświadomił sobie, jak blisko znalazła się Daly. Jedną rękę trzymała mu na ramieniu, drugą położyła na piersi. Kiedy otworzył oczy, jej twarz dzieliło tylko kilka centymetrów od jego twarzy. Czuł jej perfumy, ciepło dłoni przebijało się przez koszulkę. Żadne z nich się nie odezwało. Daly nachyliła się bliżej, a może on.

Wtedy zadzwonił jego telefon.

Podskoczyli jak dwójka nastolatków przyłapanych na gorącym uczynku. Daly wycofała się z powrotem na sofę, a telefon zajazgotał ponownie. Spadł na podłogę, więc Jonah musiał się wygiąć, żeby po niego sięgnąć. Podniósł go i sprawdził imię na wyświetlaczu.

Marie.

– Muszę odebrać – powiedział.

Nie musiał, ale miał wymówkę, żeby się od niej oddalić. Wciąż podenerwowany i zły na siebie, wyszedł z telefonem do przedpokoju. Przymknął za sobą drzwi, zostawiając szczelinę, przez którą mógł widzieć Daly, i odebrał.

– Cześć. Wszystko okej? – zapytał cicho, nie chcąc użyć jej imienia.

– Jonah, Jonah... – Z telefonu dobiegł dźwięk płaczu. – Chciałam... Byłeś jego najlepszym przyjacielem, wiesz, że nie był... Możesz przyjechać?

Bełkotała tak, że praktycznie nie dało się jej zrozumieć. Spojrzał na drzwi. Daly wciąż siedziała na sofie, teraz szukała czegoś w torebce.

– Czemu, co się stało?

– ...był tutaj, właśnie tutaj, cały czas...

– Kto był?

„Boże, ile ona wypła?”

– ...jakby mówił do mnie zza grobu...

Jonah przetarł oczy, nic z tego nie rozumiał.

– Posłuchaj, zadzwonię rano, dobrze?

– Tak za nim tęsknię... oni nie rozumieją, nikt nie rozumie...

– Rano – powtórzył. – Idź do łóżka i spróbuj się wyspać.

Usłyszał pociąganie nosem, kolejny nieskładny komentarz, a potem połączenie się urwało. „Jezu”, pomyślał Jonah. Marie miała wszelkie powody, żeby być roztrzęsiona, ale nie wyglądało to dobrze, nawet jak na nią. I „mówił do niej zza grobu”? O co chodziło?

Otworzył drzwi i wszedł z powrotem do dużego pokoju. Daly wciąż wyglądała na skołowaną, rumieniec rozlał się z policzków na fragment szyi widoczny spod rozpiętej koszuli.

– Będę się zbierać – rzuciła, nie patrząc mu w oczy.

Kiwnął głową. Przeszli do drzwi. Jonah przekręcił zamek i nacisnął klamkę. Daly posłała mu niezręczny uśmiech.

– To... dzięki za pizzę.

– Nie ma sprawy. – Coś przyszło mu do głowy. – Poczekaj, lepiej zejdę z tobą.

Zawahała się, a w jej postawie pojawiła się jakaś rezerwa.

– Po co?

– Na dole kręcili się jacyś gówniarze. Odprowadzę cię do auta.

Roześmiała się zaskoczona.

– Poważnie? Dzięki, ale potrafię o siebie zadbać.

Z gorącą od rumieńca twarzą Jonah patrzył, jak odchodziła. Szybki rytm jej kroków odbijał się echem od ścian korytarza. Zamknął drzwi i przekręcił zamek, po czym oparł o nie głowę.

– Ty pieprzony idioto!

Daly usłyszała szcęk zamka. Przeszła przez pusty korytarz, a kiedy winda nie otworzyła się od razu, kilkakrotnie wcisnęła przycisk.

– No dalej...

Mechanizm wydał z siebie charakterystyczny dźwięk, a drzwi rozsunęły się po chwili. W środku nie było nikogo. Daly wsiadła i wcisnęła guzik parteru. Ramiona opadły jej minimalnie, gdy winda ruszyła.

– Cholera, cholera, cholera!

Nawaliła. Skrzywiona pokręciła głową. Po jaką cholere zaczęła tak go wypytywać? Było późno, ona padała z nóg i – cóż za zwrot akcji! – okazało się, że Colley to całkiem miły facet. Bez dwóch zdań coś w nim było, a ją zaskoczyła jej własna reakcja. Faktycznie w pewnym momencie zapomniała, po co tam poszła. Najpierw ją poniosło, potem próbowała to nadrobić, i wyskoczyła z tym idiotycznym pytaniem o McKinneya. Dobra, piwa nie pomogły, ale nie mogła zrzucić tego wyłącznie na alkohol. Gdyby ten telefon wtedy nie zadzwonił...

Ale zadzwonił. Do niczego nie doszło. „Nie przeżywaj”.

Sięgnęła do torebki. Jej telefon wciąż był wyłączony. Zignorowała go, po czym wyjęła cyfrowy dyktafon. Niewielka czerwona lampka paliła się, sygnalizując nagrywanie. Przewinęła do tyłu, po czym wcisnęła play. Z głośniczka dobiegł głos Colleya, piskliwie wysoki, ale rozpoznawalny.

„...bo został zawieszony. To prawda?”

„Od kogo to słyszałaś?”

„... nie możesz zaprzeczyć, co nie?”

Daly wstrzymała odtwarzanie. Przynajmniej nagranie było wystarczająco wyraźne. Uważała, żeby torebka była otwarta, ale mimo wszystko martwiła się, że umieszczony w środku mikrofon nie zbierze głosów. Ale zbierał, przynajmniej dopóki nie spadł na podłogę po tym, jak przewrócił się stolik. Nie żeby było potem czego słuchać.

A szkoda.

Tak czy siak, to mogło wystarczyć. Colley ewidentnie nigdy nie słyszał o Danielu Kimanim, ale to, jak zamilkł, kiedy zapytała o McKinneya,



powiedziało jej wszystko, co chciała wiedzieć. Zarzuciła przynętę, sprawdzając, czy w zasłyszanych plotkach kryło się ziarno prawdy. Nie zszokowała go ani nie zaskoczyła. On sam nie zaprzeczył, co było dla niej wystarczającym potwierdzeniem. A już wcześniej był ostrożny, jeśli chodziło o McKinneya. Zmarszczyła brwi, kiedy przypomniała sobie, jak Colley odpowiedział na pytanie, czy byli blisko. „Dawno temu”.

Czyli potem już nie?

Daly poczuła, jak powoli narasta w niej ekscytacja. Boże, a co, jeśli między McKinneyem a Colleyem coś się wydarzyło? Jeśli nie byli w magazynie na jakiegoś rodzaju tajnej operacji? To rzucałoby zupełnie nowe światło na to, co się tam stało. Cholera, to mogło nawet oznaczać, że Colley był podejrzany...

Podeksytowanie zniknęło, kiedy przypomniała sobie rozmowę o jej córce. Próbował to ukryć, ale na jego twarzy dostrzegła smutek. A propozycja, że odprowadzi ją do auta, mogła być protekcyjna, ale było w niej też coś... no, uroczego. Troszczył się o nią – kiedy ostatni raz mogła tak o kimś powiedzieć?

A w ramach rewanżu ona go wystawiła.

Schowała dyktafon z powrotem do torebki. W porysowanej i pomazanej szybie w drzwiach windy zobaczyła swoje zniekształcone odbicie – już nie tak młodą kobietę o inteligentnej twarzy. Nie wyglądała jak ona. „Przyzwyczajaj się. Z każdym rokiem będzie coraz mniej podobna”.

Odbicie odpowiedziało jej cynicznym, wymownym spojrzeniem.

Winda podskoczyła, kiedy dotarła na parter. Drzwi otworzyły się z piskiem, odsłaniając klatkę skapaną w świetle jarzeniówek. Cuchnęło moczem, zatęchłym alkoholem, mdląco słodkim haszem i beznadzieją. Szybko przeszła przez brudne przeszklone drzwi. Na zewnątrz było zimno, betonowe mosty i wiadukty dla pieszych opustoszały. Przynajmniej banda, przed którą ostrzegał ją Colley, zniknęła. Kiedy przyjechała, przed blokiem stali jacyś nastolatki, może to o nich chodziło. Demonstracyjnie zignorowały ich spojrzenia i rechot. Jeśli już, to szłaby wolniej. To była jedna z rzeczy, których nauczyła się w pracy: nieważne, jak bardzo się boisz, nigdy nie daj tego po sobie poznać. Przeprowadzała wywiady z gwałcicielami i mordercami, podstawiła dyktafon pod twarze uczestnikom zamieszek i zachowywała odwagę w sytuacjach, w których w innych okolicznościach byłaby przerażona. Nastawienie okazało się kluczowe. A to, co zaczęło się jak gra pozorów, wkrótce stało się jej drugą

naturą, jakby zalaminowana legitymacja prasowa rzeczywiście gwarantowała jej nietykalność.

Przypomniała sobie o tym, kiedy jej kroki rozbrzmiewały w ciemności. Wyglądało na to, że co druga latarnia była zepsuta, więc na ulicy tworzyły się mroczne kałuże, przez które musiała przejść, żeby przedostać się do kolejnej plamy światła. Jedyne wolne miejsce parkingowe znalazła kilkaset metrów od mieszkania Jonaha, a kiedy teraz szła w jego stronę, miała nadzieję, że zastanie auto w jednym kawałku. W dzielnicy takiej jak ta niczego nie można być pewnym.

Zadrzała, podmuch wiatru zwilżył jej kark mżawką. Po wstydzie, który czuła w windzie, nie pozostał nawet ślad. Trafiła na trop, czuła to. A nawet jeśli nie wydobyła od Colleya tyle, ile by chciała, to razem z informacjami na temat Daniela Kimaniego miała wystarczająco dużo, żeby Giles usiadł i to rozważył. Dały uśmiechnęła się do siebie, po czym zaczęła nadawać wspomnieniom z wieczoru odpowiedni kształt.

Uśmiechała się nadal, kiedy ktoś za nią zagwizdał.

Nie głośno. Nie zaczepnie, nie tak piskliwie na palcach. Tylko dwa delikatne dźwięki: jeden wysoki, drugi niski. Dały spięła się, ale nie odwróciła. Szła dalej, choć wyteżała teraz każdy zmysł, skupiając się na tym, co działo się za nią. „Prawdopodobnie ktoś wyprowadzał psa”, powiedziała do siebie. Tyle że nie słyszała ani drapania psich pazurów o chodnik ani żadnych kroków oprócz własnych. Szła tym samym miarowym, niespiesznym tempem. Co właśnie sobie powtarzała? „Nie pozwól, żeby widzieli, że się boisz”. Poważny napastnik nie zdradziłby swojej obecności, co oznaczało, że był to po prostu jakiś jełop, który chciał zrobić sobie dobrze. Kręciło go straszenie samotnej kobiety na ciemnej ulicy. „Cóż, przemyśl to, kutasie”.

Gwizdnięcie rozległo się po raz drugi.

Tym razem bliżej, a Dały poczuła uderzenie niepokoju. Nie mogła dłużej udawać, że gwizdzącemu nie chodzi o nią. Nie chciała dać zwyrolowi satysfakcji z tego, że ją przestraszył, ale gdyby nie zareagowała, przekaz byłby taki sam. „No dobra. Sprawdźmy frajera”.

Wyciągnąwszy buteleczkę perfum, odwróciła się. Pusta ulica zadrwiła z niej. Po obydwu stronach jezdni ciągnęły się zamknięte sklepy i puste parcele ze stosami brudnych cegieł poprzetykane kępkami zieleni i ogrodzone siatką. W zasięgu wzroku nie było nikogo, ale w pasach ciemności pod zepsutymi latarniami mógł kryć się każdy. Dały

naszykowała flakon, przywołując na twarz swoją najbardziej przekonującą minę, która miała mówić napastnikowi: „Pierdol się”.

– To gaz, dupku! Miałam naprawdę ciężki dzień, więc jeśli chcesz go spieprzyć jeszcze bardziej, to śmiało!

Nic. Żadnego ruchu, żadnego znaku życia. Daly próbowała nie dopuszczać do siebie strachu, który buzował pod powierzchnią. Podskoczyła, kiedy na skraju pola widzenia zarejestrowała ruch po drugiej stronie ulicy. Ale to był tylko kot. Nie, miejski lis, dotarło do niej, kiedy zobaczyła jego rozmiar. Jezu, tutaj? Ciemny kształt przemknął cicho przez jezdnię, po czym zatrzymał się nagle. Popatrzył w ciemną jamę alejki kilka metrów od miejsca, gdzie stała Daly, oczy zamigotały jasno w świetle latarni. Potem odwrócił się i popędził dalej.

Daly popatrzyła na cień, w który wpatrywał się lis. Coś tam zobaczył? Nagle przypomniała sobie incydent z podziemnego parkingu sprzed kilku dni. Była przekonana, że ktoś się tam czaił i czekał. „Koniec! Sama się nakręcasz!” Cokolwiek widział lis, nikt się tam nie pojawił. „Bo nikogo tam nie ma. Weź się w garść”. Po raz ostatni omiotła wzrokiem ciemną ulicę, odwróciła się – celowo powoli – po czym ruszyła dalej.

Nie uszła kilku kroków, kiedy gwizdnięcie rozbrzmiało znowu.

„Kurwa! Kurwa mać!” Zmusiła się do zachowania spokoju, ale nieoglądanie się za siebie i utrzymanie tempa kosztowało ją naprawdę wiele. „Nie pokazuj, że się boisz. Ten żałosny drań tylko tego chce”. Chryste, gdzie postawiła to jebane auto? Ściskając flakon perfum jak talizman, znów sięgnęła do torebki, tym razem po telefon. Dopiero kiedy go wyjęła, przypomniała sobie, że był wyłączony. „Cholera, cholera, cholera!” Ręce jej się trzęsły, kiedy próbowała go włączyć, palce nagle odmówiły posłuszeństwa. Cholerne badziewie zawsze włączało się całą wieczność, ale psychol za nią o tym nie wiedział. Przyłożyła aparat do ucha i zaczęła mówić do wyłączonego telefonu.

– Policja? Chciałabym zgłosić próbę napadu. Tak, teraz. Na... – Urwała, nie mogąc przypomnieć sobie, gdzie była, dopóki jej wzrok padł na tabliczkę z nazwą ulicy. – Ashton Way. Ktoś mnie śledzi, proszę, przyślijcie patrol. Tak, od razu. Dziękuję.

Telefon wydał z siebie krótki sygnał, akurat kiedy skończyła mówić, a ekran zapalił się, gdy urządzenie się włączyło. „Kurwa, wreszcie”. Włączyła wybieranie numerów, po czym dotarło do niej, że nie może zadzwonić na policję, jeśli nie chce się zdradzić. Kiedy wahała się,

zobaczyła przed sobą swoje auto. „Dzięki Bogu!” Z ulgą uświadomiła sobie, że minęła chwila, od kiedy usłyszała ostatnie gwizdnięcie. Odwróciła się i rozejrzała po ulicy. Wciąż była pusta, ale tym razem sprawiała również wrażenie pustej. Akurat tutaj latarnie działały, oświetlając jasno skrawek jezdni – jeśli ktoś ją śledził, musiałby tędy przejść. Nie tylko by go widziała, ale i z łatwością zdążyłaby dopaść auta, zanim ktoś by ją dogonił.

„No i pierdol się, smętny kutasie!” Przepełniona euforią dodatkowo uniosła środkowy palec, po czym odwróciła się, żeby szybko przejść ostatnie kilka metrów do miejsca, w którym zaparkowała.

Ktoś wyszedł z ciemnego przejścia przed nią.

Daly podskoczyła. Logika podpowiadała jej jednak, że ktokolwiek gwizdał, nie mógł jej wyminąć. Nie ma szans, nie tak, żeby tego nie widziała. „To nie mogła być ta sama osoba”, pomyślała, co tylko podsycało jej gniew.

– Może lepiej patrz, jak... – zaczęła.

Ale nie dokończyła i nie usłyszała, jak flakon perfum roztrzaskał się o ziemię.

## Rozdział 19

– Jonah, dzięki Bogu! – Marie praktycznie wciągnęła go do środka, jak tylko otworzyła drzwi. Wyglądała na zrozpaczoną i zaniedbaną. – Policja właśnie wyszła. Jezu...

– W porządku, Marie, spokojnie. – Kiedy podjechał, widział, jak Fletcher i Bennet wychodzili z domu. Nie był pewien, czy oni też go widzieli, ale i tak poczekał, aż odjadą. Nie było żadnego powodu, dla którego nie miałby odwiedzać Marie, ale z im mniejszej liczby rzeczy musiał spowiadać się Fletcherowi, tym lepiej. – Chodź, usiadzemy.

Kiedy zadzwonił rano, mówiła takim głosem, jakby miała kaca. Nie chciała wnikać w to, czemu dzwoniła, podkreślając, że wolałaby powiedzieć mu osobiście. Znając Marie, albo zapomniała, że rozmawiała z nim po pijaku, albo po prostu potrzebowała towarzystwa. Po wczorajszej wizycie Daly Jonah planował sam trochę poszperać i spróbować zweryfikować to, co usłyszał o Danielu Kimanim. Ale Marie nalegała. No i zawsze pozostawała szansa, że faktycznie chodziło o coś ważnego.

Weszli do kuchni. Ślady po włamaniu zostały już uprzątnięte, z wyjątkiem tylnych drzwi. Zamiast wyłamanej płyty na werandzie wciąż stała sklejka, a nowe, niemalowane drewno pojawiło się w miejscu, gdzie wymieniono zniszczoną framugę.

Dylan siedział przy stole z pochyloną głową. Podniósł wzrok, gdy Jonah wszedł do środka. Miał bladą, wynędzniałą twarz, ale na jego widok się nachmurzył.

– Czego on chce?

– Poprosiłam go, żeby przyszedł, Dylan. Pomoże nam...

– Tak? I co niby zrobi? Ożywi tatę? – Wstając, przewrócił krzesło. – Pierdolę to!

– Dylan!

Marie złapała syna za rękaw, ale ten wyrwał się, przechodząc obok niej. Wyglądał, jakby zaraz miał się rozpłakać. Potrącił ramieniem Jonaha i wypadł do przedpokoju. Kroki zadudniły na schodach, a po chwili ściany zadrżały od trzaśnięcia drzwiami.

Jonah poprowadził Marie do stołu i wysunął krzesło, żeby usiadła. Obok pustego, umazanego szminką kieliszka stała do połowy opróżniona butelka wina.

Sięgnęła po nią, przechyliła i napełniła kieliszek niemal po brzegi. Jonah walczył przez moment sam ze sobą, po czym stwierdził, że powinien coś powiedzieć.

– Może lepiej nie przesadzać – odezwał się, siadając.

– Wiem, ale potrzebuję czegoś na uspokojenie.

Upiła duży łyk, jakby piła wodę. Jonah zaczekał, aż odstawi kieliszek.

– Może powiesz mi, co się stało? Czemu była tu policja?

Mógł się domyślić, ale wolał usłyszeć to od niej. Wzdrygnęła się.

– To znowu był inspektor Fletcher. Powiedział, że... że to Owen Stokes się tu włamał. – Popatrzyła na Jonaha rozszerzonymi oczami. – To o niego pytał wcześniej! Nie wyjaśnił czemu, ale pewnie myślą, że to on zabił Gava, inaczej nie pytałby o niego w kółko. A teraz jeszcze się tu włamał! Nie rozumiem, dlaczego miałyby to zrobić?

Wydawała się przerażona, a Jonah wcale się jej nie dziwił.

– Nie wiem, Marie. Co jeszcze mówił?

– Nic! Pytał tylko, czy wiem, czego Stokes tu szukał, ale skąd miałabym wiedzieć? Czego miałyby tutaj chcieć?

Kolejne pytanie, na które Jonah nie znał odpowiedzi.

– Powiedział coś jeszcze?

– Tylko że nie ma się o co martwić. Jezus Maria, łatwo mu powiedzieć!

– Drżącą ręką sięgnęła znowu po kieliszek. – Powiedział, że powinniśmy wyjechać i zatrzymać się na kilka dni u mojej siostry. Tak na wszelki wypadek. Po co mówić coś takiego, jeśli się nie myśli, że Stokes wróci?

– To pewnie tylko ostrożność, ale nie jest to zły pomysł. – Jonah choć raz zgadzał się z Fletcherem. Jeśli Stokes znalazł to, czego szukał – cokolwiek to było – nie będzie miał powodu, żeby tu wracać. Ale jeśli nie,

wtedy może spróbować jeszcze raz. Na przykład kiedy Marie albo Dylan będą w domu. – Rozmawiałaś o tym z siostrą?

– Jeszcze nie. Boże, nie wiem, co robić, tego jest za dużo! No i wziął też list!

– List?

– W tej sprawie dzwoniłam. Znalazłam go w sypialni, kiedy sprzątałam. Leżał na podłodze w całym tym bałaganie. Jakby Gav wyciągał do mnie rękę, wiesz? Musiał go ukryć, kiedy był tu po raz ostatni.

Dopiero teraz Jonah zrozumiał, co miała na myśli, mówiąc „zza grobu”.

– Nie masz przypadkiem kopii, co?

– Nie, nie myślałam, że będę jej potrzebowała. Skąd miałam wiedzieć, że Fletcher go sobie weźmie?

Jonah sfrustrowany zacisnął zęby. List mógłby wyjaśnić, dlaczego Gavin zachował się w ten sposób. Istniała nawet możliwość, że to właśnie tego szukał Stokes, a Jonah stracił okazję, by go przeczytać. Chryste, gdyby tylko wyszedł nieco wcześniej...

Marie ponownie sięgnęła po butelkę, ale Jonah ją uprzedził.

– Poczekaj. – Nalał jej odrobinę wina do kieliszka, po czym odstawił je poza jej zasięgiem. – Co napisał?

– Myślałam, że serce mi pęknie, kiedy zobaczyłam jego pismo. – Marie otarła oczy. – Mieliśmy ostatnio trochę problemów. Poradzilibyśmy sobie, wiem o tym, ale przez ostatni rok wszystko szło źle. Gav był pod ogromną presją w pracy, finansowo nie staliśmy najlepiej. Dlatego się wyprowadził, a potem jeszcze go zawiesili. Nie chciał o tym rozmawiać. Zbywał mnie i powtarzał, żebym się nie martwiła. Ale w tym liście był... Nie wiem, inny.

– Co to znaczy?

– Trochę taki, jak kiedyś, wiesz? Przed laty. Przeprosił za to, że nie był lepszym mężem ani ojcem. Rozumiał, że zawiódł mnie i Dylana, że wszystkich zawiódł. Napisał, że chciał to naprawić, i chociaż nie potrafi cofnąć czasu, dostał szansę, żeby to zrobić.

Jonah mimowolnie się wyprostował.

– Napisał jak?

– Nie, tylko że chciał, żebyśmy byli z niego dumni. I że jeśli coś się nie uda, ludzie będą mówić o nim źle, ale że nie powinnam w to wierzyć. I jeśli... jeśli coś mu się stanie, to żebym pamiętała, że nas kochał. O, Boże!

Urwała z wykrzywioną twarzą, zasłaniając oczy. Jonah położył jej dłoń na ramieniu. Tak bardzo chciał zapytać, czy w liście była jakaś wzmianka o Theo, czy właśnie to Gavin miał na myśli, pisząc, że „wszystko naprawi”. Ale Marie powiedziała mu, gdyby tak było, w dodatku pewnie chciałyby wiedzieć, dlaczego o to pyta. Fletcher raczej nie wspomniał jej o związku Jonaha z Owenem Stokesem. Nie podobało mu się, że przed nią ukrywa, ale Marie i bez tego miała wystarczająco dużo na głowie.

– Czy Gavin napisał, co planował zrobić? – zapytał łagodnie.

Pokręciła głową, otarłszy oczy chusteczką.

– Nie, ale to oczywiste, prawda? Zamierzał uratować tych nieszczęśników w magazynie. Takim był człowiekiem. Napisał, że ty to wyjaśnisz.

Przez moment wydawało mu się, że się przesłyszał.

– Co napisał?

– Że wyjaśnisz. Wspominał o tobie, na sam koniec. Napisał, że nie powinnam nikomu ufać, nieważne, kto to będzie. Poza tobą, i żeby ci powiedzieć, że przeprasza. I że wyjaśnisz. – Zamrugła, patrząc na niego znad chusteczki. – O co mu chodziło?

Jonah pokręcił głową, ale poczuł na plecach zimny dreszcz. Gavin musiał wiedzieć, że był w niebezpieczeństwie, skoro napisał ten list, ale najwyraźniej liczył na to, że będzie miał okazję najpierw wyjaśnić coś Jonahowi. Wydarzyło się coś, co pokrzyżowało mu plany, ale fakt, że w ogóle wspominał o Jonahu, oznaczał, że nie zadzwonił do niego pod wpływem chwili. Od samego początku zamierzał go w to wciągnąć.

Jedyny powód, który przychodził Jonahowi do głowy, to fakt, że to wszystko miało coś wspólnego z Theo.

– Co jeszcze napisał? – zapytał.

– N-nie pamiętam. Niewiele. Nie chciałam, żeby zabrali ten list, ale inspektor uznał, że to dowód. Powiedział, że dostanę go z powrotem, ale kiedy? To nie w porządku.

– To tylko procedury – uspokoił ją, ale w głowie miał chaos. Fletcher potraktuje list jako dowód, że Jonah wiedział więcej, niż mówił. I nie było szans, żeby mógł to wyjaśnić.

„Jezu, Gavin...” Nawet martwy potrafił wszystko spieprzyć.

– Chciałabym po prostu, żeby Gav coś powiedział, żebyśmy mieli okazję porozmawiać! – Marie wzięła kolejny łyk wina. – Powinnam domyślić się, że coś jest nie tak, kiedy tu był. Pokłócili się z Dylanem o kompletną



bzdurę. Dylan chciał pieniądze na nowe trampki, a kiedy Gav powiedział, że mu ich nie da, wpadł w szal. Nie wtrącałam się, ale potem Gav wydawał się... przygaszony. Smutny. Jak gdyby wiedział, że więcej nas nie zobaczy.

„Może tak właśnie było”, pomyślał Jonah.

– Kiedy?

– Tego samego dnia, kiedy poszedł do tego... do tego cholernego magazynu! To wtedy musiał schować list. Parę tygodni temu sprzątałam, sortowałam rzeczy do oddania. Część była moja, nie wszystkie należały do niego. Ale jeśli list byłby wtedy w którejś z szuflad, tobym go znalazła. Serce mi pękło, kiedy go zobaczyłam.

Zamilkła, gdy usłyszała kroki. Jonah zobaczył, jak Dylan zbiega ze schodów i pędzi do drzwi wejściowych.

– Dylan? Dokąd idziesz? – zawołała Marie.

Nastolatek zdjął kurtkę z wieszaka. W półmroku jego twarz wyglądała, jakby zobaczył ducha.

– Wychodzę.

– Teraz? Gdzie?

– Po prostu wychodzę, dobra?

– Nie możesz, słyszałeś, co powiedział inspektor! Musimy jechać do cioci Karen na...

Echo zatraskiwanych drzwi rozeszło się po domu. Marie rzuciła Jonahowi słaby uśmiech.

– Jest teraz trochę zdenerwowany. Informacja, że to nie był zwykły włamywacz, wstrząsnęła nim bardziej niż utrata rzeczy. Jeszcze coś takiego... ma prawo być wkurzony.

Jonah przytaknął, myśląc o bladej twarzy nastolatka.

– Wiesz, dokąd poszedł?

– Nie, ciągle gdzieś łązi, ale nigdy nie mówi mi gdzie. Taki wiek, prawda? Nigdzie w pobliżu, bo jeździ taksówkami. Nie wydaje mi się, żeby spotykał się z przyjaciółmi, a kiedy zapytałam, czy ma dziewczynę, to na mnie naskoczył. Boże, mam nadzieję, że to nie narkotyki. – Spojrzała z nadzieją na Jonaha. – Mógłbyś zamienić z nim słowo? Może posłucha przyjaciela swojego taty.

Jonah szczerze w to wątpił, ale i tak zamierzał porozmawiać z Dylanem. Najlepiej przed przyjazdem taksówki.

– Muszę już iść. Dzwon o każdej porze, jak będziesz czegoś potrzebować.

Kiedy wychodził, Marie już sięgała przez stół po butelkę wina.

Dylana nie było przed domem, ale kiedy wyszedł na chodnik, zobaczył, że stoi na ulicy kawałek dalej, tak żeby nie było go widać przez okno. Wyglądał na zniecierpliwionego lub zamyślonego, gorączkowo sprawdzał godzinę, patrząc na jezdnię. Kiedy kule Jonaha zazgrzytały o chodnik, chłopak wzdrygnął się i obejrzał. Przez moment wyglądał jak przestraszone dziecko, ale potem zobaczył, kto to był, i jego wyraz twarzy stwardniał. Z ostentacyjną nonszalancją odwrócił się tyłem

Jonah pokuśtykał do niego.

– W porządku?

Dylan wciąż wpatrywał się w ulicę, jak gdyby Jonah miał zniknąć, jeśli nie nawiązą kontaktu wzrokowego.

– Aha.

– Czekasz na coś?

– Nie. – Wzruszył ramionami, zdając sobie sprawę z niezręcznie udzielonej odpowiedzi. – Na taksówkę.

– Może cię podwieźć?

– Nie.

Nastolatek nie chciał na niego spojrzeć.

– Twoja mama się martwi. Wiem, że to zły moment, ale...

– Po prostu zostaw mnie w spokoju, dobra?

Popatrzył na Jonaha niemal ze łzami w oczach. Jonah pokiwał głową.

– Jasne. Do zobaczenia.

Dylan nie odpowiedział. Jonah wrócił do auta. Kiedy wsiadł, ustawił lusterko tak, żeby widzieć nastolatka. Nawet z tej odległości wyglądał na kogoś, kto był na granicy załamania. Marie mogła mieć rację co do narkotyków, ale Jonah wątpił, żeby chłopak spieszył się, żeby kupić działkę. Wyglądał, jakby ledwie radził sobie z paniką. Byłoby to całkowicie zrozumiałe po ostatnich traumatycznych tygodniach, ale na pogrzebie swojego ojca nie był w takim stanie. Nawet kiedy dom został okradziony, zareagował jedynie atakiem furii. Okej, nowiny od Fletchera na temat włamania były niepokojące, ale to nie wyjaśniało, dlaczego musiał tak nagle wyjść.

Albo skąd brał pieniądze na przejazd.

Srebrny vauxhall ze znakiem taksówki na drzwiach minął saaba. Jonah uruchomił silnik, a w tym czasie Dylan machnął ręką i w pośpiechu

wskoczył na tylne siedzenie. Jonah poczekał, aż taksówka odjedzie, pozwalając jej się nieco oddalić, po czym ruszył za nią.

Zajęty obserwowaniem auta z przodu, nie zauważył tego, które jechało za nim.

## Rozdział 20

Jonah trzymał się kilka aut z tyłu. Srebrny vauxhall jechał na północ przez obrzeża Londynu i nic nie wskazywało na to, żeby miał się zatrzymać. Zastanawiał się, dokąd, do cholery, wybierał się Dylan. Pomijając wszystko inne, sam przejazd taksówką będzie kosztował małą fortunę.

Po kilku kolejnych kilometrach vauxhall skręcił w ulicę wielkich, ale zaniedbanych wiktoriańskich i edwardiańskich posiadłości. Sto lat temu mieszkali tu zapewne zamożni przedstawiciele szanowanych zawodów. Imponujące niegdyś budowle podupadły, podzielono je na zatłoczone pokoje do wynajęcia i kawalerki. Jeśli Dylan zamierzał kupić narkotyki, to trafił we właściwe miejsce. Jonah zobaczył, że taksówka włącza kierunkowskaz i zatrzymuje się przy krawężniku. Minął ją, po czym zjechał z jezdni i zaparkował kawałek dalej. We wstecznym lusterku obserwował, jak Dylan wysiada z vauxhalla. Nastolatek rozejrzał się dyskretnie, po czym wszedł na ścieżkę prowadzącą do dużego domu mieszkalnego i zniknął za przerośniętym żywopłotem.

Jonah z trudem – przez zeszywniałe kolano – wysiadł z auta i sięgnął po kule. Ścieżki, którą szedł Dylan, nie odgradzała żadna furtka, ale po obydwu jej stronach stały pordzewiałe i krzywe słupki z kutego żelaza. Rosnące w ogrodzie stare klony i kasztanowce zrzuciły już większość liści. Nierówna nawierzchnia prowadziła obok przesypujących się koszy na śmieci do wysokiego, czterokondygnacyjnego domu, który wciąż nosił oznaki dawnej świetności. Wiszące luźno pod gzymsami przegniłe deski do niedawna układały się w wymyślnie rzeźbioną boazerię elewacyjną. Po obydwu stronach wejścia znajdowały się wykuszowe okna, z których jedno zasłonięto od środka prześcieradłem przypiętym w miejsce zasłonki.

Doszedł do porysowanego plastikowego domofonu – podwójny rząd przycisków sugerował, ile obecnie mieszkało tu osób. Zamiast nazwisk wypisano jedynie numery mieszkań od jednego do dwunastu, a część z nich była ledwie czytelna. Miał zamiar wcisnąć którykolwiek, licząc, że jakoś się wyłga i ktoś go wpuści, ale wtedy drzwi nagle się otworzyły.

– Przepraszam – powiedział Jonah, odsuwając się na bok, żeby przepuścić wychodzącą kobietę. Ta ledwie na niego spojrzała, po czym przeszła obok, pozostawiając po sobie woń papierosów i zupy. Złapał drzwi, zanim się zamknęły, i wszedł do środka.

Klatka wyglądała ponuro. Dawno temu musiała być udekorowana różnymi odcieniami zieleni: groszkowe ściany, ciemnozielone akcenty, zielona wykładzina w spiralne wzory. Ale ponieważ jedyne źródło światła stanowiło niewielkie okienko nad schodami, wewnątrz przypominało dno zapuszczonego stawu. Na parterze znajdowało się kilkoro drzwi, każde pomalowane na taką samą butelkową zieleń i każde zamknięte. W budynku panowała cisza, ale kiedy Jonah zastanawiał się, co robić, usłyszał, jak w oddali, gdzieś nad nim, ktoś otworzył i zamknął drzwi.

Dźwięk dobiegł z jednego z górnych pięter. Bez entuzjazmu popatrzył na schody, po czym ruszył w górę. Idąc po poszarpanej wykładzinie, z każdym krokiem ryzykował, że zaczepi o nią kulami. Zatrzymywał się co półpiętro, żeby sprawdzić, czy nie zauważy gdzieś Dylana. Z niektórych lokali dobiegały przytłumione dźwięki telewizorów lub muzyka, ale wszystkie pozostawały zamknięte na amen. Na trzecim piętrze usłyszał za sobą skrzypnięcie zawiasów. Odwróciwszy się, zobaczył oko wyglądające przez szczelinę otwartych drzwi. Wpatrywało się w niego przez chwilę, po czym zamek szczęknął z powrotem.

Liczył, że kolejne piętro będzie tym ostatnim, ale kiedy na nie dotarł, okazało się, że było jeszcze jedno – węższe schody znikwały na strychu. Nie miał żadnej gwarancji, że Dylan tam był, ale dźwięk, który usłyszał, wydawał się dobiegać z samej góry.

Z westchnieniem podjął wspinaczkę.

Miał przed sobą już tylko jedno drzwi, stare i solidne. Otwierały się na zewnątrz, na półpiętro zamiast do mieszkania, i zostały wyposażone w dwa dodatkowe zamki: jeden nad, a drugi pod oryginalnymi zabezpieczeniami, obydwa drogie, wykonane ze stali nierdzewnej. Zauważył, że futrynę również wzmocniono – wywiercone niedawno co kilka centymetrów otwory wskazywały, w których miejscach przymocowano ją do cegieł.

Zatrzymał się, żeby złapać oddech, i wtedy zauważył czarne smugi na drzwiach obok najniższego zamka. Odciski butów, dużych, jakby ktoś próbował je wykopać. W dodatku ktoś próbował je zetrzeć – ogólny zarys wciąż był do rozpoznania, ale wzoru podeszwy nie dało się zidentyfikować.

Jonah stanął pod drzwiami, nasłuchując. Z drugiej strony dobiegały ciche dźwięki, ale żadnych głosów. Nie było judasza, przez którego dałoby się wyrzeć na półpiętro, ale mimo to najpierw odsunął się na bok, a dopiero potem zapukał. Dobiegające ze środka dźwięki umilkły. Zapukał ponownie.

– Kto tam?

Głos należał do Dylana. Odezwał się wysokim, spanikowanym tonem.

– Właściciel – zawołał Jonah.

Cisza.

– Czego pan chce?

– Muszę sprawdzić liczniki.

Jonah nie miał pojęcia, czy były tam jakiegokolwiek liczniki, ale zakładał, że Dylan również tego nie wie.

– Nie może pan... nie może pan wrócić później?

W głosie pojawiła się nuta desperacji. Jonahowi niemal zrobiło się go żal.

– To nie zajmie długo. – Wyjął klucze od mieszkania i potrząsnął nimi tak, żeby Dylan mógł je usłyszeć. – Jak pan nie otworzysz, sam wejdem.

– Nie! Proszę poczekać... tylko chwilę.

Ze środka dobiegły gwałtowne dźwięki: najpierw ciężkie szuranie mebli, potem kliknięcie. Jonah zapukał jeszcze raz.

– No dalej, spiesz się.

– Okej, okej, już idę!

Usłyszał szczełk klucza obracanego w środkowym, a potem górnym i dolnym zamku. Kiedy drzwi się otworzyły, Jonah szybko wsunął się w powstałą szczelinę, blokując ją swoim ciałem, żeby nie dało się ich zatrzaskać. Nastolatek był sam. Kiedy zobaczył, kto znajdował się po drugiej stronie, na jego twarzy pojawiło się zmieszanie i szok. Jonah wszedł do środka i uśmiechnął się do niego.

– Co tam, Dylan?

Była to kawalerka, nieco większa niż zwykły pokój na wynajem, choć niewiele. Jedyne naturalne światło dostawało się do środka przez małe, brudne okno w dachu. Na podłodze leżał stary dywan, prążkowany i poplamiony, a na lodówce stała czarna od tłuszczu minikuchotka.

Dwuosobową kanapę ustawiono przed niewielkim piecykiem gazowym, a za nią znalazło się miejsce na krzesło z prostym oparciem i pojedyncze łóżko nakryte wymiętą pościelą. Na obłuczonym drewnianym stoliku leżały zawiniątko z folii aluminiowej i paczka bletek. Wypalony do połowy skręt był wciśnięty w popękany spodek, znad którego nadal unosiła się cieniutka smużka dymu.

Poblądły chłopak wpatrywał się w niego.

– Czego chcesz?

– Wierz mi lub nie, ale próbuję ci pomóc – powiedział, podchodząc do niewielkiej szafy przy łóżku. Mało kto mógłby się tam zmieścić i ukryć, ale sprawdził i tak. W środku wisiało kilka koszul i par dżinsów, choć nic, co włożyłby nastolatek.

– Co robisz? – zapytał Dylan.

– Upewniam się, że nie schowałeś tu żadnego ze swoich koleżków.

– Nie schowałem!

– Więc co ci szkodzi, jak sprawdzę.

W środku były jeszcze tylko jedne drzwi, po drugiej stronie pokoju. Prowadziły do ciasnej kwadratowej łazienki, w której upchnięto poźółkły sedes, umywalkę i prysznic z plastikową zasłonką. W suchym odpływie leżały poskręcane martwe pająki.

Dylan dochodził do siebie, a wściekłość dodawała mu odwagi.

– Mówiłem ci, nikogo tu nie ma! Poza tym to nie twoja sprawa.

– Może nie. Ale jestem policjantem i założę się, że formalnie nie ty jesteś tu lokatorem, a to wystarczy. – Jonah opuścił zasłonkę i odwrócił się do Dylana. – Jestem też prawie pewien, że to tam zawinięte to pewnie nie tylko tytoń.

Twarz Dylana wydłużyła się, popatrzył na stół. Sięgnął po zawiniątko.

– Zostaw to – polecił mu Jonah. – Powiesz mi, co tu robisz?

– Nic.

Nie spojrzał Jonahowi w oczy.

– Czyje to mieszkanie?

– Znajomego. Pozwala mi tu wpadać.

– Jak się nazywa?

Dylan błądził oczami po pokoju, jakby szukał inspiracji.

– Czemu miałbym ci powiedzieć?

Jonah westchnął.

– To mieszkanie twojego taty, tak?

Chłopak wyglądał, jakby chciał zaprzeczyć, ale w końcu niechętnie skinął głową. Kiedy Jonah zobaczył dodatkowe zamki i wzmocnioną futrynę, przez chwilę myślał, że mógł się mylić i że może Dylan faktycznie wyszedł po narkotyki. Ale diler zainstalowałby również judasza, żeby wiedzieć, kto jest na zewnątrz. Nie było go, co sugerowało, że lokator nie spodziewał się zbyt wielu gości. I choć Dylan miał klucz, ubrania w szafie na pewno nie należały do niego. Wyglądały jak własność kogoś starszego.

Zdaniem zarówno Fletchera, jak i Wilkesa po rozstaniu z Marie Gavin wprowadził się do mieszkania w Ealing. Nikt nie wspomniał o żadnym innym miejscu, a Jonah był przekonany, że inspektor wypytałby go o nie, gdyby o nim wiedział.

Więc dlaczego Gavin wynajął mieszkanie, a potem trzymał je w tajemnicy?

– Masz mi powiedzieć, co tu robiłeś – odezwał się.

– Nic. – Wzruszenie ramion było wymuszone. – Po prostu przychodzę tutaj czasem. Żeby się oderwać, zająć.

Ostatnie zdanie zabrzmiało nieszczerze. Nastolatek był wystraszony, ale za wszelką cenę próbował nie dać tego po sobie poznać.

– Twój tata wiedział?

– Nie, pewnie, że nie. – Na twarzy pojawił się ślad winy. – Zacząłem tu przychodzić dopiero... no wiesz. Potem.

– Więc skąd wiesz o tym miejscu?

Nastolatek poruszył ramionami w geście boleśnie przypominającym ojca.

– Widziałem, jak tata przyjechał tu któreś nocy. Szedłem spotkać się z kumplem, a on wysiadł z auta. Nie zauważył mnie, wszedł na dole, a chwilę potem zapaliło się światło na poddaszu. Pokręciłem się, czekałem, aż wyjdzie, ale nie wyszedł.

– Wiesz, co robił?

– Skąd miałbym wiedzieć? – Coś kręcił. Dylan poruszył niespokojnie pod spojrzeniem milczącego Jonaha. – Myślałem, że może się tu z kimś spotyka, dobra?

– To znaczy z kobietą?

– Nie, ze Świętym Mikołajem, a z kim niby? – Dylan zarumienił się znowu, kiedy dotarło do niego, że przegina. – To nie byłby pierwszy raz. A ja wiedziałem, że ma inne mieszkanie, więc to nie tak, że tu mieszkał.



Tyle że najwyraźniej tak właśnie było. Albo przynajmniej spędzał tu wystarczająco dużo czasu, żeby uzasadnić posiadanie ubrań na zmianę.

– Skąd wzięłeś klucze?

– Czy to ważne?

– Tak. Skąd je masz?

– Jak myślisz? Wziąłem je sobie, dobra? – Był bliski płaczu. – Pokłóciliśmy się, kiedy do nas przyszedł, i byłem na niego tak wkurzony, że przeszperałem mu kieszenie.

Marie mówiła, że jej syn pokłócił się z Gavinem o pieniądze na nowe buty. Dylan narzekał co prawda, że para, którą ostatnio kupił, została skradziona, ale od czasu włamania udało mu się je zastąpić. Te, które miał na nogach, wyglądały na nowe i drogie.

– Czemu wzięłeś klucze? – zapytał.

– Bo chciałem się odegrać! – krzyknął Dylan, a łzy pociekły mu po policzkach. – Spierdolił i nas zostawił, a ja myślałem, że rucha kogoś innego, więc pomyślałem, że dostanie za swoje, jak nie będzie mógł wejść do swojego... swojego kurwidołka! Nie wiedziałem, że nie będzie... że zostanie...

„Że zostanie zamordowany tego samego dnia”. Jonah współczuł mu, ale nie mógł jeszcze odpuścić.

– A co z czynszem?

Dylan z wściekłością otarł oczy.

– Co z czynszem?

– Kto go płaci?

– A skąd mam wiedzieć?

Gavin mógł albo zapłacić z góry, albo ustawić stałe zlecenie, które wciąż obowiązywało, ale to była zagadka dla Fletchera. Jonah kiwnął głową w stronę butów Dylana.

– Skąd miałeś na nie pieniądze?

– Co?

– Twoja mama powiedziała, że pokłóciliście się z tatą, bo nie chciał kupić ci trampek. Ale ostatnio ukradli ci nową parę, a te, które masz na sobie, też nie wyglądają na stare. Skąd miałeś pieniądze?

– Mama mi dała.

Słabo kłamał.

– Jeszcze raz. Co sprzedajeś?

– Kto mówi, że coś sprzedałem?

– Skądś wzięłeś kasę, więc nie pajacuj. Co tu znalazłeś?  
– Nic! – Nastolatek nagle wydał się zdenerwowany. – Okej, był laptop. Nie znałem hasła, więc go s-sprzedalem.

Niedobrze. Nie było szans na sprawdzenie, jakie informacje się na nim znajdowały. Jedyнным sposobem było odzyskanie komputera.

– Komu go sprzedałeś?  
– Nie pamiętam.  
– Musisz sobie przypomnieć, bo policja będzie chciała to wiedzieć. Kto to był?

– Kolega.  
– Jak się nazywa? I tym razem oszczędź sobie tych bzdur.  
– Barry.  
– Jaki Barry?  
– Nie wiem, kolega kolegi! Kupuję od niego sprzęt, dobra?

„Cholera”. Jonah mógł sam spróbować odzyskać laptopa, ale jeśli nie został już sprzedany, nie byłby w stanie samodzielnie złamać hasła. Choć bardzo chciał wiedzieć, co na nim było, to również lepiej było zostawić Fletcherowi.

– Co jeszcze sprzedałeś?  
– Nic.  
– Popatrz na mnie. – Jonah poczekał, aż nastolatek podniesie głowę, żeby posłać mu posępne spojrzenie. – Kupiłeś nie tylko trampki, były jeszcze komputer i konsola, które ci ukradziono. Mówiłeś, że były nowe, a z jednego laptopa nie zapłaciłbyś za to wszystko. Ani za taksówki, więc skąd miałeś pieniądze?

– Rozejrzyj się, jest tutaj coś, co warto sprzedać?  
– Więc czemu tak się tu spieszyłeś?  
– Wcale nie.  
– Widziałem cię. Bałeś się, że ktokolwiek włamał się do domu, mógł przyjść też tutaj?

– Nie. – Kolejny raz nie zabrzmiało to przekonująco. Dylan znowu wzruszył ramionami zupełnie jak Gavin. – Po prostu chciałem wyjść, i tyle.

„Dobra”, pomyślał zrezygnowany Jonah. Skoro Dylan nie chciał nic mu powiedzieć, przekona się, jak takie zachowanie zadziała na Fletchera.

– Gdzie są klucze? – zapytał.  
– A co?  
– Po prostu mi je daj, okej?

– Walić to, nie muszę cię słuchać!

– Tak, musisz. Albo to zrobisz, albo będę musiał cię aresztować.

To był blef, ale Jonah miał nadzieję, że nastolatek się nie zorientuje. Dylan wpatrywał się w niego wściekle z czerwoną twarzą i zaciśniętymi pięściami, ale ostatecznie odwrócił wzrok. Wsunął rękę do kieszeni.

– Co za gówno – wymamrotał.

– Zostaw je na łóżku i idź do domu – powiedział Jonah.

Nastolatek rzucił klucze na materac, po czym przeszedł, żeby zebrać ze stolika folię i bletki. Jonah pokręcił głową.

– To zostaje.

– Co do...?

– Jeśli to twoje, możesz dostać nawet do pięciu lat za posiadanie. – No, może raczej grzywnę lub upomnienie. Ogólnie rzecz biorąc, Dylan mógłby robić coś dużo gorszego niż palenie haszu. Ale Jonah złożył Marie obietnicę, a trochę strachu nie powinno dzieciakowi zaszkodzić. – I naprawdę chcesz, żeby twoja matka wiedziała, co tu robiłeś?

– Co... co jej powiesz?

Jonah westchnął.

– Idź do domu, Dylan.

Począł na półpiętrze, dopóki nie usłyszał dźwięku zamykanych drzwi wejściowych, po czym wrócił do kawalerki. Czekąca go niezręczna rozmowa z Marie i jeszcze mniej przyjemna z Fletcherem. Ale obydwie musiały poczekać. Zamknął za sobą drzwi i upewnił się, że przekręcił klucz w zamku.

Potem zaczął szukać tego, co Dylan starał się przed nim ukryć.

## Rozdział 21

Pokój nie wydawał się na tyle duży, by coś w nim schować. W środku brakowało oczywistych kryjówek poza paroma szafkami kuchennymi i szafą. Ale na myśl, że ktoś może włamać się również tutaj, Dylan wpadł w panikę. I cokolwiek chciał sprawdzić, było dla niego ważniejsze niż ziolo.

Więc co to było?

Jonah miał świadomość, że stąpa po cienkim lodzie. Wynajmowany pokój stanowił element śledztwa w sprawie morderstwa, a on wciąż był policjantem. Najrozsądniej byłoby zamknąć mieszkanie, wrócić do auta i zadzwonić po Fletchera.

Ale kiedy to zrobi, zostanie odcięty od informacji i dowie się tyle, ile inspektor uzna za stosowne mu powiedzieć. Gavin musiał trzymać istnienie lokalu w tajemnicy z jakiegoś powodu, a Jonah miał jedną jedyną okazję, żeby ten powód poznać. Stokes szukał czegoś, kiedy włamał się do Marie, a sądząc po śladach na drzwiach, ktoś faktycznie próbował dostać się również tutaj.

Jeśli istniał choć cień szansy, że Gavin ukrył w mieszkaniu coś, co dotyczyło Theo, Jonah musiał to znaleźć.

Żałując, że nie wziął rękawiczek, naciągnął na dłonie rękawy kurtki i rozpoczął przeszukanie. Nie trwało to długo. Niezależnie od tego, po co Gavinowi było to mieszkanie, nie zawracał sobie głowy zbędnymi udogodnieniami. Na półkach znalazł jedynie kilka par skarpetek i zmian bielizny, a na szafie – urwany guzik i grubą warstwę kurzu. W szafce nocnej obok łóżka krył się tylko zapasowy komplet kluczy, a w czarnym od tłuszczu piekarniku nie było kompletnie nic, tak samo jak pod zlewem

(poza przypalonymi garnkami). Ciasna łazienka okazała się równie rozczarowująca jak cała reszta – w spłuczce znalazł jedynie kamień i wodę. Najpierw zajrzał pod materac, a potem opadł niezgrabnie na podłogę, żeby zajrzeć pod łóżko. Stał na krześle i sprawdził jeszcze okno w dachu – wolał mieć pewność, że nie przegapi niczego między dachówkami ani w rynnie.

Niczego nie przegapił. Zszedł na podłogę i zastanawiał się, co dalej. Dylan coś ukrył, zanim otworzył drzwi, i nie miał na to zbyt wiele czasu. Tylko gdzie to było?

Jonah popatrzył na zostawione przez Dylana klucze. Było ich pięć, wszystkie na prostym kółku. Jeden od drzwi wejściowych na dole, drugi od środkowego zamka już w drzwiach mieszkania i po jednym do dodatkowych zamków.

Więc do czego służył piąty?

Ostatni klucz był mniejszy niż pozostałe i wyglądał na taki do kłódki. „Może od jakiegoś garażu”, pomyślał Jonah. To nie mogło być nic w tym pokoju albo...

Zatrzymał się, spoglądając na łóżko. Zajrzał pod nie, ale dopiero teraz zauważył, że zagłówek był dopchnięty do ściany, przez co zakrywał przestrzeń bezpośrednio za nim. Nie musiał odsuwać łóżka daleko, żeby zobaczyć, co się tam kryło.

Prostokątny właz wmontowany w ścianę.

Po jednej stronie znajdowały się zawiasy, za to po drugiej – stalowy wrzeciądz zamknięty na kłódkę. Ta ostatnia nie była zatrzasknięta. Dylan musiał jej nie domknąć, kiedy w pośpiechu przysuwał łóżko pod ścianę.

„Mam cię”.

Zdjął kłódkę i otworzył właz. Zimne powietrze wydobyło się z czarnej dziury wyciętej w ścianie z płyty gipsowo-kartonowej. Jonah położył się na ziemi, żeby zajrzeć do środka. Właz prowadził na stryszek pod dachem. W środku było ciemno, a od zapachu kurzu i wilgotnych cegieł zakręciło mu się w nosie. Widział wąskie kreski światła w miejscach, gdzie słońce przebijało się przez pęknięcia w łupkach, choć nie było ich tyle, by coś dzięki nim zobaczyć. Wyjawszy telefon, Jonah włączył latarkę i skierował w stronę włazu.

Z wnętrza spojrziała na niego biała czaszka.

– Kurwa!

Szarpnął się gwałtownie i uderzył potylicą o deskę, przez co wypuścił telefon, który spadł na krokiew poniżej wjazdu. Na szczęście latarka nie zgasła. Nawałnica drobinek kurzu zawirowała w snopie światła, teraz padającego wprost na błądy owalny kształt, którego się przestraszył. Tkwił nieruchomo pod kątem w ukośnej belce dachowej, a Jonah tylko zaśmiał się sucho, kiedy zobaczył, co to takiego.

Gniazdo os.

Rozmiarami i kształtem przypominało piłkę do rugby, a z powodu otworów i wgłębień papierowa powierzchnia do złudzenia przypominała czaszkę. Dookoła leżały prążkowane truchła os, a Jonah nie słyszał żadnego bzyczenia dobiegającego ze środka. Gniazdo wyglądało na stare, a nawet jeśli nie było, to chyba osy nie były aktywne o tej porze roku. Pomimo to odczekał chwilę, żeby upewnić się, że nic tam nie żyło, zanim wychylił się przez wjazd, żeby sięgnąć po telefon. Oślepił go promień własnej latarki. Telefon znajdował się poza jego zasięgiem, przez co musiał wsunąć się jeszcze dalej.

Dotknął ręką czegoś pomarszczonego.

Wyszarpnął ją od razu. „Okej, czyli coś tam jest...” Mrużąc oczy, spróbował dojrzeć, co to. Ale snop światła sprawiał, że wszystko wokół pograżone było w kompletnej ciemności. Próbuąc pozbyć się mroczków, które pojawiły mu się przed oczami, Jonah sięgnął w dół jeszcze raz. Tym razem uważał, żeby nie dotknąć niczego poza twardą obudową telefonu. Upewniwszy się, że trzyma go mocno, obrócił go w dłoni.

Słaba poświata oświetliła czarną torbę podróżną. Leżała przy ścianie, bezpośrednio pod wjazdem. Ze środka wystawał wylot czarnego worka na śmierci. Ktoś próbował zawiązać go na szybko, ale zrobił to po łebkach. Jonah dostrzegł w środku sterty dwudziestofuntowych banknotów, niektóre przewiązane gumowymi opaskami, inne leżące luzem lub wystające z otwartych kopert.

„Jezu Chryste”, pomyślał oszołomiony. Chrissie miała rację. Na przekór wszystkiemu nie wierzył, że Gavin był skorumpowany. Przekonał sam siebie, że robił to, co robił, ponieważ odkrył coś na temat Theo i Owena Stokesa, że próbował naprawić błąd sprzed dziesięciu lat.

Ale za znalezioną na poddaszu torbą kryła się zupełnie inna historia. Może to miał na myśli Gavin, pisząc w liście o „naprawianiu wszystkiego”, pomyślał gorzko Jonah. Może kiedy umierał, był już umoczony tak bardzo,

że chciał odpokutować za swoje grzechy, zostawiając rodzinie torbę brudnego szmalu.

Nic dziwnego, że Dylan nie chciał oddać mu kluczy.

Rozczarowanie pozostawiło w ustach Jonaha kwaśny posmak. Dalsze siedzenie tutaj nie miało sensu. Zastanawiał się nad zostawieniem włazu otwartego. I tak już wystarczająco zanieczyścił to miejsce. Ale nawet jeśli drzwi kawalerki wydawały się bezpieczne, ten, kto wszedłby do środka, miałby ułatwione zadanie.

Zamknął właz, zatrzasnął kłódkę i podniósł klucze. Do połowy wypalony skręt Dylana wciąż leżał na stoliku kawowym obok bletek i zawiniątka z aluminium. Jeśli ktoś by to znalazł, oznaczałoby to kolejne kłopoty dla Dylana i Marie, a mieli ich w tym momencie dość. Poza tym upierdliwy czy nie, Dylan wciąż był tylko dzieciakiem. Niewiele starszym, niż byłby teraz Theo – sama świadomość tego wystarczyła, żeby Jonah podjął decyzję.

Podszedł do stolika, upewnił się, że skręt zgasł, po czym schował go do kieszeni kurtki razem z zawiniątkiem i papierkami. Potem, rozejrzawszy się po raz ostatni, odwrócił się w stronę wyjścia.

Parkiet na półpiętrze zaskrzypiał.

W pierwszej chwili pomyślał, że to Dylan, ale od razu odrzucił tę możliwość. Jeśli nastolatek zamierzał zakraść się tu z powrotem, poczekałby, aż Jonah wyjdzie.

To był ktoś inny.

Najciszej, jak potrafił, Jonah przysunął się bliżej drzwi. Z zewnątrz nie dobiegł już żaden inny dźwięk, ale był pewien, że ktokolwiek stał na półpiętrze, nigdzie nie poszedł. Czuł jego obecność tuż za drzwiami. Nasłuchiwał, tak samo jak Jonah.

Ostrożnie sięgnął do klamki. Ale ta poruszyła się, zanim jej dotknął – obróciła się powoli, jakby ożyła. Coś skrzypnęło cicho pod jakimś naciskiem, ale Jonah zamknął drzwi po wyjściu Dylana. Kiedy klamka wróciła do pierwotnej pozycji, naszykował klucze. O kulach czy nie, musiał zobaczyć, kto to był. Ująwszy klamkę w dłoń, powoli wsunął klucz do zamka.

Klik.

To było jak pęknięcie bańki, które rozładowało nabudowujące się do tej chwili napięcie. Jonah usłyszał kolejne skrzypnięcie parkietu, potem jeszcze jedno. „Cholera!” Darował sobie zachowanie ciszy i otworzył

drzwi, akurat kiedy ciężkie kroki zaczęły zbiegać po schodach. Jonah wypadł na klatkę i ruszył w dół. Za szybko: kule ześlizgnęły się z krawędzi stopnia i nagle poczuł, że spada. Złapał się poręczy, naruszając kolano oraz uderzając się w rękę i żebra, ale zdołał powstrzymać upadek ze schodów. Pozbawiony tchu podciągnął się i nasłuchiwał.

Na klatce panowała cisza. Ktokolwiek to był, uciekł.

Jonah z frustracji rąbnął pięścią w ścianę. „Jezu Chryste, czy to był on? Stokes?” Poczucie zawodu zdawało się obezwładniające. Wyjął telefon i zaczął wybierać numer Fletchera. Jeśli daliby radę od razu otoczyć okolicę, mieliby szansę złapać drania, zanim ucieknie za daleko.

Nagle zamarł. I co mu powie? Fletcher nie uwierzy, że to był Owen Stokes, tylko dlatego, że on tak powiedział, a Jonaha nagle dopadły wątpliwości. W gruncie rzeczy nie widział, kto chował się za drzwiami. To mógł być każdy. A on przecież już zaczynał bać się własnego cienia – wczoraj wydawało mu się, że widział na Nabrzeżu Rzeźników dziewczynę z magazynu. Co jeśli tym razem było tak samo?

Żaden z mieszkańców nie wyszedł, żeby sprawdzić, co to za hałas, więc Jonah przynajmniej nie musiał się tłumaczyć. Czuł się zmęczony i wypompowany. Wrócił do mieszkania, zamknął je i ruszył w dół po schodach. Tym razem ostrożniej. Schodzenie było trudniejsze niż wchodzenie i prawie znów się przewrócił, kiedy zahaczył kulą o wytartą wykładzinę, przez co z końca kuli zsunęła się gumowa nasadka. Musiał wbić ją na miejsce, zaciskając zęby z bólu, kiedy kolano zaprotestowało po raz kolejny.

Po drodze nie spotkał nikogo, choć na trzecim piętrze przyciszone skrzypnięcie i kliknięcie drzwi zdradziło obecność tego samego milczącego obserwatora co wcześniej. „Może to on kręcił się wokół kawalerki”, pomyślał wyczerpany. Któryś sąsiad chciał sprawdzić, co się dzieje.

W tamtym momencie wydawało się to bardziej prawdopodobne niż Owen Stokes.

Kiedy Jonah dotarł na parter, był wykończony. Ręce miał obolałe od kul, kolano pulsowało non stop. Perspektywa rozmowy z Fletcherem dodatkowo go dobijała. Otworzywszy drzwi wejściowe, zaczął schodzić po schodkach, zanim zdał sobie sprawę, że ktoś stoi na ścieżce.

– Wybierasz się dokądś? – zapytała Bennet.



## Rozdział 22

Jeśli pokoje przesłuchań projektowano z myślą o miażdżeniu oporu zamkniętych w nim ludzi, to ten stanowił szczytowe osiągnięcie architektury wnętrz. Wisząca pod sufitem jarzeniówka brzęczała jak namolny komar i świeciła ostrym, trupim blaskiem. Ściany pomalowano na zimnoszary kolor, a metalowe nogi zdartego stołu przykręcono do podłogi. Krzesło, na którym siedział Jonah, wykonano z plastiku, ale wydawało się zaprojektowane dla kształtu innego niż ludzkie ciało. Po pierwszych dwudziestu minutach zdrętwiały mu uda, a w dolnej części pleców pojawił się tępy ból. Czekając, rozciągał się od czasu do czasu, ale przede wszystkim próbował nie zwracać uwagi na niewygodę. Pokoje takie jak ten nie były mu obce. W swojej karierze odwiedził ich przecież dziesiątki.

Tylko że nigdy nie siedział po tej stronie stołu.

Został przewieziony na posterunek przez dwóch mundurowych, którzy zjawili się, kiedy na ulicy przed mieszkaniem Gavina zaroilo się od policyjnych pojazdów. Ignorowali go, gadając między sobą, podczas gdy on tkwił sam na tylnym siedzeniu. Nienawidził tego, że znalazł się po złej stronie policyjnej maszyny. Na posterunku zaprowadzono go do pokoju przesłuchań i tam zostawiono. Czas włókł się niemiłosiernie i kiedy Fletcher w końcu się pojawił, Jonah poczuł coś na kształt ulgi. Inspektor wyglądał na zmęczonego, workowaty garnitur miał wymięty, a napięta zwykle skóra twarzy wydawała się obwisła i blada. Bennet weszła za nim i zamknęła drzwi. Zajęli miejsca po przeciwnej stronie stołu. Po długiej i szczegółowej identyfikacji na potrzeby nagrania inspektor zmierzył Jonaha wzrokiem, przeciągając milczenie.

– Jak długo jesteś policjantem?

– Przecież wiesz.  
– Przypomnij mi.  
– Szesnaście lat.  
– Szesnaście lat – powtórzył Fletcher. – Wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że nie zaciera się śladów na miejscu zdarzenia. Chociaż chyba weszło ci to w nawyk, co?

– Nie wiedziałem, co to za miejsce, dopóki się tam nie znalazłem. I uważałem, żeby nie dotknąć niczego gołymi rękami.

– W ogóle nie powinienesz niczego dotykać.

Na to Jonah nie miał żadnej odpowiedzi. Najgorsza była świadomość, że sam się w to wpakował. Miał nadzieję, że Fletcher i Bennet nie widzieli, że przyjechał do Marie, ale oczywiście widzieli. Inspektor kazał wysadzić się na najbliższej stacji metra, a potem wrócił, żeby poczekać przed domem Marie. Kiedy Jonah ruszył za Dylanem, był tak skupiony na niezgubieniu srebrnego vauxhalla, że nawet nie przyszło mu do głowy, że jego też ktoś może śledzić.

Po tym, jak zastał Bennet na zewnątrz, pierwszy szok szybko zastąpiła świadomość, w jakich tarapatach się znalazł. I wściekłość z powodu własnej głupoty. Miał nadzieję, że informacje na temat mieszkania Gavina i ukrytych pieniędzy zrównoważą fakt, że w ogóle nie powinno go tam być. Teraz, zamiast opowiedzieć im to wszystko dobrowolnie, wpadł, kiedy się stamtąd wymykał – a przynajmniej tak to wyglądało. Co z kolei stawiało go w zupełnie innym świetle.

Fletcher przyglądał się Jonahowi ponad stołem.

– Mieszkanie zostało wynajęte przez niejakiego Richarda Kinga. Mówi ci to coś?

Jonah pokręcił głową.

– Nie. Powtarzam: nic o tym nie wiedziałem.

– Właściciel powiedział, że King zapłacił za sześć miesięcy z góry – ciągnął Fletcher, jakby go nie słyszał. – Gotówką, w dodatku wpłacił niemałą kaucję. Nie prosił o dowód ani referencje ze względu na gotówkę, którą pomachano mu przed nosem, ale opis, który nam podał, pasuje do McKinneya. Zresztą rozpoznał go na zdjęciu. Syn McKinneya przyznał się do kradzieży kluczy ojca i sprzedaży laptopa z mieszkania. To znaczy zanim znalazł pieniądze i się nimi poczęstował.

– A co z laptopem? Odzyskaliście go? – zapytał Jonah.

– To jest pytanie z kategorii „nie twój interes”. Ale nie, nie odzyskaliśmy. Myślę, że możemy się z nim pożegnać.

Nie była to żadna niespodzianka, ale jego strata wciąż była gorzkim rozczarowaniem. Jeśli Gavin zdobył dodatkowe informacje na temat Stokesa, istniała spora szansa, że trzymał je na laptopie ukrytym w mieszkaniu.

– W skrytce na poddaszu znaleźliśmy siedemset czterdzieści tysięcy funtów z drobnym ale – kontynuował Fletcher. – To „drobne ale” to jakieś pięć koła zwędzone przez chłopaka. Niemal trzy czwarte miliona w używanych banknotach. Jakież sugestie, skąd McKinney mógłby mieć tyle gotówki?

– Nie mam pojęcia.

– Okej, to może inaczej. Czy uważasz, że wszedł w ich posiadanie uczciwie? No nie wiem, wziął kredyt? Albo może był tak gospodarny i oszczędny?

Jonah chciał odpowiedzieć, że nie wie, ale słowa stanęły mu w gardle.

– Nie.

– Przynajmniej w tym punkcie się zgadzamy. Myślę, że to w zasadzie odpowiada na pytanie, czy McKinney był skorumpowany. Co sprawia, że już po raz kolejny zastanawiam się, jak ty wpasowujesz się w to wszystko.

– Powtarzam: matka Dylana poprosiła mnie, żebym miał na niego oko, bo zachowywał się dziwnie. Dowiedziałem się o pieniądzach, w ogóle o tej kawalerce, dopiero gdy za nim pojechałem. Szedłem do auta, żeby do was zadzwonić, kiedy zobaczyłem sierżant Bennet.

– Oczywiście. A ja myślę, że powiedziałaś nam tylko dlatego, że złapaliśmy cię przed wejściem.

– Wiem, jak to wygląda, ale to był po prostu niefortunny zbieg okoliczności.

– Coś często ci się one zdarzają.

Jonah po raz kolejny nie wiedział, co odpowiedzieć. Inspektor poczekał, żeby sprawdzić, czy jego sarkazm sprowokuje jakąś reakcję, po czym kontynuował:

– A co z listem, który McKinney zostawił żonie? Napisał jej, że jeśli cokolwiek mu się stanie, powinna ci zaufać. Że ty jej „wyjaśnisz”. Jak niby masz to zrobić, skoro nic nie wiesz?

– Nie mam pojęcia. – Jonah boleśnie zdawał sobie sprawę, jak mało przekonująco wypadał. – Pewnie zamierzał mi powiedzieć podczas

spotkania.

Fletcher odchylił się na krzesło, przyglądając się przesłuchiwanemu.

– Na potrzeby dyskusji przyjmijmy, że faktycznie byłeś tak głupi, jak twierdzisz, i nie wiedziałeś o żadnej z tych rzeczy – powiedział. –

O kawalerce, pieniądzech, o Boże, co za niespodzianka. Mam problem z jedną rzeczą: dlaczego policjant z szesnastoletnim stażem zdecydował, że najlepszym wyjściem nie będzie, bo ja wiem, zgłoszenie dowodów dotyczących śledztwa w sprawie morderstwa, tylko samodzielne przeszukanie mieszkania? I nie, nie rozejrzałeś się raz-dwa. Odsunąłeś łóżko, żeby dostać się do ukrytego wjazdu na strych. Szukałeś czegoś, a skoro nie były to pieniądze, to co?

Jonah wiedział, że nie ma sensu zaprzeczać.

– Myślałem, że Gavin może mieć informacje na temat Theo.

– A to skąd ci się wzięło?

– Sam powiedziałeś, że musiał mieć powód, żeby śledzić Stokesa i spotkać się ze mną tamtej nocy. Przychodzi mi do głowy tylko to, że dowiedział się czegoś na temat wydarzeń sprzed dziesięciu lat.

– Już ci mówiłem, nie ma...

– Wiem, co mówiłeś, ale chodzi o mojego syna. Jeśli istnieje szansa, że Gavin odkrył coś nowego, to oczywiście, że sam będę chciał się tego dowiedzieć.

Fletcher nie odzywał się przez chwilę, przyglądając mu się badawczo spod na wpół przymkniętych powiek.

– Okej, pogadajmy o tym tajemniczym gościu, którego ponoć słyszałeś na zewnątrz. – Inspektor nagle zmienił temat. – Powiedziałeś Bennet, że ktokolwiek to był, uciekł, zanim go zobaczyłeś. Ale wiedziałeś, że Owen Stokes włamał się do domu McKinneya, bo czegoś szukał, a ty właśnie znalazłeś ukrytą torbę z gotówką. Jeśli tobie udało się namierzyć mieszkanie, on też mógł to zrobić. Chcesz mi powiedzieć, że nawet nie przyszło ci do głowy, że to mógł być on?

Wszystkie rzeczy, które przebiegały wtedy Jonahowi przez myśl, wróciły. Przypomniał sobie, jak stał za drzwiami, oddzielony od człowieka na zewnątrz zaledwie kilkoma centymetrami drewna. Wmówił sobie, że to nie mógł być Owen Stokes, ale teraz czuł, jak wzbierają w nim wątpliwości.

– Nie widziałem go. To mógł być każdy – powiedział, chcąc samemu w to uwierzyć. – Wydawało mi się, że nie podziękujesz za wszczęcie

alarmu, bo jakiś lokator kręci się na zewnątrz. Tak czy inaczej, Stokes nie uciekłby w ten sposób. Nie, jeśli chodziło mu o pieniądze.

– Czyli tak kombinujesz? Istnieje możliwość, że człowiek, który zabił twojego kumpla i wysłał cię do szpitala, którego wciąż podejrzewasz o to, że miał coś wspólnego ze zniknięciem twojego syna, był tuż za drzwiami, a ty nawet nie zadajesz sobie trudu, żeby komukolwiek o tym powiedzieć?

– Sierżant Bennet czekała przed domem – odparł Jonah, coraz mniej pewny. – Jeśli to był Stokes, widziałaby, jak wychodzi.

Głos Bennet był tak samo bez wyrazu, jak jej twarz.

– Tylne drzwi.

„Chryste”. Jonah poczuł, jak zaczyna się pocić w panice na myśl, że mógłby się mylić.

– Czyli to był on? Czy ktoś z innych mieszkańców go widział?

– Wciąż przesłuchujemy lokatorów – odpowiedział Fletcher. – Ale teraz bardziej interesuje mnie to, czemu stwierdziłeś, że lepiej zachować to dla siebie, skoro ponoć tak bardzo chcesz dorwać Owena Stokesa.

„Bo sobie nie ufałem. Bo wydawało mi się, że widziałem martwą kobietę na Nabrzeżu Rzeźników”.

– Chyba nie myślisz, że nic bym nie powiedział, gdybym podejrzewał, że to on? Czemu, do cholery, miałbym to zrobić?

– Och, nie wiem. Może ma to coś wspólnego z prawie milionem funtów, który właśnie znalazłeś?

– Jeśli poszedłem tam po nie, to czemu je tam zostawiłem? Wziąłbym je ze sobą – zareagował ostro Jonah. – Nie obchodzą mnie pieniądze, chcę się dowiedzieć, co się stało z moim synem! A nie wierzę, że powiedzielibyście mi, gdyby było tam coś na jego temat!

– Trwa śledztwo w sprawie morderstwa, Colley, nie muszę ci nic mówić!

– Więc nie udawaj zaskoczonego, kiedy próbuję dowiedzieć się czegoś sam!

Zapadła cisza. Fletcher pozostawał niewzruszony, ale napięta skóra na jego twarzy poczerwieniała jak rozpalona gorączką.

– Wiesz, na czym polega twój problem, Colley? Wydaje ci się, że zasługujesz na taryfę ulgową. Ale nie przysługuje ci żadne specjalne traktowanie: ani dlatego, że jesteś policjantem, ani dlatego, że zginął ci syn. Na początku uważałem, że ty i McKinney mogliście prowadzić jakiegoś rodzaju wendetę przeciwko Owenowi Stokesowi, ale teraz zaczynam podejrzewać, że to po prostu kłótnia między złodziejami. Wiemy przecież,

że McKinney był umoczony, więc może on i Stokes ukradli pieniądze mafii, a potem się o nie pokłócili. A nic, co do tej pory usłyszałem, nie przekonuje mnie, że ty również nie siedzisz w tym po uszy.

Jonah z trudem zachowywał spokój.

– Więc czemu nie postawisz mi zarzutów?

– O to się nie bój, postawię, jak będę gotowy. Nie mogę się doczekać.

Mierzyli się wzrokiem. Atmosfera w małym pokoju przesłuchań zgęstniała. Bennet popatrzyła na Fletchera i odchrząknęła.

– Inspektorze, być może powinniśmy...

– W porządku Bennet, obędzie się – odwarknął. Wyglądał, jakby już miał wstawać, ale się zatrzymał. – Jeszcze jedna rzecz. W kawalerce McKinneya czuć było silny zapach substancji odurzających. Zakładam, że nic o tym nie wiesz, co?

– Nie widziałem, żeby Dylan cokolwiek palił, jeśli o to chodzi – powiedział Jonah. I rzeczywiście nie widział, skręt tlił się lekko.

– Nie? – Fletcher uśmiechnął się drapieźnie. – Cóż, młody nie odwzajemnił przysługi. Zarzekał się, że jeśli ktokolwiek coś tam palił, to musiał być ty.

„Dylan, ty mały skurkowańcu...”

– Nie paliłem.

– Więc nie będzie to problem, jeśli poproszę cię o opróżnienie kieszeni?

– Mówisz poważnie?

– A nie wyglądam?

Jonah miał ochotę odmówić, tak dla zasady. Ale nie było sensu. Odepchnięte do tyłu krzesło zazgrzytało o podłogę. Wstał, opierając się o stół. Jedną po drugiej opróżniał kolejne kieszenie, wykładając ich zawartość na stół. Portfel, kluczyki od auta, klucze do mieszkania. Drobniki, niewykorzystana chusteczka, paczka gum do żucia.

– Kurtka też – poinstruował Fletcher. – Te wewnętrzne.

Sięgnąwszy do kurtki, Jonah rozpiął obydwie kieszenie w środku. Z jednej wyjął telefon i położył go na stoliku, po czym wyrócił kieszenie na drugą stronę, żeby pokazać, że są puste.

– Zadowolony?

– Jeszcze nie. Nie będziesz miał nic przeciwko szybkiej rewizji?

Jonah chciał mieć coś przeciwko, ale się poddał. Złapał równowagę, po czym rozłożył ręce i czekał.

– Czyń honory, Bennet – powiedział Fletcher.

– Inspektorze, czy nie powinien tego zrobić mężczyzna?  
Fletcher zmierzył ją wzrokiem, po czym pokręcił głową.

– Dobra, sam to zrobię.

Odsunąwszy kule Jonaha, inspektor szybko przebiegł dłońmi po jego klatce i rękach, a potem schylił się, żeby sprawdzić nogi.

– Skończyliśmy czy mam się jeszcze rozebrać? – zapytał Jonah, opuszczając ręce.

– Skończyliśmy. Na razie. – Fletcher ruszył do drzwi, po czym zatrzymał się w pół kroku. – Jeszcze jedno. Twoje auto wciąż stoi pod mieszkaniem. Sierżant Bennet będzie tam wkrótce jechała. Może cię podrzucić.

Mina policjantki zdradziła rzadką reakcję.

– Ale inspektorze...

– Przepraszam, jest jakiś problem, pani sierżant?

Zwyczajnie się mścił. Bennet po chwili przywołała na twarz typową dla siebie maskę.

– Nie, panie inspektorze.

– Tak myślałem. – Fletcher zwrócił wrogie spojrzenie w stronę Jonaha. – Nie mogę się doczekać naszej kolejnej rozmowy, sierżancie Colley.

Bennet nie była zadowolona. W milczeniu przeszła przez korytarz prowadzący na ogrodzony parking na tyłach posterunku, a Jonah starał się za nią nadążyć. Kiedy w końcu ją dogonił, otwierała właśnie drzwi volkswagena polo i wsiadała do środka. Nie wiedząc, czy poczeka, aż włoży kule do bagażnika, Jonah wpakował się z nimi na fotel pasażera.

– To nie był mój pomysł – powiedział, walcząc z pasami, gdy podjechała do szlabanu i opuściła szybę, by pokazać przepustkę.

– Przecież nie powiedziałam, że był.

Godząc się na podróż w ciszy, Jonah wyglądał przez okno. Włączyli się do wieczornego ruchu. W aucie było zimno, chłód siedzenia dokuczał mu przez dzinsy. Bennet bez komentarza włączyła nawiew, a wewnątrz wypełnił głośny podmuch stopniowo ogrzewającego się chłodnego powietrza.

Atmosfera ocieplała się nieco wolniej.

– Co będzie z Dylanem? – zapytał Jonah po chwili. – Postawicie mu zarzuty?

– To nie zależy ode mnie.

– To tylko dzieciak.

– Ma siedemnaście lat. Jest na tyle dorosły, żeby wiedzieć, że nie kradnie się pieniędzy z torby znalezionej na strychu.

– Myślał, że należały do jego taty.

– Jasne. Bo każdy detektyw może uciuć siedemset pięćdziesiąt tysięcy. Nie ma w tym nic dziwnego.

W świetle mijanych latarni profil Bennet wydawał się srogi i nieprzejednany. Ale po chwili wzruszyła ramionami.

– Pewnie zostanie wypuszczony z upomnieniem. Ale tylko zgaduję. Jak mówiłam, to nie zależy ode mnie.

Jonah bardzo chciał zapytać o postępy w poszukiwaniach Owena Stokesa, ale wiedział, że nic mu nie powie. Ale była jeszcze jedna rzecz, o którą musiał spytać.

– Czy to prawda, że jedna z ofiar, mężczyzna, została zidentyfikowana?

– Chyba mówiłam ci, żebyś nie słuchał plotek.

– To coś więcej niż plotka. Powiedziano mi, że nazywał się Daniel Kimani.

Chwilowe milczenie Bennet wystarczyło za potwierdzenie.

– Kto ci to powiedział? Znowu ta dziennikarka?

Jonah się zawahał. Ale Daly nie mówiła nic o tym, że informacja była poufna. W każdym razie, jeśli zamierzała to opublikować, grupa dochodzeniowa miała prawo wiedzieć.

Kiwnął głową.

– To prawda?

– Co jeszcze mówiła?

– Że był Kenijczykiem, który przebywał w kraju na wizie studenckiej.

– I coś jeszcze?

– Nie, to wszystko. Ale wciąż węszy.

– Jest reporterką, oczywiście, że węszy. – Jediną oznaką jakiegokolwiek wzburzenia było stukanie palcem wskazującym o kierownicę. – Pomagasz jej?

– Nie, pewnie, że nie.

– Czemu ci się zwierzała?

– Miała nadzieję, że dam jej coś w zamian. Nie martw się, nic nie powiedziałem.

Ale mówiąc to, zastanawiał się, czy to prawda. Na samo wspomnienie wizyty Daly czuł się dziwnie.

– Dlaczego nie powiedziałeś o tym Fletcherowi? – zapytała Bennet.

– Umknęło mi.



I tak było, choć tylko z początku. A później chciał już jedynie wydostać się z pokoju przesłuchań. Nie zamierzał dać inspektorowi kolejnego pretekstu do przetrzymywania go.

– Na twoim miejscu pilnowałabym, żeby nic więcej mi nie umknęło – rzuciła.

Wysadziła go przy jego aucie. Dopiero kiedy znalazł się w znajomym zaciszu starego saaba, dotarło do niego, że padał z nóg. To był kolejny długi dzień, więc znów zaparkował pod blokiem, żeby nie wracać piechotą z garażu. Kiedy podszedł do podświetlonego wejścia, w myślach siedział już z jedzeniem przed meczem lub odmóźdzającym filmem.

Zorientował się, że nie jest sam, dopiero kiedy butelka rozprysnęła mu się pod nogami.

Spodnie miał mokre od piwa i oblepione odłamkami szkła. Zaskoczony i wściekły spojrzął w kierunku, z którego nadleciała. Niedaleko, w cieniu pod betonowym zadaszeniem stało kilka osób. Było za ciemno, żeby ich rozpoznać, ale wydawało mu się, że kojarzy dwóch typków, którzy wczoraj wsiedli z nim do windy.

Patrzył na nich, czekając, czy zrobią coś jeszcze. Kiedy nic się nie wydarzyło, odwrócił się i demonstracyjnie powoli wszedł do budynku. Jakaś jego część chciała się z nimi zmierzyć, dać ujście frustracji na siebie i Fletchera, ale miał już dość kłopotów jak na jeden dzień. Gówniarze czy nie, było ich kilku, a on poruszał się o kulach. A jeśli mieli noże, sytuacja mogła potoczyć się różnie.

Idąc przez klatkę, nie słyszał za sobą żadnych kroków. Stanął przed windą i kątem oka zerkał w stronę wejścia, licząc po cichu, że się zjawią. Ale na zewnątrz, za szklanymi drzwiami, widać było tylko sztuczne światła. Już w windzie obserwował, jak przejeżdża przez kolejne piętra. Przy tym wszystkim, co się działo, zapomniał o niedoszłych rabusiach. Tylko że oni najwidoczniej nie zapomnieli o nim, a teraz jeszcze przyprowadzili kumpli. „Świetnie”. Nie oszukiwał się, że fakt, że był policjantem, powstrzyma ich na długo. Nawet gdyby w to uwierzyli, ewidentnie musiał radzić sobie sam, a z powodu kul stanowił łatwy cel. Prędzej czy później spróbują jeszcze raz.

Ale będzie się tym martwił kiedy indziej. Zamknął drzwi od mieszkania, poszedł do kuchni i usiadł przy stole. Oparł o blat jedną z kul, a drugą obrócił do góry nogami. To nią zahaczył o dywan na schodach, kiedy wychodził z kawalerki, i obluzował gumową końcówkę. Teraz złapał ją

i zaczął ściągać, kręcąc, dopóki nie ześlizgnęła się z aluminiowej rurki z cichym pyknięciem. Potrząsnął nią delikatnie.

Na stół wyleciały niedopalony blant Dylana, bletki i folia aluminiowa.

Po takim dniu jak ten Jonah prawie miał ochotę, żeby wypalić to samemu. Zamiast tego wyrzucił bletki, folię i skręta do kosza. Schował je, kiedy Bennet poszła na górę do mieszkania. Całe szczęście, bo Fletcher byłby zachwycony, gdyby mógł oskarżyć go o posiadanie narkotyków. Pewnie i tak by go przeszukał, nawet gdyby Dylan nie wskazał go palcem.

„Jaki ojciec, taki syn”, pomyślał Jonah, wciskając nasadkę z powrotem. Gavin może i nie planował wpakować go w to gówno, ale i tak mu się udało. Najpierw telefon, potem list do Marie. A teraz jeszcze sekretna kawalerka i prawie milion wzięty Bóg wie skąd. Nawet martwy wciąż przysparzał mu kłopotów.

Jonah otworzył piwo i pomyślał, że wolałby, żeby Gavin nie zostawił po sobie już żadnych niespodzianek.

## Rozdział 23

– Ty pieprzony gnoju!

Jonah mimowolnie cofnął się o krok, niemal balansując na progu. Stała w otwartych drzwiach z wykrzywioną twarzą.

– Posłuchaj, Marie...

– Siedemset pięćdziesiąt tysięcy funtów! Siedemset pięćdziesiąt tysięcy funtów, a przez ciebie nie zobaczę z tego ani grosza.

Próbował dodzwonić się do niej od rana, czując, że jest jej winien wyjaśnienia na temat kawalerki. Z perspektywy czasu zrozumiał, że powinien się domyślić, dlaczego nie odbierała ani nie odpowiadała na jego wiadomości. Z tego, co mówił Fletcher, policja zdążyła już przesłuchać Dylana, więc Marie wiedziała, co się stało. Ale on czuł, że powinien wytłumaczyć wszystko osobiście. Gdy nie odzwoniła, pojechał do niej do domu, mając nadzieję, że jeszcze nie przeniosła się do siostry.

Błąd.

– Przecież to jasne, że Gav chciał, żeby pieniądze trafiły do nas, ale nie, oczywiście! Musiałeś wtykać nos w nie swoje sprawy, co?! – krzyczała. –

A teraz policja wypytuje nas nie wiadomo o co. Zachowują się tak, jakby Dylan zrobił coś złego! A on jeździł tam tylko po to, żeby być blisko ojca. Nie chciał mnie denerwować, dlatego nic nie powiedział. Przysięga, że nawet nie wiedział o pieniądzach, a mój syn nie jest kłamcą!

Jonah był ciekaw, czy Dylan wspomniał o marihuanie, którą palił, czy o tym też zapomniał. Spróbował coś wtrącić:

– Marie, gdybyś tylko pozwoliła mi...

– Wszystko okej, mamó?

W korytarzu za nią pojawił się Dylan. Rzucił spakowaną torbę na podłogę obok dwóch walizek, które już tam stały, i popatrzył na Jonaha ze złośliwą satysfakcją.

– W porządku, skarbie, skończ się pakować – odpowiedziała Marie. Odwróciła się z powrotem do Jonaha z jeszcze bardziej zaciętym wyrazem twarzy.

– Chryste, żałuję, że w ogóle poprosiłam cię o pomoc. Nic dziwnego, że Gav przestał z tobą rozmawiać, wiedział, co z ciebie, kurwa, za jebany szkodnik! Strach w ogóle się z tobą zadawać! Następnym razem po prostu trzymaj się od nas z daleka. Nie chcę cię więcej widzieć. Nigdy!

I zatrasnęła mu drzwi przed nosem.

– Przyjemność po mojej stronie, Marie – mruknął.

Wrócił do auta. Nie mógł winić Marie za to, że się wściekła. Z jej punktu widzenia tylko dołożył im kłopotów. Fakt, że nie miał wyboru, a jego działania były podyktowane wyłącznie bieżącymi wydarzeniami, nie przekonałby jej bardziej niż Fletchera.

Albo jego samego, jeśli miał być szczery.

Jonah nie spał pół nocy, podważając słuszność wszystkiego, co do tej pory zrobił. Ale to samobiczowanie miało sens, jeśli pod mieszkaniem to naprawdę był Stokes, a on popełnił błąd i pozwolił mu uciec. Gdyby tak było, to zasługiwałby na pogardę inspektora. Tylko że Jonah wciąż nie do końca mógł w to uwierzyć. Tylko on stał między tamtym człowiekiem a siedmiuset pięćdziesięcioma tysiącami w używanych banknotach.

Jeśli to byłby Stokes, to pewnie spróbowałby je wziąć?

Znalezienie pieniędzy zmieniało wszystko. Wyglądało na to, że raz na zawsze rozstrzygnęło kwestię, czy Gavin był skorumpowany. Patrząc, jak za oknami sypialni wstaje świt, Jonah pomyślał o jeszcze jednej rzeczy. Pomijając już to, kto czaił się pod kawalerką, Stokes szukał w domu Marie czegoś konkretnego. Oczywiście odpowiedzią były pieniądze, pytanie tylko, skąd Stokes mógł się o nich dowiedzieć?

Na przykład od Gavina.

Jonah wciąż nie chciał uwierzyć, że Gavin i Stokes mogli działać razem, ale w sugestii Fletchera drzemała jakaś logika, od której robiło mu się niedobrze. Bo przecież należało jeszcze wziąć pod uwagę trzy ofiary z magazynu. Nadine, Daniel Kimani i drugi, nadal niezidentyfikowany, mężczyzna. Na pierwszy rzut oka obecność Kimaniego zdawała się podważać teorię, że morderstwa były powiązane z handlem ludźmi. Ta

możliwość zawsze wydawała się naciągana, zwłaszcza od kiedy Fletcher powiedział, że Stokes nie miał żadnych powiązań z gangami.

Tylko że Gavin miał. A niecały milion funtów był już motywem samym w sobie. Ludzie zabijali za dużo mniej, co z kolei rodziło wiele niepokojących pytań na temat ofiar. A jeśli Gavin współpracował z Owenem Stokesem, to czy Jonah posuwał się za daleko, gdy zakładał, że w ten sposób Gav mógł natknąć się przypadkiem na coś, co sprawiło, że spojrzął inaczej na wydarzenia sprzed dziesięciu lat?

Coś na temat Theo?

I tak Jonah zatoczył pełny krąg, wracając do pytania, dlaczego Gavin zadzwonił do niego tamtej nocy. Motywy Gavina mogły być bardziej złożone, niż ktokolwiek zdawał sobie sprawę. Być może pieniądze oraz próba zadośćuczynienia za dawne błędy wzajemnie się nie wykluczały, przynajmniej nie w jego mniemaniu. Może jedno prowadziło do drugiego, a Owen Stokes, ofiary z magazynu i cała reszta były nierozzerwalnie połączone.

Albo może Jonah chwycił się już wszystkiego.

Włączył silnik i odjechał spod domu Marie. Nie czuł się tak zagubiony ani bezsilny od zniknięcia Theo; nie zbliżył się też ani na trochę do zrozumienia czegokolwiek. Ale było jedno miejsce, gdzie mógł znaleźć odpowiedzi.

Chociaż najpierw powinien zrobić krótki postój.

Wilkes mieszkał w bliźniaku z lat sześćdziesiątych położonym na końcu ślepej uliczki. Był to ostatni dom w sąsiedztwie, w którym zamiast plastikowych okien ostały się oryginalne drewniane z odłazającą farbą. Z przodu znajdowała się miniaturowa wersja ogrodu, w którym kilka nieprzycinanych krzaków róż powoli przyduszały chwasty.

Jonah podszedł do wejścia i nacisnął dzwonek. Zardzewiały mechanizm wydał z siebie jedynie cichy zgrzyt, więc na wszelki wypadek zapukał. Usłyszał dźwięk zamka, a potem drzwi się otworzyły.

Potężny mężczyzna był nieogolony i nieuczesany. Miał na sobie biały T-shirt, szyję owinał rękawiczką. Bił od niego kwaśny odór alkoholu i starego potu, a oczy patrzące znad poznaczonych popękkanymi naczynek policzków były pożółkłe i przekrwione. Zmierzył Jonaha niechętnym od kaca wzrokiem.

– Czego chcesz?

– Możemy pogadać?

Wilkes zaniósł się kaszlem, który brzmiał, jakby właśnie coś oderwało mu się od płuca.

– O czym?

– Powiem ci w środku. – Jonah podniósł reklamówkę, którą miał na nadgarstku. – Przyniosłem to.

Była to butelka Jamesona, whiskey, którą Wilkes pił w pubie. Byłemu detektywowi od razu poprawił się nastrój.

– Niezła. – Cofnął się, przytrzymując drzwi. – Włóż.

W środku śmierdziało papierosami, smażonym żarciem i niepranymi rzeczami. Wykładzina zdawała się chrzęścić od piachu, kiedy Jonah przeszedł pogrążonym w półmroku wąskim korytarzem do salonu. W centralnym jego punkcie na ścianie wisiał ogromny telewizor, przed którym stał rozkładany wytarty skórzany fotel z rozdartymi i ubitymi poduszkami. Na stoliku, obok sterty magazynów motoryzacyjnych, wały się brudny talerz i kubek.

– Kłapnij sobie! – krzyknął Wilkes. – Zaraz przyjdę.

Fotele były w zasadzie dwa – jeden rozkładany i drugi zwykły, który mówił wiele o życiu towarzyskim detektywa. Jonah zdjął magazyny z siedzenia, rozejrzał się za pustym miejscem, aż w końcu odłożył je na podłogę. Oparł kule o bok fotela i usiadł.

Wilkes wszedł do środka ubrany w coś, co wyglądało jak ta sama polówka, którą włożył na pogrzeb; niósł dwie puszki piwa.

– Możemy zacząć od tego, a Jamesona otworzymy później. – Wręczył jedno Jonahowi. – Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam?

– Wspomniałeś ostatnio.

Wilkes nie podał nazwy ulicy ani numeru domu, ale w tej okolicy mieszkała tylko jedna osoba o tym nazwisku. Rozkładany fotel zaskrzypiał pod ciężarem byłego policjanta, który od razu otworzył piwo.

– Zdrowie – powiedział, wznosząc puszkę, po czym wziął długi łyk.

Jonah napił się symbolicznie. Nawet gdyby nie prowadził, nie miał ochoty na kolejną popijawę, ale Wilkes obraziłby się, gdyby niczego nie wypił. Ten odstawił puszkę i beknął.

– To o czym chciałeś pogadać?

– Wiedziałeś, że Gavin miał inne mieszkanie?

Uważnie obserwował reakcję byłego detektywa, który zmarszczył brwi.

– Że co?

– Oprócz mieszkania w Ealing miał jeszcze kawalerkę.

Wilkes wydawał się szczerze zdziwiony.

- A po jaką cholere?
- Dowiedziałem się dopiero wczoraj – wykręcił się Jonah. – Jego syn ukradł klucze i łąził tam, żeby jarać zioło.
- Poważnie? – Wilkes zarechotał chrapliwie. – Wykapany stary.
- Więc Gavin o nim nie wspominał?
- Nie mnie. – Wilkes nie wydawał się zadowolony.
- A masz jakiś pomysł, do czego mógłby potrzebować dwóch mieszkań?
- Gdyby wciąż mieszkał ze swoją ślubną, powiedziałbym, że chciał mieć miejsce, do którego mógłby zwozić babki. Ale skoro się wyprowadził, to nie było mu to potrzebne. Kto jeszcze wie o tym mieszkaniu poza tobą i dzieciakiem?
- Tylko jego żona i ekipa śledcza. – Jonah spróbował skierować rozmowę z powrotem na właściwy tor. – Więc nic nie przychodzi ci do głowy?

Były detektyw rzucił mu urażone spojrzenie.

- Niewyraźnie mówię?

Jonah odpuścił. Wilkes przyjrzał mu się znad puszek.

- Mam pytanie. Jeśli ty i Gav byliście takimi kumplami, to dlaczego ze sobą nie gadaliście?
- Mówiłem ci, urwał nam się kontakt.
- Gówno prawda. Jego żona mówiła, że byliście jak papużki nierozłączki, a potem nagle bum. I cisza. Takie rzeczy nie dzieją się bez powodu.

Jonah napił się piwa, rozważając, ile mu powiedzieć. Ale detektyw zorientowałby się, gdyby coś zataił.

- Nakryłem go w łóżku z moją żoną.

Wilkes odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

- O ja pierdołę! Wiedziałem! Wiedziałem, że o coś poszło!
- Cieszę się, że cię to bawi – mruknął Jonah.

Grube ramiona wciąż się trzęsły. Wilkes odstawił puszkę, żeby wytrzeć oczy.

- Przepraszam, nie powinienem... ale Chryste, to kapitalne! Żonę swojego najlepszego kumpla. Cały Gavin, nigdy nie mógł utrzymać go w spodniach. Od tego się zaczęło.
- Co się zaczęło? – powiedział Jonah, a jego irytacja zniknęła momentalnie.

Wilkes zgniótł pustą puszkę w ciężkiej pięści.  
– Wezmę sobie następne i ci opowiem.

Nazywała się Eliana Salim.

Została przerzucona z Syrii do Wielkiej Brytanii razem z kilkunastoma innymi kobietami, które upchnięto w konterze z pluszakami. Jej rodzice zginęli w trakcie wojny, a ona planowała pracować jako opiekunka do dzieci, dopóki nie będzie jej stać na sprowadzenie do kraju młodszej siostry, która została u ich krewnych.

Tak się nie stało.

– Prawdziwa laska – powiedział Wilkes, popijając drugie piwo. – Jak modelka. Miała szczęście, bo zamiast upchnąć ją w burdelu w jakiejś dziurze, gang, który ją tu przywiózł, zrobił z niej dziewczynę do towarzystwa. Robota ta sama, ale mogła ładnie się ubrać i pouśmiechać do bogatych padalców, zanim ktoś ją wyruchał.

Pilnowana dzień i noc, mieszkała z trzema innymi dziewczynami, a z małego mieszkania wypuszczano ją jedynie do pracy. Którejś nocy, kiedy wieziono ją na prywatną imprezę w Mayfair, kierowcę zatrzymała drogówka.

– Idiota miał przy sobie nóż i kokainę, więc spanikował i dał po garach – kontynuował Wilkes. – Kiedy zdał sobie sprawę, że nie uda mu się uciec, skręcił w jedną z bocznych uliczek, wcisnął towar Salim i wykopał ją z auta. Zagroził jej, że albo sama wróci do mieszkania, albo tego pożałuje, i odjechał. A ponieważ dziewczyna nie była głupia, poszła na najbliższy posterunek i poprosiła o pomoc. Pech chciał, że tamci wezwali Gavina, żeby ją przesłuchał.

Kiedy Gavin dotarł na komendę, kierowca trafił już do aresztu. Był Ormianinem, należał do miejscowego gangu zamieszanego w szeroko zakrojony handel ludźmi i prostytutkę. – Wilkes zmarszczył brwi, patrząc na piwo i próbując odtworzyć przebieg wydarzeń. – To były płotki, ale wiedzieliśmy, że działają na zlecenie międzynarodowej organizacji przestępczej z Europy Wschodniej. – Rzucił Jonahowi znaczące spojrzenie. – Razem z Interpolem i Narodową Agencją ds. Zwalczania Przystępności od lat próbowaliśmy dobrać się bydlakom do dupy, ale co rusz nam się wymykali. A jebani byli brutalni. Nie zabijali tylko tych, którzy zeznawali, nie, oni torturowali i mordowali całe rodziny. Więc kiedy Gav zobaczył



Salim w pokoju przesłuchań, zrozumiał, że trafiła się okazja, żeby mieć kogoś w środku.

– W sensie jako informatora? – Jonah nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.  
– Zmusił ją, żeby wróciła?

Wilkes odwrócił wzrok, pocierając grzbiet nosa.

– Nie zmusił jej, tylko powiedział, że jeśli będzie współpracować, to może znajdzie się sposób na ściągnięcie tu jej siostry. A jeśli nie... cóż, mogły ją czekać miesiące albo lata w ośrodku detencyjnym, a potem deportacja. Czego, biorąc pod uwagę, z jakimi ludźmi mieliśmy do czynienia, prawdopodobnie by nie chciała.

„Jezus...” Nawet jak na to, czego ostatnio dowiedział się o Gavinie, był to kompletnie nowy poziom.

– Mógł w ogóle coś takiego zrobić?

– Kurwa, skądże. A przynajmniej nie powinien. Mamy obowiązek rejestrować informatorów, a żeby w ogóle to zrobić, to najpierw trzeba przejść przez te wszystkie zabezpieczenia i odwalić masę papierkowej roboty. A Gav wiedział, że nie było na to czasu. Żeby to zadziało, musiała wrócić, zanim goryle zaczęłyby się zastanawiać, czemu jej tak długo nie ma. Jeśli pomyśleliby, że wróciła z własnej woli, to mogłoby uspić ich czujność. No wiesz, to naprawdę była fantastyczna okazja, żeby zdobyć na ich temat jakieś informacje. Druga taka mogłaby się nie trafić. Zresztą nie chodziło tylko o nich, ale też o ludzi, którzy korzystali z jej usług. A uwierz mi, to były duże nazwiska. Politycy, biznesmeni, bankierzy. Gav wiedział, że ryzykuje, ale stwierdził, że gra jest warta świeczki.

– On ryzykował? A ona? – Jonah był przerażony. – Chryste Panie, kazał jej wrócić do prostytutki.

Wilkes miał przynajmniej na tyle przyzwoitości, żeby zrobić zażenowaną minę.

– Taa, no cóż. Z tej strony nie wygląda to najlepiej, ale dziewczyna wiedziała, w co wchodzi. Nikt jej nie zmuszał. A Gavin naprawdę nadstawiał karku. Kiedy się to wydało, rozpętało się piekło. Przez moment myślałem, że go wyleją.

„Powinni”, pomyślał Jonah.

– Więc czemu nie wylali?

Wilkes wzruszył ramionami.

– Co się stało, to się nie odstanie i takie tam. A głupio byłoby nie wykorzystać już zainstalowanej agentki, która była gotowa do działania.

– Agentki? – wyrwało się Jonahowi, zanim zdążył ugryźć się w język.  
– A jak inaczej byś ją nazwał? – Spojrzenie Wilkesa było tak twarde jak jego ton. – I daruj sobie. Łatwo jest oceniać, kiedy to nie ty brudzisz sobie ręce.

Jonah wiedział, że nie mógł go zdenerwować, jeśli chciał usłyszeć resztę. Podniósł dłonie, jakby się wycofywał.

– Okej. I co się stało?

Spojrząwszy na niego spode łba, Wilkes napił się piwa i kontynuował:

– Nie bardzo wiem jak, ale tak tym zakręcił, że został jej prowadzącym. Oficjalna wersja była taka, że nawiązał już relację, ale gdyby mnie ktoś pytał, zrobili to po to, żeby ograniczyć syf, gdyby szambo wyjebało. Mnie też w to wciągnął, czym nie byłem zachwycony. A przynajmniej nie na początku, bo zapowiadało się, że jednak dał dupy. Ponieważ była pilnowana dwadzieścia cztery godziny na dobę, nie mogliśmy zaryzykować próby kontaktu, musieliśmy czekać, aż ona skontaktuje się z nami. Gav dał jej swój numer, ale przez kilka tygodni nie mieliśmy od niej żadnych wieści. A potem nagle dostał wiadomość z prośbą o spotkanie. Okazało się, że miał rację w kwestii poluzowania ochrony. Przestali ją obserwować, zaczęli wypuszczać samą, więc ryzyko się opłaciło. Chryste, ale się cieszył. Mieliśmy spotkać się z nią we dwóch, ale powiedział, że lepiej będzie, jak pójdzie sam. W sensie, nieoficjalnie.

Wilkes zapatrzył się ponuro na puszkę z piwem, marszcząc czoło.

– Teraz myślę, że może nie był to najlepszy pomysł. Ale wtedy... Tak czy siak, przeszło to w rutynę. Gav podrzucał mnie do pubu, szedł sam do ustalonego wcześniej miejsca spotkania, potem przyjeżdżał po mnie i relacjonował, co mówiła.

Gavin najwyraźniej nie chciał, żeby Wilkes wchodził mu w drogę.

– Przyznał się, że z nią sypia, czy sam się domyśliłeś?

– Cóż, Gav to Gav, więc się domyśliłem. – Wilkes nie patrzył Jonahowi w oczy. – Ale nie widziałem w tym nic złego. To znaczy Salim sprzedawała nam autentycznie dobre rzeczy. Nazwiska, godziny, miejsca, strzępy informacji, które podsłuchiwała. Wszystko z niskiego szczebla, ale to było złoto w porównaniu z tym, co mieliśmy wcześniej. Gav nagle awansował na pupila. I w tym też nie widziałem nic złego, jeśli mam być szczery.

„A co z Salim?” Ale tym razem Jonah zatrzymał tę myśl dla siebie.

– To co poszło nie tak?

Wilkes się nachmurzył.

– Stracił dystans. Myślałem, że to zwykłe dymanko, a nie coś poważnego. Ale zaczął być rozkojarzony, jakby myślał o czymś innym. No i łatwo było go wkurwić, naprawdę łatwo. Ale był pod takim ciśnieniem, że na początku nikt nie zwrócił na to uwagi. Potem ktoś w ekipie zażartował na temat Salim, a Gavinowi odjechało. Urwałby biedakowi łeb, gdybym go nie złapał. Po tym było już jasne, że popełnił błąd. Zaczął naciskać, żeby ją stamtąd wyciągnąć, twierdził, że zrobiła już wystarczająco dużo. Problem polegał na tym, że dziewczyna naprawdę odwaliała kawał dobrej roboty. Góra najpierw rozpętała awanturę, a potem okazało się, że nie chcieli pozbawiać się tych informacji. „Jeszcze tylko trochę”, obiecywali. „Kilka miesięcy i wtedy ją wyciągniemy”.

Wilkes zgniół kolejną puszkę i rzucił ją na podłogę.

– I wtedy straciliśmy z nią kontakt. Żadnych telefonów, żadnych wiadomości, nic. Mieszkanie było pod obserwacją, ale nie zauważyliśmy żadnego ruchu. Zналиśmy tych bydlaków i wiedzieliśmy, że to nie może być nic dobrego. Gav prawie wyszedł z siebie. Bałem się, że jeśli jakoś nie zareagujemy, pójdzie tam sam.

Jonah zeszytniał, myśląc o magazynie.

– Poszedł?

– Nie musiał.

O świcie przeprowadzili nalot. Operacja została drobiazgowo przygotowana i zaplanowana tak dyskretnie, jak tylko się da. Wyważyli drzwi, uzbrojeni funkcjonariusze wpadli pierwsi i z krzykiem czyścili pomieszczenie po pomieszczeniu.

Ale dziupla była pusta. Na łóżkach leżały puste materace, w łazience nie było widać, żeby ktoś tam mieszkał. Po Elianie Salim i pozostałych dziewczynach, podobnie jak po strażnikach, nie było śladu.

– Wszystko waliło wybielaczem – opowiadał Wilkes. – Każda powierzchnia została wytarta, wszystkie szuflady i szafki opróżnione. Pomyślałem najpierw, że mamy kurewskie szczęście, bo spodziewałem się rzezi. Wyglądało to tak, jakby zabrali zabawki i przewieźli dziewczyny gdzie indziej. Gav dostał szału, więc już miałem mu powiedzieć, żeby wyszedł i zostawił to technikom. A potem w kuchni ktoś krzyknął.

Jonah poczekał, aż Wilkes wyjmie kolejne piwo z wielopaka obok fotela. Otworzył je i wypił połowę za jednym haustem.

– Wszyscy stali wokół lodówki i zaglądali do środka. Pamiętam, że zastanawiałem się, o co chodzi, bo był tam tylko talerz z kawałkiem mięsa.

Potem dotarło do mnie, co to jest. Skurwiele dowiedzieli się, że Salim była wtyką. Urznęli jej język i zostawili go dla nas.

– Jezu... – Jonah spodziewał się najgorszego, ale i tak był w szoku.

– Znaleźliśmy resztę w śmietniku za domem – kontynuował Wilkes. – Poćwiartowali ją, owinęli w folię spożywczą, włożyli do plastikowych worków i wyrzucili. Jak śmieci. Pierdolone zwierzęta. Mówię ci, widziałem naprawdę wiele, ale czegoś takiego nigdy. Musieli ją zabić kilka dni wcześniej, bo szczury zdążyły... no, odcisków ani DNA Salim nie było w bazie, więc mogliśmy ją zidentyfikować jedynie na podstawie twarzy.

– Boże, Gavin musiał...? – Nie było dla niego żadnego usprawiedliwienia, ale Jonah i tak by mu tego nie życzył. Wilkes pokręcił głową.

– Chryste, nie, nie pozwoliłem mu. Też ją prowadziłem, więc zgłosiłem się na ochotnika. Gav i bez tego był już w kiepskim stanie. Znowu myślałem, że go wyleją, albo że przynajmniej dostanie naganę, ale zrobiliby się za dużo szumu. Nikt nie chciał nagłaśniać takiej wtopy, a Salim nie miała żadnej rodziny, która sprawiałaby problemy. Więc zamietli sprawę pod dywan, a Gava wysłali na kilka tygodni płatnego urlopu. Wrócił, kiedy wszystko przycichło, ale nie był już taki sam.

Wilkes zmarszczył czoło jeszcze bardziej, próbując powiedzieć, co miał na myśli.

– Wydawał się... Nie wiem. Pusty. Jakby udawał, że jest tym, kim ludzie chcą, żeby był, ale miał już na wszystko wyjebane. To wtedy zaczął dawać w palnik. Wiadomo, zawsze lubił się napić, w końcu to był Gav. Ale nie w ten sposób.

– I to wtedy zaczął brać w łapę? – zapytał Jonah.

Wilkes oderwał puszkę od ust.

– Co to, kurwa, za pytanie? Mówiłem ci: Gav robił, co do niego należało, nawet jeśli oznaczało to nagięcie kilku reguł.

– Jak posłanie Eliany Salim z powrotem na śmierć?

– Myślałem, że byłeś jego pierdolonym kumplem? – Wilkes poczerwieniał z wściekłości. – Czy chcesz mu dokopać, bo wyruchał ci żonkę?

Jonah powstrzymał się od odpowiedzi. „Oddychaj”.

– Musi być jakiś powód tego, co wydarzyło się w magazynie. Dlaczego tam był, dlaczego do mnie zadzwonił. Po prostu chcę się dowiedzieć, co to było. Wydaje mi się... – Zawahał się, nie wiedząc, ile może powiedzieć. –

Wydaje mi się, że to mogło dotyczyć tego, co stało się kilka lat temu. Ja... mój syn zaginął. Śledztwo wykazało, że utonął, ale wydaje mi się, że Gavin mógł się czegoś dowiedzieć. I doszedł do wniosku, że się pomylił.

Nie mógł zdradzić Wilkesowi za dużo, z pewnością nie na temat Stokesa, skoro jego tożsamość nie została jeszcze podana do wiadomości publicznej. Ale eksdetektyw był jedyną osobą, która mogła powiedzieć mu coś o Gavinie. Jonah wolał mieć go po swojej stronie.

– Tak, słyszałem o twoim synu. Przykro mi – rzekł szorstko Wilkes. – Ale nie widzę, jak to mogłoby się łączyć z czymkolwiek.

– Mogło się nie łączyć. Muszę po prostu się upewnić.

Twarz byłego detektywa wracała do normy, ale wciąż nie wyglądał na zadowolonego.

– No tak... nie wiem, jak mógłbym ci pomóc. Ale jeśli chcesz wiedzieć, czy byłem zaskoczony, kiedy go zawiesili, nie, nie byłem. To popierdolone, co spotkało Gava, ale moim zdaniem jakaś jego część zmarła już wcześniej, kiedy zobaczył, co stało się w tym mieszkaniu. I nic więcej ode mnie nie wyciągniesz. Koniec, kurwa, pieśni.

Odchylił głowę i skończył piwo. Zmiażdżona puszka wylądowała obok pozostałych.

– Możesz już iść.

## Rozdział 24

Jonah nie pamiętał zbyt wiele z drogi powrotnej do domu. Jechał jak na autopilocie, ciało i mózg funkcjonowały automatycznie, podczas gdy on analizował to, czego się dowiedział. Teraz przynajmniej coś nabrało sensu. To, co spotkało Elianę Salim, musiało drastycznie wpłynąć na Gavina. To jego decyzje, jego działania doprowadziły do śmierci młodej kobiety, a świadomość tego musiała nie dawać mu spokoju. Jonah wiedział, jak trujące bywało połączenie straty i poczucia winy. W pierwszych dniach po zaginięciu Theo to Gavin stanowił przeciwwagę dla mrocznych impulsów i odciągał go znad otchłani. Kiedy się pokłócili, Miles przejął jego rolę. Tylko że Gavin nie miał nikogo, kto mógłby zawrócić go znad krawędzi.

I otchłań w końcu się o niego upomniała.

Gdy zaparkował niedaleko bloku, zastanawiał się, czy Fletcher wiedział o tej katastrofalnej operacji. Możliwe, że nie. Pewnie istniały raporty, ale wydarzyło się to lata temu. Ktoś mógł uznać, że śledczy nie musieli wiedzieć o relacji Gavina z Elianą Salim. Bo kto miałby im opowiedzieć? Z tego, co mówił Wilkes, wynikało, że niewiele osób wiedziało o niej nawet wtedy.

Ale Jonahowi wydawało się, że nie można z góry wykluczyć wpływu zamordowania Salim na Gavina. W najgorszym razie stanowiło to kontekst dla jego późniejszych działań. Jej śmierć była punktem zwrotnym. To wtedy wszedł na ścieżkę samodestrukcji, która ostatecznie doprowadziła go do magazynu. Istniała nawet możliwość, że organizacja, która zamordowała Salim, była jakoś powiązana z zabójstwami w magazynie. Chociaż to mogło być akurat naciągane, skoro Fletcher twierdził, że Stokes nie miał nic wspólnego z przestępczością zorganizowaną.

I tak nie było sposobu, żeby dowiedzieć się, co w tamtym momencie działo się w głowie Gavina. Może dowiedział się o ofiarach leżących w środku magazynu, a to z kolei przypomniało mu, co spotkało Elianę Salim. Może wspomnienie tego, jak ją zawiódł, popchnęło go do działania na własną rękę, wkroczenia do akcji bez względu na konsekwencje.

Wracając do domu, Jonah po raz pierwszy czuł, że w końcu zaczyna rozumieć coś z tego, co wydarzyło się tamtej nocy. Nie wszystko, co to, to nie. Wciąż nie widział, jak do całej tej układanki pasował Owen Stokes ani jaka relacja łączyła go z Gavinem. Mimo wszystko dobrze było jednak wiedzieć cokolwiek. To mogło nawet wystarczyć, żeby przekonać Fletchera, że faktycznie mówi prawdę.

„Nie licz na cud”. Ale kiedy dotarł do mieszkania, czuł się lepiej niż przez kilka ostatnich tygodni, a jego dobry nastrój utrzymał się aż do wieczora.

Dopóki Stan nie zadzwonił i nie powiedział, że ktoś włamał się do jego garażu.

Jonah dotarł na miejsce przed północą. Okolica była pusta, pogrążone w ciemności garaże ciągnęły się jednolitym rzędem. Nigdzie nie widział Stana. Światło w bmw było zgaszone, przez co nie mógł zobaczyć, czy ktoś siedzi w środku. Włączył latarkę, którą zabrał ze sobą, okrążył auto i zajrzał przez szybę od strony kierowcy.

– Nie spieszyłeś się.

Jonah odwrócił się gwałtownie, niemal tracąc równowagę, kiedy postać wyłoniła się z cienia za jego plecami. Stan podniósł rękę, mrużąc oczy od oślepiającego światła.

– Nie po oczach, do cholery!

Jonah opuścił latarkę.

– Jezus, Stan...

– Nic nie widzę – gderał mechanik, mrugając. W drugiej dłoni trzymał ciężki klucz.

– Myślałem, że czekasz w aucie.

– To źle myślałeś. – Minął Jonaha i skierował się w stronę garaży. – Chodź, daj tu ten reflektor.

Jonah szedł za Stanem i oświetlał drogę, przeganiając cienie i odsłaniając obtłuczone cegły oraz pozasłaniane drzwi. Mechanik pokazał

na dół.

– Zobaczyłem to, kiedy odstawiałem własne auto. Patrz, co łajdaki zrobiły!

Roztrzaskana na kawałki kłódka leżała na ziemi, skobel w kształcie litery U został wyrwany przy użyciu takiej siły, że odłamki metalu wały się wszędzie. Wyglądało to tak, jakby ktoś potraktował całość młotem, drzwi zresztą też nie prezentowały się najlepiej. Miejsce, w którym wisiała wcześniej kłódka, było wgniecione od serii uderzeń.

„To by było na tyle w kwestii przypadkowego włamania”, skwitował Jonah. Odwrócił się, by poświecić latarką za nimi i upewnić się, że nikogo tam nie ma. Zabezpieczenia niektórych garaży wisiały praktycznie tylko dla ozdoby i były banalnie proste do zdjęcia. Jednak zamiast dobrać się do któregoś z nich, ktoś zadał sobie sporo trudu, żeby włamać się właśnie do tego. Przypomniał sobie butelkę rozbitą pod jego nogami dzień wcześniej i wrażenie, że gówniarze coś szykują; doszedł do wniosku, że chyba już wie, kto to był. Albo podglądali, jak idzie do garażu, albo jakoś dowiedzieli się, który należy do niego.

Dranie.

– Dzwonisz po kumpli? – zapytał Stan.

Miał na myśli policję. Ale jedyną faktycznie wartościową rzeczą, którą Jonah trzymał w garażu, był saab, a ten szczęśliwie stał na ulicy. Szkody były za małe, żeby wzywać ubezpieczyciela, a nie było sensu marnować czasu policji na wgniecione drzwi i zniszczoną kłódkę.

– Obejrzyjmy to najpierw – powiedział. – Przesuń się.

Nie oczekiwał, że ktoś jeszcze będzie w środku, ale jeśli nauczył się czegoś w pracy, to tego, żeby niczego nie oczekiwać. Kiedy stary się odsunął, Jonah przeszedł na bok i oparł kule o fragment muru dzielący dwa garaże. Opierając się na zdrowej nodze, złapał za dolną krawędź drzwi i pociągnął. Wypaczona od uderzeń płyta stawiała opór. Potem, ze zgrzytem się uniosła.

Stan zacmokał z dezaprobatą

– Spójrz, jakiego narobili bajzlu.

Wyglądało na to, że każde pudeło zostało wywrócone do góry nogami, a zawartość wyrzucona na poplamioną olejem podłogę. I choć może w środku nie było zbyt wiele do wyniesienia, złodzieje zabrali, co się dało. Z półek z tyłu garażu zniknęły narzędzia: wiertarka, piła taśmowa,



kątownica. Żadna z tych rzeczy nie była zbyt wiele warta, ale i tak je ukradli.

– Szafkę chyba też rozwalili – zauważył Stan.

Jonah skierował latarkę na starą metalową szafkę stojącą w rogu. Drzwi zostały wyłamane, a teraz wisiały lekko uchylone. W środku trzymał głównie kartony ze starymi dokumentami, których do tej pory nie przejrzał, a nie chciał ich wyrzucać. Ktoś wygarnął pudła na zewnątrz, a papiery wały się po betonie.

– Mam nadzieję, że nie miałeś tu nic ważnego – odezwał się Stan z za jego pleców.

Jonah obojętnie pchnął częściowo otwarte drzwiczki końcem kuli. Te zaczęły się zamykać, a potem napotkały opór. Nienaoliwione zawiasy skrzypnęły i drzwiczki odbiły z powrotem.

Ze szczeliny wyślizgnęła się przerażająco blada w świetle latarki ręka.

– Jezu Chryste Przenajświętszy!

Jonah praktycznie go nie słyszał. Wnętrze dłoni skierowane było do góry, palce były zgięte w podobnym do błagalnego geście. Ręka była drobna, gładka, ciężka i przerażająco bezwładna. Użył kuli, żeby jeszcze szerzej otworzyć drzwiczki. Za nim rozległo się kolejne przekleństwo. Jonah opuścił kulę, bo nagle poczuł, że musi się na niej oprzeć.

Ciało zostało niechlujnie owinięte w plastik. Folia na górze odsłaniała zwisającą głowę, na którą naciągnięto przezroczystą torebkę. Owinięta wokół szyi czarna taśma odcinała dopływ powietrza do foliówki, która oblepiała nieruchomo nos i otwarte usta. Reklamówka była mokra od pary, włosy częściowo zasłaniały twarz. Ale nie na tyle, żeby Jonah nie rozpoznał kobiety, którą ktoś wcisnął do szafki jak zepsutą lalkę.

Corinne Daly.

## Rozdział 25

– Nie zabiłem jej.

To nie był ten sam pokój przesłuchań, ale równie dobrze mógłby być. Taki sam utylitarny szyk, odrapane ściany i przytwierdzony do podłogi stolik. A siedząc naprzeciwko Fletchera, Jonah od kilku godzin powtarzał wciąż to samo.

Inspektor westchnął. Nie było w tym żadnego efekciarstwa – detektyw wyglądał na wychudłego i zmęczonego, a napięta skóra na twarzy przybrała barwę kitu do okien.

– To co jej ciało robiło w twoim garażu?

– Powtarzam, nie wiem. Ale to nie ja je tam ukryłem.

Jonah aż za dobrze zdawał sobie sprawę, jak kiepsko to brzmiało. Teoretycznie było to dobrowolne przesłuchanie, ale nie miał pod tym względem żadnych złudzeń. Jeśli zostałby aresztowany, policja mogłaby przetrzymać go jedynie przez dwadzieścia cztery godziny, a w razie potrzeby przedłużyć ten czas do czterech dni. Ale ponieważ siedział tu „dobrowolnie”, przesłuchanie mogło ciągnąć się w nieskończoność. Zegar zaczynał bić dopiero w momencie aresztowania.

Kiedy przywieziono go na posterunek, na początku czuł się dość pewnie. Na tyle pewnie, że nie poprosił o prawnika. Trudno było mu zaakceptować, że faktycznie mógłby go potrzebować – wierzył po prostu, że nie zrobił nic złego.

Teraz powoli docierało do niego, że być może popełnił błąd.

– Czyli przyznajesz, że Daly przyszła do twojego mieszkania dwa dni temu – kontynuował Fletcher. – Żeby „przeprzeć”, tak chyba mówiłeś.

– Zgadza się. Powiedziała, że czuła się źle z tym, jak mnie potraktowała.

– A ty jej uwierzyłeś? Po tym, jak oszukała cię w szpitalu i dopadła na pogrzebie McKinneya?

– Wiem, jak to brzmi, ale tak. Powiedziała mi, że miała wątpliwości co do swojej pracy.

– A tobie mogła się wypląkać, co?

– Nie, po prostu rozmawialiśmy – sprostował Jonah. Był teraz wdzięczny Marie bardziej niż kiedykolwiek, że zadzwoniła akurat wtedy. Może między nim a Daly do niczego by nie doszło, ale gdyby jednak, pewnie miałyby jeszcze więcej do wyjaśniania.

– O której? – zapytał Fletcher.

– Była u mnie około wpół do dziesiątej. Możesz sprawdzić, zamówiłem wtedy pizzę. Przyszła w tym samym momencie i ją przyniosła.

– Przyniosła ci pizzę?

– Chyba chciała zażartować. Myślę, że bała się, że jej nie wpuszczę.

– Czyli przyszła około dziewiątej trzydzieści. Co potem?

– Powiedziała, że chciała przeprosić. Zaczęliśmy rozmawiać, w końcu zjedliśmy pizzę i trochę wypiliśmy.

– Bardzo to wspomniałobyś z twojej strony. – Fletcher wyjął równo złożoną chusteczkę i przyłożył ją do łzawiącego oka. – Co piła?

– Piwo.

– Ile?

– Dwa, chyba. Małe puszki.

– A ty?

– Tak samo. Zacząłem, zanim przyszła, więc... wypłem jedno więcej od niej.

– Czyli trzy. – Trudno było nie odnieść wrażenia, że Fletcher czerpie z tego przyjemność. – Zaczęliście rozmawiać. O czym?

– Ogólnie. Opowiedziała mi o swojej córce. A potem powiedziała, że zidentyfikowała jedną z ofiar. – Zerknął na Bennet, która odwzajemniła spojrzenie bez cienia emocji. – Ponoć był to student z Kenii, Daniel Kimani.

Z braku zdziwienia Fletchera wynikało, że już o tym wiedział.

– Coś jeszcze?

– Wiedziała o zawieszeniu Gavina, ale nie powiedziała od kogo.

– A ty? Co ty jej powiedziałeś?

– Nic na temat Gavina ani sprawy, jeśli to cię martwi.

– Ooo, to nie ja powinienem się martwić. Ale tak dla jasności, prowadziłeś kulturalną rozmowę przy piwie i pizzy z dziennikarką, która zrobiła z ciebie idiotę. A potem powiedziała „dobranoc” i wyszła. Czy tak?

– W zasadzie tak.

– O której to było?

– Około jedenastej. Może w pół do dwunastej.

– Siedziała dwie godziny? Jej, musieliście mieć o czym rozmawiać. Czy wspomniałem, że znaleźliśmy jej auto? Zaparkowane niedaleko twojego mieszkania. Wiemy więc, że już stamtąd nie wróciła. Następnego dnia nie pojawiła się w pracy. Nie zadzwoniła też do rodziców, jak obiecywała. Tak naprawdę nikt nie miał od niej żadnego sygnału po tym, jak widziała się z tobą.

– Kiedy ode mnie wychodziła, nic jej nie było. Sprawdźcie monitoring, jeśli mi nie wierzycie.

– Oj, sprawdzamy. Ale wygląda na to, że wszystkie kamery w pobliżu zostały zniszczone. Zabawne, co?

Jonah czuł się zbyt nędznie, żeby zwrócić uwagę na drwinę.

– Wiecie już, jak została zabita?

Fletcher przyglądał mu się przez chwilę.

– Niesamowity jesteś, Colley, wiesz o tym? Naprawdę myślisz, że będę z tobą o tym rozmawiać?

– Została owinięta w folię jak ofiary z magazynu – naciskał Jonah. Chciał mieć to na taśmie. – Z tego, co widziałem, była w pełni ubrana, nie zauważyłem krwi, więc zgaduję, że najpierw pozbawił ją przytomności, a potem zostawił, żeby się udusiła. Znowu, tak samo jak przy trzech ofiarach z nadbrzeża. Reklamówka to nowość, ale domyślam się, że wyciągnął wnioski z tego, co stało się wcześniej z dziewczyną. Nadine. Nie zamierzał ryzykować, że Corinne Daly przeżyje.

– A mówiąc „on”, masz na myśli...?

– Wiesz, kogo mam na myśli. To musiał być Owen Stokes. Pewnie czekał przed mieszkaniem i zaskoczył ją, kiedy wyszła.

– No tak, oczywiście. – Nawet kiwnięcie głową wyszło mu sarkastycznie. – Wygląda na to, że Owen Stokes jest winien wielu rzeczy, które dzieją się wokół ciebie.

Urwał, bo do pokoju weszła Bennet, która zniknęła chwilę temu. Na stole położyła niewielkie pudełko z dowodami. Jonah poczuł ukłucie niepokoju.

Fletcher mówił dalej.

– Twierdzisz, że Owen Stokes zabił Corinne Daly po tym, jak od ciebie wyszła, następnie włamał się do twojego garażu i podrzucił ciało? Dlaczego? Żeby zrobić cię w morderstwo?

– Tak, właśnie tak twierdzę.

– A stało się to kiedy? Dzisiaj, kiedy włamanie zostało zgłoszone? Czy dwie noce temu, gdy faktycznie zniknęła?

– Nie wiem. Powtarzam, dzisiaj byłem w garażu po raz pierwszy, odkąd wystawiłem auto. Tego samego dnia, kiedy przyszła do mnie Corinne Daly, rano. Stokes mógł się tam potem włamać o każdej porze.

Fletcher zacisnął wargi i potarł podbródek palcami, jakby drapał kota.

– Cóż, to w zasadzie pasowałoby do wstępnych ustaleń patologa. Twierdzi, że Daly zmarła prawdopodobnie jakieś czterdzieści osiem godzin temu, a jej ciało przeleżało w szafce mniej więcej taki sam czas. Czyli od wieczora, kiedy cię odwiedziła.

– Czyli tak właśnie było – powiedział Jonah. Ale nie podobał mu się sposób, w jaki inspektor to powiedział.

– Dobrze. Więc zgadzamy się co do tego, że jej ciało było w twoim garażu dwa dni. Problem polega na tym, że właściciel garażu, który muszę przyznać, nie przepada za tobą, upiera się, że jeszcze kilka godzin wcześniej kłódka była nietknięta. Podobnie, wyobraź sobie, wczoraj. Trochę go oburzyło, kiedy zapytaliśmy, czy jest tego pewien, więc powiedział, że przecież zauważyłby rozwalone młotem drzwi. A ja jestem skłonny mu uwierzyć. Coś takiego trudno byłoby przegapić.

Jonah otworzył usta, ale nie wiedział, co powiedzieć. Fletcher skinął głową.

– Wiem. Niezła zagwozdzka, prawda? Ustaliliśmy, że ciało Daly było tam od dwóch dni, ale do włamania doszło dopiero dzisiaj. To niejako sugeruje, że ktokolwiek je tam umieścił, musiał mieć klucz. Owen Stokes go nie miał, co?

– Och, na litość boską...

– Miał klucz?

– Nie, ale...

– Czy ktoś inny go miał? Poza tobą?

Jonah szukał wyjścia, ale bezskutecznie.

– Nie.

– Nie – powtórzył jak echo Fletcher. – Więc już wiesz, w czym problem. Jeśli ciało Daly zostało podrzucone do garażu dwa dni temu, ale włamano się do niego dopiero dzisiaj, a ty byłeś jedyną osobą, która ma klucz, to zawęź listę podejrzanych, prawda? Do... no cóż, tak właściwie to tylko do ciebie.

Jonah poczuł się zepchnięty do wyjątkowo ciasnego narożnika.

– Okej, więc dzisiaj musiał włamać się ktoś inny. Myślałem na początku, że to miejscowe dzieciaki, z którymi miałem kłopot. To mogły być one.

– Dzieciaki? Trzeba było tak od razu mówić! Małe dranie, pewnie masz rację. Tyle że... – Fletcher machnął ręką. – Tyle że to sprawia, że mamy do wyjaśnienia już dwa włamania. Okej, niech będzie, ktoś rozwalił drzwi dzisiaj wieczorem, tu się zgadzamy. Ale nawet jeśli twój najemca jakimś cudem nie zauważył pierwszego włamania, jeśli ktoś, powiedzmy Owen Stokes, wszedł tam dwa dni temu, te nastoletnie hultaje nie musiałyby dzisiaj niszczyć kłódki, prawda?

– Posłuchaj, nie zabiłem Corinne Daly. – Jonah usłyszał własną desperację. – Chyba nie myślisz, że gdybym to zrobił, byłbym na tyle głupi, żeby ukryć jej ciało w swoim garażu?

– Myślę sobie tak: puściły ci nerwy i zabiłeś ją u siebie, poczekałeś do północy, potem poszedłeś po auto i zaciągnąłeś jej ciało do windy. Wiedziałeś, że kamery nie działały, równie dobrze mogłeś zniszczyć je sam, więc nie musiałeś się nimi przejmować. Kolano utrudniało sprawę, dlatego wsadziłeś ją do garażu, żeby zdecydować, co z nią zrobić. Ale miałeś pecha, bo ktoś się tam włamał: albo te dzieciaki, o których dopiero sobie przypomniałeś, albo ktoś inny. Włamywacze zabrali, co się dało, i uciekli, kiedy zobaczyli zawartość szafki. Kiedy właściciel garażu do ciebie zadzwonił, wiedziałeś, że nie masz innego wyboru, jak tylko robić dobrą minę do złej gry.

Fletcher założył ręce na piersi. Nie miał nic więcej do dodania. Jonah widział, że mężczyzna tym razem nie bawi się w adwokata diabła. Naprawdę w to wierzył.

– Chryste panie, przecież tego chce Stokes!

– A ten znowu swoje – prychnął Fletcher. – Podaj mi jeden powód, dla którego Owen Stokes miałby zadać sobie tyle trudu, żeby zabić dziennikarkę, której nawet nie znał? Dlaczego miałby chcieć cię zrobić?

– Nie wiem! – Jonah z trudem powstrzymywał się od krzyku. – Nie mam pojęcia, co się dzieje we łbie tego chorego bydlaka. Ale przeze mnie

ucieka! Jezu, nawet pieniądze z kawalerki stracił przeze mnie! A dlaczego JA miałbym chcieć zabić Corinne Daly? Chryste, lubiłem ją!

– To miłe. Pewnie bardzo ułatwiło jej to pracę.

Jonah stłumił wściekłość. Zorientował się, że pułapka została zastawiona – dopiero teraz dotarło do niego, że wszystko do tej pory było zaledwie przygrywką.

– Pisała o tobie kolejny artykuł – powiedział Fletcher.

– Nie wierzę ci – odparł Jonah, ale wiedział, że zrobił to odruchowo.

– Oj, tylko że to prawda. Według jej wydawcy zbierała materiały od dłuższego czasu – kontynuował Fletcher. – Twierdzi, że była pewna, że w tej historii kryje się coś więcej. I miała rację, co nie?

– Wyłączyła telefon, widziałem...

Ale wtedy przypomniał sobie scenkę, którą odegrała Daly. Jak szybko go uspokoiła: „Widzisz? Nie nagrywa”. A potem wszystkie te pytania naprowadzające na Gavina...

O Boże...

– I ty się masz za policjanta? – zapytał Fletcher głosem ociekającym pogardą. – Sierżant Bennet, można?

– W szafce znaleźliśmy torebkę Daly – odezwała się, po czym z pudełka z dowodami wyjęła niewielki przezroczysty woreczek. – Nie było w niej telefonu, więc ktokolwiek ją zabił, najpewniej nie chciał ryzykować bycia wyśledzonym. Ale było tam to.

Do woreczka włożony był mały, prostokątny przedmiot. Jonah poczuł, jak na widok dyktafonu żołądek zacisnął mu się w supeł.

– Daly może i wyłączyła telefon, ale i tak nagrała sobie całą wizytę – podsumował Fletcher, przejmując inicjatywę. – Jakość nie jest najlepsza, ale ujdzie. Zapraszasz ją, ucinacie sobie pogawędkę. Wszystko bardzo fajnie. A potem mamy to.

Wcisnął przez folię przycisk odtwarzania. Jonah usłyszał głos Corinne Daly przeplatany z jego własnym – cichym i dochodzącym z oddali, ale mimo wszystko rozpoznawalnym.

– *Słyszałam plotki o twoim przyjacielu. Że miał kłopoty. I że w ogóle nie powinien być w magazynie, bo został zawieszony. To prawda?*

– *Od kogo to słyszałaś?*

– *Okej, nie chcę, żebyś cokolwiek potwierdzał, ale... Nie możesz zaprzeczyć, co nie?*

– *Jezu Chryste.*

– W porządku, przepraszam, zapomnij, że cokolwiek mówiłam. Proszę nie...

Niezrozumiały krzyk, potem dźwięki zamieszania. Głośne uderzenie i zgrzyt mebli, po którym nastąpiło przytłumione stuknięcie.

A potem już nic.

Fletcher zatrzymał odtwarzanie. W pokoju zapanowała oskarżycielska cisza, w której Jonah mógł usłyszeć bicie swojego serca.

– Nagranie trwa dalej, ale słyhać tylko jakieś trzaski i szmery – oznajmił inspektor, odkładając woreczek z powrotem do pudełka. – Mimo to zaryzykowałbym twierdzenie, że mamy więcej, niż potrzeba, co?

Jonah miał wrażenie, że ziemia usunęła mu się spod stóp, a on spada.

– To nie tak, jak to wygląda.

– Nie? Bo wygląda, jakbyś stracił nad sobą panowanie i zaatakował Corinne Daly.

– Nie! Jezu, to nie tak! – Jonah czuł, że lepki pot nie ma nic wspólnego z temperaturą w pomieszczeniu. – Okej, byłem zły, ale na siebie, że dałem się podejść. Wstałem, oparłem się na kolanie, a kiedy upadałem, przewróciłem stolik. Tyle, nic więcej! Torebka Daly wylądowała na podłodze, coś pewnie przykryło dyktafon.

– A potem? – zapytał Fletcher.

– Nic! To wszystko. Kilka minut później zadzwoniła żona Gavina. Możecie sprawdzić na moim telefonie. Daly wyszła niedługo potem i wtedy widziałem ją po raz ostatni. Ale przysięgam, że nic jej nie było!

– Nieustannie to powtarzasz. Niestety, mamy na to tylko twoje słowo.

Jonah gorączkowo myślał nad czymś, co mogłoby odwrócić sytuację na jego korzyść, sprawić, żeby zrozumieli, że jest niewinny. Ale zupełnie nic nie przychodziło mu do głowy.

Fletcher spojrzał na niego, bębniąc palcami w blat stołu.

– Czy sekcja zwłok wykaże na jej ciele twoje DNA lub nasienie?

– Co? – Na twarzy Jonaha odmalował się wstrząs. – Nie! Myślisz, że ją zgwałciłem?

– Dowiemy się już wkrótce, prawda?

Fletcher podniósł się i wyszedł, Bennet poszła za nim z pudełkiem.

Ściany pokoju zdawały się napierać na Jonaha. Wciąż miał zegarek, każda sekunda zdawała się trwać wieczność. W ślimaczym tempie minęło dziesięć minut, potem dwadzieścia, wreszcie godzina. I wtedy, jak gdyby



czas się zresetował, drzwi otworzyły się i do środka wrócili Fletcher i Bennet.

Jonah próbował wyczytać coś z ich twarzy, kiedy zajmowali swoje miejsca. Mina policjantki była zimna i nieodgadniona, ale inspektor wydawał się spokojny. To opanowanie, które Jonah widział u niego po raz pierwszy, wyprowadzało go z równowagi.

– Ściśle rzecz biorąc, to nie moja sprawa, więc to nie ja powinienem to robić – powiedział Fletcher. – Ale w świetle możliwego związku oficer prowadzący wyraził zgodę.

– Nie zabiłem Corinne Daly – powtórzył Jonah. Bardziej, żeby uprzedzić to, co nadchodziło, bo nie wierzył już, że na cokolwiek się to zda.

Fletcher zmierzył go wzrokiem.

– Wiesz co, Colley? Męczysz mnie. Nie zabiłeś Corinne Daly, nie zabiłeś McKinneya, nie zabiłeś nikogo w magazynie. I żeby nie było: na początku ci wierzyłem. Nie we wszystko, wiedziałem, że coś się nie zgadzało. Ale tak, nie pasowałeś mi na mordercę. Wciąż nie umiem stwierdzić, czy jesteś winny w przypadku reszty. Cały czas coś tu nie gra. Ale to...

Jonah miał wrażenie, że nagle w pokoju zabrakło powietrza.

– Jonah Colley – wyrecytował Fletcher – jest pan aresztowany pod zarzutem zamordowania Corinne Daly.

## Rozdział 26

Został aresztowany.

Aresztowany.

Nawet teraz wydawało mu się to niemożliwe. Ale twarda prycza była całkowicie realna. W ciasnej, pozbawionej okien celi cuchnęło gryzącym detergentem, którym nieudolnie maskowano smród moczu. Świejące zza osłony górne światło padało na pozbawiony klapy metalowy sedes i niewielką umywalkę. Zostawiono mu kule, ale wszystko inne musiał oddać: zegarek, telefon, portfel. Opuszki miał umazane tuszem do pobierania odcisków, a w gardle wciąż drapało go po wymazie DNA. Nawet w najczarniejszych chwilach w magazynie nie wyobrażał sobie takiego scenariusza. Do tej pory kurczowo trzymał się tego, że w rzeczywistości był niewinny, zatem na pewno zostanie oczyszczony z podejrzeń.

Ale wylądował tu, gdzie wylądował.

Pochylił się na skraju pryczy, ukrył twarz w dłoniach i ucisnął oczy. Próbował wyprzeć wspomnienie Corine Daly wciśniętej w szafkę. Jego wina. Może i jej nie zabił, ale to przez niego zginęła. Nie docenił Owena Stokesa. I to jak. Był tak zafiksowany na własnym celu, na tym, żeby odkryć związek między rzezią w magazynie a sprawą Theo, że przeoczył kolejny ruch Stokesa.

I to, jak bardzo mógł być zdesperowany.

To z jego powodu Stokes uciekał i stracił pieniądze z mieszkania Gavina. Jonah nie miał już żadnych wątpliwości w kwestii tego, kogo słyszał na zewnątrz. Wcześniej wydawało się to niedorzeczne, ale ze wszystkich ludzi to właśnie on powinien zdawać sobie sprawę, do czego

zdolny był Stokes. Na własne oczy przekonał się, co zrobił Nadine, Danielowi Kimanemu i temu trzeciemu biedakowi. Chryste, widział przecież, jak owinał w folię i zaciągnął gdzieś ciało Gavina.

Jednak nawet po bezczelnym włamaniu Stokesa do Marie Jonah nie dostrzegł niebezpieczeństwa. Naiwnie przypuszczał, że ten człowiek posłusznie wejdzie w rolę zbiega i będzie zbyt zajęty unikaniem pościgu, żeby stanowić realne zagrożenie. Myśl, że Stokes mógł obwiniać go o to, co się stało, że całą tę sprawę traktował osobiście, tak jak i on, nigdy nawet nie przyszła mu do głowy.

I właśnie z tego powodu zginęła Corinne Daly.

Wydawało się jasne, że Stokes musiał dwukrotnie włamać się do garażu: za pierwszym razem dyskretnie, żeby podrzucić ciało Corinne, a za drugim już w bardziej widoczny sposób, niszcząc przy okazji drzwi, skoro nikt tego nie zgłosił. Nagranie zarejestrowane w mieszkaniu musiało być dla niego jak gwiazdka z nieba, która jedynie przypieczętowała winę Jonaha.

Uderzył się w twarz. „Pierdolony kretynie! Debilu, debilu, debilu!”

Wybuch minął szybko. Obwinianie samego siebie donikąd go nie zaprowadzi, nie teraz. Wziął głęboki oddech i usiadł prosto, próbując się uspokoić. Pomyśleć. Nie wiedział, dlaczego dziennikarka została zaatakowana. Ale Stokes był zabójcą, przynajmniej to było oczywiste. Nawet odkładając na bok kwestię tego, co mogło stać się z Theo – a Jonah zdawał sobie sprawę, że nie może teraz wejść do króliczej nory – zamordował co najmniej cztery osoby. Prawdopodobieństwo, żeby ręka drgnęła mu przy kolejnej, było niewielkie.

Być może Corinne znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie, naznaczona swoją relacją z Jonahem; przekonujący rekwizyt, żeby go zrobić. Pytanie, dlaczego Stokes miałby zadać sobie tyle trudu, żeby to zrobić, wciąż nie dawało mu spokoju, ale teraz ważniejsze było to, co ten pokręcony bydlak planował dalej.

I to, co Jonah mógł z tym zrobić.

Adwokatka z urzędu była kobietą po czterdziestce o imieniu Farah. Miała siwiejące włosy i zmęczone oczy, więc Jonah spodziewał się, że będzie po prostu stwarzać pozory. Ale okazała się zaskakująco kompetentna, a jej pytania były na tyle wnikliwe, że po raz pierwszy, od kiedy Fletcher odczytał mu jego prawa, poczuł promyk nadziei.

– Jak pani myśli, ile będą mnie przetrzymywać? – zapytał, choć znał odpowiedź.

– Będę zaskoczona, jeśli nie zechcą pana zatrzymać na pełne dziewięćdziesiąt sześć godzin. O ile wcześniej nie wniosą zarzutów.

Po tym czasie będą musieli albo postawić mu zarzuty, albo wypuścić. W pierwszym wypadku pozostanie w areszcie aż do procesu, a potem przez tyle miesięcy, ile będzie on trwał. Trafi przed brytyjski system sprawiedliwości jako policjant, który zszedł na złą drogę. Nawet gorzej niż Gavin. Co za banał.

– Wiem, że często pani to słyszy, ale nie zrobiłem tego – powiedział jej.

Uśmiech obrońcy był nieodgadniony.

– Powtórzmy sobie wszystko jeszcze jutro, okej?

Z powrotem w celi Jonah leżał z rękami na oczach, osłaniając je od jasnego światła nad głową. Próbował zasnąć, ale bezskutecznie. Za każdym razem, kiedy zamykał oczy, widział ciało Corinne Daly, powykrzywiane i poskręcane nieludzko jak budząca odrazę marionetka.

Dryfował między płytkim snem a jawą, aż w pewnym momencie zapomniał, że siedzi w celi. Musiał jednak odpłynąć, ponieważ nagle poderwał się, obudzony przez metaliczny brzęk. Usiadł, nie wiedząc, gdzie jest. Dopiero po chwili runęła na niego lawina wspomnień, jakby gdzieś w jego głowie zwolniła się zapadnia. „O, Chryste”. Przetarł zmęczone oczy i spuścił nogi z pryczy, akurat kiedy ktoś wsunął do środka tacę przez właz w drzwiach celi.

Na tacy stał talerz z dwoma cienkimi tostami posmarowanymi tłustym zamiennikiem masła i kubek z letnią herbatą. Śniadanie. Jonah uświadomił sobie, że umiera z głodu. Pochłonał tosty i kończył herbatę, kiedy rozległ się kolejny dźwięk, tym razem klucza przekręcane w zamku. Jonah poczuł ucisk w żołądku, bo spodziewał się kolejnego przesłuchania.

Ale w drzwiach zamiast umundurowanego strażnika pojawiła się Bennet.

– Możesz iść – oznajmiła.

Wydawało mu się, że się przesłyszał.

– Co?

– Zostajesz warunkowo zwolniony.

„Warunkowe zwolnienie?” Zwykle w sprawach tak poważnych jak morderstwo taka możliwość nie wchodziła w grę, więc Jonah nawet o niej nie pomyślał. No i nie oznaczało to, że był oczyszczony z zarzutów. Wciąż

w dowolnym momencie mógł zostać wezwany na przesłuchanie lub oskarżony. Ale przynajmniej do tego czasu był wolny.

– Jak to? – zapytał, czując ogarniającą go ulgę. Sięgnął po kule.

– Na ten moment nie mamy żadnych pytań.

Jonah stanął i zatrzymał się, żeby spojrzeć jej w oczy. Z twarzy Bennet jak zwykle nie dało się nic wyczytać, ale miał wrażenie, że dostrzega w niej jakieś podenerwowanie.

– Nie wypuszczalibyście mnie bez powodu. Co się stało?

Stała w otwartych drzwiach.

– Chcesz iść czy nie?

Chciał, ale podejrzenia nie pozwalały mu się tym cieszyć.

– Dlaczego zwalnianie mnie akurat teraz? – zapytał, wychodząc na korytarz.

– Będziesz musiał zapytać o to inspektora Fletchera.

Czekała na niego, ale Jonah nie ruszył się z miejsca. Westchnęła.

– Co znowu?

– Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, co się dzieje?

– Słuchaj, nie mam czasu z tobą dyskutować...

– Więc powiedz mi, czemu mnie wypuszczacie.

Bennet wyglądała, jakby miała za moment urwać mu łeb, ale po chwili złagodniała. Odwróciła wzrok.

– Pojawił się nowy dowód.

Jonah na próżno czekał na dalsze wyjaśnienia.

– Jaki dowód?

Znowu pauza.

– Otrzymaliśmy zgłoszenie od świadka. Widział Owena Stokesa w budynku, w którym McKinney wynajmował kawalerkę. Jeden z mieszkańców zauważył człowieka pasującego do rysopisu, jak zbiegał po schodach tego samego dnia, kiedy byliście tam ty i syn McKinneya. Świadek opisał go jako wysokiego mężczyznę w czapce z daszkiem, na karku miał coś, co wyglądało jak znamię lub tatuaż.

Czyli to był Stokes. Jonah poczuł gorycz frustracji na myśl o tym, jak blisko był, ale to wciąż nie odpowiadało na jego pytanie.

– To dowodzi jedynie, że Stokes wiedział o kawalerce. – Ruszył korytarzem. – To nie ma nic wspólnego z Corinne Daly, więc czemu mnie wypuszczacie?

Doszli do drzwi. Bennet zatrzymała się, żeby wyjąć swoją kartę.

– Słyszałeś kiedyś, co się mówi o zębach i darowanych koniach?

– Ej, na pewno jest coś, czego mi nie mówisz.

Bennet szarpnęła za drzwi, kiedy zamek zabzyczał. Otworzyła je i odsunęła się do tyłu, żeby go przepuścić.

– Funkcjonariusz zwróci ci twoje rzeczy – oznajmiła.

Okazało się, że Jonah całkowicie stracił poczucie czasu. Kiedy wchodził na posterunek, panowała noc, a potem trafił do pozbawionego zegara i wypełnionego sztucznym światłem aresztu. Teraz, gdy stanął w świetle dnia na ulicy, odniósł wrażenie, że znalazł się w innym świecie.

Z nieba padała mżawka, zimna i przesywająca. Wystawił twarz w stronę deszczu, rozkoszując się uczuciem czystości. No, względnej czystości. Ubrania miał wymięte jak psu z gardła, a twarz porastał ciemny, szorstki zarost. Nie mając pojęcia, dokąd idzie, ruszył mokrym chodnikiem. Stanął na przystanku i wsiadł do pierwszego autobusu, nie sprawdzając, dokąd jedzie. O kulach nawet to sprawiało mu problem, ale kiedy już zapłacił za bilet, znalazł miejsce przy oknie blisko drzwi. W miarę możliwości rozprostował nogę i obserwował ulice przesuwane za szybą.

Czuł, że jego życie się posypało. Wciąż nie mieściło mu się w głowie, że został aresztowany za morderstwo. Kiedy autobus przedzierał się w ruchu ulicznym, próbował wymyślić, co zrobić. Jego błąd polegał na tym, że postrzegał to jako jednostronną walkę, w której on był myśliwym, a Stokes zwierzyną. Nie mógł sobie dłużej na to pozwolić, nie po tym, co spotkało Corinne Daly. Stokes najwyraźniej go obserwował. Śledził tak samo jak Gavina. Jeśli miał przetrwać, musiał zaadaptować się do nowej, przerażającej rzeczywistości.

Na niego również ktoś polował.

Przesiadał się trzy razy, zanim trafił na linię, która biegła niedaleko jego bloku. Na przystanku, kiedy szedł w stronę mieszkania, doświadczył zupełnie nowego napięcia. Skanował wzrokiem ulicę i wejścia do budynków, wypatrując najmniejszych oznak zasadzki. Nikt nie zaatakował, a plac przed blokiem był pusty, jeśli nie liczyć grupki dzieci jeżdżących na rowerach. Nie zauważył ani Owena Stokesa, ani nastolatków, którzy rzucili w niego butelką. Kiedy wchodził do budynku, w drzwiach minął starszą kobietę. Cofnął się, żeby ją przepuścić, a ona zmierzyła wzrokiem jego kule.

– Windy nie działają – powiedziała.

Kiedy wdrapał się na swoje piętro, walcząc o każdy krok, był zlany potem i z trudem łapał oddech. Wszedł do mieszkania. Zdjął ubrania, wziął prysznic, po czym usiadł na łóżku, żeby włożyć czystą koszulkę i dżinsy. Telefon leżał obok niego. Akurat kończył się ubierać, kiedy usłyszał dzwonek SMS-a. Nie znał numeru. Gdy odczytał krótką wiadomość, przeszył go dreszcz.

*Nabrzeże Rzeźników, 19.00. Przyjdź sam.*

## Rozdział 27

– Masz, kurwa, tupet!

Stan zacisnął pięści, a podwinięte rękawy poplamionego olejem kombinezonu ujawniały żylaste przedramiona. Z radia w warsztacie dobiegała muzyka klasyczna, chociaż ktoś poza zasięgiem wzroku gwizdał zupełnie inną melodię. Na rampie, na wysokości głowy, znajdowało się jedno auto, kilka innych stało obok w różnych stadiach demontażu.

– Przepraszam – zaczął Jonah.

– W dupie mam twoje przeprosiny! Pilnuję własnego nosa, prowadzę uczciwy interes. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego!

– Stan, przestań. Myślisz, że gdybym wiedział, co tam jest, pozwoliłbym, żebyś to zobaczył?

– A ty myślisz, że podoba mi się ciągnięcie po posterunkach? Przesłuchiwanie, jakbym zrobił coś złego?

– Po prostu mnie wysłuchaj, proszę! – Jonah wątpił, żeby Stan go uderzył, ale w życiu nie widział starego tak wściekłego. – Chcesz garaż z powrotem, w porządku, zabiorę swoje rzeczy tak szybko, jak się da. Ale naprawdę potrzebuję auta. Automat, wszystko jedno jaki.

Saab Jonaha został zarekwirowany przez policję. Miał dostać go z powrotem, dopiero kiedy zostanie sprawdzony przez techników pod kątem śladów zostawionych przez Corinne Daly.

Mina Stana była nieprzejeżdżalna.

– Nic mnie to nie obchodzi, powiedziałem już: nie.

– Nie prosiłbym cię, gdyby to nie było ważne.

– No i? Weź taksówkę!



To byłoby prostsze. Ale Jonah nie miał pojęcia, w co się pakuje. Jeśli musiałyby szybko uciekać z Nabrzeża Rzeźników, nie chciał być skazany na taksówkę. A żadna z wypożyczalni nawet nie rozważyłaby wynajęcia samochodu facetowi o kulach.

Spróbował ponownie.

– Jeśli chodzi o pieniądze, zapłacę, ile chcesz.

– Nie chcę twoich pieniędzy, chcę, żebyś stąd zjeżdżał! Natychmiast!

Jonah zastanawiał się, czym jeszcze mógłby go przekonać, ale w głowie miał już pustkę. Nie było sensu dłużej tracić czasu.

– Okej – powiedział ciężko. – Przepraszam, że cię w to wciągnąłem.

Odwrócił się, żeby ruszyć z powrotem przez tor przeszkód złożony z puszek oleju i części do silników. Usłyszał, jak stary przeklina pod nosem.

– Po co ci on?

Jonah spojrzął za siebie. Stan był wściekły, ale ogień już tylko się tlił.

– Muszę spotkać się z kimś dzisiaj wieczorem. Ta osoba może wiedzieć, kto zabił kobietę z garażu.

Jeśli wiadomość przyszła od tego, o kim Jonah myślał, było to dość spore niedopowiedzenie. Ale żeby się tego dowiedzieć, potrzebował transportu. Czekał, a Stan kręcił głową jak człowiek toczący wewnętrzną walkę.

– Jeśli wpakujesz mnie w kłopoty, pożałujesz tego – burknął w końcu. – Stoї za warsztatem.

To była bestia, nie auto. W ogromnym volvo estate cuchnęło papierosami i starym kocem dla psa. Bardziej przypominało czołg niż auto. Miało ręczne zamki i uszkodzoną klapę, przez co ogromny bagażnik czasem otwierał się sam. Z plusów – więcej miejsca na nogi niż w saabie.

Stan uparł się, żeby Jonah wypełnił dokumenty, choć nie powstrzymało go to przed policzeniem mu podwójnej ceny.

– Przeprowadzisz go z powrotem w jednym kawałku albo kupujesz, co z niego zostanie, zrozumiano? – ostrzegł.

Wielka bryła volvo zapewniała poczucie bezpieczeństwa. Włączył się do ruchu w godzinach szczytu i ruszył prosto na nabrzeże. Było wcześnie, ale wolał mieć czas na rozpoznanie.

Potrzebował każdej możliwej przewagi.

Był pewien, że wiadomość przysłał Owen Stokes. Nie miał pojęcia, jak drań zdobył jego numer, ale przy odpowiednich umiejętnościach lub kontaktach nie nastęczało to zbytniego problemu. Kiedy odczytał SMS-a, krążył niespokojnie po mieszkaniu, próbując zdecydować, co zrobić. Kilka razy miał już dzwonić do Fletchera. Stracił szansę na złapanie Stokesa w kawalerce; nie mógł pozwolić, żeby stało się to ponownie.

Ale Stokes nie był głupi. Sprawdzi, czy Jonah jest sam, a kiedy zobaczy najmniejszy ślad obecności policji, po prostu zniknie.

A wraz z nim zniknie szansa na zdobycie odpowiedzi.

Ostatecznie to właśnie to przeważało. Wiedział, że istnieje spora szansa, że pakuje się w sytuację, której może nie przeżyć. Było więcej niż prawdopodobne, że Stokes zamierzał skończyć to, co zaczął w magazynie. Najpierw będzie chciał się dowiedzieć, czy Jonah zatrzymał pieniądze z kawalerki, a potem go zabije.

Ale jeśli by nie poszedł, mógł się nigdy nie dowiedzieć, co Stokes miał mu do powiedzenia. Nie tylko na temat magazynu, ale też tego, co tak naprawdę wydarzyło się dziesięć lat temu w tamtym parku. Nawet gdyby była minimalna szansa na wyciśnięcie z niego prawdy i dowiedzenie się, czy Theo faktycznie przypadkowo utonął, czy też Stokes maczał palce w jego zniknięciu, musiał ją wykorzystać.

Niezależnie od ryzyka.

Było już po szóstej, kiedy zaparkował nad rzeką. Na pustym placu nie stało żadne inne auto. Wyłączywszy światła, wysiadł z volvo i rozejrzał się wokół. Zadrzał. Powietrze było zimne i wilgotne, ale trząśł się z innego powodu.

Znów był na Nabrzeżu Rzeźników.

Pochmurne niebo nieco przejaśniało, księżyc rzucał blade światło na dickensowską nędzę. Dzięki pełni nie potrzebował ciężkiej latarki, ale wziął ją nie tylko ze względu na widoczność. Całkiem nieźle sprawdzała się też jako pałka. To, czy mu się przyda, będzie zależało od tego, co szykował Stokes, ale Jonah czuł się pewniej, ściskając zimny metal.

Stokes nie napisał, gdzie się spotkają, ale magazyn wydawał się oczywistym miejscem. Jeśli tam go nie będzie, Jonah wróci i poczeka w aucie. Gdy przechodził przez brukowaną alejkę przy garbarni, smród brudnej wody i gnijących wodorostów przybrał na sile. Zacumowane barki

falowały na wodzie jak dryfujące karawany. „Lub trumny”. Ta myśl, która pojawiła się znikąd, mówiła wszystko na temat nastroju Jonaha. Największa łódź tak jak ostatnio była przywiązana w pewnym oddaleniu od mniejszych krewniaczek. Za brudną szybą wystawiono ręcznie napisany znak „Na sprzedaż”, a kiedy Jonah przeszedł obok, z pokładu dobiegł niski pomruk. W świetle księżyca okazało się, że dziki kot wrócił na okienko. Syknął, prychnął i skulił się, gotów bronić przeżutego opakowania, dopóki Jonah go nie minął.

Nabrzeże było upiornym miejscem, samotnym i ponurym, a niepokój Jonaha rósł, w miarę jak zbliżał się do magazynu. Zatrzymawszy się przy bramie, oświetlił ogrodzenie z siatki. Od jego ostatniej wizyty na bramie zamocowano dużą tablicę z ostrzeżeniem: Niebezpieczeństwo! Grozi zawaleniem, nie wchodzić.

Jonah nasłuchiwał przez moment, ale dobiegał go jedynie dźwięk wiatru i subtelny chłupot wody. Włączył latarkę i skierował snop światła na budynek. Zobaczył deski w oknach i sypiące się ściany. Jeśli Stokes już tam był, musiał się ukrywać.

Spojrzał na zegarek. Świecące wskazówki pokazywały wpół do siódmej. Nie było sensu stać na zimnie. Bolało go kolano, więc równie dobrze mógł poczekać w aucie, dopóki Stokes się nie pojawi.

A potem to zakończą.

Kiedy wracał po własnych krokach wzdłuż brzegu, droga wydawała mu się dłuższa. Czuł się odsłonięty, ale powtarzał sobie, że to prawdopodobnie tylko jego wyobraźnia. Mimo wszystko wychwytywał wszelkie dźwięki poza stukaniem jego kul i obserwował cienie, wypatrując ruchu.

Nic się nie działo, ale niepokój rósł. Gdy dotarł do zacumowanych łodzi, był już kłębkiem nerwów. Na dźwięk wściekłego syknięcia odwrócił się gwałtownie, ścisnął mocniej latarkę – dopiero wtedy zobaczył błyszczące na barce ślepie i przypomniał sobie o kocie. Wypuścił powietrze.

„Jezu...”

Ruszył w stronę alejki. Bardzo chciał znaleźć się z powrotem w volvo. Nieświadomie zaczął iść szybciej.

Na łodzi kot wydał z siebie kolejny niski pomruk.

Jonah poczuł, jak włosy na karku stają mu dęba. Nie zwolnił ani się nie rozejrzał, ale właśnie usłyszał za sobą ciche szuranie kroków, poruszających się w innym rytmie niż on. Zaklął pod nosem. Przypuszczał,

że Stokes tu przyjedzie, ale w tym wszystkim przeoczył coś oczywistego. Coś, o czym po tamtej nocy powinien pamiętać.

Stokes miał łódź.

Kroki były coraz wyraźniejsze, ale chyba się nie zbliżyły. Drań kpił sobie z niego, próbując go zastraszyć. Czuł się na tyle pewnie, żeby z nim pogrywać, i już samo to niemal sprowokowało Jonaha, żeby zmierzyć się z nim tu i teraz.

Ale chociaż budziło to jego wściekłość, wiedział, że o kulach nie mógł wygrać w zwykłej walce. Musiał być sprytniejszy. Zabita dechami garbarnia była tuż przed nim, ostry cień wznosił się na rogu alejki. Kiedy za nią skręci, zniknie mu z oczu na kilka sekund. Kawałek dalej znajdowało się wejście – jeśli zdąży do niego dotrzeć, zanim Stokes wyjdzie zza budynku, może zaatakować, kiedy Stokes będzie przechodził obok. Przed wejściem w uliczkę zaryzykował i szybko zerknął za siebie.

Oświetlona od tyłu przez księżyc masywna sylwetka przemknęła w cieniu.

Jonah odwrócił się, czując w ustach gorzki posmak. Jezu, Stokes wyglądał na większego, niż pamiętał. Nagle dotarło do niego, że o kulach jest kompletnie bezbronny. Co sobie, do cholery, myślał, przychodząc tu samemu? „Teraz już za późno. Po prostu to zrób”. Zaczął oddychać głęboko, przygotowując się, żeby rzucić się do wnętrza, kiedy tylko zniknie tamtemu z oczu. „Teraz...” Jonah skręcił, a kroki za nim przyspieszyły.

Uliczka była zablokowana przez ciemnego SUV-a.

Jonah zachwiał się, kiedy jedne z drzwi się otworzyły, odcinając mu drogę ucieczki. Miał wrażenie, jakby poruszał się w zwolnionym tempie – obrócił się, za wszelką cenę chcąc wydostać się z pułapki. W tym samym momencie wysoka sylwetka pojawiła się w wejściu do alejki. „O kurwa!” Poświecił ciężkiej postaci prosto w twarz, licząc, że oślepi go na tyle, żeby zamachnąć się latarką. Obcy podniósł rękę, zasłaniając się przed promieniem, który ujawnił ogromną sylwetkę mężczyzny i pozbawione wyrazu, dziecinne rysy podobnej do głazu głowy.

To nie był Owen Stokes.

Jonah usłyszał, jak ktoś wysiadł z auta. Odwrócił się, żeby ocenić nowe zagrożenie, i zobaczył, że to kobieta. Wtedy masywna ręka złapała go za przedramię. Gigant poruszał się z zaskakującą prędkością. Jonah spróbował się wyswobodzić, mając nadzieję, że uda mu się przyciągnąć mężczyznę i wbić mu kolano w krocze, ale równie dobrze mógłby szarpać się ze skałą.

Przeciwnik zacisnął dłoń, wykręcając Jonahowi rękę, dopóki ten nie upuścił latarki. Cienie zatańczyły, kiedy wciąż włączona potoczyła się po ziemi.

– Stefan, wystarczy.

Kobieta mówiła niskim głosem z lekkim akcentem. Podeszła bliżej, a jej twarz znalazła się w świetle latarki.

Tuż przed nim stała martwa kobieta z magazynu.

– Możemy porozmawiać? – zapytała.

## Rozdział 28

Miała na sobie długi, popielaty płaszcz z materiału przypominającego kaszmir. Czarne włosy związała z tyłu, odsłaniając szczupłą szyję i podkreślając wysokie kości policzkowe oraz oczy w kształcie migdałów. Ostatnim razem, kiedy Jonah ją widział, jej twarz była owinięta w brudną folię, zaczerwieniona i pokryta pęcherzami od wapna.

Teraz jej skóra wyglądała nieskazitelnie.

– Możesz go zostawić, Stefan – powtórzyła w stronę olbrzyma. – Sierżant Colley nie będzie sprawiał kłopotów.

Gigant puścił jego nadgarstek i wycofał się. Pocierając obolałe miejsce, Jonah rozprostował palce. Chryste, ale silny.

– Co tu się dzieje? – zapytał Jonah.

– Wyjaśnię w aucie. Proszę – dodała, kiedy się nie poruszył. – Nie mam zbyt wiele czasu. Rzykuję już tym, że tu jestem.

Jonah się zawahał. Zaczął schylać się po latarkę, ale olbrzym zrobił krok do przodu i ją podniósł. Ściskając ją w dłoni, wycofał się znowu, a małe oczy obserwowały Jonaha z kompletnym brakiem zainteresowania.

– Proszę – powtórzyła kobieta, wskazując na SUV-a.

Żadne z nich nie sprzeciwiło się, kiedy przeszedł na przód i usiadł w fotelu kierowcy. W ten sposób nie mogli go po prostu dokąś wywieźć, a dzięki temu małemu aktowi nieposłuszeństwa od razu poczuł się lepiej. Kobieta wsunęła się z gracją na siedzenie pasażera, a olbrzym przytrzymał jej drzwi. Jonah odetchnął, kiedy ochroniarz zamknął je i stanął na czujce.

– Dziękuję, że zgodził się pan na rozmowę.

Używała korzenno-piżmowych perfum, raczej intensywnych niż przytłaczających. W przytłumionym świetle kabiny jej twarz była łagodna

i pozbawiona wad, a oliwkowa cera tylko delikatnie ozdobiona makijażem. Ale włosy miała proste, a nie kręcone, a rysy subtelnie się różniły. Młoda ofiara, Nadine, pewnie jeszcze niedawno była nastolatką, a kobieta przed nim była starsza, choć raczej niewiele.

Kiedy rozparła się w fotelu, jej twarz na chwilę zniknęła w cieniu. To pogłębiło oczodoły i kości policzkowe, tak że czaszka wydawała się napierać na skórę. Potem wróciła do poprzedniej pozycji, a iluzja zniknęła.

Tym razem to ona wydawała się zdenerwowana.

– Wie pan, kim jestem?

Zawahał się, ale tak uderzające podobieństwo nie mogło być przypadkowe. A kobieta wyglądała za młodo na matkę Nadine.

– Jest pani bardzo podobna do siostry – powiedział.

Pochyliła głowę w geście uznania.

– Dziękuję, ale nie o to chodziło. Czy wie pan, kim ja jestem?

Patrzyła na niego, jakby spodziewała się potwierdzenia, a od jej skupienia zrobiło mu się nieswojo. Poczł, jak coś zaczyna kształtować się w jego podświadomości, pierwsze przebłyski większej całości, której istnienia się nie spodziewał.

– Nazywam się Eliana Salim. – Delikatnie poruszyła ręką. – A raczej nazywałam się.

Jonah zamilkł nie dlatego, że doznał szoku, ale ponieważ musiał przemyśleć wszelkie konsekwencje. Wilkes powiedział mu, że Salim miała młodszą siostrę, ale twierdził również, że informatorka Gavina została zamordowana: odcięto jej język, a ją samą poćwiartowano. Eksdetektyw nie kłamał, Jonah był tego pewny. Nie miał też jednak wątpliwości, że kobieta mówiła prawdę. Siedziała przed nim była kochanka Gavina i niegdysiejsza informatorka.

Starsza siostra Nadine.

– Słyszałem, że pani nie żyje.

– Eliana Salim zmarła. Ja nie.

– Więc jak się pani teraz nazywa?

– To nieważne. Był pan przy Nadine, kiedy umierała. Chciałabym, żeby pan mi o tym opowiedział.

Jonah powoli dochodził do siebie.

– Jeśli chciała pani porozmawiać, dlaczego nie powiedziała pani nic, kiedy zobaczyłem panią kilka dni temu?

– Byłam zaskoczona. – Salim spuściła wzrok na swoje dłonie, zadbane, z doskonałym manikiurem. Nosiła tylko jeden pierścionek, opal w prostej oprawie z białego złota, który wyglądał jak chwycony w pułapkę blask księżycy. – Przychodzę tu czasem, żeby побыć w miejscu, gdzie zginęła moja siostra. Ale nie spodziewałam się tu pana.

I vice versa, pomyślał Jonah.

– Pani siostra nie została zidentyfikowana. Skąd pewność, że była jedną z ofiar?

Salim przyglądała płaszcz, pozornie spokojna i opanowana.

– Media podały informację, że kobieta miała na imię Nadine. Podobno pasowała do opisu mojej siostry i pochodziła z Bliskiego Wschodu. Samo w sobie to by nie wystarczyło, ale zyskałam pewność, kiedy dowiedziałam się, że McKinney był w to zamieszany.

Jonah rzucił jej ostre spojrzenie.

– Dlaczego?

– To byłby zbyt duży zbieg okoliczności. – Miała poważne, ciemne oczy ze złotymi plamkami, jak u kota. – Kiedy wyjechałam z Syrii, Nadine skończyła piętnaście lat. Mieszkała z ciotką i wujkiem w Aleppo, ale miałam nadzieję, że zarobię wystarczająco dużo pieniędzy, żeby ją tu sprowadzić. Legalnie. Niestety, z powodu moich... z powodu okoliczności, kiedy mogłam znowu się z nią skontaktować, ciocia i wujek zginęli w bombardowaniu. Dowiedziałam się, że Nadine przeżyła, ale była jedną z milionów uchodźczyń i nie miałam sposobu, żeby ją namierzyć. Od tamtej pory szukałam. Nie miałam pojęcia, że w ogóle była w kraju, dopóki nie zobaczyłam jej imienia i McKinneya w wiadomościach. Nie chciało mi się wierzyć, że mógłby znać inną Nadine, w tym samym wieku i która wyglądałaby tak samo, więc już wtedy wiedziałam, że to ona. Musiała przyjechać tutaj, żeby mnie odnaleźć, i jakoś nawiązała z nim kontakt, licząc, że jej pomoże. Nie rozumiem tylko, jak do niego trafiła i dlaczego zginęła w tym miejscu.

Już po raz drugi, mówiąc o Gavinie, użyła tylko jego nazwiska. W jej tonie pobrzmiwał chłód, a Jonahowi nie umknęła obojętność, z jaką wspominała o śmierci kochanka. To nie wyglądało na romans, który widział Wilkes. Ale już sam fakt, że Salim siedziała tu, w aucie, cała i zdrowa, dowodził, że detektyw nie wiedział wszystkiego.

– Przykro mi – rzekł Jonah. – Nie wiem, czy zdołam powiedzieć pani coś, czego już pani nie wie.



– Był pan przy niej. – Ciemne oczy spoglądały na niego badawczo. – Poza Nadine nie miałam już innej rodziny. Wiem, że spotkała ją powolna i okrutna śmierć, ale muszę usłyszeć, co się stało. Proszę.

Położyła mu dłoń na nadgarstku i Jonah nagle dobitnie zdał sobie sprawę z jej fizycznej obecności. Wiedział, że nim manipuluje, ale jednocześnie Salim nieszczęśliwie mogła pójść na policję jako krewna, skoro sama była ponoć martwa. A on rozumiał, dlaczego chciała wiedzieć, jak zginęła jej siostra.

Dlatego opowiedział. Ograniczył się w swojej relacji do podstawowych faktów, nie rozwodził się nad makabrycznymi szczegółami, ale ich nie pomijał. Kiedy skończył, wbiła wzrok w pierścionek, który obracała powoli na palcu.

– Bardzo cierpiała, kiedy ją pan znalazł?

– Była już słaba. Ale wciąż próbowała mnie ostrzec, zanim zostałem zaatakowany.

– Myśli pan, że mogła jeszcze przeżyć?

– Nie wiem. – Chciał uniknąć odpowiedzi, ale poczuł, że nie mówi prawdy. – Może.

Salim potarła policzek długimi palcami.

– Dziękuję. Za rozmowę i za to, że próbował ją pan uratować.

– Przykro mi, że nie mogłem zrobić więcej.

– Mnie również.

Powiedziała to raczej ze smutkiem niż z wyrzutem. Jonah zawahał się, zastanawiając się, ile powinien wyjawić. Ale musiał zapytać.

– Czy mówi coś pani nazwisko Kimani?

– Nie. – Zdziwił się, że w ogóle jej to nie zainteresowało, ale po następnym pytaniu przestał się nad tym zastanawiać. – Proszę opowiedzieć mi o Owenie Stokesie.

Jonah zastygł w bezruchu na dźwięk tego nazwiska. Okoliczności śmierci jej siostry to jedno, ale do tej pory uważał, żeby nie napomknąć o Stokesie.

– Kto pani o nim powiedział?

– Mam... przyjaciół. – Upstrzone złotem oczy patrzyły na niego beznamyślnie. W jej postawie nie było widać śladu słabości. – Powiedzieli mi, że ten sam człowiek był podejrzanym w sprawie zaginięcia pana syna.

„Jezu Chryste”, pomyślał Jonah. Nagle atmosfera w aucie uległa zmianie.

– Co to ma być?

– Słyszał pan. Chcę wiedzieć, jak doszło do tego, że moja siostra została zamordowana. Wiem, że uważa się, że ten Stokes zabił ją, McKinneya i pozostałych. Wiem również, że miał pan powody, żeby podejrzewać go już wcześniej. Zaczynam wątpić, czy jest pan tak niewinny, jak pan twierdzi.

Salim mogła dowiedzieć się tych rzeczy tylko od kogoś, kto miał dogłębny wgląd w trwające śledztwo. Albo dostęp do policyjnych raportów. Tak czy inaczej, mogła wiedzieć również o całej reszcie. O pieniądzach z kawalerki, a nawet o zamordowaniu Corinne Daly.

– Skoro słyszała pani o tym, wie pani również, że zostałem już przesłuchany. I jeśli wydaje się pani, że Nadine nie żyje z powodu jakiejś mojej wendety przeciwko Stokesowi, jest pani w błędzie. Do niedawna nie miałem powodu, żeby nie myśleć, że śmierć mojego syna była tragicznym wypadkiem. Nie wiedziałem o niczym, dopóki nie wszedłem do magazynu, i od tamtej pory próbuję cokolwiek z tego zrozumieć.

– A teraz? – zapytała.

– To znaczy?

– Powiedział pan, że wierzył pan w tragiczny wypadek „do niedawna”. Czy teraz uważa pan, że Owen Stokes ponosi za to odpowiedzialność?

– Nie wiem – przyznał. – Dlatego chciałbym go znaleźć.

– Więc coś nas łączy. – Popatrzyła na niego, kocie oczy były ciemne i zamyślane. – Słyszałam, że McKinney i pan byliście przyjaciółmi.

Zabrzmiało to jak oskarżenie.

– Przestaliśmy się przyjaźnić dawno temu, ale przypuszczam, że to również już pani wie. I zanim pani zapyta: nie mam pojęcia, co Gavin robił w magazynie albo co miał wspólnego z Owenem Stokesem. Do dzisiaj nie wiedziałem nawet, że Nadine miała siostrę. A teraz, skoro ja odpowiedziałem na pani pytania, może pani odpowie na moje?

– To zależy od pytań.

– Zacznijmy od pani i Gavina McKinneya. Co panią z nim łączyło?

Zanim odwróciła wzrok, na jej twarzy pojawił się chłód.

– Nic nas nie łączyło. Policja chciała zrobić ze mnie informatora. On był oficerem prowadzącym.

– Słyszałem, że było coś więcej.

– Więc źle pan słyszał – powiedziała lodowatym tonem. – Uprawialiśmy seks, ale jak zapewne pan wie, nie zaliczał się z tego powodu do jakos

specjalnie ekskluzywnego grona. McKinney wykorzystywał mnie tak samo jak wszyscy. Dałam mu to, czego chciał.

– Czy według niego to mogło być coś więcej?

– Myśli pan, że mnie to obchodziło? – nie wytrzymała. – Poprosiłam o pomoc, a w zamian zostałam odesłana z powrotem do ludzi, którzy zabiliby mnie, gdyby tylko się o tym dowiedzieli! „Cierpliwości”, powiedział. Cierpliwości! Łatwo mu mówić. Kiedy zobaczyłam te wszystkie artykuły o śmierci „bohatera”, pewnie bym się śmiała, gdyby nie chciało mi się rzygać. To przez niego codziennie żyłam w strachu. Codziennie! Traktowana jak jakaś bezwartościowa, zagraniczna dziwka! A co on zrobił, żeby to powstrzymać? Nic, poza tym, że sam mnie wyruchał!

Stojący na zewnątrz ochroniarz zauważył jej wzburzenie. Odwrócił się w ich stronę i wbił w Jonaha pozbawione emocji spojrzenie czujnego psa obronnego. Ale Salim odzyskała nad sobą panowanie.

– Czy ma pan jeszcze jakieś pytania? – zapytała, drwiąco wykrzywiając wargi.

– Czy wiedział, że pani żyje?

– Oczywiście, że nie.

– A pani siostra?

– Nadine w ogóle nie miała o niczym pojęcia.

– Więc skąd mogła wiedzieć o Gavinie?

Westchnęła ukradkiem.

– Ode mnie.

Spuściła wzrok na dłonie, obracając pierścionek na palcu.

– Pisałam listy – podjęła. – Bajki o tym, jak wspaniałe jest moje nowe życie. Co innego miałam powiedzieć piętnastolatce? Trzymałam je w ukryciu, dopóki nie nadarzała się okazja, żeby je wysłać. Czasem musiałam czekać tygodniami, więc bałam się ryzykować i pisać o czymś jawnie, na wypadek gdyby ktoś je znalazł. Potem, kiedy moi... pracodawcy zaczęli ufać mi na tyle, że pozwalali wychodzić samej, było już łatwiej. W ten sposób mogłam spotykać się z McKinneyem. Pozwalał mi dzwonić i pisać maile do Nadine, ale nigdy nie dostałam żadnej odpowiedzi. Więc dalej wysyłałam listy na adres cioci i wujka z nadzieją, że przynajmniej któryś do niej dotrze i będzie wiedziała, że wciąż żyję. Któryś dotarł.

– Zdradziła jej pani, jak się nazywał?

– Oczywiście, że nie, nie byłam taka głupia. Nie zdradziłam ani stopnia, ani tego, gdzie pracował. Napisałam tylko, że kogoś poznałam. Detektywa, wysokiego i przystojnego. Kolejne kłamstwo, które miało ją uszczęśliwić. Tak jak moje piękne mieszkanie, praca i nowi przyjaciele.

Jej głos ociekał goryczą i pretensjami do samej siebie.

– Musiała wiedzieć więcej, skoro go znalazła.

– To wszystko. A nie mogła pójść na policję. Nie istnieje żaden oficjalny dokument potwierdzający jej wjazd do kraju, więc nie mogła być tutaj legalnie.

Jonah wolał nie pytać, skąd to wiedziała.

– Myśli pani, że ktoś ją tu przywiózł?

– Albo sama dała sobie radę. Nadine była zaradna, ale niecierpliwa. Oficjalne kanały imigracyjne byłyby zbyt powolne. Wiem tylko, że z kimkolwiek tu przybyła, nie byli to ci sami ludzie, którzy sprowadzili mnie. Dzięki Bogu.

– Skąd ta pewność?

Nie miał pojęcia, o czym pomyślała, ale miał wrażenie, że jej oczy pociemniały jeszcze bardziej.

– Wiedziałabym.

W ciszy odezwała się przytłumiona wibracja brzmiąca jak uwięziona pszczoła. Salim wyjęła telefon z kieszeni. Światło ekranu nadało jej twarzy zimny, niebieski blask. Odczytała wiadomość bez śladu emocji, po czym schowała telefon.

– Muszę jechać.

– Jeszcze jedno – powiedział szybko Jonah. – Wszyscy myśleli, że pani nie żyje. Jak udało się pani uciec?

– Kto powiedział, że uciekłam?

– Niech mi pani w takim razie przynajmniej powie, czyje ciało było w mieszkaniu?

Cień przemknął po jej twarzy. Wyglądała, jakby uleciało z niej życie. Wygładziła płaszcz.

– Kogoś, kogo nie dało się już uratować.

– Czyli?

– A jakie to teraz ma znaczenie? – Atmosfera w aucie stężała gwałtownie, a Salim odwróciła się w jego stronę. – Musiałam przeżyć, dla siostry. Co ty byś zrobił, gdyby chodziło o twojego syna?

Przed odpowiedzią wybawiły go kolejne wibracje telefonu. Tym razem Salim nie spojrzała na ekran, a urządzenie zamilkło po kilku sekundach.

– Muszę jechać – powtórzyła, dając znak ochroniarzowi.

– Jak mogę się z panią skontaktować? – Jonah był sfrustrowany, że rozmowa dobiegła końca.

– Proszę zajrzeć do schowka. – Uśmiechnęła się drwiąco, widząc jego wahanie. – Bez obaw, to żaden podstęp.

Nachylił się ponad nią. W schowku był tylko telefon komórkowy.

– Zapisałam numer, pod którym może się pan ze mną skontaktować, jeśli zdobędzie pan informacje na temat Owena Stokesa – wyjaśniła. – Może skorzystać pan z niego tylko raz. I jestem pewna, że nie muszę prosić, żeby nikomu pan o tym nie mówił.

Jonah wsunął telefon do kieszeni kurtki.

– Co by się stało, gdybym powiedział?

– Nie możesz! – W głosie Salim pojawił się nowa nuta. Po chwili, już spokojniej, dodała: – Dla wszystkich będzie lepiej, jeśli nic pan nie powie. Proszę mi wierzyć.

– Dlaczego? Kogo się pani boi? Jeśli to ten sam gang, który panią więził, znam ludzi, którzy mogą pomóc.

W jej uśmiechu chłód mieszał się z rozbawieniem.

– Już to gdzieś słyszałam. Proszę się nie martwić, nie są już zagrożeniem. Ale są inni, którzy nie byliby zadowoleni, że tu jestem. A teraz musi pan wysiąść.

Jonah chciał zapytać o coś jeszcze, ale zimne powietrze wdarło się do auta przez otwarte drzwi od jego strony. Ochroniarz zasłaniał sobą wejście, małe oczy patrzyły na Jonaha beznamiętnie. Odwrócił się, żeby wysiąść, kiedy Salim odezwała się znowu.

– Anna Donari.

Obejrzał się skonsternowany.

– Słucham?

– Proszę zapamiętać. Anna Donari.

– Czemu, kim ona jest?

Ale ochroniarz już go złapał, potężne ręce zacisnęły się na jego ramieniu. Jonah próbował się wyswobodzić, ale ostatecznie poddał się i wysiadł z auta. Kiedy stanął pewnie o kulach, Salim przesiadła się na tylne siedzenie. Nie widział jej zza przyciemnianych szyb. Silnik obudził się do życia z niskim pomrukiem. Oślepiający blask przednich reflektorów

uniemożliwił mu odczytanie tablic rejestracyjnych. Wielki mercedes wyjechał tyłem z wąskiej alejki na puste pole. Wykręcił zgrabnie, snop światła padł na chwasty i rumowisko, rozpraszając mrok.

Tylne światła auta oddaliły się w noc, pozostawiając Jonaha samego w ciemności.

## Rozdział 29

Jonah zaparkował pod blokiem. Ręczny hamulec volvo nie dość, że faktycznie musiał być zaciągany ręcznie, to jeszcze dźwignia chodziła sztywno, więc szarpał się z nią chwilę, zanim w końcu zaskoczyła. Zgasivszy silnik, siedział w zatęchłym, przesiąkniętym papierosowym dymem i zapachem psiej sierści wnętrzu auta, próbując po raz kolejny poukładać sobie to, czego się dowiedział.

Nawet teraz trudno było mu oswoić się z faktem, że Eliana Salim żyła. Wilkes nie miał powodu, żeby zmyślić całą historię, i najwyraźniej wierzył, że poćwiartowane ciało należało do niej. Ale były detektyw sam powiedział, że identyfikacji można było dokonać jedynie na podstawie odciętej głowy, która została częściowo pożarta przez szczury. Przyznał się również, że nigdy nie widział Salim z bliska, tylko na zdjęciach. A skoro wszyscy byli przekonani, że to ona była ofiarą, identyfikację potraktowano w zasadzie jako formalność.

Tyle że wszyscy się mylili.

Ociężale wysiadł z volvo, zamknął auto i ruszył ciemną ulicą. Nie zwracał uwagi na siąpiący deszcz. Telefon od Salim ciążył mu oskarżycielsko w kieszeni. Wiedział, że przyjmując go, popełnił błąd: aparat łączył go z kobietą, która pozwoliła innej umrzeć zamiast siebie i której przyjaciele mieli dostęp do poufnych informacji z trwającego śledztwa. I bez świeżych siniaków w miejscu, w którym ochroniarz złapał go za ramię, zdawał sobie sprawę, że Salim była niebezpieczna.

Ale chciała dorwać Owena Stokesa równie mocno jak on, a instynkt podpowiadał mu, że może jej zaufać, przynajmniej w tej kwestii. Informacja, że Nadine była jej siostrą, rzucała zupełnie nowe światło na

wydarzenia z magazynu. Włącznie z powodami, jakie mógł mieć Gavin, żeby się tam pojawić. Niezależnie od tego, czy Nadine w jakiś sposób namierzyła Stokesa, czy mu się naraziła, Gavin musiał się o tym dowiedzieć. A potem spróbował zrobić to, czego nie udało mu się zrobić dla jej siostry. Uratować ją.

Tym razem obydwójce stracili życie.

Co stawiało Jonaha przed wyborem niemożliwym. Fletcher musiał się dowiedzieć, kim była Nadine, ale Salim rzeczywiście bała się tego, że Jonah może komuś o niej powiedzieć. Jeśli zdradziłby jej zaufanie, byłby nie lepszy od Gavina.

Więc co powinien zrobić?

Fala zmęczenia opadła go, kiedy dobrze oświetlone wejście do budynku znalazło się w zasięgu wzroku. Nagle jedyne, na co było go stać, to stawiać jedną nogę – albo kulę – za drugą. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin znalazł ciało Corinne Daly, został aresztowany i zwolniony z aresztu, oraz stanął twarzą w twarz z kobietą, o której sądził, że nie żyje. Pod każdym względem był to intensywny dzień. Teraz potrzebował jedzenia i snu. Stwierdził, że wszystkie decyzje mogą poczekać do jutra.

I wtedy, po drugiej stronie ulicy, zobaczył zakapturzone postaci.

Było ich trzech, na wpół ukrytych w cieniu zasłoniętej witryny sklepowej. Jonah nie musiał widzieć ich twarzy, żeby wiedzieć, że to ci sami młodociani bandyci, którzy zaczepili go wcześniej. „No nie, nie dzisiaj”. Czuł, jak obserwują go ukradkiem, ale szedł dalej, jakby obojętny na ich obecność. Do oświetlonej klatki nie było tak daleko. Nasłuchiwał kroków. „Już prawie”.

Nagle zahaczył kulą o krawędź płyty chodnikowej.

Zachwiał się minimalnie. Natychmiast odzyskał równowagę, ale zgubił wcześniejszy rytm. W tym samym momencie, jakby tylko na to czekali, za jego plecami rozległy się kroki.

– Poczekaj, kolego.

Jonah zignorował ich i szedł dalej. Nie dojdzie do klatki, ale plac przed blokiem był dobrze oświetlony. Przynajmniej wszyscy będą ich widzieć, jeśli w ogóle miało to jakieś znaczenie.

– Do ciebie mówię, łajzo!

Jonah zrozumiał, że nie dotrze nawet do placu. Po jednej stronie miał ścianę. Obróciwszy się, stanął plecami do muru. Cała trójka zatrzymała się przed nim. Rozpoznał tego w czapce i pryszczatego z windy. Trzeciego nie



kojarzył, ale wyglądał na podenerwowanego, co oznaczało, że też się do czegoś szykował.

Pryszczaty wyszczerzył zęby.

– Masz chwilę?

Jonah nie odpowiedział. Przeniósł ciężar na kule i oparł się na zdrowej nodze.

– Fajne kijki – odezwał się trzeci. – Dasz spróbować?

Parsknęli śmiechem. Jonah rozejrzał się wokół, mając nadzieję, że któryś z przechodniów zadzwoni po pomoc, jeśli coś zacznie się dziać. Ale poza ich czwórką na ulicy nie było nikogo.

– Jestem policjantem. Nie chcecie tego robić.

– To gdzie masz, kurwa, mundur?

– Pies służy w kalekach – rzucił ten w czapce. – Ma syreny w kulach.

Zarechotali.

– No pokaż – powiedział trzeci, szczerząc się. – Dawaj.

Ten w czapce zaczął naśladować dźwięk syreny.

– Powiedziałem, kurwa, włącz je – powtórzył ten trzeci, ale tym razem już się nie uśmiechał. – No dalej, pizdo, włączaj!

Zrobił wypad do przodu, chcąc wyszarpnąć mu jedną z kul, ale Jonah tylko na to czekał. Odsunął kulę i podstawił ją chłopakowi pod nogi, kiedy ten go mijał. Miał nadzieję, że uda mu się go podciąć, ale kula okazała się za lekka. Chłopak stracił równowagę, ale zanim Jonah zdołał wykonać kolejny ruch, coś uderzyło go z drugiej strony.

Pozbawiony tchu upadł na mokry od deszczu chodnik. Ból przeszył mu kolano, Jonah wypuścił kule i zwinął się w ciasny kłębek. Wiedział, co go czeka.

Zaczęło się kopanie.

– Ty pierdolcu!

Spadały na niego kolejne kopniaki i krople deszczu. Próbował przywrzeć plecami do ściany, żeby chronić nerki, zignorował też ból w kolanie i skupił się na osłonięciu głowy i krocza. Kopnięcie przedarło się przez gardę i trafiło go w twarz z tępym chrzęstem. Jonah chwycił stopę na ślepo i pociągnął. Rozległ się krzyk i ciężkie ciało zważyło się na niego, po raz kolejny pozbawiając go oddechu. Ale przestali go kopać; Jonah złapał powalonego, zanim ten zdołał się podnieść. Obrócił się tak, żeby ciało znalazło się przed nim, i owinał ręce oraz nogi wokół miotającego się chłopaka.

– Skurwysynu! Wypierdalaj!

Paniczny krzyk dobiegł z odległości kilku centymetrów. Kwaśny, cierpki zapach potu i taniego dezodorantu uderzył Jonaha w nozdrza, kiedy złapany szarpał się, próbując go zrzucić. Jonah trzymał głowę nisko i nie puszczał. Leżąc plecami do ściany, był teraz zdecydowanie trudniejszym celem. Co nie powstrzymało ich przed kolejnymi próbami. Ktoś stanął na jego ręce, chcąc oderwać ją od chłopaka. Jonah wykręcił się odruchowo i usłyszał kolejny krzyk. Jego ludzka tarcza przyjęła następny cios.

– Kurwa! To ja, ty jebany debil!

Ktoś złapał go za nogę. Kopnął tę zdrową i trafił w kość, wywołując kolejny wrzask.

– Pierdole to – sapnął zdyszany głos gdzieś nad nim. – Przesuń się, zaraz chują potnę.

Jonah poczuł, jak skręca mu się żołądek. Spojrzał ponad ramieniem złapanego i zobaczył, jak ten w czapce sięga do kieszeni.

I wtedy oślepiły go światła reflektorów.

– Policja! Rzuć broń!

W mroku nagle zaroilo się od piszczących opon, mrugających niebieskich świateł i trzaskających drzwi. Kiedy padły na nich kolejne promienie, dwaj napastnicy, którzy wciąż stali, sprintem rzucili się do ucieczki. Ulga ogarnęła Jonaha, ale trzeci chłopak zaczął miotać się jeszcze gwałtowniej, bo kroki zbliżały się w ich stronę. Jonah spróbował złapać go mocniej i wtedy stopa tamtego trafiła go w kolano. Ból eksplodował, a kiedy rozluźnił uchwyt, złapany wyswobodził się z uścisku. Jonah uczeplił się jeszcze jego nogi, kiedy tamten się odczołgiwał, ale zarobił tylko kopniaka w twarz. Głowa odskoczyła mu do tyłu, zęby szczęknęły i w następnej chwili chłopak uciekł.

Jonah osunął się na asfalt. Kroki dudniły obok niego, ale był zbyt wykończony, żeby o tym myśleć. Z zamkniętymi oczami położył głowę na przedramieniu, leżąc w brudzie i łapiąc oddech.

– W porządku?

Rozpoznał głos. Podniósł głowę i zobaczył klęczącą obok niego Bennet. Radiowozy stały porzucone przy betonowych słupkach, blokując drogę, a migające bezgłośnie koguty rozświetlały noc niebieskim blaskiem. Chryste, to wyglądało jak operacja na pełną skalę.

– Mocno oberwałeś? Potrzebujesz karetki? – dopytywała.

Jonah pokręcił głową. Nowe źródło bólu odzywało się co kilka sekund. Z jego twarzą działo się coś dziwnego, w ustach czuł krew, ale mogło być gorzej. Dużo gorzej. Szarpnął, żeby usiąść.

– Nie ruszaj się – poleciła Bennet, powstrzymując go dłonią na ramieniu.

– Nic mi nie jest. – Ale nie próbował wstać. Oparty o ścianę patrzył na rój mundurów i pojazdów. – Co się dzieje?

Bennet nie odpowiedziała, a od wysiłku związanego z siadaniem Jonah dostał lekkich zawrotów głowy. Zamknął oczy i oparł się potylicą o ścianę. Wśród innych dźwięków usłyszał zbliżające się w jego stronę niewyraźne kroki. Tym razem niespieszne.

Ktoś zatrzymał się przed nim. Jonah otworzył oczy i podniósł wzrok. Skąpany w niebieskiej poświacie Fletcher popatrzył na niego z góry.

– Gratulacje, Colley. Znowu dałeś dupy.

Owinięta w ręcznik torebka mrożonego groszku, którą obłożył kolano, przypominała gigantyczny opatrunek. Wciąż pulsowało bólem, ale lód pomagał, w dodatku staw nie wydawał się spuchnięty bardziej niż zwykle. Jonah oczyścił najgorsze rozcięcia i zadrapania na twarzy oraz dłoniach, ale nie miał okazji sprawdzić pozostałych obrażeń. Raczej nic nie złamał, więc nie skorzystał z pomocy ratowników. Nadal jednak bolało go wszystko, a głowa opadała mu ze zmęczenia. Jedyne, czego chciał, to rozebrać się, wziąć gorący prysznic i zwalić się do łóżka.

Ale do tego było jeszcze daleko.

– Znowu mnie aresztujecie? – zapytał Jonah po raz trzeci.

Siedział w swoim salonie, z nogą wyciągniętą na sofie i okładem z mrożonego groszku. Za oknami migają niebieskie światła, choć było ich już mniej. Fletcher krążył po mieszkaniu, zaglądając wszędzie, jakby nie zostało wcześniej przeszukane.

– Gdybym miał cię aresztować, siedzielibyśmy w komisariacie, a nie tutaj – powiedział. Otworzył jedną z powieści i kciukiem przerzucił kartki.

– Więc powiecie mi, co się dzieje?

– Myślałem, że to jasne. Uratowaliśmy cię przed skopaniem dupska przez nastolatków. – Fletcher rzucił książkę na fotel. – Rozumiem, że to ta banda, o której mówiłeś wcześniej?

– Tylko trzech. Zaskoczyli mnie, jak wracałem do domu.

– To widziałem. Przypomnij mi, co zrobiłeś, żeby ich sprowokować?

– Nie dałem się skroić w windzie. A potem wystarczyło oddychać.  
– Ludzie chyba tak na ciebie reagują. – Fletcher posłał mu karykaturalny uśmiech. – Może nie spodobało im się to, co znaleźli w twoim garażu.

– Serio uważasz, że zbliżyliby się do mnie, gdyby to oni znaleźli ciało Dally?

– Mały samosąd.

– Oczywiście, bo tacy z nich zatroskani obywatele. Albo może nic o tym nie wiedzieli, bo wszystko to robota Stokesa?

Jonah czekał na kolejną kpinę, ale tym razem inspektor sobie odpuścił. Usiadł w fotelu, podciągnął nogawki i skrzyżował nogi.

– Gdzie byłeś wcześniej?

– A co?

– Pytam.

– Jeśli mnie śledziliście, to już wiesz. Nie muszę wam mówić.

Do głowy nie przychodził mu żaden inny powód, który tłumaczyłby tajną akcję policji w tym miejscu. Wypuścili go z aresztu pod byle pretekstem, żeby zobaczyć, co robi i z kim się spotka. W takim wypadku Fletcher powinien doskonale wiedzieć, gdzie był. I z kim się spotkał.

Ale inspektor nie dawał tego po sobie poznać.

– Gdybyśmy cię śledzili, tobym o to nie pytał – uciął. – Więc albo powiesz mi tutaj, albo pojedziemy z powrotem na posterunek.

Pogrywał z nim czy naprawdę chciał wiedzieć? Jonah nie umiał tego stwierdzić, ale wyglądało na to, że nie miał wyboru.

– Pojechałem na Nabrzeże Rzeźników.

Poczuł przypływ satysfakcji, bo inspektor zamilkł na kilka sekund.

– Okej, w takim razie na pewno wiesz, jakie będzie moje następne pytanie. Po co?

– Ktoś sprzedaje starą barcę, a ja rozważam jej zakup.

– Pieprzysz. Jeszcze raz.

Jonah czuł, że balansuje na krawędzi. Jeśli nie powie Fletcherowi o Salim i jej siostrze, najzwyczajniej w świecie dopuści się zatajenia dowodów. Ale jeśli powie, uruchomi ciąg wydarzeń, których konsekwencji nie był w stanie przewidzieć. Salim za pośrednictwem swoich „przyjaciół” ewidentnie miała dostęp do śledztwa, musiał więc założyć, że dotrze do niej informacja, że wygadał się Fletcherowi. Ta perspektywa sama w sobie by go nie powstrzymała, ale kobieta wydawała się autentycznie przerażona myślą, że ktoś mógłby dowiedzieć się o ich spotkaniu. A nie wyglądała na

taką, którą łatwo przestraszyć. Jonah mógł sobie ryzykować własne życie, ale nie wolno mu było wystawić jej na niebezpieczeństwo. Nie po tym, jak mu zaufała.

Nie byłby lepszy od Gavina.

Fletcher czekał. „Czas na decyzję”.

– Pomyślałem, że Stokes może tam być – powiedział Jonah.

Piorun nie uderzył, ziemia się nie rozstała. Inspektor przyglądał mu się badawczo.

– I był?

– Nie.

– A to ci niespodzianka.

Z pokrytej bliznami twarzy trudno było cokolwiek wyczytać, ale jeśli Fletcher udawał, to marnował swój talent poza teatrem. Jonah poczuł ulgę i wyrzuty sumienia w jednym momencie.

Z korytarza dobiegł dźwięk otwieranych drzwi wejściowych. Chwilę potem do pokoju weszła Bennet.

– Nie ma śladu po napastnikach, ale znaleźliśmy nóż w studziencie – zameldowała.

Inspektor kiwnął głową. Odwróciwszy się do Jonaha, nadstawił dłoń do ucha.

– Co mówiłeś, Colley? Dziękujesz za uratowanie ci życia?

– Mam u ciebie dług – przyznał Jonah głosem wypranym z emocji. – Zamierzasz w końcu powiedzieć, co się dzieje?

Fletcher wystukiwał nieregularny rytm na podłokietnikach fotela.

– Znaleźliśmy... nagranie zarejestrowane w noc zniknięcia Corinne Daly – powiedział w końcu. – Kamery uliczne w bezpośrednim sąsiedztwie bloku zostały celowo zniszczone, ale uchwycił ją monitoring bezpieczeństwa w sklepie, który mijala. Musieliśmy wyczyścić obraz, ale to ona. Szła w kierunku swojego auta tuż przed jedenastą.

To wyjaśniało, dlaczego został wypuszczony. Czuł tyle samo gniewu co ulgi.

– Od kiedy o tym wiesz?

– Nie twój interes. To jeszcze nie dowód, że za nią nie poszedłeś, więc nie szalej – powiedział Fletcher. – Jak dla mnie nadal jesteś podejrzany.

Jonah nawet nie próbował się spierać. Nie było sensu, zresztą czuł, że to nie wszystko. Wyraźnie niezadowolony inspektor podrapał się po podrażnionej skórze na szyi.

– Ta sama kamera nagrała też to, kilka minut później. W sumie możesz mu pokazać, Bennet.

Policjantka wyjęła telefon, stuknęła kilka razy w ekran i ustawiła go tak, żeby lepiej widział. Obraz wyglądał jak powiększenie fragmentu większej całości zarejestrowanej przez witrynę, niewyraźne cienie na pierwszym planie mogły być półkami. Klatka przedstawiała przechodzącą ulicą na zewnątrz wysoką, chudą postać zastygłą w pół kroku. Obraz był ziarnisty, a twarz zasłaniała czapka z daszkiem, ale i czapkę, i kurtkę widział już na innych ujęciach z kamer. Na tych, na których nagrano Owena Stokesa przed mieszkaniem Gavina, a później w drodze do domu Marie.

Jonah poczuł uderzenie gniewu.

– Wiedziałeś, że Stokes ją śledził? Jezu Chryste, to dlatego mnie wypuściliście?

– Zostałeś zwolniony, ponieważ na jaw wyszły nowe dowody.

– Gówno prawda! Wiedziałeś, że Stokes tu był, więc obstawiłeś blok, mając nadzieję, że wróci! Zrobiłeś ze mnie przynętę!

– Całe szczęście, bo inaczej wykrwawiałbyś się teraz w rynsztoku. – Fletcher wysunął zaczepnie podbródek. – Dostrzegliśmy okazję, żeby przymknąć Stokesa, więc ją wykorzystaliśmy. Nie uwzględniliśmy tylko, że ty i twoi kumple wszystko po królewsku spieprzycie. Po dzisiejszej farsie Stokes nie pokaże gęby nigdzie w pobliżu kilku kilometrów.

– JA niczego nie spieprzyłem, bo o niczym nie wiedziałem! – Jonah zdał sobie sprawę, że krzyczy. – Dlaczego nic mi nie powiedzieliście, do cholery?

– Ty nadal nic nie rozumiesz, nie? – warknął Fletcher. – Nie jesteśmy po tej samej stronie, nie gramy w jednej drużynie. Jesteś podejrzanym! Myślisz, że będziemy wszystko najpierw z tobą obgadywać?

Jonaha zamurowało. Przeniósł spojrzenie z Fletchera na Bennet. Policjantka miała przynajmniej na tyle przyzwoitości, żeby odwrócić wzrok.

– Cały czas? Nawet po tym? Wciąż myślisz, że mogłem zabić Corinne Daly?

– Dla mnie, dopóki dowody nie wykażą inaczej, jesteś umoczony tak samo jak McKinney.

Rzucił Jonahowi spojrzenie spode łba, wstał i ruszył w stronę drzwi. Kiedy Bennet poszła za nim, Jonnah poczuł, jak jego gniew słabnie.

Inspektor trafił w czuły punkt. Nie ten, w który chciał, ale Jonah faktycznie nie miał w tym momencie czystego sumienia.

– Czekaście.

Detektywi stanęli. Jonah z trudem spojrział im w oczy, powoli dobierając słowa.

– Przez ostatnie kilka dni popytałem ludzi. Słyszałem... Słyszałem, że Gavin był zamieszany w sprawę, która źle się skończyła. Pięć albo sześć lat temu zginęła policyjna informatorka. Syryjka.

Fletcher popatrzył najpierw na Bennet, potem na Jonaha.

– O czym ty mówisz?

– Młoda kobieta w magazynie. Nadine – brnął dalej Jonah. – Może istnieć związek.

– Może istnieć związek? Z martwą informatorką sprzed kilku lat? – Fletcher przyglądał mu się wściekle i przenikliwie. – Wiesz o czymś, tak?

– Myślę po prostu, że powinieneś to sprawdzić, to wszystko.

– Gówno prawda. – Fletcher wrócił do pokoju z palcem skierowanym w stronę Jonaha. – Cokolwiek ukrywasz, właśnie masz okazję, żeby się tym podzielić, Colley. Bo dowiem się, co to jest, a kiedy to zrobię, obiecuję, że nie będzie co z ciebie zbierać.

Jonah prawie mu powiedział. Miał już słowa na końcu języka, ale z jakiegoś powodu nie potrafił zmusić się, żeby je z siebie wyrzucić. Fletcher wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym skinął lekko.

– Nie mów, że cię nie ostrzegałem.

Odwrócił się i wyszedł. Bennet zatrzymała się w drzwiach i popatrzyła na Jonaha. Pokręciła głową.

– Naprawdę się prosisz.

Kiedy usłyszał, jak zamknęły się za nimi drzwi, Jonah opadł bezsilnie na kanapę. „Cholera”. Nie chciał zdradzić Eliany Salim, ale musiał powiedzieć cokolwiek. Teraz przynajmniej przejrzą stare akta spraw Gavina i jedno spojrzenie na zdjęcie Salim wystarczy, żeby dostrzec podobieństwo do młodszej siostry. Potem powinni już sami połączyć kropki.

Miał tylko nadzieję, że postąpił słusznie.

Boże, ale go wszystko bolało. Ostrożnie sięgnął po kule. W trakcie bójk zostały mocno porysowane, jedna nawet lekko wygięta, ale był zbyt zmęczony, żeby coś z tym zrobić. Zbyt zmęczony, żeby zrobić cokolwiek poza wzięciem gorącego prysznica i pójściem do łóżka.

Przespał ciągiem osiem godzin, co u niego stanowiło rekord. Kiedy się obudził, wciąż czuł się obolały i zeszywniały, ale nie bardziej niż po ciężkim treningu. Kolano też nie wyglądało najgorzej, biorąc pod uwagę, co się stało. Słońce wpadało przez okna, a w trakcie śniadania poczuł, że odzyskuje siły. Wszystko zaczynało się układać. Pomimo słów Fletchera nagrania z monitoringu oczyszczały go z zarzutów zamordowania Corinne Daly. A skoro to już nie wisiało mu nad głową, mógł sam zacząć grzebać w tym głębiej. Na przykład pójść tym samym tropem co ona. Spotkać się z przyjaciółmi Daniela Kimaniego i samemu usłyszeć, co mają do powiedzenia.

Planował kolejne posunięcie, kiedy nagle zadzwonił telefon. To była Chrissie, ale prawie nie rozumiał, co mówiła. Wpadła w histerię.

– Powoli, nie rozumiem – spróbował ją uspokoić.

Potem słowa nabrały kształtu, a wszystkie plany Jonaha wzięły w łeb.



## Rozdział 30

Rosa siedziała na Instagramie, ciesząc się słonecznym porankiem. Pomimo przerwy semestralnej w parku o tej porze było cicho – jeśli nie liczyć kłótni bliźniaków. Przez większość czasu były słodkimi dzieciakami. Zwykle – o ile nie robiły się za głośne – ignorowała ich sprzeczki, chyba że faktycznie mogło dojść do bójki. Czasem sytuacja wymykała się spod kontroli i broń Boże, żeby przyprowadziła ich do domu choćby z najmniejszym zadrapaniem. Ostatnim razem miała szczęście, że jej nie zwolniono. Utrata pracy byłaby jeszcze gorszym wrzodem na dupie niż ta ich sukowata mamusia z kijem w dupie. Potrzebowała i referencji, i pieniędzy.

Choć czasem zastanawiała się, czy to jest tego warte.

Poziom hałasu podniósł się na tyle, że zaczął jej przeszkadzać. Rosa podniosła wzrok znad telefonu.

– Harry, daj siostrze spokój.

Chłopiec zrobił minę urażonego niewiniątka.

– Ja tylko wyjaśniałem zasady.

– Tak, ale dlaczego to ty masz je wymyślać? – zaprotestowała dziewczynka.

– Bo to jedna z zasad.

– Wcale że nie! To nie fair!

Rosa westchnęła i opuściła telefon.

– Nie kłóćcie się, proszę.

Chłopiec zastanawiał się przez chwilę.

– Mama i tata się kłócą.

– Kłócą się cały czas – potwierdziła siostra, nagle stając po jego stronie.  
– Tata zawsze przegrywa.

– Tak, ale... – Rosa spróbowała wymyślić przekonujący kontrargument, lecz w końcu dała sobie spokój. – Ale oni są dorośli.

Bliźniaki popatrzyły na siebie, jak gdyby komunikowały się na poziomie niedostępnym dla nikogo innego.

– Ale dlaczego oni mogą, a my nie?

– Bo są waszymi rodzicami. Chcecie, żebym im powiedziała, że znowu się kłóciliście?

Obydwoje myśleli przez chwilę, a potem wyszczerzyli się identycznie.

– Nie.

„Urodę mają po matce”, pomyślała Rosa. Całe szczęście, że nie charakter. Poczwała, jak uśmiech wypełza jej na usta.

– Tak czy siak, czas do domu.

Odpowiedziały jej jęki, ale niezbyt szczerze. Bliźniaki pozbierały zabawki, tylko trochę powłócząc nogami. Z telefonem w ręku Rosa skierowała je w stronę wyjścia z parku. Na ścieżkach więcej było biegaczy i rowerzystów niż zwykłych spacerowiczów, więc Rosa automatycznie szła od strony drogi. Kłócili się tak głośno, że trudno było ich nie zauważyć, ale wolała nie musieć tłumaczyć się z siniaków ani połamanych kości, co to, to nie.

Park dzielił od domu przyjemny spacer. Kiedy Rosa podejmowała tę pracę, miała nadzieję, że będzie jej wolno korzystać z range rovera matki. Próbowwała delikatnie to zasugerować, rzucając w rozmowach z rodzicami, że nie ma ani jednego mandatu i że lubi prowadzić. Ojciec zdawał się nie słuchać, a matka popatrzyła na nią i powiedziała: „W takim razie lepiej oszczędzaj na auto”.

No więc szli spacerkiem.

Ich normalna trasa wiodła przez spokojne uliczki z daleka od głównej drogi. Telefon wibrował jej w dłoni od kolejnych powiadomień. W pracy aparat był wyciszony, bo lepiej było przegapić telefon, niż wysłuchiwać wykładu na temat prowadzenia życia towarzyskiego w czasie, kiedy powinna pilnować bliźniaków. Zerknęła na nich znowu, ale byli zbyt pochłonięci kolejną sprzeczką, żeby obchodziło ich, co robiła. Odblokowała ekran i chwilę później uśmiechała się do zdjęcia na Instagramie.

Nie zauważyła zaparkowanej przed nimi białej furgonetki.

Stała pod wiszącymi nisko gałęziami kasztanowca. Kiedy Rosa weszła w rzucany przez nie cień, tylne drzwi auta otworzyły się gwałtownie. Wciąż zajęta telefonem usłyszała skrzypnięcie zawiasów tuż obok. Nagle straciła wzrok i oddech, coś stłumiło jej krzyk, zanim wydobył się z gardła. Poczowała, jak ktoś ją podnosi i obraca, a potem uderzyła w nią zimna, metalowa podłoga. Oszołomiona, spróbowała zerwać to, co zakrywało jej twarz, ale wtedy po raz kolejny zabrakło jej tchu, bo upadło na nią coś małego i twardego. Usłyszała płacz bliźniaków wierzgających obok, a potem trzaśnięcie zamykanych drzwi. Praktycznie się dusząc, próbowała się uwolnić. Silnik obudził się do życia. W następnej chwili furgonetka ruszyła, a ją rzuciło na bok. Poczowała w ustach smak krwi, kiedy zderzyła się z jednym z dzieci. Bliźniaki krzyczały i płakały, ona też, ale wtedy gdzieś z przodu i nad nimi odezwał się szorstki głos.

– Zamknąć ryje!

Bliźniaki wyły dalej.

– Powiedziałem, zamknąć się! – zahuczał męski głos. Mówił z dziwnym akcentem, nie londyńskim, do którego przywykła. – Zaraz wam, kurwa, dam powód do płaczu!

– Nie, proszę... – zaczęła Rosa, ale furgonetka weszła w zakręt i cała trójka przetoczyła się na drugą stronę w płątanie rąk i nóg.

Nagle rozbrzmiała nowa kakofonia, a ona była tak oszołomiona, że dopiero po chwili dotarło do niej, że to muzyka. Heavy metal, ogłuszająco głośny. Poczowała obok siebie drobne ciało i instynktownie przyciągnęła je do siebie. Długie włosy – Abigail. Rosa nie mogła wyczuć Harry’ego, ale słyszała, że był blisko.

– Już dobrze, już dobrze! – krzyczała, wiedząc, że tak nie jest. Miała kłopoty z oddychaniem, a wolną ręką próbowała ściągnąć z głowy worek lub kaptur. Udało jej się to częściowo, ale skręcili za kolejny róg, przez co znowu polecieli w przeciwną stronę.

Nagle rzuciło ją do przodu – auto się zatrzymało. Posiniaczona, w szoku, wciąż jeszcze próbowała zrozumieć, co się dzieje, kiedy dobiegł ją zgrzyt otwieranych drzwi. Poczowała, jak ktoś chwyta ją i ciągnie do tyłu.

– Nie!

Słońce przeświecało przez worek, była już na zewnątrz. Upadła na twardą, zwirową powierzchnię, uderzyła głową o ziemię, zdarła sobie skórę. Brutalne ręce złapały ją za przód kurtki i podniosły. Poczowała przez materiał ciepły oddech, kiedy głos wysyczał jej do ucha:

– Powiedz rodzicom, że Colley ma przynieść pół miliona do magazynu dziś o północy. Sam. Wie, do którego. Niech spróbują coś odjechać albo pójść na policję, następnym razem zobaczą swoje bachory w kawałkach, jasne?

Pchnął ją na ziemię. Trzasnął drzwiami. Mimo worka i oślepiającego słońca rozpoznała okolicę. Leżała na ulicy przed domem, w którym pracowała.

Nigdzie nie było bliźniaków.

– To twoja wina! To przez ciebie. Ściągnąłeś go tutaj, ty pieprzony...!

Jonah stał bez słowa w przestronnej kuchni i nawet nie próbował się zasłonić, kiedy Chrissie się na niego zamachnęła, ale jej mąż spróbował ją odciągnąć. Jonah czuł się jednocześnie odrętwiały i obolały, jakby wpadł w szok z powodu rany, z którą nie potrafił sobie poradzić. W głowie miał tylko dwie myśli. Po pierwsze nie wierzył, że historia się powtarza. Po drugie – Chrissie miała rację.

To była jego wina.

Opiekunka szczegółowo zrelacjonowała to, co się wydarzyło. Kiedy przyjechał, siedziała w kuchni, twarz miała mokrą od łez, kolana obdrapane i pokrwawione. Nie potrafiła opisać człowieka, który wsadził ją i bliźniaki do furgonetki, ale miała wrażenie, że był wysoki i silny. No i ten głos. Szorstki, z zabawnym akcentem, który znała z telewizji. Liverpoolski.

– Nie chcę mieć kłopotów – powiedziała Jonahowi z przerażonym wyrazem twarzy.

– Już dobrze – uspokoił ją. – Może pójdziesz do siebie?

Chrissie przestała płakać, ale jej twarz przypominała maskę klauna, któremu rozmazał się makijaż. Pan domu siedział zgarbiony na stołku barowym przy granitowej wyspie, blady i oszołomiony, ściskając szklanę whisky jak linę ratunkową. Gdy opiekunka wyszła, obydwójce patrzyli na niego, licząc na odpowiedzi, których nie miał.

– Nie stój tak! – wybuchnęła Chrissie. – Kurwa mać, powiedz coś! Co mamy zrobić?

Jonah poczuł, że wszystko się wali. Tak naprawdę mógł powiedzieć tylko jedną rzecz.

– Musicie powiedzieć policji.

Powinni zadzwonić do nich od razu. Każda minuta zmniejszała prawdopodobieństwo uratowania bliźniaków, ale tego już nie dodał. Waverly chciał to zrobić, jak tylko zrozumieli coś z tego, co próbowała przekazać im rozhisteryzowana opiekunka. To Chrissie się nie zgodziła i zamiast tego zadzwoniła do Jonaha.

Teraz musiał ich przekonać, że popełnili błąd.

– Policji? Nie słyszałeś, co jej powiedział? Że zobaczymy je w kawałkach! – Przeczesła palcami włosy, a na jej twarzy odmalowało się niedowierzanie. – Jezus, nie wierzę, że to znowu się dzieje. To on, prawda? Pierdolony Owen Stokes. Pytałam cię, czy istnieje jakieś ryzyko, i co powiedziałaś? „Nie martw się, Chrissie, będzie dobrze”. No to, kurwa, nie jest! Ma moje dzieci! Moje dzieci!

Jej mąż poruszył się jak człowiek, który próbuje obudzić się z koszmaru. Jonah nigdy za nim nie przepadał, nawet zanim zaczął podejrzewać, że sypia z Chrissie, ale teraz mu współczuł.

Sam przeżył kiedyś ten sam koszmar.

– Jonah ma rację – powiedział Waverly. – Powinniśmy zadzwonić na policję. Mają specjalistyczne zespoły. Ekspertów. Będą... będą wiedzieli, co robić.

– Tak jak wiedzieli przy Theo? Straciłam jednego syna, nie mogę... – Chrissie złapała się za głowę. – Jezus, to się nie dzieje! Nie znowu! Dlaczego my? Czego on chce?

„Mnie. Tym razem chce mnie”. Jonah czuł się, jakby ktoś wycinał mu serce.

– Chrissie, przepraszam, ale nie macie innego wyboru.

– Wyboru? Zrobimy to, co każe, to jest wybór. Ten chory bydlak nawet by o nas nie wiedział, gdybyś ty go tu nie doprowadził, więc nie waż się mi mówić, że nie mam wyboru!

Jej słowa trafiły w czuły punkt. Wiedział, że Stokes musiał śledzić go do domu Chrissie, a poczucie winy ciążyło mu już wystarczająco. Wszystko to stało się po części dlatego, że dzięki niemu policja znalazła pieniądze ukryte w kawalerce. Jonah nie miał już wątpliwości, że Gavin ukradł je Stokesowi albo go jakoś okantował. Jak do tego doszło, pozostawało tajemnicą, teraz zupełnie nieistotną. Jeśli bliźniaki miały jakąkolwiek szansę na przeżycie, Jonah wiedział, że nie może zaufać człowiekowi, który je porwał. Chrissie nie rozumiała, z czym się mierzyli. Nie widziała dzieła Stokesa w magazynie na Nabrzeżu Rzeźników, nie wiedziała, co zrobił

Corinne Daly. Spełnienie jego żądań nie uratuje bliźniaków. Sprawę jedynie, że na pewno je zabije.

Jeśli już tego nie zrobił.

– Gdybym tylko wiedział, że to pomoże, poddałbym się od razu – zapewnił ją. – Ale to nic nie da. To tak nie działa. Wiem, że to trudne, ale najlepszą szansą na odzyskanie bliźniaków jest oddanie sprawy w ręce policji. I to już.

– Po co, żebyśmy mogła patrzeć, jak się poopieprzają, zorganizują konferencję prasową, a potem powiedzą „Przepraszamy, nic więcej nie możemy zrobić”? – Chrissie parsknęła gorzko. – Już to przerabiałam. I nie będę się w to bawić drugi raz!

– To co innego... – zaczął Jonah.

– Tak, bo tym razem wiemy, gdzie one są! Wiemy, co się stało, skurwysyn je porwał! I wiemy, czego chce, więc mu to dajmy! Nie stracę swoich dzieci, bo ty się boisz nadstawić karku!

– Wiesz, że nie o to...

– Więc to udowodnij! – wrzasnęła. – Zróbmy to, czego żąda! Może wziąć te pieprzone pieniądze, a jeśli ty mu ich nie dasz, ja to zrobię!

– Nie mamy takiej gotówki – wtrącił jej mąż.

– To zdobądź ją! Nie obchodzi mnie, czy będziesz musiał ją ukraść z własnej kancelarii, po prostu...

– Chryste Panie, zamknij się! – Waverly uderzył dłonią o granitową wyspę. – Myślisz, że pomagasz? Po prostu... daj mi pomyśleć!

Jonah spodziewał się kolejnego wybuchu, ale zamiast tego twarz Chrissie zdrzała. W pierwszym momencie, kiedy mąż wyciągnął rękę w jej stronę, odsunęła się, ale potem przyciągnął ją do siebie, a ona wtuliła się w niego. Patrząc na nich, Jonah poczuł ból i strach, które towarzyszyły utracie Theo, tak samo intensywnie jak wtedy.

Nie pamiętał tylko, żeby on i Chrissie w którymkolwiek momencie się pocieszali. Kiedy Theo zniknął, zamiast ku sobie, zwrócili się przeciwko sobie.

– Przykro mi, ale to wy musicie podjąć decyzję – powiedział. – Zrobię, co każecie, ale jeśli zamierzacie zaangażować policję, to musicie to zrobić już.

Waverly odsunął się od żony i otarł oczy, próbując wziąć się w garść.

– Jeśli... – Odchrząknął i spróbował ponownie. – Co się stanie, jeśli pójdziemy na policję?

– Roześlą alert za Abigail i Harrym. Maile, SMS-y, media społecznościowe, informacja trafi też do radia i telewizji. Podadzą do wiadomości publicznej nazwisko Stokesa i jego opis. Wykorzystają wszelkie dostępne środki.

Waverly kiwał głową, jakby rozumiał, ale mimo to patrzył na niego błędnie.

– Ten Stokes... był podejrzanym również w sprawie zaginięcia waszego syna.

Chrissie zapłakała cicho. Jonah poczuł podobny ból w klatce piersiowej.

– Tak.

Przyjdzie czas, żeby porozmawiać o tym, co stało się w przeszłości, ale nie dzisiaj. Waverly był na tyle rozsądny, żeby zdać sobie z tego sprawę.

– Więc to nie pierwszy raz, kiedy... to znaczy, będzie wiedział, co policja robi w takich sytuacjach.

– To możliwe, tak.

– A jeśli informacja trafi do radia i telewizji, również ją usłyszy. Dowie się, że zignorowaliśmy jego instrukcje.

Widział, do czego to zmierza, ale nie potrafił wymyślić sposobu, żeby to powstrzymać.

– Zachowają ostrożność. Nie zrobiliby nic, co mogłoby narazić dzieci.

– Może i nie, ale Stokes najwidoczniej to zaplanował. Wydaje mi się, że musimy założyć, że przewidział również reakcję policji. – Pewność Waverly'ego wróciła, kiedy zaczął analizować sytuację jak prawnik. – Zatrze ślady i zabierze bliźniaki gdzieś, gdzie nie da się ich znaleźć. Dał nam czas do północy, żebyś przywiózł pieniądze, czyli mamy... Okej, nieco więcej niż dwanaście godzin. Czy możesz zagwarantować, że policji uda się do tego czasu odszukać bliźniaki?

– Nie – przyznał Jonah. – Ale nie ma też żadnej gwarancji, że Stokes dotrzyma słowa, nawet jeśli dostanie to, czego chce. Wiem, że wolelibyście tego nie usłyszeć, ale nie wydaje mi się, żeby miał zamiar to zrobić.

Waverly wyglądał, jakby miał zwymiotować.

– Chrissie? Co myślisz?

Jej twarz wyrażała jedynie cierpienie.

– Po prostu chcę odzyskać dzieci, nie obchodzi mnie jak. Proszę, po prostu spraw, żeby wróciły.

Waverly przejechał ręką po włosach, nieświadomie je przygładzając.

– Zgadzam się. Musimy spełnić jego żądania.

Chociaż logika podpowiadała, że to błąd, Jonah nie mógł mieć pretensji do tego człowieka. Czy postawiony przed takim samym wyborem – taką samą szansą – po zniknięciu Theo, zignorowałby go?

– Dasz radę zdobyć pieniądze? – zapytał.

– Do wieczora? – Waverly zwiesił ramiona. – Nie taką sumę, nie ma szans.

Chrissie obróciła się do niego.

– To się postaraj! Jezu Chryste, mówimy o twoich dzieciach!

– Myślisz, że tego nie rozumiem? Nie mogę po prostu pstryknąć palcami i... – Zabrakło mu sił. – Nawet jeśli wyczyszczę firmowe konta, nie będziemy nawet blisko. Nie mamy dostępu do takich pieniędzy, nie na zawołanie. Jeśli odezwę się do ludzi, którzy są mi coś winni, może uda się uzbierać z jakieś sto tysięcy, ale to wszystko.

Chrissie patrzyła na niego z jawną desperacją.

– Jeśli uda nam się zdobyć pieniądze, pomożesz nam?

Jeśliby się zgodził, ryzykowałby życie swoje oraz dzieci Chrissie. Stokesowi zależało na wyrównaniu rachunków, to jasne. Chęć powtórzenia ich spotkania w magazynie była wystarczająco czytelnym komunikatem, a Jonah wiedział, że tym razem potoczy się to inaczej. Ostatnio dysponował efektem zaskoczenia i miał szczęście. Sporo szczęścia. Ale tym razem Stokes będzie gotowy.

Jeśli jednak Jonah nie spełniłby jego żądań, skazałby tę dwójkę na śmierć. Namierzenie bliźniaków przed upływem terminu wyznaczonego przez Stokesa graniczyło z cudem, a jego wiara w cuda przepadła razem z Theo. Dzieci mogły być już martwe, zdawał sobie z tego sprawę. Ale to Jonah sprowadził to nieszczęście na rodzinę Chrissie. Jeśli istniało choć niewielkie prawdopodobieństwo, że ich uratuje, musiał zaryzykować. Nie dostał takiej szansy, kiedy chodziło o jego syna. Teraz zamierzał zrobić wszystko, żeby z niej skorzystać.

– Będę potrzebował kilku rzeczy – powiedział.



## Rozdział 31

Wilkes wyglądał gorzej niż zwykle. Miał na sobie poplamione dresy i koszulkę opinającą zwisający brzuch. Z powodu podobnego odcienia szarości wyglądał jak wkurzony niemowlak w brudnych śpiochach. Niemowlak z czymś, co wyglądało jak znikająca malinka na szyi. Wbił zmrużone od słońca oczy w Jonaha, jakby go nie poznawał.

– Czego, kurwa, chcesz? – zapytał ochrypniętym głosem.

Jonah próbował dodzwonić się do niego, zanim przyjechał. Posterunkowego mogło nie być w domu, ale zaryzykował, że może po prostu odsypiać kolejną popijawę.

– Coś się stało. Mogę wejść?

Wilkes przyjrzał mu się kwaśno, wciąż stojąc w drzwiach.

– Co z twoją twarzą?

Podbite oko zsiniało przez noc, a szczęka spuchła tam, gdzie został kopnięty.

– Nic. Słuchaj, musimy pogadać. To ważne.

– Jestem zajęty.

– Zapłacę ci – powiedział szybko Jonah, zanim tamten zdążył zamknąć drzwi. – Chodzi o Gavina.

Wilkes zgromił go spojrzeniem, mrużąc oczy i kalkulując. Nieświadomie podrapał się w kroku.

– Co z Gavinem?

– Nie tutaj. Powiem ci w środku.

Patrzył na niego tak samo, ale Jonah praktycznie widział tryby obracające się w głowie emeryta.

– Muszę się odlać.

Odwróciwszy się, wszedł do domu. Jonah ruszył za nim, kiedy Wilkes zniknął za drzwiami przy schodach.

– Przydadz się na coś i wstaw wodę.

– Nie musimy...

Ale drzwi od łazienki już były zamknięte. Kiedy ze środka dobiegł dźwięk lejącego się strumienia moczu, Jonah niechętnie wszedł do kuchni. Tam przywitały go niepozmywane naczynia i przesypujące się śmieci. Wyciągnął skądś dwa względnie czyste kubki i czekając, aż zagotuje się woda, przeszperał szafki w poszukiwaniu czegoś do picia. W końcu zrobił dwie kawy i nalewał akurat zsiadłego mleka, które znalazł w lodówce, kiedy usłyszał spuszczaną wodę. Później odkręcany kran, Wilkes uderzył w coś, a potem wszedł do kuchni, podciągając dresy.

– Czuję się, jakby ktoś mi pieprzył w łeb – oznajmił, pocierając cięń zarostu. Na policzkach wciąż miał krople wody, ale mimo napuchniętych i zaczerwienionych oczu wyglądał już lepiej. – Nie spałem całą noc, poker w sieci. Strata czasu.

– Próbowałem zadzwonić wcześniej...

– Słodziłeś?

Wilkes podniósł kubek, spróbował i skrzywił się. Jonah zacisnął zęby, kiedy grubas wsypywał trzy czubate łyżeczki cukru, dolewał mleka i w końcu odstawił kubek na stół. Drewniane krzesło skrzypnęło pod jego ciężarem, kiedy usiadł i rozstawił szeroko nogi. Nawet na niego nie spojrział.

– To co z Gavinem? – zapytał, popijając kawę.

– Wiem, kto go zabił. Ten sam człowiek porwał rano bliźniaki mojej byłej żony.

W innych okolicznościach byłby to pewnie zabawny widok. Wilkes zakrztusił się kawą i wytrzeszczył oczy. Kaszląc, przechylił kubek, wylewając jeszcze więcej, po czym wbił wzrok w Jonaha.

– Co?

Jonah opadł na jedyne wolne krzesło.

– Nazywa się Owen Stokes. Zabił Gavina i tę trójkę z magazynu, a potem dziennikarkę, która pisała o sprawie. Myślę, że albo odpowiada za to, albo przynajmniej wie, co się stało z moim synem.

Wilkes otworzył usta w szoku.

– Jaja sobie robisz?

– Chce, żebyśmy do północy zorganizowali pół miliona funtów, a ja mam mu je dostarczyć. Twierdzi, że jeśli pójdziemy na policję, zabije dzieci. Mają sześć lat.

– Jezu, kurwa, Chryste. – Wilkes wyglądał na oszołomionego. – Wysłali alert?

– Nie, rodzice zdecydowali, że zrobią to, co każe. – Jonah pokręcił głową. Wciąż nie mógł się z tym pogodzić. – Ostrzegałem ich, ale są przerażeni. Nie winię ich.

– Zamierzają zapłacić?

– Wydaje im się, że nie mają wyboru.

– A on chce pół miliona? Jezu. – Wilkes wydał policzki. – Czy twoja była może zebrać taką kasę?

– Nie wydaje mi się, nie w tak krótkim czasie. Zbiorą tyle, ile się da, i będą mieli nadzieję, że to wystarczy.

– Oby. Ryzykują życie dzieciaków. – Wilkes w końcu zaczął myśleć. – Sam zawieszysz okup?

– Też nie mam wyboru. Dlatego tutaj jestem.

Odniosł wrażenie, że Wilkes dopiero się obudził.

– To znaczy?

Jonah zastanawiał się, czy nie poprosić policjanta, żeby poszedł z nim. W obecnym stanie nie mógł mierzyć się ze Stokesem samodzielnie, a po wczorajszym pobiciu było jeszcze gorzej. Ale prosiłby o zbyt wiele, a poza tym był inny sposób na wyrównanie szans. Wzjął głęboki oddech.

– Potrzebuję broni.

– Pojebało cię? – sapnął Wilkes.

„Nie, po prostu jestem zdesperowany”. Jonah wiedział, że oznaczało to przekroczenie granicy, zza której nie było powrotu. Ale raczej nie miał innego wyboru. Nie, kiedy alternatywą było stanięcie naprzeciwko Stokesa bez broni i o kulach. I nie, kiedy stawką było życie dzieci Chrissie.

– Po prostu mnie wysłuchaj – zaczął.

– Nie, nie ma, kurwa, mowy! Jak taki z ciebie kontrterrorysta, to weź se swoją broń.

– Właśnie to próbuję zrobić. Ale nie mam tego rodzaju kontaktów i nie zostało wiele czasu.

– To idź i poproś koleżków, żeby cię poratowali! Jezu!

– Wiesz, że nie mogę tego zrobić.

Przyszło mu to do głowy. Ale policyjny arsenał był trzymany w zamknięciu pod ścisłym nadzorem, a każda sztuka broni była skrupulatnie odnotowywana i namierzana. Zresztą nawet gdyby tak nie było, Jonah nie był ani na tyle głupi, ani aż tak zdesperowany, żeby poprosić o to kogoś ze starego oddziału. Wiedział, jak by się to skończyło. Gdyby miał więcej czasu, może wymyśliłby coś lepszego.

Ale nie miał.

Wilkes parsknął zduszonym śmiechem.

– Ale pytać mnie to można? No kurwa, myślisz, że tak po prostu mam tutaj broń?

– Nie, ale myślałem, że możesz wiedzieć, skąd ją wziąć.

– Aaa, to wszystko? Jezu, myślisz, że co ze mnie był za pies?

Jonah nie odpowiedział.

– Byłeś detektywem przez dwadzieścia pięć lat. Chcesz mi powiedzieć, że przez cały ten czas nie dowiedziałeś się, kto co sprzedaje? Ani nie znałeś nikogo, kto wiedział?

– Nie o to chodzi! Wiesz, o co prosisz, prawda? Jezu Chryste, jeśli jej użyjesz, będę współwinnym morderstwa!

– Mam nadzieję, że nie będę musiał jej użyć. – Broń powinna być dużo silniejszym odstraszacem niż on sam, i to nieuzbrojony. Samo zagrożenie mogłoby przekonać Stokesa, żeby oddał bliźniaki. – Zresztą i tak nie powiedziałbym, skąd ją mam.

– Oho, tak, jasne, już to słyszałem! Spierdalaj!

– Nie proszę cię, żebyś zrobił to dla mnie. Dwoje sześciolatek...

– Nawet, kurwa, nie próbuj! – Wilkes wystawił gruby palec w stronę Jonaha. – To nie moja wina. Nie porwałem tych dzieci, więc nie przychodź tu jak zaszary pan i zbawca i nie wymagaj, żebym nadstawił karku. Chuj mi do tego.

– Wystarczy mi nazwisko. Jeśli go nie znasz, to powiedz, bo nie mam za wiele czasu.

– Właśnie ci to, kurwa, powiedziałem! Tam są drzwi.

Jonah wstał, twarz go paliła. Nie mógł winić Wilkesa za taką reakcję. Od początku szanse były niewielkie, ale miał nadzieję, że policjant coś wymyśli.

– Poczekaj. Po prostu... poczekaj.

Jonah zatrzymał się w drzwiach kuchni i obejrzał. Wilkes przygryzał wargę, nerwowo uderzając stopą o podłogę.

– Co zrobisz? – zapytał.

– O to się nie martw. Tak jak powiedziałeś, nic ci do tego.

– Nie, wiem, ale... – Wilkes przejechał dłonią po twarzy. – Może nie skrzywdzi tych dzieciaków. Jeśli dasz mu to, czego chce, może je wypuści.

– Tak jak pozostałe ofiary? Przykro mi, ale liczenie na szczęśliwe zakończenie nie jest chyba tym razem najlepszą strategią.

– Jezu. – Wilkes wydał policzki. – Jeśli poprosisz o broń nie tę osobę co trzeba, masz przejebane. Wiesz o tym, co nie?

– Jeśli pójde tam bez broni, to i tak mam przejebane. – Nagle ogarnęły go wątpliwości i zmęczenie. – Nie wiem, może pogadam z moją byłą. Spróbuję ją przekonać, żeby zadzwonili na policję.

– Na to już za późno – powiedział Wilkes. – Rodzice mają rację. Jeśli masz czas do północy, nie ma szans, że uda im się je znaleźć.

– W takim razie co proponujesz? Bo mnie kończą się pomysły.

Wilkes nie odpowiedział. Na poczerwieniałej twarzy pojawił się wyraz zamyślenia, detektyw wpatrywał się w podłogę, dalej przygryzając wargę. Jonah był na tyle rozsądny, żeby siedzieć cicho i pozwolić mu stoczyć walkę z samym sobą. Nagle walnął pięścią w stół.

– Kurwa! Kurwa! – Poderwał się na nogi. – Poczekaj tutaj.

Minął Jonaha i wyszedł do przedpokoju, trzaskając drzwiami. Jonah usłyszał kroki zmierzające w stronę salonu. Zawahał się, po czym podszedł do zamkniętych kuchennych drzwi. Usłyszał tylko mruczenie Wilkesa, ale jednostronna rozmowa telefoniczna była zbyt cicha i niewyraźna, żeby cokolwiek z niej zrozumieć. W którymś momencie Wilkes podniósł głos, a potem nastąpiła długa cisza, jakby słuchał człowieka po drugiej stronie. Kiedy odezwał się znowu, mówił ożywionym tonem, chyba kończąc rozmowę.

Jonah odsunął się od drzwi. Kilka sekund później Wilkes wpadł z powrotem do kuchni.

– Okej, może dam radę ci pomóc.

– Zdobędziesz broń? – Jonah nie był pewien, czy mu ulżyło, czy nie.

– Przecież tego chciałeś, prawda? – Po tym, jak podjął decyzję, pewność siebie Wilkesa wróciła. – Ale jeśli zmieniłeś zdanie...

– Nie. – Jonah rozwiał wątpliwości. – Jest szansa na glocka siedemnaście?

Do tego modelu pistoletu był najbardziej przyzwyczajony. Wilkes zaśmiał się gorzko.

- Chcesz też wybrać kolor? Może ładny czerwony?
- Dobra, wezmę, co będzie. – Jonah nie mógł uwierzyć, że naprawdę to robi. – Ile nabojów?

Wilkes wzruszył ramionami.

- Nie wiem, tyle, ile będzie.

Jonah się nie kłócił. I tak cała sprawa przyprawiała go o mdłości.

- Ile?

Detektyw strzelił oczami w bok. Jonah niemal widział, jak dolicza swoją żonę.

- Niech będzie tysiąc.

Więcej, niż się spodziewał, ale nie miało to znaczenia. Musiał zapłacić niezależnie od tego, ile by to kosztowało.

- Gdzie mam się po niego zgłosić?

Wilkes nie odpowiedział. Wbił wzrok w podłogę, jakby nadal zmagał się z jakąś decyzją.

– Gdzie masz zostawić pieniądze? – zapytał w końcu. Wydawał się wściekły, niemal urażony.

- W magazynie na Nabrzeżu Rzeźników. A co?

Były policjant pokręcił głową, jakby sam w to nie wierzył.

- Bo idę z tobą.

## Rozdział 32

Jonah wolał nie ryzykować powrotu do mieszkania po tym, jak wyszedł od Wilkesa. Teraz, kiedy nakierował Fletchera na Elianę Salim, było tylko kwestią czasu, żeby jej siostra została zidentyfikowana, a kiedy to się wydarzy, czeka go kilka nieprzyjemnych pytań. Inspektora będzie interesowało, skąd wiedział o starej sprawie Gavina, i tym razem nie da się zbyć. W którymś momencie Jonah będzie musiał odpowiedzieć, a nie mógł pozwolić sobie na to, żeby akurat dzisiaj utknąć na policyjnym przesłuchaniu. Jakkolwiek źle to wyglądało, musiał unikać Fletchera, dopóki to się nie skończy. A potem...

A potem nie będzie to miało żadnego znaczenia.

W związku z czym nie miał dokąd pójść. Chrissie z mężem mieli do niego zadzwonić, kiedy już uzbierają całą sumę albo tyle, ile zdołają, a Wilkes nie chciał, żeby Jonah widział, jak będzie kupował broń. Nalegał, żeby umówili się o dwudziestą trzecią trzydziści na bezdrożu na Nabrzeżu Rzeźników. Jonah wolałby najpierw podjechać po Wilkesa wypożyczonym volvo. Stokes powiedział, że powinien dostarczyć pieniądze sam, więc dwa auta na miejscu stanowiły ryzyko.

Ale tylko jeśli Stokes ich zobaczy. Jeśli przybędzie łodzią jak ostatnim razem, to się nie dowie. Nawet jeśli nie, istniała spora szansa, że będzie czekał w magazynie, argumentował Wilkes. On sam mógłby pójść za Jonahem, pozostając w ukryciu i w gotowości, żeby ruszyć na pomoc lub wezwać wsparcie, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Jonah nie był przekonany, ale detektyw postawił sprawę jasno. Na domiar wszystkiego nie potrafił powiedzieć, ile czasu zajmie zdobycie

broni. Jeśli transakcja miałaby potrwać dłużej, niż zakładał, lepiej byłoby, żeby Jonah czekał na miejscu, zamiast siedzieć przed domem Wilkesa.

– A co, jeśli nie dasz rady przyjechać przed dwunastą? – zapytał Jonah.

– To znaczy, że coś się wyrąbało i obydwaj mamy przejebane – skwitował.

Jonah nienawidził czekać. Czuł, jak nerwowa energia przepływa przez niego jak paliwo w silniku na wysokich obrotach. Tak samo było przed każdą akcją – w nabuzowanej adrenaliną wyobraźni pojawiały się obrazy wszystkiego, co mogło pójść źle.

Musiał zająć czymś głowę.

Ostatnie promienie słońca gasły, kiedy zaparkował w cichej ulicy, żeby poczekać na telefon od Chrissie. Kupił kanapkę i wodę w butelce i w trakcie jedzenia wyjął telefon. Wyszukał Daniela Kimaniego i zobaczył wyniki ze stron poświęconych osobom zaginionym, co oznaczało, że policja wciąż nie potwierdziła oficjalnie jego tożsamości. Jedną z fotografii, obrobioną tak, by nie było na niej innych ludzi, przedstawiała pulchnego i uśmiechniętego młodego mężczyznę, a oprócz kilku oficjalnych stron zauważył profil na Facebooku założony przez przyjaciół i rodzinę Kimaniego. Jonah założył, że to Daly wpadła na trop. Rozważał skontaktowanie się z bliskimi, ale jeśli nie zostali poinformowani, że ustalono tożsamość, nie chciał być osobą, która przekaze im tę wiadomość. „Cały czas zakładasz, że to prawda”, upomniął się. Ani Fletcher, ani Bennet tego nie potwierdzili.

Tak czy inaczej, zdobycie informacji na temat Daniela Kimaniego wymagałoby więcej czasu i skupienia, niż był w stanie poświęcić w tym momencie. Spojrzawszy na zegarek, wyczyścił historię wyszukiwania na telefonie i wpisał „Anna Donari”.

Pisownię zgadywał na podstawie tego, jak Salim wymawiała nazwisko. Rezultatów były tysiące, zdecydowanie zbyt wiele, żeby na cokolwiek mu się przydały. Dodał „WB” i spróbował znowu. Otrzymał mniejszą liczbę wyników, ale kiedy nie wyskoczyło nic oczywistego, dopisał też „Londyn”. Nie miał pojęcia, czy Donari faktycznie pochodziła stąd, ale musiał od czegoś zacząć. Mimo wszystko rezultat wciąż był rozczarowujący.

Chociaż nie, jedna strona rzuciła mu się w oczy. Najpierw prawie ją pominął, bo zawierała inną wersję imienia i nazwiska: „Ana” nie „Anna” oraz „Donauri” zamiast „Donari”. Tym, co przykuło jego uwagę, była data. Wpis pochodził sprzed dziesięciu lat.



Tydzień po zniknięciu Theo.

Artykuł pochodził z lokalnej gazety. Kobieta, której ciało znaleziono w zaułku niedaleko Euston Station, zidentyfikowano jako Anę Donauri, trzydziestosiedmiolatkę pochodzenia gruzińskiego. Nie podano przyczyny śmierci, ale autor artykułu twierdził, że ofiara miała obcięte obydwie ręce. Jonah zmarszczył brwi, ale wątku nie rozwinięto. Wpisał w wyszukiwarke poprawne nazwisko i sprawdził jeszcze raz. Wyskoczył jedynie wcześniejszy tekst informujący o znalezieniu ciała. Ale nie było tam więcej szczegółów niż w późniejszym materiale. Ten kończył się typowym: „Policja kontynuuje śledztwo”.

To wszystko.

Od siedzenia w aucie rozboleło go kolano. Rozciągnął je i wyjął telefon, który dała mu Salim. Zważył go w dłoni. Kusiło go, żeby zadzwonić i zapytać, czy to właśnie o tę osobę chodziło. Ale Salim wyraziła się jasno: aparat był do jednorazowego użytku, a on wolał nie zmarnować tej szansy. Jeśli chciałaby powiedzieć więcej, zrobiłaby to.

Więc dlaczego podała mu to nazwisko?

Kiedy odłożył telefon od Salim, podskoczył, bo właśnie odezwał się jego własny. Złapał go, myśląc, że to Chrissie. Albo chociaż Wilkes, który dzwoni, żeby powiedzieć, że ma problem.

Ale na ekranie wyświetlił się numer Fletchera. „Niech to szlag”. Jonah pozwolił mu dzwonić dalej. Gdyby odebrał, Fletcher kazałby mu przyjechać do komisariatu albo chciałby zobaczyć się z nim w mieszkaniu. Jonah nie mógł zrobić ani tego, ani tego i nie chciał też przedłużającej się rozmowy z wściekłym inspektorem, kiedy akurat czeka na telefon od Chrissie. Mimo to unikanie Fletchera sprawiło, że zrobiło mu się nieswojo. Czuł się jak zbieg.

Po tym, jak aparat zamilkł, cisza brzmiała oskarżycielsko.

Na zewnątrz było już zupełnie ciemno, latarnie uliczne oświetlały auto słabowitym blaskiem. Jonah walczył ze sobą, żeby po raz kolejny nie sprawdzić telefonu, ale w końcu odpuścił i zobaczył, że było już wpół do ósmej. Zostało tylko kilka godzin. Gdy sobie to uświadomił, poczuł ostre pieczenie w żołądku. „No dalej, Chrissie, gdzie jesteś?”

Jakby w odpowiedzi telefon zadzwonił ponownie. Tym razem na ekranie pojawiło się imię Chrissie. Mówiła przybitym, łamiącym się głosem.

– Mamy pieniądze – oznajmiła.

Na dwupasmówce zdarzył się wypadek. Jedną nitkę zamknięto, a ruch został wstrzymany, co oznaczało, że kiedy Jonah zaparkował przed pomalowanym na biało szeregowcem, dochodziła już niemal dziewiąta. Martwiąc się opóźnieniem, dokuśtykał do furtki i wcisnął przycisk domofonu. Odpowiedziało mu jedynie kliknięcie odblokowanego zamka. Błyszczące drzwi wejściowe otworzyły się, zanim do nich dotarł. Na widok Chrissie doznał szoku.

Wyglądała, jakby od rana postarzała się o kilka lat. Emocjonalne żniwo odbijało się w każdej zmarszczce, przedwcześnie przemieniając ją w starszą wersję samej siebie. Poszedł za nią do kuchni, ale żadne z nich się nie odezwało. Miał wrażenie, że w domu paliło się każde światło, jakby przepędzenie cieni mogło stworzyć iluzję normalnego życia. Waverly siedział przy stole, ubrany elegancko, jakby dopiero wrócił z pracy. Ale na jego twarzy również widać było napięcie. Policzki miał zapadnięte, a cerę pobladłą bardziej niż rano. Po jednej stronie leżały wyciągi z banku i arkusze kalkulacyjne, a po drugiej, na podstawce, stała szklanka whisky.

– Dziękuję, że przyszedłeś – przywitał go, prostując się. Równie dobrze mogłaby to być wizyta towarzyska, ale Jonah widział, ile wysiłku kosztowało go wzięcie się w garść. – Czegoś mocniejszego?

– Nie, dzięki.

– To może kawa lub herbata?

Chrissie prychnęła.

– Jezus Maria!

Jej mąż spojrzał na nią obojętnie, poruszając bezwolnie ustami.

– W sumie to kawa dobrze mi robi – stwierdził Jonah.

Waverly złapał się tego. Przytaknął, zachowując się, jakby właśnie zapadła jakaś kluczowa decyzja.

– Okej.

Ale ani on, ani jego żona się nie poruszyli. Atmosfera w kuchni była dusząca.

– Udało wam się zebrać pieniądze?

– Nie wszystko. – Waverly przygarbił się. – Mam niewiele ponad sto tysięcy.

– Jezu... – Chrissie pokręciła głową.

– Już o tym rozmawialiśmy. Mówiłem ci, że tylko tyle mogę zrobić.

– Tylko tyle? Mówimy o życiu twoich dzieci!

Jej mąż wyglądał, jakby ktoś dał mu w twarz.

– Myślisz, że o tym nie wiem?

– Masz je tutaj? – zapytał Jonah, mając nadzieję, że zapobiegnie awanturze.

– Tak, oczywiście. – Waverly położył na blacie skórzaną torbę na laptopa. Rozpiął ją, pokazując Jonahowi zwiłki banknotów, jakby czekał na jego aprobatę. – Nie wiedziałem, jakich nominałów... Są w pięćdziesiątkach, Zajmują mniej miejsca, więc... no wiesz.

– W porządku – uspokoił go Jonah. Stokes tego nie precyzował, a jemu wydawało się, że nie będzie to miało szczególnego znaczenia. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, nie będzie miało żadnego.

Waverly pchnął torbę w stronę Jonaha.

– I co teraz?

Jonah się zawahał. Nie powiedział im o broni i wciąż nie zdecydował, czy było to coś, o czym powinni wiedzieć. Ale Chrissie nie dała mu szansy na odpowiedź.

– Chcę powiedzieć policji.

Objęła się rękoma, twarz miała kredowobiałą. Mąż wydawał się osłupiały.

– Co? Ale mówiłaś...

– Nie obchodzi mnie, co mówiłam, to nie jest w porządku. – Chrissie kręciła głową w jedną i w drugą stronę, jakby próbując pozbyć się myśli. – Musimy im powiedzieć. Zanim będzie za późno!

– Poważnie? Jest za późno, nie możesz teraz zmienić zdania.

– Właśnie że mogę. Możemy wyjaśnić! Powiemy im, czemu... czemu... Zaczęła się trząść jak zepsuta maszyna. Waverly podszedł do niej.

– Chrissie...

– Nie dam rady! Nie kolejny raz! Proszę!

Jej mąż objął ją ramieniem i łagodnie wyprowadził na korytarz.

– Wiem. Chodź.

Nie opierała się, kiedy ją wyprowadził. Jonah słyszał, jak Waverly szepce do niej, a ich kroki rozbrzmiewały na schodach. „Boże”. Nagle poczuł, że nie ma siły, i opadł na jeden ze stołków barowych, a następnie rozprostował kontuzjowaną nogę. Spojrzał na oprawioną w ramkę fotografię bliźniaków: jedno uśmiechnięte szeroko, ciemnowłose, drugie z nieśmiałym uśmiechem i blond czupryną, obydwój w mundurkach prywatnej szkoły. Jonah poczuł, jak ogarniają go wątpliwości. Przemknęło mu przez myśl, żeby zadzwonić do Bennet. Łatwiej byłoby wyjaśnić

wszystko jej niż Fletcherowi. Pokusa zrzucenia sprawy na kogoś innego przez chwilę była niemal zbyt silna.

Ale jeśli policja miałaby wkroczyć do akcji, powinno się to stać rano, od razu po porwaniu dzieci. A nie, kiedy zostało – spojrzał na zegarek, choć wiedział co do minuty, która jest godzina – mniej niż trzy godziny do spotkania z Owenem Stokesem. Musieli się trzymać tego planu – na dobre i na złe.

Minęło kolejne dwadzieścia minut, zanim usłyszał, jak ktoś idzie po schodach. Waverly pojawił się w kuchni. Miał zaczerwienione oczy.

– Jak się ma? – zapytał Jonah.

– Jest pod prysznicem. Chyba po raz piąty dzisiaj. – Podeszedł do stołu, podniósł szklanę i napił się alkoholu. Wzdrygnął się i zwrócił do Jonaha. – Jesteś pewien, że nie chcesz?

Kolejna pokusa, ale Jonah pokręcił głową. Musiał być skupiony.

– Nie, dzięki.

Waverly otworzył drewniany kredens i wyciągnął butelkę single malt. Nalał sobie solidnie, zawahał się, dolał jeszcze i odstawił butelkę.

– Chyba jeszcze ci nie podziękowałem – powiedział, siadając na hookerze.

– Nie ma takiej potrzeby. – Jonah zaczął żałować, że nie przyjął alkoholu. – Chrissie ma rację. Gdyby nie ja, nic z tego by się nie wydarzyło.

Waverly westchnął.

– Nie myśli tak. Nie wiedziałeś, co ten... ten skurwiel robi.

Mówił już nieco niewyraźnie, więc Jonah zaczął zastanawiać się, który to drink. Ale nie winił go. Waverly podniósł szklanę, ale opuścił ją, zanim się napił.

– Myślisz, że policja się pomyliła? No wiesz, dziesięć lat temu?

Nie musiał wyjaśniać. Jonah pokręcił głową. Nie mógł pozwolić sobie na to, żeby w to teraz wchodzić.

Waverly nie zrozumiał sugestii.

– Jak można to przetrwać? Chybabym nie mógł... no wiesz, jeśli to...

– Musisz przestać myśleć w ten sposób. – Słowa zabrzmiały ostrzej, niż Jonah chciał, a to nie służyło żadnemu z nich. – I może przystopuj też z whisky.

– Tak, masz rację. – Waverly odstawił szklanę. – Próbowałem, wiesz? Zdobyć resztę pieniędzy.

– Jasne.  
– Myślisz, że to wystarczy?  
– To spora suma. – Jonah wymigał się od odpowiedzi.  
Waverly przytaknął, jakby sam próbował dodać sobie otuchy.  
– A jeśli nie? Co zrobisz, jeśli czegoś spróbuje albo zabierze pieniądze, ale... nie... no wiesz...

Wiedział.

– Tak jak mówiłem, spróbuj o tym nie myśleć.  
– Ale czy masz jakiś plan B, jeśli nie dojdzie do wymiany? Bóg jeden wie, jak bardzo jestem ci wdzięczny, ale... – Pełen obaw zerknął ukradkiem na kule Jonaha. – Jesteś pewien, że dasz radę?

Na takie pytania było już trochę za późno, ale Jonah go rozumiał. Do tej pory Waverly koncentrował się na zebraniu pieniędzy na okup, odsuwając od siebie wszystko inne. Teraz nie miał już nic, co pozwoliłoby mu zachować kontrolę.

– Nie będę kłamał, że nie ma ryzyka – wyznał Jonah. – Ale nie jestem na tyle głupi, żeby po prostu tam wejść i liczyć na cud. Zaufaj mi.

– Ufam, ale... no, może powinienem pójść z tobą?

To była ostatnia rzecz, której potrzebował. Zastanawiał się, ile im powiedzieć. Im mniej wiedzieli, tym mniej kłopotów mogliby sprawiać później, zwłaszcza jeśli coś pójdzie nie tak. Ale gdyby chodziło o niego, nie chciałby być trzymany w niepewności.

– Załatwiłem sobie wsparcie – powiedział. – To były policjant, wie, jak o siebie zadbać. Jeśli nie będzie potrzebny, zostanie z tyłu, ale będzie na miejscu, na wypadek gdyby Stokes czegoś spróbował.

– Racja. Dobrze, to... to... – Waverly skinął, ale przez jego głowę wciąż przelatywały kolejne myśli. – Ale czy to wystarczy? Co jeśli Stokes będzie uzbrojony?

Jonah miał nadzieję, że nie będzie musiał poruszać tego tematu. Ale mieli prawo wiedzieć, skoro stawką było życie ich dzieci. Mimo wszystko przyznanie się przyszło mu z trudem.

– Ja też będę.

Wydawało mu się, że Waverly już wcześniej był blady, ale teraz jego twarz nabrała trupiej barwy. Zakrył usta dłonią.

– Czyli bierzesz broń? O Jezu...

– Tylko jako zabezpieczenie. Prawdopodobnie nie będę jej potrzebował – wyjaśnił Jonah z pewnością, której w ogóle nie czuł.

– Ale to broń! – Waverly wyglądał, jakby zbierało mu się na wymioty. Pokręcił głową. – Nie, nie mogę... w sensie, to nie...

– Dobrze!

Jonah nie słyszał, jak Chrissie zeszła po schodach. Wzięła prysznic i teraz miała na sobie gruby biały szlafrok, a wciąż mokre włosy zaczesła do tyłu. Waverly prawie wstał, wyglądał, jakby był w szoku.

– Chrissie, nie możemy...

– Zastrzel go – zwróciła się do Jonaha, kompletnie ignorując obecność męża. Stała przed nim i rzuciła mu twarde spojrzenie jasnych oczu. – Nie obchodzi mnie, czy będzie błagał o życie, chcę, żeby bydlak zdechł.

– Nikogo nie zastrzelę, jeśli nie będę musiał.

– Dlaczego nie, do cholery? Myślisz, że on tego nie zrobi? Zobacz, co spotkało Gavina! – Chrissie złapała go za poły kurtki. – Znam cię, Jonah, wiem, co ci chodzi po głowie. Chcesz Stokesa żywego, na wypadek gdyby wiedział coś o Theo. Ale tu już nie chodzi o niego. Tu chodzi o Harry'ego i Abigail, więc jak tylko będziesz miał szansę, chcę, żebyś wpakował mu kulkę w łeb. Rozumiesz?

Łzy płynęły jej po twarzy. Jonah ujął dłonie Chrissie, ścisnął je, po czym delikatnie odsunął od siebie. Waverly podszedł do niej i położył jej ręce na ramionach, próbując ją odciągnąć.

– Przyprowadzi je z powrotem – powiedział jej. – Prawda, Jonah?

– Tak. Obiecuję. – Usłyszał swoją odpowiedź.

Dopiero wtedy przypomniał sobie, że Gavin powiedział mu kiedyś to samo.

Droga na nabrzeże wydawała się nierzeczywista. Światła innych aut oślepiały mocniej niż zwykle, ciemność była jeszcze bardziej nieprzenikniona. Położył torbę na laptopa w nogach siedzenia pasażera, nie chcąc spuszczać jej z oczu nawet w trakcie jazdy. Wiózł więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek miał, i przyłapał się na tym, że zerka na nią nieustannie znad kierownicy, jakby podświadomie bał się, że mogłaby jakimś cudem zniknąć.

Ale wiedział, że był to tylko objaw napięcia, a nie jego powód. Świadomość tego, dokąd jechał i co miał zrobić, sprawiała, że dłonie lepiły mu się od potu. Przez wszystkie lata służby Jonah nigdy nikogo nie zastrzelił. Miał kiedyś nadzieję, że tak już zostanie, a teraz był tu, gdzie był.

W drodze po nielegalną broń, ze sporą szansą, że będzie musiał jej użyć w ciągu następnych kilku godzin.

Jednak w miarę jak zbliżał się do nabrzeża, czuł, że emocje powoli ustępują. Konfrontacja ze Stokesem nie była już czymś abstrakcyjnym, odległym o kilka godzin. To działo się teraz, a kiedy to zaakceptował, ogarnęło go jasne poczucie celu. Nie udało mu się uratować Theo, ale historia nie musiała się powtórzyć. Kwestie moralności i zgodności z prawem, jego wątpliwości – wszystko zniknęło. Tak naprawdę było to proste.

Albo uratuje bliźniaki Chrissie, albo spróbuje to zrobić i zginie.

Kiedy zjechał na bezdroże na Nabrzeżu Rzeźników, kątem oka spojrzał na zegarek na desce rozdzielczej: tuż po jedenastej. Przyjechał wcześniej. Na początku nie zauważył auta Wilkesa, ale kiedy zgasił światła, rozpoznał ciemny kształt nieoświetlonego pojazdu stojącego z boku. Jeśli on musiał go szukać, istniała niewielka szansa, że Stokes go zobaczy.

Wysiadłszy z auta, Jonah przerzucił torbę przez ramię i ruszył w tamtą stronę. Nierówny grunt utrudniał marsz. Noc była pochmurna, a ponieważ nie chciał włączać latarki, musiał uważać, gdzie opiera kule. Starego vauxhalla byłego detektywa rozpoznał dopiero z odległości kilku metrów. Światło w środku było zgaszone. Kiedy podszedł od strony pasażera, miał nadzieję, że Wilkes pomyślał o wyłączeniu go, żeby nie zapaliło się po otwarciu drzwi.

Gdy stanął obok samochodu, dostrzegł masywną sylwetkę za kierownicą. Rozejrzawszy się jeszcze raz, najpierw zastukał delikatnie w okno, a dopiero potem otworzył drzwi i wszedł do środka.

– Masz to? – zapytał szeptem. – Co wzię...?

Słowa uwięzły mu w gardle. Wilkes siedział rozwalony w fotelu kierowcy. Wyglądałby, jakby spał, gdyby nie miał czegoś na głowie. Pod przezroczystym plastikowym workiem Jonah dostrzegł puste oczy i rozdziawione usta. Wtedy coś poruszyło się z tyłu. W pierwszym odruchu obrócił się, ale na tylnym siedzeniu już pojawiła się blada, ogolona głowa. Wtedy przelotnie zobaczył coś niemożliwego, znajomą twarz, a szok wyparł wszystkie jego myśli.

Coś uderzyło go w głowę i świat zgasł.

## Rozdział 33

Oberwał w głowę. Z tego zdał sobie sprawę w pierwszej kolejności, bo wszystko inne dało o sobie znać zaraz potem. Było mu niedobrze i czuł się obolały. Leżał na czymś twardym i szorstkim. Wykładzina, brązowa i tuftowana. Nie jego. Wydawała się poruszać pod nim w przyprawiającym o mdłości rytmie, który tylko pogarszał sprawę. Ręce miał związane za plecami, a kiedy spróbował się poruszyć, coś cienkiego i twardego wpiło mu się w nadgarstki. Kostki również miał związane.

Plastikowa opaska.

– Szkoda czasu. Tym razem nie puszczą.

Jonah poczuł wstrząs na dźwięk głosu. A potem pamięć wróciła. Auto Wilkesa, były detektyw martwy. Twarz patrząca na niego z tylnego siedzenia. „Nie. To niemożliwe...” Odwrócił głowę.

Blade światło z lampy na ścianie oświetlało długi, wąski pokój z niskim sufitem. W powietrzu unosił się kwaśny zapach potu, pleśni i wilgoci. Wyłożone drewnianymi panelami ściany pochylały się do środka, a przy każdym lekkim ruchu podłogi słyszał głębokie, puste przelewanie się wody. „To nie pokój”, uświadomił sobie powoli, „tylko kajuta”.

Był na łodzi.

Barczysta postać wsparła łokcie na kolanach i obserwowała go z zamontowanego w ścianie siedzenia kilka metrów dalej. Jak przez mgłę Jonah dostrzegł ogoloną głowę i kurtkę wojskową, którą widział na ujęciach z monitoringu. Na pierwszy rzut oka był to Owen Stokes, ale rysy nie pasowały. Na porośniętej szczecinę twarzy pojawił się krzywy uśmiech.

– Siema, Jonah – rzucił Gavin.



Jonah miał wrażenie, że myśli pędzą mu jak po lodzie, ślizgając się bez żadnych hamulców. Jego umysł upierał się, że to się nie dzieje, że wciąż śni. Ale ból głowy i ciała, dyskomfort skrępowanych nadgarstków i kostek podpowiadały mu, że to prawda.

– Już myślałem, że walnąłem za mocno – powiedział Gavin. – Długo cię nie było.

Twarz miał starszą, niż Jonah zapamiętał, a bez ciemnych loków wyglądał dziwnie obco. Ale to był Gavin, bez dwóch zdań, jego najlepszy przyjaciel i ojciec chrzestny jego syna. Człowiek, którego ciało znalazł na podłodze w magazynie, z głową rozbitą na krwawą miazgę.

Spróbował się odezwać, ale bezskutecznie. Dopiero za drugim razem udało mu się wykrztusić:

– Jesteś martwy.

Gavin rozłożył ręce.

– Jeszcze nie.

– Znalazłem twoje ciało...

– Znalazłeś faceta z aplikacji randkowej. Wzrost się zgadzał, włosy też, tylko że nie tak przystojny. Ale krew była moja. – Podciągnął rękaw, odsłaniając brudny opatrunek na przedramieniu. – Miała wystarczyć do sprawdzenia DNA, a trochę mnie poniosło. Krwawiłem jak zarzynana świnia.

Szok, który poczuł na widok Gavina, sprawił, że Jonah przez moment miał pustkę w głowie. Teraz runęła na niego lawina myśli. „O, Chryste...”

– Gdzie bliźniaki?

„Proszę, oby nic im nie było...”

– Śpią w jednej z kajut. Dodałem im diazepamu do mleka.

– Dałeś im narkotyki?

– Uspokój się, nic im nie jest. Niewielka dawka, żeby przespały kilka godzin.

– Wypuścisz je?

– Oczywiście, że je wypuszczę! To przecież dzieci, myślałeś, że co zamierzam zrobić? – Gavin wydawał się urażony. – Nie martw się, nie widziały mojej twarzy.

Nie miał powodu, żeby kłamać, więc Jonah pozwolił sobie na krótkotrwałą ulgę. Wciąż półprzytomny, dźwignął się do pozycji siedzącej i oparł o ścianę. Ze skrępowanymi dłońmi i stopami było mu niewygodnie, a od wysiłku głowa i kolano bolały jeszcze bardziej. W świetle lampy

drewniane panele i kwieciste zasłony, którymi zaciągnięto iluminatory, nadawały kajucie osobliwie przytulny wygląd. W środku panował bałagan, pozgniatane puszkę po piwie i puste butelki wały się po podłodze, a brudne naczynia piętrzyły się w niewielkim zlewie. Na drugim końcu pomieszczenia znajdowały się uchylone drzwi, przez które Jonah widział wąski korytarz oraz schody prowadzące na pokład.

Ale pomiędzy nim a schodami siedział Gavin. Torba na laptopa leżała na podłodze obok do połowy opróżnionej butelki wódki. Na torbie Jonah zobaczył dwa telefony – swój oraz ten od Eliany Salim. Wtedy zauważył coś, co wywołało nagły przypływ adrenaliny: na siedzeniu obok Gavina leżała gruba skórzana pałka.

A obok – rolka worków do zamrażarki i czarna taśma.

Oderwał od nich wzrok i popatrzył na Gavina.

– Gdzie jesteśmy?

– Przybiliśmy do brzegu jakieś pół kilometra od Nabrzeża Rzeźników. Podoba ci się? – Ironicznie pokazał na obskurną kajutę. – Powiedzmy, że „pożyczyłem” ją od byłego współnika, który używał jej do przerzucania ludzi przez kanał. Powinienem spokojnie dotrzeć na drugą stronę.

– Gavin... – Najgorszy szok może i minął, ale potworność tego oszustwa wciąż odbierała mu mowę. – Marie i Dylan myślą, że nie żyjesz! Zorganizowali ci pogrzeb!

Gavin odwrócił wzrok.

– Nie miałem wyboru.

– Wyboru? Chryste Panie, zamordowałaś niewinnych ludzi!

– Nie byli tacy niewinni. – Sięgnąwszy po wódkę, Gavin wziął długi łyk, po czym odstawił butelkę. – Musiałem zniknąć. A żeby nic nie stało się Marie i Dylanowi, ludzie musieli uznać, że nie żyję. To był jedyny sposób. Potrzebowałem czegoś przekonującego.

Szok powoli ustępował miejsca wściekłości. Ostrożnie, tak żeby Gavin nie widział, zaczął sprawdzać więzy na nadgarstkach.

– Dlaczego? Jezu, przecież to chyba nie z powodu tego zawieszenia? Chodziło o pieniądze?

– Serio myślisz, że wpieprzyłbym się w ten syf dla pieniędzy? – Gavin zaśmiał się gorzko. – Naprawdę nic nie rozumiesz, co?

– Nie, nie rozumiem! Wiem, że troszczyłeś się tylko o siebie, ale Jezu! Co ci się stało?

Zimny wyraz zastygł na twarzy Gavina.

– Zapomniałem, jaki z ciebie przemądrzały kutas. Pamiętaj, że nie musiałem cię budzić. Żebym nie zmienił zdania.

Jonah zerknął na pałkę na siedzeniu. Była to brutalna, choć niewielka broń, o której skuteczności już się przekonał. Ale to prozaiczność worków do zamrażarki i taśmy przerażała go dużo bardziej. Gdy spojrzał ponownie na Gavina, dostrzegł w jego oczach milczące potwierdzenie.

Obydwaj wiedzieli, jak to się skończy.

– To po co tu jestem? – zapytał Jonah, siłując się z opaską za plecami. – Mogłeś zabić mnie w aucie, tak jak Wilkesa. Nigdy bym się o niczym nie dowiedział, więc czemu tego nie zrobiłeś?

– Może właśnie dlatego, że chciałem, żebyś wiedział. – Gavin zawiesił głos, po czym wziął kolejny łyk. – Tak czy siak, nie miałoby sensu, gdyby znaleźli cię z Wilkesem.

Jonah potrzebował chwili, żeby zrozumieć. Był już podejrzany o zabójstwo Corinne Daly. Jeśli znajdą jego DNA i odciski palców w aucie przy ciele Wilkesa, będzie to wyglądało, jakby zabił również byłego detektywa, a potem uciekł z pieniędzmi. Niektóre pytania pozostaną bez odpowiedzi, ale nikt nie będzie ich szukał. Ale żeby plan zadziałał, nie wystarczyło, że będzie martwy.

Musiał również zniknąć.

Jonah poczuł, jak cienki plastik wrzyna mu się w nadgarstki.

– Dlaczego ja? Rozstaliśmy się, jak się rozstaliśmy, ale nie wierzę, że wciąż jesteś wkurzony o tamtą bójkę?

Gavin parsknął śmiechem.

– Owszem, przyłapałeś mnie, jak pieprzyłem Chrissie, ale myślisz, że to dlatego? Ile ty masz lat?

– To dlaczego? Po co zadawać sobie tyle trudu, żeby mnie zrobić?

– A jak myślisz? – Gavin z niemal leniwym wyrazem twarzy obserwował reakcję Jonaha. – Owen Stokes.

Przez moment Jonah myślał, że może się pomylił, że Gavin faktycznie dowiedział się czegoś o Theo. Ale potem rzeczywistość o sobie przypominała. O cokolwiek chodziło, Gavin nie robił tego dla jego syna.

– Nie rozumiem – wymamrotał.

– Mówiłem ci: musiałem zniknąć. Stokes pasował idealnie, ale wszyscy mieli myśleć, że dzieje się coś innego. I wtedy pojawiłeś się ty. Jesteś tak kurewsko przewidywalny, Jonah. Wiedziałem, że nie będziesz w stanie

myśleć jasno, jeśli uznasz, że Stokes jest w to zamieszany. I miałem rację, no nie?

Jonah znowu poczuł paskudne pieczenie w żołądku.

– I to tyle? To wszystko? Stokes nie...?

– Nie miał nic wspólnego z tym, co przytrafiło się Theo, jeśli o to pytasz. Kompletnie nic. Ale fantastycznie sprawdził się jako przynęta.

Obrócił się tak, żeby Jonah zobaczył jego kark. Nad zatłuszczonym kołnierzem widniał czarny ornament pajęczego tatuażu.

– Zwykły mazak, a jaki efekt – powiedział, odwracając się z powrotem.  
– Wystarczyło, żeby oszukać monitoring.

Jonah poczuł, jak traci siły. Pomyślał o zdjęciach, które pokazywali mu Fletcher i Bennet. „Świadek”. Mężczyzna z ogoloną czaszką, czapka z daszkiem nasunięta nisko, głowa wtulona w ramiona, tak żeby znajomy tatuaż na karku na pewno był widoczny. Cały ten czas i energia zmarnowane na pogoni za ułudą. Wraz z tą myślą przyszedł ostrzejszy ból.

Jego ostatnia szansa na dowiedzenie się czegoś o Theo również przepadła.

– Stokes nie żyje? – zapytał, choć znał już odpowiedź.

– Oj tak. Ale to akurat twoja robota. Biedny skurczybyk myślał, że dostanie pieniądze za przerzucenie kradzionych telewizorów, ale naprawdę go dojechałeś. Nie wiedziałem, że jesteś do tego zdolny. Musiałem tylko pozbyć się ciała.

W duszy Jonaha otworzyła się kolejna rana.

– Gdzie jest?

– Na dnje rzeki, razem z moim dublerem. – Gavin utkwiał w nim spojrzenie, napawając się każdą jego reakcją. – Wkrótce się z nim spotkasz.

Jonah niemal się poddał. Tego już było za dużo. Ale po chwili gniew wrócił, a wraz z nim determinacja. Chodziło o coś jeszcze, nie wiedział tylko o co. Gavin może i musiał zniknąć, ale to nie wyjaśniało, dlaczego on sam jeszcze żył.

„Chce gadać. Pozwól mu na to”.

Ignorując ból rozciętych nadgarstków, Jonah wrócił do walki z opaską.

– A co z Corinne Daly? I Wilkesem?

Gavin ponownie przechylił butelkę.

– To ty wciągnąłeś w to Jima. Ja tam cieszyłem się, że myśli, że nie żyję, dopóki nie zapukałeś do jego drzwi. Po dziennikarce zacząłem się niepokoić, ile możesz wiedzieć. Po paru głębszych Jim nigdy nie potrafił

utrzymać języka za zębami, więc musiałem wybadać, o czym rozmawialiście. Chryste, prawie się posrał, kiedy mnie zobaczył.

– Był twoim przyjacielem!

– Był wieprzem, który sprzedałby własną matkę. Na twoim miejscu bym za nim nie płakał. Jak myślisz, do kogo zadzwonił w sprawie broni?

Wyszczерzył się na widok miny Jonaha.

– Glock siedemnastka, tak? Nieładnie. Muszę przyznać, nie spodziewałem się tego. Biedny stary Jim srał po gaciach. Nie wiedział o bliźniakach i wciąż nie radził sobie z tym, że żyję. Wcisnąłem mu jakieś bzdury, że mnie wrabiają, ale potem musiałem mu obiecać, że go włączę. – Pokręcił głową. – Idiota. Ile chciał za broń?

Jonah przypomniał sobie, jak próbował podsłuchać połowę rozmowy po tym, jak Wilkes wyszedł z pokoju. Założył, że dzwonił do jakiegoś starego kontaktu. „Chryste, jak można być takim idiotą?”

– Tysiąc – powiedział, zniesmaczony własną naiwnością.

– Taa? – Gavin prychnął. – Kłamliwy chujek. Mnie powiedział, że wziął pięćset.

Po kolejnym łyku opadł na oparcie. Pił już na ostro, jakby się do czegoś szykował. Jonah miał nadgarstki śliskie od krwi, ale wciąż nie czuł, żeby opaska puściła. Próbował dalej.

– Corinne Daly miała córkę, wiedziałeś o tym? Maddie.

Gavin się skrzywił.

– Nie zaczynaj. Widziałem, jak rozmawiała z tobą na pogrzebie...

– Byłeś tam? – przerwał mu Jonah.

– Zaparkowałem kawalek dalej. Chyba nie myślisz, żebym to przegapił, co? – Butelka znowu powędrowała do góry. – Całkiem nieźle ci z nią szło. Nie dziwię się, ale wścibska była z niej suka. Nie przestałaby węszyć, dopóki nie wygrzebałaby na mnie całego syfu. Nie mogłem jej na to pozwolić.

Jonah przypomniał sobie kobietę, z którą siedział przy piwie i pizzy, jej żywą twarz pełną emocji. Potem pomyślał o tej samej twarzy, już nieruchomej i martwej wciśniętej w plastikową torbę. Miał ochotę rzucić się na siedzącego przed nim człowieka.

– Więc zamordowałaś ją i wykorzystałaś, żeby mnie zrobić – powiedział, wykręcając nadgarstki. Wydawało mu się, że opaska mogła nieco puścić, ale z powodu krwi trudno było stwierdzić.

– No wiesz. Dwie pieczenie na jednym ogniu.

– Czy ty siebie słyszysz?! – krzyknął Jonah. – A co z ludźmi w magazynie? Co oni ci zrobili?

Gavin demonstracyjnie złączył ręce za głową, rozciągając się, aż coś strzeliło mu w kościach. Dzięki temu nie musiał patrzeć na Jonaha, kiedy odpowiadał.

– Nic. Byli nikim i po prostu zgarnąłem ich z ulicy. Żeby to zadziało, ludzie musieli pomyśleć, że Stokes to naprawdę niebezpieczny pojeb. Wszystko musiało to potwierdzać. Jak myślisz, dlaczego wybrałem miejsce, które nazywa się Nabrzeże Rzeźników? – Zaśmiał się pogardliwie. – No proszę cię.

Uspokoiwszy oddech, żeby kontrolować gniew, Jonah manipulował opaską.

– Czy Daniel Kimani również był nikim?

Gavin zamarł. Opuścił ręce i popatrzył uważnie na Jonaha.

– Dali ci o nim powiedziała, tak? Co jeszcze mówiła?

– Był doktorantem i aktywistą. Jego nie zgarnąłeś z ulicy, prawda?

– Może nie wiedziałem, kim był. – Gavin zachowywał się obojętnie, ale w oczach czaiła się czujność. – Nie chciało mi się sprawdzać CV.

– Ale wiedziałeś, kim była Nadine, tak?

Obojętność zniknęła.

– Co to ma niby znaczyć?

– Nadine, nie pamiętasz? Przysypałeś ją wapnem i zostawiłeś, żeby się udusiła. Cierpiała, kiedy ją znalazłem – powiedział Jonah, wykorzystując przewagę. – Wiedziałeś, że nadal żyła?

– Popełniłem błąd. To dlatego zacząłem używać tych. – Gavin podniósł worki z siedzenia, żeby Jonah mógł się im dobrze przyjrzeć. – Świetne. Sam się przekonasz.

Na dźwięk groźby przeszedł go dreszcz, ale nie dał się złamać.

– Jak to się stało, że tylko przy niej popełniłeś błąd? Przypominała ci kogoś?

Gavin znieruchomiał.

– Co ty powiedziałeś?

– To co słyszałeś. Jak myślisz, co powiedziałyby Eliana, gdyby wiedziała, że zamordowałeś jej siostrę?

Krew odpłynęła Gavinowi z twarzy. W świetle lampy wyglądał jak trup.

– Kto ci o tym powiedział?

Jonah wiedział, że musi być ostrożny. Miał tylko jedną kartę. Nie mógł przesadzić.

– Nie pamiętam. Może Wilkes? Gdybyś go nie zabił, mógłbyś sam zapytać.

– Nie pierdol! Wilkes nawet nie wiedział, że jej siostra była w kraju! – Gavin przesunął się na krawędź siedzenia, w zaciśniętej dłoni trzymał pałkę. – Nikt nie wiedział. I nie ma szans, żeby śledczy połączyli te sprawy, więc jak tobie się to udało?

– Dlaczego ją zabiłeś? – drążył Jonah, ignorując jego pytanie. – Jak w ogóle Nadine cię znalazła?

– Gadaj, skąd wiesz, że były siostrami, albo to z ciebie wytlukę.

– Czego się bałeś? Że dowie się, że zmusiłeś jej siostrę, żeby dalej była prostytutką? To za mało, żeby...

Gavin poderwał się i zaatakował. Jonah spróbował się obrócić, ale wypełniona ołowiem skórzana pałka trafiła go w biodro.

– Kto ci powiedział?! – wrzasnął Gavin, biorąc kolejny zamach. – Mów albo cię, kurwa...

– Ona!

Cisza. Gavin stał nad nim, jego pierś unosiła się i opadała. Zbladł.

– O czym ty mówisz?

– Nie zginęła – wydyszał Jonah. – W mieszkaniu było ciało kogoś innego. Brzmi znajomo?

Ręka eksplodowała bólem, kiedy Gavin uderzył ponownie. I jeszcze raz.

– Ostrzegalem cię, ty chuju!

– Widziałem się z nią wczoraj! – wrzasnął Jonah, próbując unikać uderzeń. – Żyje!

Grad ciosów ustał. Jonah wyprostował się ostrożnie. Gavin wciąż trzymał pałkę, ale teraz opuścił rękę, jakby o niej zapomniał.

– Kłamiesz – zareagował odruchowo.

– To skąd bym wiedział, że wyglądała jak Nadine?

Gavin zrobił krok do tyłu. Niemal upadł na siedzenie.

– To niemożliwe, widziałem...

Urwał. Jonah usiadł prosto, trzęsąc się z bólu. Poczł tylko krótkie ukłucie winy z powodu tego, że powiedział Gavinowi o Salim. Zabroniła komukolwiek nie mówić, ale nawet ona nie mogła przewidzieć takiego obrotu spraw.

– Ciało w mieszkaniu nie należało do niej – ciągnął bezwzględnie. – Wszyscy zakładaliście, że to musi być ona, a Wilkes dał dupy przy identyfikacji. Ale ona żyje. Wiem, jak się z nią skontaktować.

Wyraz twarzy Gavina wzbudził w nim dziką nadzieję, lecz także strach.

– Nie. Nie, to... Jak?

Jonah pilnował się, żeby nie spojrzeć na telefon od Salim.

– Uwolnij mnie, to ci powiem.

Gavin zaśmiał się szczekliwie.

– Czy ja wyglądam na debila? Dlaczego nie miałbym po prostu tego z ciebie wydusić?

– Możesz próbować, ale skąd będziesz wiedział, czy kłamię, czy nie? A jeśli mnie zabijesz, nigdy się nie dowiesz.

Jonah czuł, jak wali mu serce. Próbował zachować spokój na pokaz, dając Gavinowi czas do namysłu.

– Nie zamierzam cię puścić – odezwał się ten w końcu. – Obaj wiemy, że to się nie wydarzy, ale proponuję ci układ. Nie zabiłem cię, bo wahałem się w jednej sprawie. Wymienimy się. Ty zdradzisz mi, co wiesz, a ja powiem ci coś w zamian.

Jonah od początku liczył się z tym, że ma marne szanse. Ale tego się nie spodziewał. Pewność Gavina wróciła. Było coś znaczącego, niemal okrutnego w sposobie, w jaki patrzył na Jonaha.

Miał przeczucie, że mogło być już tylko gorzej.

– Co? – zapytał, bojąc się odpowiedzi.

Gavin wyszczerzył się w parodii uśmiechu.

– Wiem, co się stało z Theo.



## Rozdział 34

Uśmiechnięta młoda kobieta kucnęła przy wózku, otulając kocem małą pasażerkę.

– Kto jest śliczną dziewczynką? Tak, ty! Aniołek mamusi.

Mówiła dobrym angielskim z lekkim akcentem. Była atrakcyjna, ale cierpiała na niedowagę, ciemne cienie pod oczami świadczyły o nieprzespanych nocach. Jej ubrania, choć czyste, wyglądały na tanie i znoszone, a znośny z odległości wózek z bliska okazywał się ruiną. Jeździł, ale był zardzewiały, a jedno kółko wciąż skrzypiało i blokowało się co chwila.

Mimo wszystko – sprawdzał się.

W parku nie było wielu osób. Żuł pił na ławce kawałek dalej, zainteresowany tylko swoją butelką. Oprócz nich był jeszcze tylko mężczyzna i mały chłopiec na placu zabaw. Przyglądała im się znad wózka, raz po raz poprawiając koce i kołysząc pluszowego króliczka. Byli tam już jakieś pół godziny, ojciec najpierw huśtał syna na huśtawkach, potem dał się prowadzić kolejno od atrakcji do atrakcji. Radosne okrzyki chłopczyka rozbrzmiewały w zimnym powietrzu, a ciepło uśmiechu jego ojca było zaraźliwe.

Teraz weszli na karuzelę. To znaczy chłopiec wszedł, bo ojciec usiadł tuż obok na ławce. Zabawka kręciła się, skrzypiąc rytmicznie. Kobieta przestała mówić do dziecka, kiedy zobaczyła, jak głowa mężczyzny podnosi się i opada, podnosi i opada. Potem opadła na dobre, a podbródek wbił się w pierś.

Spał?

Rozejrzawszy się, zobaczyła, że druga ławka była już pusta. Pijak gdzieś poszedł. W pobliżu nie było nikogo. Tylko śpiący ojciec i mały chłopiec na zwalniającej karuzeli.

I ona.

Wstała i podrapała się po śladach nakłuć ukrytych pod rękawem kurtki. Kazali jej śledzić, obserwować i zdać raport. Nic więcej. Ale to... to przecież była okazja? To będzie warte więcej niż meldunek, może nawet zasłuży w ten sposób na noc bez pracy na ulicy.

Chłopczyk zszedł z karuzeli i wszedł do tunelu. Kawalek dalej od śpiącego ojca, na krawędzi krzewów. Podenerwowana od adrenaliny i głodu spojrzała na wózek. Martwe oczy pozbawionej życia lalki odwzajemniły spojrzenie.

Podjęła decyzję.

– To był zwykły pech. – Gavin przyglądał się Jonahowi, jakby patrzył na nieprzewidywalne zwierzę. – Ludzie, którzy ją przysłali, nie interesowali się tobą. Może nie pamiętasz, ale prowadziliśmy wtedy połączoną operację z agencją oraz Interpolem, śledztwo dotyczyło martwych nielegalnych imigrantów, których znaleziono na nasypie kolejowym. Wiedzieliśmy, że był w to zamieszany gang miejscowych handlarzy żywym towarem, ale podejrzewaliśmy, że działali z ramienia dużo większej organizacji z Bałkanów. Mieliśmy rację, ale okazało się, że nie tylko my w tym grzebaliśmy. Sukinsyny mieli pod obserwacją cały mój zespół, szukali słabych punktów. Sprawdzali też rodziny i przyjaciół. Czyli ciebie.

Jonah czuł gonitwę myśli. Oświetlona lampą kajuta z drewnianymi panelami na ścianach, siedzący przed nim ogolony na łyso mężczyzna, wszystko wydawało się hiperrealistycznym koszmarem. To się nie działo. Nie mogło.

– Nie – wykrztusił. Tylko że pamiętał młodą matkę. Pamiętał, jak uśmiechnęła się do niego, poprawiając kocyk. – Nie, nie mogła tak po prostu go sobie wziąć. Ludzie by widzieli...

– I widzieli. Monitoring uchwycił ją, jak wychodziła z parku, ale kamery nie złapały tego, co było pod kocami. Nagrano ją wcześniej, jak wchodziła z tym samym wózkiem, więc co w tym podejrzanego? Kolejna młoda matka, która przyszła z dzieckiem do parku. A Owen Stokes nadawał się na podejrzanego o wiele bardziej. Oczywiście próbowali do niej dotrzeć, ale

tylko jako do świadka. Kiedy nie udało im się jej znaleźć, nikt nie widział potrzeby, żeby próbować dalej.

– Nie wierzę ci! – Jonah poczuł uderzenie paniki. – Theo by się opierał albo... albo krzyczał! Cokolwiek! Słyszałbym!

– Ale nie słyszałeś, prawda? – Gavin podniósł butelkę wódki i pociągnął kolejny łyk. Tym razem wolniej, spokojniej, z powrotem kontrolował sytuację. – Złapała go, zanim zdążył krzyknąć. Była ćpunką, myślisz, że czterolatek sprawiłby jej jakiś problem? Jak tylko z nim odeszła, nafaszerowała go towarem, żeby był cicho, i wywiozła go w wózku. Niedaleko parku czekało auto. Zresztą nawet gdyby zaczął się rzucać, kto zwróciłby uwagę na jeszcze jedną umęczoną matkę z wrzeszczącym bachorem?

– Nie! – Jonah miał wrażenie, że ktoś kopnął go w pierś. – Bucik był w kanale...

– Został podrzucony, do kurwy nędzy. Poluzowali kraty już po fakcie, żeby wyglądało, jakby mógł się tam wczołgać.

„Nie, nie, nie...”

– Kłamiesz! Skąd o tym wszystkim wiesz?

– Bo już wtedy mnie szantażowali. Kilka dni wcześniej dostałem anonimowego maila z nagraniem, jak pieprzę jakąś laskę poderwaną w barze. Okazało się, że ją podstawili. Nie dość, że przebywała tu nielegalnie, to jeszcze była nieletnia. Dali mi wybór. Mogłem albo dostawać pięćset co tydzień, albo wysłałoby link do Marie, mojego przełożonego i prasy. Dali mi czas na decyzję do końca tygodnia.

Gavin zrobił przerwę na wódkę. Odstawiając butelkę, pokręcił głową.

– Bóg mi świadkiem, wciąż nie wiem, co bym zrobił, ale nie miałem okazji się dowiedzieć. Ciągle się z tym męczyłem, kiedy Theo zniknął. Nie miałem pojęcia, że maczali w tym palce, ale następnego dnia dostałem kolejny mail. Napisali, że skracają deadline i mam godzinę na podjęcie decyzji. W załączniku było zdjęcie Theo.

Odniosł wrażenie, że w kajucie nagle zabrakło powietrza.

– Wiedziałeś? – wykrztusił Jonah. – Wysłali dowód, a ty, kurwo, nic nie powiedziałaś?

– Niby jak? Jak myślisz, co by ze mną zrobili, gdybym pisał choć słówko? Z moją rodziną?

Jonah spróbował się na niego rzucić, krzyknął i szarpnął więzami krępującymi mu kostki i nadgarstki. Gavin wstał i bez pośpiechu uderzył

pałką w kolano Jonaha. Coś chrupnęło, a oślepiający ból pozbawił go tchu.

– Będziesz grzeczny czy mam poprawić? – zapytał Gavin, stojąc nad nim.

Jonah wciągnął powietrze przez zęby, zaciskając powieki. Ale i tak nie byłby w stanie się teraz odezwać. Chwilę potem Gavin wrócił na swoje miejsce.

– Próbowałem utrzymać go przy życiu – powiedział, jak gdyby nic się nie wydarzyło. – Próbowałem, kurwa, naprawdę. Jeśli uznałbym, że tak będzie łatwiej go wyciągnąć, powiedziałbym ci od razu, ale co by to dało? Nie wysyłali niczego, co dało się namierzyć, a gdybym się odezwał, zabiliby go na pewno. Jezu, myślisz, że nie chciałem? Mogłem zrobić tylko jedną rzecz. Obiecałem, że zrobię, co każą, jeśli go wypuszczą.

Choć działo się to dziesięć lat temu, a Jonah znał zakończenie, kiedy to usłyszał, zorientował się, że wciąż żywi jakąś irracjonalną nadzieję, że jego syn cudem przeżył.

Co było jeszcze bardziej okrutne.

– Ale go nie puścili – odezwał się.

– Nie. – Gavin odwrócił wzrok. – Przysłali kogoś. Do mojego domu. Kobieta wyglądała na taką, co to by muchy nie skrzywdziła. Marie i Dylan akurat byli, więc musiałem udawać, że to z pracy. Powiedziała, że „przynosi wiadomość”, wszystko bardzo oficjalnie i grzecznie. Przepraszyła. Wyjaśniła, że na to, co wydarzyło się w parku, nikt nie wydał zgody, i że osoba za to odpowiedzialna zostanie ukarana. Ale że nie da się tego cofnąć.

Jonah wstrzymał oddech.

– Co znaczy „nie da się tego cofnąć”?

– A jak myślisz? – Gavin wykonał bezradny gest, coś pomiędzy wzruszeniem ramion a przeprosinami. – Gdybym mógł zrobić coś jeszcze, to...

– Co zrobili z moim synem? – Spojrzenie zamgliło mu się od łez. – Zabili go?

– Nigdy nie powiedzieli mi, co dokładnie...

– Zabili go?

– Oczywiście, że go, kurwa, zabili! – wrzasnął Gavin, uderzając pałką w podłokietnik. – Zamilkł, dysząc ciężko, po czym podjął dalej pozbawionym emocji tonem. – Miał cztery lata, co innego mieli zrobić? Ci skurwiele kupują i sprzedają ludzi jak bydło. Myślisz, że obchodziłoby ich dziecko?

Jonah poczuł, jak jego serce gubi rytm, jakby próbowało przestać bić. Wydawało mu się, że był przygotowany. Że już dawno temu zaakceptował, że Theo nie żyje. Ale nie. Fizyczny ból był niczym w porównaniu z cierpieniem wywołanym przez stratę. Zamarł oszołomiony.

– Nie powiedzieli jak, a ja nie pytałem. Ale nigdy by go nie wypuścili, nie po tym, jak ta durna dziwka go porwała. Mógłbym oszczędzić sobie sporo zmartwień, gdyby dotarło to do mnie wcześniej. – Gavin napił się po raz kolejny, po czym podniósł butelkę w geście toastu. – Zadowolony? Chciałeś odpowiedzi, to masz.

Jonahowi wydawało się, że nienawidził Owena Stokesa, ale to było nic w porównaniu z tym, co czuł, patrząc na siedzącego przed nim obcego człowieka. Zaczął zaciekle walczyć z opaską.

– Dziesięć lat – wykrztusił głosem drżącym z emocji. – Wiedziałeś, co się z nim stało, od dziesięciu lat, i nic mi nie powiedziałeś.

– Myślisz, że mnie to bawiło? Życie z czymś takim? Jezu, a jak sądzisz, dlaczego przeleciałem Chrissie? Chciałem, żebyś się dowiedział, bo przynajmniej mógłbym już przestać udawać!

– Ty pierdolony tchórze!

– O, no i zaczynamy! Bo to wszystko moja wina! – Uśmiech Gavina był bezlitosny. – Chciałeś wiedzieć, dlaczego cię w to wszystko wciągnąłem? Proszę bardzo! Nie tylko swoje życie spierdoliłeś! Myślisz, że siedziałbym tutaj, na tej gównianej łajbie, gdybyś nie zasnął i nie pozwolił zaćpanej kurwie porwać twojego syna? To przez ciebie stałem się własnością tych skurwieli! Tańczyłem, jak mi zagrali!

Zimna furia rozchodziła się po ciele Jonaha.

– I dobrze na tym wyszedłeś.

– Odpierdol się! Zasłużyłem na każdego pensa z tej kawalerki! Każdego, kurwa! Jezu, rzeczy, które musiałem... A ty spieprzyłeś nawet to. Prawie milion poszedł się jebać, bo wsadziłeś nos w nie swoje sprawy! A teraz? – Kopnął pogardliwie torbę z laptopem. – Nędzne sto kawałków. I co ja niby mam z tym zrobić?

Jonah miał wrażenie, że ogarnia go nieziemski spokój. Ból w nadgarstkach wydawał się odległy i nieistotny.

– Podaj mi nazwiska.

– Po co, co niby ci to da? – Gavin machnął butelką w jego stronę. – Przecież nic z tym nie zrobisz.

– Więc nie ma powodu, żebyś mi nie powiedział – stwierdził Jonah. W tej chwili nie liczyło się nic innego. – Chcę wiedzieć, kto zabił mojego syna.

Gavin oparł się, udając, że myśli.

– No dobra, pomyślmy. Szefem na miejscu był Lee Sissons, ogarniał interes ze swoimi synami, Patrickiem i Jezem. Rozkaz, żeby cię śledzić, wyszedłby od nich. Tyle że... nie, poczekaj. Zgadza się, zniknął niedługo potem. A jego synowie chwilę później. W zasadzie każdy, kto był z nimi powiązany, albo nie żyje, albo przepadł. W ciągu sześciu miesięcy wszystkie ich biznesy zostały przejęte przez konkurencję. Zabawne, co?

Wódka chlusnęła, Gavin ponownie przechylił butelkę. Spojrzał pogardliwie na Jonaha.

– Kiedy powiedzieli, że ukarzą ludzi odpowiedzialnych za porwanie Theo, nie chodziło im tylko o tę ćpunkę. Uprowadzenie dziecka policjanta nie służy interesom. Bo to o to w tym wszystkim chodzi. Narkotyki, handel ludźmi, prostytutka, cokolwiek – to biznes. Wielki biznes. Ludzie, którzy za tym stoją, nie rządzą jedynie gangami, mają w kieszeni także polityków i bankierów. To międzynarodowy przemysł, gigantyczna machina. A jeśli ktoś sypie im piasek w tryby, zostaje sprzątnięty. Więc jeśli zależy ci na zemście, to się spóźniłeś.

Cokolwiek ich spotkało, nie wystarczyło. Jonah nie czuł satysfakcji, tylko palącą frustrację, że ludzie, którzy zamordowali jego syna, byli poza jego zasięgiem. Z wyjątkiem tego człowieka.

– A co z kobietą, która porwała Theo? – zapytał, nie zwracając uwagi, że krew z nadgarstków spływa mu po dłoniach. – Tą z wózkiem?

– Och, ona była pierwsza. Chcieli uczynić z niej przykład, więc odcięli jej ręce i porzucili w zaułku.

Jonah zamarł, zapominając na chwilę o opasce.

– Jak się nazywała?

– Jej nazwisko nic ci nie powie...

– Ana Dounari?

Zdziwienie Gavina wystarczyło.

– Kto ci powiedział?

Jonah milczał. Nie miał pojęcia, skąd Eliana Salim mogła o tym wiedzieć, ale z jakiegoś powodu wydało mu się to logiczne. Gavin pochylił się do przodu, ściskając pałkę.

– Pytałem, kto ci powiedział?

Jonah spojrział Gavinowi w oczy, szarpiąc się z opaską. „No dalej, skurwielu...”

– Eliana.

– Nie wkurwiał mnie. Nawet jeśli faktycznie żyje, nie ma szans, żeby o tym wiedziała.

– Nie? – Jonah zdobył się na wzruszenie ramionami. – A jednak wiedziała. Powiedziała mi, żebym zapamiętał to imię, ale nie wyjaśniła dlaczego.

– Kurwa, to jest... Kurwa! – Gavin wyglądał, jakby ktoś go uderzył. Poderwał się na nogi i stanął nad Jonahem, gotowy do zadania ciosu. – Gdzie z nią rozmawiałeś?

– Wczoraj dostałem wiadomość, żebym przyszedł wieczorem na Nabrzeże Rzeźników. Nie wiedziałem, od kogo był ten SMS, dopóki nie przyszedłem i się z nią nie spotkałem.

– Więc pojawiła się tak po prostu, znikąd? – Drwiący ton Gavina nie brzmiał już tak pewnie. – Dlaczego miałyby chcieć się z tobą spotkać?

– A jak myślisz? Chciała usłyszeć, jak zmarła jej siostra. – Jonah przesunął się lekko, próbując ustawić się tak, żeby móc podciąć Gavina. Jeśli udałoby mu się go powalić... – Przeszła daleką drogę. Drogie ciuchy, wielkie auto. Opowiedziała mi o was. Jak ją wykorzystałeś.

Skórzana rękawiczka zaskrzypiała cicho, gdy Gavin zacisnął pięść.

– Kłamiesz. Nie powiedziała tak.

– Powiedziała. Dodała również, że przez ciebie każdego dnia żyła w strachu. Dlaczego zmusiłeś ją, żeby wróciła do tych bydlaków? Oni też ci płacili? – Jonah popatrzył na niego z niedowierzaniem. – Płacili ci, tak?

– Mówiłem ci, to biznes – odparł zimno Gavin. – Kiedy przychodzi nowa ekipa, przejmuje wszystkie dostępne zasoby. Byłem jednym z nich.

„Nic dziwnego, że Gavin nalegał, żeby wypuścić Salim tak szybko”, pomyślał Jonah. Wolał nie ryzykować, że opowie komuś o oswojonym detektywie na garnuszku gangu. To dlatego uparł się, żeby być jej prowadzącym, i dlatego woził Wilkesa do pubu i spotykał się z nią sam na sam. W ten sposób mógł kontrolować przepływ informacji między nią a policją.

Tyle że w rzeczywistości niczego nie kontrolował.

– Kawał gnoja z ciebie – powiedział Jonah.

– Taa, no cóż, nie wszyscy są tacy święci jak ty. – Gavin zaczął wystukiwać pałką o nogę szybki, nerwowy rytm. – Nie robiłem tego tylko

dla siebie, opiekowałem się też nią. Myślisz, że nie są w stanie dopaść ludzi w ośrodkach dla imigrantów?

– Jasne, wszystko robiłeś dla niej. Ale ona tak tego nie widziała. Powiedziała mi, że zrobiło jej się niedobrze, kiedy ludzie mówili o tobie jak o bohaterze. Jak myślisz, co powie, kiedy się dowie, że zabiłeś jej siostrę?

Przez chwilę Gavin wyglądał, jakby znowu chciał się na niego rzucić, ale potem złapał butelkę i cisnął nią przez kajutę. Uderzyła w ścianę, ale się nie stłukła, wódka rozlała się po podłodze, butelka z brzękiem upadła na ziemię. W kabinie rozszedł się ostry zapach czystego alkoholu. Gavin stał sztywno pośrodku kabiny i oddychał nierówno, jakby sprawiało mu to ból.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał Jonah.

Gavin posłał mu gniewne spojrzenie, ale nawet to kosztowało go zbyt wiele wysiłku. Osunął się z powrotem na siedzenie.

– Byłem zmęczony. Tak kurewsko zmęczony. Wszystkie te kłamstwa, pierdolony strach. To wszystko mogło pierdolnąć w każdej chwili. To się nie kończyło, ale po dziesięciu latach przeżytych w ten sposób przestaje cię to obchodzić. Albo wydaje ci się, że tak jest. – Wyglądał, jakby kompletnie opadł z sił. Przejechał ręką po twarzy. – Zacząłem popełniać błędy. Przyjmowałem kasę od innych ekip, składałem obietnice, których nie mogłem dotrzymać. A wewnątrzni już się na mnie czaili. Wiedziałem, że to tylko kwestia czasu, kiedy będą mieli na mnie wystarczająco dużo, a wtedy miałbym przejebane. Dopóki na coś się przydawałem, byłem względnie bezpieczny. Nawet sukinsyny pociągające za sznurki zastanowiłyby się dwa razy przed odpaleniem policjanta w czynnej służbie. Ale jeśli któryś się skompromituje, jeśli pomyśla, że może się spruć, to już co innego. Nie mogłem uciec i zostawić Marie i Dylana. Byłem coraz bardziej zdesperowany, a wtedy, na domiar wszystkiego, pojawiła się jej siostra.

– Miała imię – powiedział Jonah. – Nadine.

Gavin rzucił mu krzywe spojrzenie.

– Była zagrożeniem. Myślałem, że Ormianie zabili Elianę, bo dowiedzieli się, że była informatorką. Ale nie wiedzieli o nas. Gdyby mieli pojęcie, że jestem jej prowadzącym, to skończyłbym z poderzniętym gardłem, a fakt, że byłem gliną, nie miałby żadnego znaczenia. A skoro wiedziała o nas jej siostra, to jej gadanie było ostatnim, czego potrzebowałem.

– Jak cię znalazła?



– Nie znalazła. – Spazm bólu przemknął po twarzy Gavina. – Ja znalazłem ją.

Dowiedział się, że ktoś złożył zawiadomienie o zaginięciu Eliany Salim – na szczęście, zanim ktokolwiek się tym zainteresował. Morderstwo Salim było starą sprawą, która kurzyła się przez lata kompromitacji. Nie było do powiedzenia nic poza tym, że zaginiona kobieta była tą, której ciało znaleziono w kawałkach kilka lat temu. Ale Gavin miał własne powody, żeby unikać wszelkich niezręcznych pytań. Wyciągnął zgłoszenie, żeby zobaczyć, kto je złożył.

Doktorant z Kenii, Daniel Kimani.

– Nazwisko nic mi nie mówiło, więc poszedłem z nim pogadać – opowiadał Gavin, rozwalony na siedzeniu. – Razem z kilkoma studentami wynajmowali dom w Nothing Hill. Typowy student. Złożył zawiadomienie w imieniu przyjaciółki, ale nie powiedział kogo. Zastanawiałem się, jak mocno mogę go przycisnąć, kiedy drzwi się otworzyły i do środka weszła siostra Eliany.

Gavin zamknął oczy na to wspomnienie. Pokręcił głową.

– Jezu Chryste, kiedy ją zobaczyłem, myślałem... Tak czy siak, musiała wiedzieć, jak wyglądam, bo patrzy na mnie i mówi: „To ty, prawda?”. Okazało się, że Eliana pisała jej o detektywie, którego poznała. – Rzucił Jonahowi krzywy uśmiech. – No i tyle. Wjechałem się. Przebywała tu nielegalnie, więc musiała iść do Kimaniego, żeby zgłosił zaginięcie za nią. Ale kiedy zacząłem z nimi rozmawiać, okazało się, że nie wiedzieli nic, czym powinienem się martwić. Gdybym odpuścił, nigdy nie zaszliby dalej. Ale skoro wiedzieli, kim byłem, musiałem coś zrobić.

– Więc ich zabiłeś. – Jonah nie próbował nawet maskować obrzydzenia w swoim głosie.

– Powtarzam, musiałem zniknąć. A kiedy zobaczyłem Stokesa, wszystko w sumie ułożyło się w logiczną całość.

„Ułożyło w logiczną całość. Każde życie”, pomyślał Jonah, wciąż walcząc z opaską.

– A co z tym drugim facetem? Kim on był?

Dziwnie tajemnicza mina przemknęła po twarzy Gavina.

– Jakiś bezdomny, którego znalazłem w uliczce. Ktoś, za kim nikt nie zatekni. Jeśli byłaby ich tylko dwójka, wydawałoby się to podejrzane. Nie mogłem do tego dopuścić. Wszystko musiało wyglądać tak, jakby byli przypadkowymi ofiarami.

Więc znalazł sobie jeszcze jedną ofiarę. Jonah myślał, że już nic go nie zdziwi, ale jednak się pomylił. Wykorzystał to jako impuls i zacisnął zęby, kiedy plastik werznął się głębiej w jego ciało. Opaska zaczęła się o fałd skóry z podstawy jego dłoni. Jeśli udałoby mu się ją wyszarpnąć, mógłby uwolnić rękę.

Ale Gavin właśnie się podniósł. Wydawał się spokojniejszy. Poszedł po butelkę i sprawdził, ile wódki zostało w środku.

– Wiesz, przez tyle lat zastanawiałem się, czy ci o tym powiedzieć – podjął po tym, jak napił się wódki. – Zastanawiałem się, jakie to byłoby uczucie wyrzygać z siebie to wszystko. Dlatego cię ocuciłem. Wciąż się wahałem, ale to była kwestia teraz albo nigdy. I wiesz co? Nie ma, kurwa, różnicy.

Opróżniwszy butelkę, odstawił ją na podłogę. Podszedł bliżej, pałka zwisała mu z ręki.

– Powiedz mi, jak znaleźć Elianę.

– Nie, dopóki...

Pałka wbiła się w udo, zanim Jonah zdążył się poruszyć. Zawył, spróbował podciąć Gavina, ale na próżno. Gavin z łatwością wykonał unik, po czym zaatakował go ponownie – wypełniona ołowiem skóra trafiała w mięśnie i kości, wywołując tępy ból.

– Dobra! – krzyknął Jonah. – Jej numer jest w telefonie. Tym małym!

Gavin się zatrzymał. Spojrzał na dwa telefony leżące na torbie na laptopa. Na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju strachu.

– Jeśli to podstęp...

Jonah zwiesił głowę.

– Nie. Jest tam tylko jeden numer.

Patrzył, jak Gavin podchodzi do telefonu. „No, zadzwoń do niej”. Nie miał pojęcia, jak Salim mogłaby mu teraz pomóc, nawet gdyby chciała. Ale Jonah miałby dziką satysfakcję, gdyby dowiedziała się, że Gavin żyje.

Potrafiłaby sama dopowiedzieć sobie resztę.

Gavin podniósł telefon, jakby się go bał. Spojrzał niepewnie na Jonaha.

– Skąd mam wiedzieć...

Ale zanim dokończył zdanie, z drugiego końca kajuty dobiegł ich jakiś dźwięk. Jonah wyjrzał zza Gavina i poczuł, jak zamiera mu serce.

W drzwiach stała córka Chrissie.

Włosy miała potargane od snu i przyglądała im się dużymi, rozkojarzonymi oczami.

– Gdzie mamusia? – wymamrotała.  
Gavin wpatrywał się w dziewczynkę, a na jego twarzy odmalowało się przerażenie. Zwiesił ramiona.  
– Ech, kurwa.  
Jonah poczuł nagle, przejmujące zimno.  
– Gavin, nie...  
– Gdzie mamusia? – powtórzyła dziewczynka, przecierając oczy.  
– Już w porządku, kochanie. – Gavin wsunął pałkę i telefon Salim do kieszeni, po czym podszedł do niej. – Coś ci się przyśniło.  
– Chcę do mamusi...  
– Ćśśś, już dobrze. Damy ci szklankę mleka i położymy z powrotem spać.  
– Nie, proszę! – zawołał Jonah, gdy Gavin wziął ją na ręce. Dziewczynka nie stawiała oporu i wtuliła się sennie w jego ramię. – Nie musisz tego robić! Nie będzie niczego pamiętać.  
– A ty musisz być cicho – odezwał się Gavin, zabierając również telefon Jonaha. – Nie utrudniaj tego jeszcze bardziej.  
– Proszę! Wciąż możesz je puścić – błagał Jonah. Gavin zignorował go i zatrzymał się przy zlewie, żeby sięgnąć po karton mleka. – Czekaj...!  
Ale Gavin już wyniósł dziewczynkę z kajuty i zamknął za nimi drzwi.

## Rozdział 35

Jonah szarpnął elastycznymi opaskami wokół nadgarstków i kostek, jak tylko odgłos kroków zniknął w korytarzu. Potem rozległo się skrzypnięcie zamykanych drzwi, a potem... nic. Cisza, jedynie woda uderzała o burtę. Gavin położył córkę Chrissie w jednej z kajut, domyślił się. A potem co? Więcej mleka z narkotykiem, tym razem ze śmiertelną dawką? Udusi je? Teraz, kiedy dziewczynka widziała jego twarz, nie wypuści ani jej, ani jej brata.

Jonah nie mógł na to pozwolić.

Zmusił się do uspokojenia oddechu. Nabierając powoli powietrza, próbował zwalczyć narastającą panikę. „No dalej, nie leż tak!” Nie miał zbyt wiele czasu do powrotu Gavina, a musiał wyzwolić się z więzów. Rozejrzał się za czymś, czym mógłby je rozciąć. Butelka wódki leżała na siedzeniu, ale nawet gdyby udało mu się ją rozbić, Gavin by go usłyszał. Przy zlewie musiały być przecież jakiś nóż albo nożyczki. Jonah zaczął przesuwając się po podłodze na drugi koniec kajuty. Próbował odpychać się zdrową nogą, ale ponieważ kostki miał spięte razem, nie mógł nie zginać rannego kolana. Każdy ruch przeszywał kończynę ostrym bólem, przez co posuwał się do przodu bardzo wolno. Jak tak dalej pójdzie, Gavin wróci, zanim w ogóle tam dotrze. Zresztą nawet jeśli nie, Jonah i tak musiałby jeszcze dźwignąć się z podłogi, żeby przeszukać szuflady. Zacisnął zęby, nie chcąc się poddać, i czołgał się dalej obok zamontowanego siedzenia. Na podłodze wały się puszki po piwie.

Zatrzymał się, kiedy coś do niego dotarło.

„Idiota”.

Obróciwszy się, Jonah chwycił leżącą za jego plecami puszkę. Z dłońmi związanymi i śliskimi od krwi było to mało wygodne, ale udało mu się ją podnieść. Gavin zgniótł ją wcześniej praktycznie na płasko. Ściskając puszkę mocno, Jonah zaczął ją wykręcać.

Cienkie aluminium napięło się, a potem wygięło jak papier, ale uparcie nie dawało się rozerwać. Nasłuchując dźwięków dobiegających z przejścia, szarpnął mocniej. „No dalej, dalej...!”

Puszka pękła.

Ostra krawędź przecięła palce Jonaha, a po nadgarstkach spłynęła świeża krew. Nie dbał o to, zależało mu tylko na tym, żeby mieć coś ostrego. Z trudem wygiął dłoń tak, żeby zaczepić puszkę o plastik, który napiął się jak struna od gitary. Przeciągał rozerwaną krawędzią w przód i w tył po opasce. „Tnij, ty kurwo! Dlaczego nie...”

Więzy puściły.

Kiedy sięgnął niżej, żeby przeciąć opaskę krępującą mu kostki, z przejścia dobiegł dźwięk zamykanych drzwi.

„Cholera”.

Piłował wściekle, ostry metal rozciął mu palce. Opaska puściła z raczej odczuwalnym niż słyszalnym trzaśnięciem. Nigdzie nie widział kul, ale nie miał czasu ich szukać. Oparł się na siedzeniu i zaczął podnosić się z ziemi. Spodziewał się, że drzwi do kajuty otworzą się w każdej chwili.

Zamiast tego za ścianą rozległ się głuchy dźwięk strumienia.

Gavin poszedł się załatwić.

Jonah przez tyle czasu był związany, że kiedy spróbował stać prosto, nawet zdrowa noga wydawała się odrętwiała i słaba. Łódź kołysała się delikatnie, co dodatkowo utrudniało utrzymanie równowagi. Wsparty na siedzeniu, rozejrzał się w poszukiwaniu broni. Na pobliskiej półce stała ciężka szklana popielniczka. Złapał ją, wysypał zawartość na wykładzinę i praktycznie skacząc na jednej nodze, ruszył do wejścia. Nie mógł stanąć na rannym kolanie, ale jeden zamach musiało wytrzymać. Jeśli trafi, nie będzie to miało żadnego znaczenia. Jeśli nie...

Wtedy też nie będzie miało.

Usłyszał ruch w korytarzu, tuż za drzwiami. Przypadł plecami do ściany i podniósł popielniczkę.

Na zewnątrz nastąpiła cisza.

Przez sekundę nic się nie działo, a potem nagle stracił oddech. Drzwi od kajuty uderzyły w niego, przyszpilając go do ściany. Uwolnił się i napał na

nie całym swoim ciężarem. Z drugiej strony dobiegło go przekleństwo. Korzystając z tego, że Gavin nie odzyskał jeszcze równowagi, odepchnął drzwi i zamachnął się popielniczką. Trafił prosto w szczękę, zachwiał się. „Tak!” Czując dziką euforię, uniósł broń i zrobił krok do przodu, żeby to zakończyć.

I wtedy jego kolano nie wytrzymało.

Runął na drzwi i wypuścił popielniczkę, a Gavin rzucił się na niego. Upadli na podłogę, Jonah próbował jeszcze się odepchnąć, ale w głowę uderzyło go coś ciężkiego. Pomieszczenie wydało mu się rozmazane i pochylone... kolejny cios pozbawił go władzy w kończynach. Czuł się nieważki i oderwany, ledwie świadomy tego, że ktoś przewrócił go na brzuch. Wdychał pył i okruchy ze szczeciniastej wykładziny.

– Nieźle, ale słyszałem cię wcześniej. – Głos Gavina zdawał się dobiegać z bardzo daleka. Jonah poczuł, jak szarpnięciem splata mu ręce za plecami. – Bolało jak skurwysyn, więc myślę, że nie będziemy już ryzykować.

Nie poczuł nic, kiedy Gavin znowu skrępował mu nadgarstki, ani kiedy przetoczył go na plecy tak, żeby leżał na dłoniach. Kątem oka zobaczył, jak Gavin odchodzi i schyla się po coś. Usłyszał cichy dźwięk rozdzierania, po czym Gavin wrócił.

W rękę trzymał plastikowy worek do zamrażarki.

Przezroczyta warstwa przysłoniła kajutę, worek zsunął mu się na oczy. Gavin i sufit nad nim byli już tylko błękitnawym koszmarem. Naciągnięty na twarz plastik wydał się i zaparował od razu, jak tylko wypuścił powietrze.

Ale kiedy próbował go nabrać, niebieska folia przykleiła się do ust i nosa.

„Nie!” Miotał się i wierzgał, walcząc o oddech, przez co plastik jeszcze ciaśniej przyległ do jego twarzy. Płuca kurczyły się i paliły. Szarpnął się gwałtowniej, kiedy poczuł, jak worek zaciska mu się na szyi, a w zamknięciu dźwięk nagle przeszedł w szum podobny do tego słyszanego w muszli. Gdzieś z bardzo daleka dobiegł go trzask taśmy, a potem niewyraźna sylwetka Gavina pochyliła się nad nim ponownie.

Ale nagle mężczyzna zamarł. Przez zasnutą parą plastik dostrzegł, jak Gavin odwraca się w stronę wejścia. Po chwili poczuł, jak łódź przechyla się na jedną stronę jakby przyciskana do dołu.

– O chuj tu...?

Gavin puścił go, wstał. Jonah pochylił podbródek, gorączkowo próbując poluzować worek zaciśnięty wokół jego gardła. Starając się wydostać usta na zewnątrz, usłyszał krzyk w korytarzu.

– Kim ty, kurwa...?

Głos Gavina umilkł. Z przejścia dobiegł Jonaha dźwięk szamotaniny, łódź rozkołysała się, bójka sprawiła, że woda z głuchym pluskiem zaczęła rozbijać się o burtę. Jonah usłyszał gwałtowne sapnięcie, a potem przejmujące uderzenie.

Nastała cisza.

Woda uspokoiła się, łódź przestała się kołysać. Jonah leżał nieruchomo, nasłuchując. Chociaż udało mu się poluzować worek, plastik tłumił inne odgłosy, zwielokrotniając przy tym jego oddech. Folia raz po raz zachodziła mgłą i w którymś momencie w zasadzie poczuł, a nie usłyszał, jak ktoś wszedł do kajuty. Dostrzegł rozmazaną postać. Miał wrażenie, że ubrana była w ciemny płaszcz, ciemniejszy od kurtki, którą nosił Gavin. Nowo przybyły poruszał się praktycznie bezgłośnie, ale Jonah czuł, jak łódź przechyla się i kołysze pod ciężarem obcego.

– W drugiej kabinie jest dwójka dzieci, potrzebują pomocy – wysapał ochrypłym głosem. – Sprawdź, czy nic im nie jest. Proszę!

Podłoga zaskrzypiała, przybysz stanął nad nim. Nawet przez zaparowaną folię widział, że był wysoki i potężnie zbudowany. Dotarł do niego cichy, podobny do szeptu dźwięk. Nie odzywał się więcej, praktycznie bał się oddychać.

Po chwili postać odsunęła się po cichu. Jonah wyteżył słuch, żeby usłyszeć coś poza swoim chrapliwym oddechem i waleniem serca. Przybysz wyszedł na korytarz i nagle Jonah poczuł, że bardzo, ale to bardzo nie chce, żeby ten ktoś zbliżył się do bliźniaków. „Nic tam dla ciebie nie ma. Proszę, po prostu odejdź”.

Nie usłyszał otwieranych drzwi, tak jak wtedy, kiedy Gavin zaniósł dziewczynkę z powrotem do łóżka. Zamiast tego dobiegały go dźwięki, których nie umiał zidentyfikować. Cichy szmer i delikatne uderzenie. Łódź znowu zaczęła się kołysać, tym razem łagodniej, a obcy wszedł po schodach. Chwilę później Jonah poczuł powiew zimnego, pachnącego wilgocią powietrza, po którym nastąpiło przytłumione kliknięcie zamykanych drzwi.

I cisza.

Leżał tak przez chwilę, dla pewności, po czym zaczął pocierać głową o wykładzinę, żeby ściągnąć worek. Stracił trochę włosów i dorobił się otarć, ale w końcu udało mu się wydostać twarz z folii. Mokry od potu i pary, łapał oddech potężnymi haustami. Przetoczył się na bok, żeby wyjrzeć przez otwarte drzwi.

Nigdzie nie było Gavina.

Jonah wciąż miał skrępowane ręce, ale na szczęście nie nogi. Przeczółgał się przez kajutę, oparł się o ścianę i spróbował się podnieść. Skupiony na konieczności odnalezienia bliźniaków, omal nie zauważył małego przedmiotu leżącego na poduszce siedzenia.

Jego telefon.

Przecież widział, jak Gavin schował go do kieszeni. Ktokolwiek wszedł na pokład, musiał go tu zostawić, ale Jonaha to nie obchodziło. Rozerwana puszka, za pomocą której rozciął opaskę, wciąż leżała na podłodze, błyszcząca i pokrwawiona. Schylił się, żeby ją sięgnąć – kolano rwało go niemiłosiernie, a głowa niemal eksplodowała. Ręce trzęsły mu się tak, że ledwie był w stanie utrzymać puszkę. Ściskając ją jak najmocniej, zaczął na oślep przecinać opaskę.

Wydawało mu się, że tym razem trwało to dłużej, ale w końcu uwolnił dłonie. Kiedy podniósł telefon, żeby wybrać numer alarmowy, ręce miał odrętwiałe, a palce śliskie od krwi. Włączył tryb głośnomówiący, dźwignął się na nogi i utykając, ruszył w stronę drzwi. Po pierwszym sygnale zidentyfikował się jako funkcjonariusz policji i podał tyle szczegółów, ile mógł. Żeby nie stracić równowagi, oparł się o ścianę, a przy każdym mozolnie stawianym kroku coś zgrzytało mu w kolanie. Nie znał dokładnego położenia łodzi i mógł opierać się tylko na tym, co powiedział Gavin – przybili do brzegu jakieś pięćset metrów od Nabrzeża Rzeźników.

Ale potrzeba odszukania bliźniaków sprawiała, że nic innego się nie liczyło. Idąc przez korytarz, zostawiał na ścianach krwawe odciski dłoni. Mniej więcej w połowie drogi zobaczył, że jedna z drewnianych płyt została zniszczona. Na wysokości głowy znajdowało się wgniecenie, a rozbite w drzazgi drewno połyskiwało od uderzenia. Mocnego. Na ten widok Jonah przypomniał sobie dźwięki szarpaniny i głuche rąbnięcie, którym się zakończyła.

Ruszył dalej. Jezu, ledwo trzymał się na nogach. Łódź była większa, niż się spodziewał, w pewnym momencie korytarz zakręcał ostro. Otwierał każde drzwi i zaglądał kolejno do spiżarki, ciasnej toalety i pustej kajuty.



Operator wciąż powtarzał coś o wyjściu na pokład i szukaniu oznak charakterystycznych.

– Co...? – Miał problem ze zrozumieniem go.

Trudno było skoncentrować się na cichym głosie. Trudno było w ogóle się skoncentrować. Ból rozsadzał mu czaszkę, a kołysanie barki tylko pogarszało sprawę. Gdy otworzył kolejne drzwi, kompletnie zapomniał o mówiącym do niego głosie.

W kabinie było ciemno i duszno od smrodu niepranej pościeli. Zastony zaciągnięto, ale światło z korytarza padło na dwie nieruchome sylwetki na kojach. Jonah zamarł w drzwiach, bojąc się wejść do środka. Zdał sobie sprawę, że wstrzymuje powietrze, nasłuchując dźwięku ich oddechów. Ale w kajucie panowała cisza.

Głos dobiegający z telefonu robił się coraz bardziej natarczywy, więc schował komórkę do kieszeni. Od razu lepiej. Wsunął się do środka, ręką wymacał włącznik światła. Światło zalało kabinę, rażąc go w oczy i powodując kolejny ból głowy.

Na kojach leżały dzieci Chrissie.

Wydawały się takie małe. Leżały nieruchomo na plecach. Oczy miały zamknięte, a w górnym świetle ich twarze wyglądały na nienaturalnie spokojnie i blade. Na niskiej szafce, obok dwóch obtłuczonych kubków, stał pusty karton po mleku. „Nie”, pomyślał Jonah, przekrzykując głośne buczenie w głowie. „Nie, nie, nie...”

Cały ból i poczucie straty, które czuł po zniknięciu Theo, zdawały się kumulować i krystalizować w tej jednej chwili. „Jezu, tylko nie to, nie znowu...” Jonah zamarł, myśląc gorączkowo, czy powinien sprawdzić impuls. Ale ręce miał całe we krwi i nie chciał dotykać nimi dzieci. Wiedział, że było coś, co powinien zrobić, coś więcej, ale nie potrafił...

Dziewczynka jęknęła i przewróciła się na drugi bok.

Jonah musiał przytrzymać się krawędzi koi. Przez łzy dostrzegł również, jak szyja chłopca pulsuje mocno i regularnie. Z gardła wyrwał mu się śmiech, który bardziej przypominał jednak szloch – nabrzmiewający od rozpaczony wrzód został nagle przecięty. Kiedy ogarnęła go ulga, miał ochotę osunąć się na podłogę, ale wiedział, że nie może sobie na to pozwolić. Ponad bólem i szumem w głowie przypomniał sobie o przytłumionym głosie, cichym, ale uporczywym. Na początku nie umiał go zlokalizować, ale potem wszystko sobie przypomniał.

„A, no tak...” Niezgrabnym, nieskoordynowanym ruchem wyjął telefon z kieszeni. Głos od razu głośniej zapytał, co się dzieje, i znowu kazał mu wyjść na pokład. Spojrzał po raz ostatni na śpiące dzieci, nieświadome ani łez spływających mu po twarzy, ani jego uśmiechu. Odwrócił się i z mozołem ruszył korytarzem w stronę schodów.

– Daj mi chwilę – odpowiedział głosowi.

## Rozdział 36

Kota nie było, choć po ziemi walały się jeszcze poobgryzane resztki jedzenia. Obok leżało również coś małego i przeżutego, co trudno było zidentyfikować. Z wyglądu przypominało głowę szczura.

„Nieźle”.

Stojąc na krawędzi kei, Jonah zmrużył oczy, chroniąc je od zimowego słońca odbijającego się od powierzchni wody. Barka uderzała o mniejsze jednostki, a przysłonięte wodorostami opony na burtach protestowały głośnym skrzypieniem przy każdym otarciu. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że wciąż ma jeszcze pół godziny do zabicia. Odwrócił się tyłem do rozkołysanych łodzi i dokuśtykał do brukowanego fragmentu nabrzeża. Aluminiowa laska była lepsza od kul, ale cieszył się, że już niedługo się jej pozbędzie. Chociaż fizjoterapeuci nalegali, żeby korzystał z niej jeszcze przez kilka kolejnych tygodni, powoli próbował radzić sobie bez niej. Na razie tylko na krótkich odcinkach, ale jeszcze się nie przewrócił.

Postęp. Tak jakby.

Kolano wciąż go bolało i ostrzeżono go, że nie odzyska pełnej siły ani mobilności. Ale ostatnia operacja poszła lepiej, niż się spodziewano. Pałka strzaskała gojącą się kość, której fragmenty dostały się do już wcześniej uszkodzonej tkanki miękkiej. Jedynym wyjściem była wymiana rzepki, natomiast na poważne urazy ścięgien i więzadeł miały pomóc czas i ćwiczenia. W najbliższym czasie – jeśli w ogóle – raczej nie będzie mógł biegać i prawdopodobnie zawsze będzie nieco utykał. Ale mógł z tym żyć.

Uczył się żyć z wieloma rzeczami.

Wiele zmieniło się w ciągu kilku tygodni od porwania bliźniaków. Po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu Jonah nie był już policjantem. Któregoś dnia obudził się z myślą, że ten etap dobiegł końca, i kilka godzin później złożył rezygnację. Zdecydował się na jednorazową wypłatę zaległego wynagrodzenia, a po dodaniu tej sumy do odszkodowania i ubezpieczenia, które mieli mu wypłacić, okazało się, że jeszcze nigdy nie był w tak korzystnej sytuacji finansowej.

Teraz musiał tylko wymyślić, co z tym zrobić.

Jedną z pierwszych rzeczy było znalezienie nowego mieszkania. Od momentu, kiedy zasadzka nastoletnich zbirów została udaremniona przez policyjną akcję, nie miał z nimi żadnych problemów. Ale kiedy wchodził do budynku i z niego wychodził, czuł się, jakby go obserwowano. To mogła być paranoja, ale męczyło go ciągłe oglądanie się przez ramię. Nie mógł tak dłużej żyć.

Zanim podjął decyzję, omówił ją z Milesem. Spotkali się w Hammersmith, na tydzień przed wygaśnięciem umowy najmu. Z powodu choroby Penny Miles zdecydował się zamknąć grupę wsparcia.

– To smutne, bo pomogła wielu osobom – powiedział Miles, nalewając herbaty do kubków. – Nic nie trwa wiecznie. Cieszymy się tym, co mamy, potem ruszamy dalej. Na tym polega życie.

Zza okularów patrzyły na niego bystre oczy. Podał Jonahowi kubek.

– Wyglądasz lepiej niż ostatnio.

– Kolano się goi, a głowa już mi tak nie dokucza.

– Nie o to mi chodziło. – Zmrużył oczy. – To zaskakujące, co może pomóc nam wyjść na prostą, prawda?

Jonah opuścił wzrok.

– Ja nie...

Miles uniósł brwi.

– Nie wierzysz, że masz prawo czuć się lepiej? Nie chcesz zawieść Theo?

Jonah przytaknął. Odchrząknął.

– Chyba tak.

– Nigdy nie wierzyłem w samobiczowanie. A zaakceptować nie oznacza zignorować. Ani zapomnieć. – Uśmiech był ciepły i pełen zrozumienia. – Dopóki jesteśmy na tym świecie, mamy obowiązek żyć dalej. To dlatego cieszę się, że wyprowadzasz się z tego mieszkania. To znak, że jesteś gotów na zmianę. Powinieneś z tego skorzystać

– Nie wiem... – Jonah wciąż nie był przekonany. – To miejsce tak samo dobre jak każde inne.

– Czyli niewystarczająco dobre. – Miles przełamał markizę na pół. – Podaj mi za i przeciw.

Przeciw: niedziałające windy, lokalizacja, która już mu nie odpowiadała, głośni sąsiedzi i ryzyko, że zostanie napadnięty, jak tylko wyjdzie przed blok.

– A za? – dopytywał Miles.

Choć Jonah bardzo się starał, nic nie przychodziło mu do głowy.

Doszedł do ogrodzenia otaczającego stary magazyn. W środku coś zaczynało się dziać. Cały budynek obstawiono rusztowaniami, które przypominały olbrzymią klatkę. Nowa folia zastąpiła poprzednie strzępy, a plastik falował poruszany delikatną bryzą. Na ten widok Jonah poczuł krótki ucisk w piersi, jakby na moment stracił oddech. Ale wrażenie zniknęło tak szybko, jak się pojawiło.

Przed magazynem wystawiono nowy billboard z optymistyczną architektoniczną wizją „nowej atrakcji” złożonej ze sklepów, barów i restauracji. Projekt nazywano teraz Nabrzeżem Rybaków, ale zmiana nazwy nie mogła zatrzeć przeszłości. Śledztwo pozostawało otwarte pomimo wydarzeń na łodzi. Albo właśnie z ich powodu. Tak jak Jonah się spodziewał, Fletcher podszedł do jego historii sceptycznie.

– Więc chcesz powiedzieć, że to McKinney, a nie Owen Stokes. Nabrzeże Rzeźników, Corinne Daly, porwanie bliźniaków twojej byłej, McKinney stał za wszystkim.

– Zgadza się – odpowiedział mu Jonah.

Leżąc w szpitalnym łóżku ze zmiążdżonym kolanem i świeżo ogoloną oraz pozszywaną głową, przeżywał koszmarne *déjà vu*. Inspektor otarł chusteczką zażawione oko.

– I wtedy, kiedy akurat miał zabić również ciebie, ktoś spokojnie wszedł na łódź, jak utrzymujesz. Zabił lub unieszkodliwił McKinneya, a potem razem z nim magicznie rozpląnął się w powietrzu. Zostawiając ciebie, dzieciaki i sto kawałków okupu. A ty ani nie wiesz dlaczego, ani nie widziałeś, kto to był.

Jonah ponownie przytaknął.

– Żarty sobie stroisz?

Trudno było stwierdzić, co bardziej rozwścieczyło Fletchera: myśl, że Jonah mógł coś takiego wymyślić, czy możliwość, że była to prawda. Inspektor nie omieszkał skomentować – głośno i dobitnie tego, że już po raz drugi ciało Gavina zniknęło, a Jonah był jedynym świadkiem.

Ale nawet Fletcher nie mógł kłócić się z dowodami. Choć po Gavinie nadal nie było śladu, miejsce zdarzenia opowiadało jasną historię. Kiedy tamtej nocy Jonah wy dostał się na pokład, zobaczył, że łódź przycumowano do betonowego pomostu przed ciągiem budynków przemysłowych. Opisał teren operatorowi, ale do tego czasu zdążyli już namierzyć jego telefon. W ciągu kilku minut usłyszał nad głową policyjny helikopter, który oświetlał sobie drogę reflektorem. Niedługo potem obok zacumowała jednostka wodniaków, a w okolicy zaroilo się od radiowozów. Wciąż senne bliźniaki zapakowano do karetki, ale ratownicy twierdzili, że ich stan jest dobry. Albo Gavin zdecydował się odłożyć na później to, przed czym nawet on się wzdragał, albo zmienił zdanie.

Jonah miał nadzieję, że to drugie.

Tym razem śladów obecności Gavina było więcej niż wtedy w magazynie. Wgniecenie w drewnie, które Jonah widział w korytarzu, kształtem odpowiadało wgnieceniu po czaszce. Analiza skóry i krwi wykazała zgodność z DNA Gavina, które wraz z jego odciskami znaleziono na całej łodzi. Dowody jasno wskazywały na to, że mieszkał na łodzi, poruszał się po rzece głównie w nocy i ukrywał się w mniejszych przystaniach.

Jego odciski oraz DNA znaleziono również w dostawczaku, którego użył do porwania bliźniaków. Auto stało zaparkowane niedaleko moła, obok wypożyczonego volvo Jonaha. Kiedy Jonah był nieprzytomny, Gavin zawiózł go na łódź, a ciało Wilkesa zostawił w jego własnym samochodzie na Nabrzeżu Rzeźników, żeby tam je znaleziono.

Mimo to bez ciała Gavina Fletcher nadal mógł się upierać, że to nie wystarczyło, by potwierdzić wersję Jonaha. Ale w policyjnym nalocie odzyskano laptop, który Dylan sprzedał swojemu dilerowi. Twardy dysk był nietknięty, a w historii wyszukiwania zapisała się strona serwisu randkowego, w którym Gavin namierzył sobowtóra znalezionego przez Jonaha w magazynie. Mężczyzna był trzydziestoosmioletnim agentem nieruchomości, nazywał się Neill Davison i zaginął po tym, jak oznajmił przyjacielom, że idzie na randkę z człowiekiem, którego poznał w sieci. Podobieństwo do Gavina było jedynie powierzchowne – zbliżone wiek,

wzrost i budowa ciała, obydwaj mieli ciemne kręcone włosy. Ale gdy leżał twarzą do ziemi w ciemnym magazynie, pokryty krwią Gavina, w jego ubraniach, zegarku i obrączce – to wystarczyło.

Nie powstrzymało to oczywiście złośliwych uwag Fletchera.

– Nie za dobrze świadczy to o twojej spostrzegawczości. Myślałem, że to był twój przyjaciel?

– To nie ja potwierdziłem jego DNA – odgryzł się Jonah.

Czyli remis.

Jeśli w opowieści Jonaha był jakiś aspekt, w którego kwestii inspektor był szczególnie podejrzliwy, to stwierdzenie, że nie wiedział, kto wszedł na łódź i uratował mu życie. Fletcher wracał do tego raz po raz, próbując znaleźć lukę w opowieści Jonaha.

– Więc nie przyjrzałeś mu się?

– Miałem plastikowy worek na głowie. Próbowałem się nie udusić.

– A on nic nie powiedział? Nic, co wskazywałoby, kim ani dlaczego tam był?

– Nie, ale Gavin wkurzył niebezpiecznych ludzi. Musieli go dorwać.

Fletcher przyglądał mu się uważnie, próbując przyłapać go na kłamstwie.

– To czemu nie wziął pieniędzy z okupu? Dlaczego zostawił sto koła?

– Nie wiem. Może nie wiedział, że tam były.

– Czyli to po prostu szczęśliwy zbieg okoliczności, że ten ktoś pojawił się właśnie wtedy? Uratował ci tyłek, a potem wyszedł jak gdyby nigdy nic?

– Na to wygląda. Mogę powiedzieć jedno: ja go nie zapraszałem – skwitował Jonah.

Teoretycznie była to prawda. Jonah nie wiedział, kim był intruz, nie w stu procentach. Ale pamiętał, jak łódź przechylała się, kiedy był na pokładzie, i dobiegające z powierzchni głucho kroki. Kiedy postać weszła do kajuty, zdobył pewne wyobrażenie na temat jej wzrostu i masy; w dodatku tak szybkie pokonanie Gavina wymagałoby przerażającej siły. Jonah pamiętał, jak się czuł, leżąc bezradnie na podłodze, pewny, że jego życie wisiało na włosku. Pamiętał również ciche stukanie, gdy rozmazana sylwetka stanęła nad nim. Kiedy on walczył o przetrwanie, przybysz spokojnie wysyłał SMS-a. Jonahowi przychodził do głowy tylko jeden powód.

Pytanie o dalsze rozkazy.

Nie miał pewności, w jaki sposób ochroniarz Eliany Salim go znalazł ani dlaczego zainterweniował akurat w tym momencie. Ale zainstalowanie aplikacji śledzącej w telefonie, który mu dała, było stosunkowo proste. Aparat zniknął razem z Gavinem, więc Jonah mógł się jedynie domyślać, że zaprogramowanie mikrofonu do prowadzenia zdalnego nasłuchu również nie powinno nastręczyć nikomu trudności. Salim mogła usłyszeć każde słowo Gavina i kazać ochroniarzowi wkroczyć do akcji. Tak samo jak kazała mu zostawić telefon Jonaha, żeby ten mógł zadzwonić po pomoc dla bliźniaków. Nie wiedział, czy Gavin żył, kiedy ochroniarz wynosił go z łodzi, ale po spotkaniu z Salim odniósł wrażenie, że raczej tak. Życzyłaby sobie, żeby morderca jej siostry został pojmany żywcem.

Zwłaszcza kiedy dowiedziała się, kim był.

Fakt, że w ogóle nie wspomniał o Elianie Salim ani jej ochroniarzu, nie dawał mu spokoju. Ale za każdym razem, kiedy kusiło go, żeby powiedzieć o nich Fletcherowi, dochodził do tych samych wniosków. Nie miał dowodów na to, że Salim żyła ani że to, co mu powiedziała, było prawdą. Nie znał nawet jej obecnego nazwiska. Zresztą gdyby ktoś mu uwierzył, i tak nie wiedział, jaki pożytek miałyby przyjść z tych informacji.

W dodatku z tyłu głowy czaiła się świadomość, że to jej interwencji zawdzięcza życie własne oraz bliźniaków. Zdrada jej zaufania stanowiłaby podłe podziękowanie, zwłaszcza gdyby naraził ją na niebezpieczeństwo ze strony bezimiennych ludzi, których tak się bała. Nie rozumiał dlaczego, ale instynktownie przeczuwał, że powiedzenie o Salim komukolwiek byłoby poważnym błędem. Tak samo jak wejście jej w drogę.

Wystarczyło zapytać Gavina.

Stojąc przed ogrodzeniem, Jonah zadrżał. Pokrywająca rusztowania plastikowa folia wydymała się i szeleściła, jakby budynek oddychał. Znajdujący się poniżej fragment fasady został poddany piaskowaniu, dzięki czemu usunięto wieki brudu i odsłonięto blady kamień. Dosłownie wymazano przeszłość. Nie ma znaczenia, jak deweloperzy ochrzczą to miejsce, uznał Jonah, odwracając się. Dla niego zawsze będzie to Nabrzeże Rzeźników.

Kiedy wrócił tą samą drogą do przycumowanych łodzi, przytłoczył go znajomy ciężar. Nie tylko los Gavina był w tym momencie niewiadomą. Wciąż nie zidentyfikowano trzeciej ofiary z magazynu i tak prawdopodobnie miało już pozostać. Gavin twierdził, że zabił przypadkowego bezdomnego tylko po to, żeby zaciemnić obraz wokół



morderstwa Nadine Salim i Daniela Kimaniego. Był to wciąż jeszcze młody mężczyzna, prawdopodobnie z Europy Wschodniej, choć nawet co do tego nie mieli pewności. Nikt nie zgłosił się w jego sprawie, a bezwzględne oskarżenie Gavina wydawało się być aż zbyt prawdziwe. „Ktoś, za kim nikt nie zatęskni”.

Smutne epitafium.

No i była jeszcze jedna nieprawdopodobna ofiara, która ciążyła mu na sumieniu. Nadal nie znaleziono ciała Owena Stokesa, a Jonah zaczynał dochodzić do wniosku, że nic się pod tym względem nie zmieni. Gavin przyznał się, że obciążone zwłoki spoczęły na dnie rzeki, i nie było powodu, żeby wątpić w jego słowa. Czy w to, co powiedział o śmierci Stokesa. Wszystko jedno, czy Gavin to zainscenizował, wszystko jedno, czy Jonah myślał, że walczy o życie własne i Nadine Salim. Fakty pozostawały faktami.

Zabił niewinnego człowieka.

Usłyszał, że nie postawią mu zarzutów. Że nie ma żadnych dowodów na to, że Owen Stokes nie żyje, a nawet jeśli, przestępstwo popełnił Gavin, nie on. Nawet Fletcher nie winił go za śmierć Stokesa. Nie zmieniało to jednak tego, co się stało, ani tego, jak Jonah się czuł. Wrobiony czy nie, miał krew na rękach.

Jeszcze jedna rzecz, z którą musiał nauczyć się żyć.

Dotarł z powrotem do zacumowanych łodzi. Podskakiwały ospale na oleistej wodzie, stado brzydkich kaczątek i większa barka, która przypominała brudnego łabędzia. Jonah usiadł niedaleko, a z niskiego murku widział wyblakły napis „The Oracle”.

Podniósł odłupany kawałek cegły i wrzucił go do wody. Zdrada Gavina wciąż bolała. Nadal nie mógł uwierzyć w to, że człowiek, któremu ufał, którego nazywał najlepszym przyjacielem, znał prawdę na temat Theo, ale jej nie wyjawiał.

W świetle nowych informacji wyniki śledztwa miały zostać ponownie przeanalizowane, ale Jonah nie żywił przesadnie wielkich nadziei. Nawet gdyby ponownie otwarto sprawę, upłynęło zbyt wiele czasu. Taśmy monitoringu, które mogłyby potwierdzić, że kobieta z wózkiem w parku faktycznie była Aną Dounari, zostały wyczyszczone lata temu. Bez tego

i bez żadnych innych dowodów jedyne, na czym mogli się oprzeć, to zasłyszane informacje. Zasłyszane, jak na ironię, od Gavina.

Dziura w kształcie Theo, która otworzyła się wtedy w parku, wciąż była tak samo mroczna i pusta. Ziała w piersi Jonaha jak otchłań, której nie dało się niczym wypełnić. Powtarzał sobie, że przynajmniej teraz był bliżej prawdy. Ale wtedy wracały do niego słowa Gavina, a ból osiągał zupełnie nowy poziom.

„Oczywiście, że go, kurwa, zabili”.

Wiedział, że nie było szans na to, żeby jego syn wciąż żył, nie po takim czasie. Ale to, jak Gavin zwyczajnie potwierdził ten fakt, pozostawiło ranę zbyt głęboką, by mogła się zagoić. Ranę jątrzył w dodatku toczący go rak niewiedzy. Niewiedzy, czy Theo cierpiał, zanim zginął, ani co go spotkało. Ani jak przerażony musiał być jego malutki chłopczyk.

Jednak niezależnie od tego, czy sprawa miałaby zostać ponownie otwarta, czy nie, Jonah po raz pierwszy w głębi serca czuł, że istnieje choć możliwość uzyskania odpowiedzi. Ludzie, którzy porwali Theo, faktycznie mogli być martwi, ale nadal żyli ci nad nimi. Bezimienne szare eminencje, których decyzje pieczętowały losy i kończyły żywoty. Włącznie z życiem jego syna. Jonah nie wiedział, jak mógłby do nich dotrzeć, ale skoro Eliana Salim podała mu nazwisko Any Dounari, musiała znać inne. Ponowne odnalezienie Salim nie będzie łatwe, ale stanowiło jakiś początek.

Nawet jeśli nic miało z tego nie wyjść, po raz pierwszy od dawna czuł, że ma cel. Za tym wszystkim kryło się coś jeszcze, coś tak kruczego, że bał się w ogóle o tym myśleć. Pomimo wszystkiego, co Gavin mu powiedział, pomimo wszystkiego, co podpowiadał zdrowy rozsądek, wciąż nie było żadnego dowodu, że Theo został zabity. Jonah spędził ostatnie dziesięć lat, mylnie wierząc, że jego syn utonął, a wszystko to z powodu bucika znalezionego w kanale. Tym razem nie miał nawet tego. Jedyne zapewnienie, że tego, co się stało, „nie da się cofnąć”. Jonah wiedział, jak groźne było oszukiwanie samego siebie, ale to w niczym nie przypominało wyparcia. Nie była to nawet nadzieja, jedynie cień szansy.

Wystarczyło.

– Jonah Colley?

Wstał i odwrócił się akurat, kiedy podszedł do niego przysadzisty mężczyzna z baryłkowatymi nogami. Miał na sobie niechlujną, prostą kurtkę drwala, której nie zapiął pomimo chłodu. Na szyi połyskiwał mu złoty łańcuch.

– To ja – powiedział Jonah, sięgając po laskę.

– Coś wcześniej. – Z krzaczastych brwi wystawały długie włosy przypominające pajęczę odnóża. Z powątpiewaniem popatrzył na laskę Jonaha. – Dasz se pan radę na pokładzie?

– Dam.

– Jak se Marysia woli. – Z kieszeni kurtki wyjął pęk kluczy przymocowany do korkowego spławika. – Lubisz pan tjalki?

– Co?

Rzucił Jonahowi zdziwione spojrzenie.

– Tjalki. Tak się to nazywa, holenderska barka. Nie wiesz pan, co kupujesz?

– Mogę jej jeszcze nie kupić.

Jonah wiedział, że fakt, że w ogóle rozważał coś takiego po tym, co przeżył na łodzi Gavina, był czystą perwersją. Ale pomysł siedział mu z tyłu głowy już wcześniej i nie był w stanie się go pozbyć. Nadszedł czas na nowy początek. Nieważne, jak to miejsce mogło mu się kojarzyć – od kiedy zobaczył starą barkę, czuł, że coś go do niej ciągnęło.

Miał wrażenie, że postępuje po prostu... właściwie.

– Wymaga sporo roboty, ostrzegam – odezwał się mężczyzna. – Mój brat przesiedział ostatnie dwa lata w domu opieki i nie miał kto się nią zajmować.

– W porządku.

– Wiesz pan, że nie będziesz mógł jej tutaj trzymać? – zapytał mężczyzna, rozglądając się po wybrzeżu. – Wszystkiego się pozbywają. Przebudowują. Rychło w czas, jeśliby mnie kto pytał.

– I tak nie chciałbym tu zostać – odpowiedział Jonah.

– Nie dziwię się. Poczekaj pan.

Mężczyzna zaskakująco zwinnie przeskoczył przez barierkę mniejszej łódki przycumowanej wzdłuż nabrzeża. Gdy dotarł na rufę, przeszedł najpierw jedną, potem drugą nogą na pokład tjalka. Zniknął na moment, po czym wyłonił się ze środka ze zniszczonym trapem, który przełożył nad wodą, opierając drugi koniec na kei.

– Skoroś pan nie pasjonat, to dlaczego interesujesz się pan taką krypą? – zapytał mężczyzna, kiedy upewnił się, że kładka trzyma się bezpiecznie.

Jonah zatrzymał się przed trapem. Z miejsca, gdzie stał, zamontowana w charakterze odbijacza opona zasłaniała część nazwy wymalowanej na

burcie. Widział tylko cztery pierwsze litery „The Oracle”, tak jak za pierwszym razem.

„Theo”

– Spodobała mi się – powiedział, przechodząc nad wodą.

# Podziękowania

Jako początkujący pisarz mordowałem się z maszyną do pisania. Obiecałem sobie, że kupię komputer, jak tylko wydam pierwszą książkę. „Gdybyś kupił go teraz, może szybciej byś coś wydał”, skomentowała wtedy moja mama. Jak na złość, miała rację. Ona oraz mój nieżyjący tata byli niewyczerpanym źródłem wsparcia i nigdy nie przestali we mnie wierzyć, nawet kiedy perspektywa zostania pisarzem wydawała się nierealistyczną fantazją. Zmarła w sierpniu 2021 roku, więc żadne z nich nie miało okazji zobaczyć wydrukowanego egzemplarza tej książki. Ale mimo że to moja dwunasta powieść, wiem, że byliby dumni.

W jej napisaniu pomogli mi ludzie, którzy wspaniałomyślnie poświęcili swój własny czas, by odpowiedzieć na moje pytania. Dziękuję Tony’emu Cookowi, dyrektorowi operacyjnemu Jednostki ds. Przeciwdziałania Wykorzystywaniu Dzieci oraz Przemocy w Internecie działającej w ramach Narodowej Agencji ds. Zwalczania Przystępności, którego podręcznik jak zwykle okazał się cennym źródłem informacji; Markowi Williamsowi prezesowi organizacji zrzeszającej funkcjonariuszy służących w jednostkach kontrterrorystycznych; oraz pracownikom Biura Prasowego Policji Metropolitalnej. Wszystkie błędy popełniłem ja – nie oni.

Dziękuję również moim agentom, Gordonowi Wise’owi oraz Sarah Harvey z Curtis Brown, redaktorom Samowi Eadesowi i Rachel Neely oraz całej ekipie za powitanie Jonaha Colleya oraz mnie samego w Orionie; Ulrike Beck, Friederike Ney i wszystkim pracownikom mojego niemieckiego wydawcy Rowoholt; a także Benowi Steinerowi i SCF za przeczytanie maszynopisu i przekazanie mi uwag.

Jak zwykle największe podziękowania należą się mojej żonie Hilary za jej wsparcie, pomysły, cierpliwość oraz za wspólne przeżywanie wzlotów i upadków.

Simon Beckett, kwiecień 2021

## O autorze

Simon Beckett jest autorem serii międzynarodowych bestsellerów z Davidem Hunterem w roli głównej. Jego książki zostały przetłumaczone na dwadzieścia dziewięć języków, wielokrotnie trafiały na listę bestsellerów „The Sunday Times” i rozeszły się w nakładzie ponad 10 milionów egzemplarzy na całym świecie. Jako były dziennikarz pisał dla „The Times”, „Daily Telegraph”, „Independent on Sunday” oraz „The Observer”.

Beckett był współlaureatem European Crime Fiction Star Award 2018–2019, najważniejszej europejskiej nagrody przyznawanej autorom kryminałów. Otrzymał również Raymond Chandler Society’s „Marlowe” Award i został nominowany do CWA Gold Dagger, CWA Dagger in the Library oraz Theakston’s Crime Novel of the Year.

*Zagubiony* to pierwsza odsłona nowej serii z Jonahem Colleyem oraz dwunasta powieść autora.